

Lisa Jackson

PRZERWA MILCZENIE

*Książkę dedykuję moim synom
Matthew i Michaelowi Crose'om,
którzy są światłem mojego życia.
Dziękuję, chłopaki. Jesteście wspaniali!*

Created with

 **nitro**^{PDF} professional

download the free trial online at nitropdf.com/professional

Akry wyschni tej trawy prały się w upale. Cienia prawie nie było, a letnie powietrze przesycał zapach piasku. Nevada Smith wycelował. Przymknął niesprawne oko. Nacisnął spust.

Bach!

Stary winchester mocno uderzył go w gołe ramię, a zardzewiała blaszana puszką, do której mierzył, podskoczyła na słupku ogrodzenia i spadła na twardej ziemi. Krowy na sąsiednim polu nawet nie drgnęły, ale Nevada z satysfakcją wziął na muszkę następnego celu: pustą butelkę po piwie, która za chwilę miała się rozprysnąć na tysiąc kawałków.

Znow podniósł strzelbę. Odwiódł kurek. Zaciśniętymi zębami zmrużył oczy. Palec przywarł do spustu, ale Nevada się zawałał.

Wyczuł, że ciarówka się zbliża, jeszcze zanim hałas dotarł do jego uszu. Wyciągnął szyję i dostrzegł tuman kurzu wlokący się za słupkami ogrodzenia równoległe do jezdni. W tym samym momencie usłyszał ryk silnika. Wpatrywał się w ciarówkę przez zadrapaną okulary przeciwsłoneczne Foster Grant, a w końcu rozpoznał czerwonego dodge'a Shepa Marsona.

Cholera!

Czego, u diabła, chce ten stary dra? Shep pełnił funkcję zastępcy w Biurze Szeryfa i było oczywiste, że ten twardziel ma ochotę zostać szeryfem całego okręgu. Postawny, potężny jak nadmorska sosna, był siostrzeńcem sędziego okręgu i młodym córki niegdyś zamożnego ranczera, no i mógł liczyć na to, że zostanie wybrany przytłaczającymi głosami. Co niechybnie oznaczało wzrost przestępczości w tym zakątku Texas Hill Country.

Nevada miał nerwy napięte jak postronki, i to nie tylko dlatego, że Shep był wrednym, zakłamanym sukinsynem, który nie miał prawa zapuszczać się tutaj, na teren nieobjęty jego jurysdykcją.

Shep był dalekim kuzynem Shelby Cole, człowiekiem, z którym Nevada kiedyś krótko pracował i który groził mu bronią. O nie, tych dwóch nie pałało do siebie miłość.

Ze strzelbą w ręku Nevada minął stary ogród różany, gdzie przeroniłe krzaki niedługo miały wydać nasiona. Chwytny podniszczony koszulkę, który zawiesił na słupku ogrodzenia, zahaczył jednym palcem i zarzucił na ramię.

Pod dachem dwupokojowej chatki, którą Nevada nazywał domem, osadziła się pracowicie szykowała sobie gniazdo. Jego stary, kulawy pies, kundel, raczej border collie niż labrador, leżał w cieniu zniszczonego frontowego ganku. Na widok pana uderzył ogonem w ziemię, podniósł łeb i zaszczekał, słysząc warkot dodge'a.

- Cicho. Wszystko będzie dobrze - skłamał Nevada. Bezskutecznie próbował zignorować ból skacowanej głowy - nie tylko nie ustawał, ale jeszcze się wzmacniał - gdy tymczasem słońce weszło już wysoko, a w powietrzu czuło się upał. Kiedy wóz nadjechał z głośnym warkotem, Nevada poczuł, że coś ciska mu ołdek. Chore oko trochę go bolało i opadł od głupiej kosiowej muchy, która najwyraźniej nie wyczuła, że stado znajduje się sto metrów dalej na zachód, skupione za gęszczeniem teksańskich dębów i drzew mesquite, tak że każdy leniwy koń stał z nozdrzami przy zadzie drugiego i oganiał się ogonem od natrętów.

Marson zatrzymał wóz przed star szop z narz dziami i zgasił silnik.

Nevada poczuł, e sztywnieje mu kark - zawsze tak reagował na widok przedstawiciela prawa. Kiedy sam si do nich zaliczał, teraz był wyrzutkiem.

Shep wygramolił si zza kierownicy. Był zwałistym m czyzn , z dolnej wargi zawsze zwisała mu prymka tytoniu. Przeszedł powolnym krokiem obok maski swojego upstrzonego owadami wozu. Miał buty z w owej skóry, wytarte d insy opi te na brzuchu i koszul w stylu western. Ruszył zakurzon cie k w stron domku. Z grubych palców zwisały mu dwie półlitrowe puszk coorsa, w plastikowej folii z sze ciopaku.

- Smith. - Splun ł stru k czarnego soku i doszedł do bramy. - Masz chwilk ?

- Zale y.

- Od czego?

- To jaka oficjalna sprawa?

- Nie. - Shep otarł usta wierzchem wolnej dłoni. Piegowat skór nad jego górn warg pokrywał meszek. - Ot, beztroska pogaw dka dwóch kumpli.

Nevada nie wierzył mu ani troch . Nigdy si nie przyja nił z Shepem, nawet w czasach, gdy grali w jednej dru ynie. Obaj o tym wiedzieli. Ale trzymał j zyk za z bami. Marson przyjechał tutaj nie bez powodu. To musiało by co powa nego.

Shep wyszarpn ł puszk z uchwytu i rzucił j Nevadzie, a on złapał j w locie.

- Co za cholerny upał - burkn ł Shep. Otworzył puszk i słuchał krzepi cego syku powietrza. Kiwn ł głow , uniósł puszk i poci gn ł du y łyk.

- Tu zawsze jest gor co - odparł Nevada, otwieraj c swoje piwo. - Lato w Teksasie.

- Chyba o tym zapomniałem. - Shep zachichotał, ale bez krztyny wesoło ci. - Chod , przysi dziemy na chwilk . - Kiwn ł głow w kierunku frontowego ganku, gdzie dwa plastikowe krzesła cierpliwie pokrywały si kurzem. Po twarzy ciekła mu stru ka potu, od której błyszczały cienkie, mocno ju siwiej ce baczki. - Słyszate o starym Calebie Swaggercie? - zagadn ł, patrz c na horyzont, gdzie zebrało si kilka chmur, które rozprasał lec cy na północ samolot.

Nevada poczuł, e je mu si włoski na karku. Oparł si o słupek ganku, gdy tymczasem Shep sadowił si na jednym z kupionych na wyprzedz y krzesel.

- Co takiego?

Shep przez chwil popijał piwo, zerkaj c na odziedziczone przez Nevad szkaradne ranczo. W ko cu chrz kn ł i powiedział:

- Wygl da na to, e stary Caleb niedługo umrze. Rak. Lekarze w Coopersville nie daj mu nawet miesi ca. - Kolejny długi łyk. Nevada cisn ł palcami swoj puszk . - I wyobra sobie, Caleb twierdzi, e odnalazł Jezusa. Nie chce umrze jako grzesznik. Dlatego zamierza zmieni swoje zeznanie.

Nevada poczuł, jak napinaj mu si wszystkie mi nie. Ledwo poruszaj c wargami, zapytał:

- To znaczy?

- e Ross McCallum wyjdzie na wolno . To wła nie zeznania Caleba, Jego i Ruby Dee, sprawiły, e chłopak wyl dował w wi zieniu. W tych okolicach wszyscy wiedz , e Ruby to kłamliwa dziwka, a teraz wygl da na to, e ona przyzna, e po prostu wrobiła Rossa.

Nevadzie zrobiło si niedobrze. Poczuł na karku lekki wiatr, gor cy jak oddech szat

Shep jeszcze raz podniósł puszkę i wyszczył ją prawie do końca.

- Wiem, że to ty aresztowałeś tego sukinkota, Smith. Ty go posłałeś do mamra, ale pomyślałem, że powinieneś to wiedzieć: Ross za parę dni wyjdzie na wolność, w zależności od tego, kto będzie rozpatrywał sprawę, i nie musisz mi mówić, że on łatwo się wkurza. Kiedy dorastaliście, miał na sumieniu więcej sprawek niż ty. Połowa z tych bójkę była z tobą. Zgadza się, co?

Nevada nic nie powiedział. Shep pokiwał głową i wypił kolejny, duży łyk, opróżniając w ten sposób puszkę.

- Kiedy wyjdzie z więzienia, będzie się mścił jak zraniony niedźwiedź. - Trzymaj puszkę, wycelował palcem wskazującym w Nevada. - Na pewno będzie szukał ciebie. - Zgniół puszkę grubymi palcami i dodał: - Ja tak sobie myślę, że ostrzeżony to uzbrojony. Wiesz, o co mi chodzi?

- Tak.

- Dobrze. - Shep cisnął puszkę na przegniłe deski ganku i wstał. - Wiesz, Nevada, ja nigdy tego za bardzo nie kapowałem. Przecież kiedy byliście najlepszymi kumplami, nie? On był rozgrywanym w drużynie futbolowej, a ty skrzydłowym. No, przynajmniej zanim został wywalony. Ale co mi dzisiaj wami zaszło?

Nevada wzruszył ramieniem.

- Ludzie się zmieniają.

- Czy by? - Shep lekko przygryzł wargę. - Może i tak, kiedy chodzi o kobiety.

- Może.

Shep zszedł po dwóch stopniach z ganku i obrócił się, jakby nagle coś w niego sobie przypomniał.

- To jest ta druga nowina, synu - powiedział miertelnie poważnym tonem.

- Jaka nowina?

- Krótka plotka, że Shelby wraca do Bad Luck.

Nevadzie serce podeszło do gardła, ale starał się zachować obojętność.

- Tak, zgadza się - dodał Shep, jakby rozmawiał z samym sobą. - Słyszałem to od mojej siostry. Shelby zadzwoniła do niej dzisiaj rano. - No, więc jeśli rzeczywiście się tu zjawi, nie chcę żadnych kłopotów, rozumiesz? Ty i Ross dosyć się nawarzyliście o nią przed laty. Pamiętam, jak zaciągałem was obu na posterunek. Byście nie leżeli poharatani. Straciłeś oko. Wylądowałeś w szpitalu. A Ross po bójkę z tobą miał kilka pękniętych żeber i złamaną rękę. Co mi się zdaje, że wtedy przysięgał, że cię zabije.

- Jakoś nie miał okazji, żeby to zrobić.

- A teraz, synu. - Shep rozejrzał się po zaniedbanym podwórzu i wyciągnął z tylnej kieszeni chusteczkę. Otarł twarz i zmrużył oczy, bruzdy wokół nich mocno się pogłębiły. - Już mówiłem, że nie chcę żadnych kłopotów. W przyszłym roku będzie się ubiegał o posadź szeryfa okręgu Blanco i nie chcę być kojarzony z jakimś chryją.

- Nie widzę takiej możliwości.

- Dobrze. Niech będzie, jak jest. - Ruszył w stronę wozu, a Nevada mówił sobie, że nie będzie rozgrzebywał dawnych historii, że powinien trzymać język za zębami i udawać brak zainteresowania. Ale nie wytrzymał.

- Dlaczego Shelby akurat teraz wraca do Bad Luck? - zapytał.

- Hm, dobre pytanie, nie uważasz? - Shep przystanął i w zamyśleniu tarł podbródek. Widać było plamy potu na koszuli pod pachami. - Cholernie dobre pytanie. Miałem nadzieję, że może znasz na nie odpowiedź, ale widzę, że się myliłem. - Spojrzał przed siebie i wypuł długą strugę tytoniowego soku na wypalone słonce chwasty rosnące wokół słupka ogrodzenia. - Może Ross zna odpowiedź.

Nevad coraz bardziej bolała głowa.

- Nie s dzisz, e to troch dziwne, e i on, i Shelby b d wracali do miasta w tym samym czasie? Zbieg okoliczno ci czy co w tym stylu?

To co wi cej ni zbieg okoliczno ci, pomy lał Nevada, ale tym razem nic nie powiedział, a Shep pomaszzerował do swojego wozu. Z tego, co Nevada wiedział, Shelby Cole - pi kna i rozpieszczona jedynaczka, córka s dziego Jerome'a „Reda” Cole'a - nie miała adnego powodu, eby wraca do Texas Hill Country. Absolutnie adnego cholernego powodu.

Shelby nie oszcz dzała pedału gazu wynaj tego cadillaca. Ci gle przekraczała pr dko i czuła, jak szybko krzewy, gał zie d bów, usychaj ce kwiaty polne i kolczaste kaktusy gruszkowe ocieraj si o jej samochód. Wzdłu wirowego nasypu autostrady le ały tu i tam martwe zwierz ta, głównie pancerniki i zaj ce. Ten widok przypominał jej, e zbli a si do Bad Luck, małej mie ciny na zachód od Austin, miejsca, do którego kiedy przysi gła sobie nigdy nie wraca .

Rozsun ła dach samochodu i sło ce mocno pra yło j w głow . Ze zwi zanych z tyłu włosów sterczało pasemko rudoblond. Nie przejmowała si tym. Na lotnisku zrzuciła szpilki i prowadziła samochód boso, skoncentrowana, ze zmarszczonym czołem; do jej wiadomo ci z trudem przebijały si d wi ki jakiej starej piosenki Bette Midler.

Skr ciła troch za szybko, opony cadillaca zapiszczały, ale nie zwolniła. Po dziesi ciu latach nieobecno ci w miasteczku, które j wykl ło, po dziesi ciu latach swobodnego ycia w Seattle, nie mogła si doczeka chwili, kiedy zaparkuje przed stuletnim domem, w którym si wychowała. Nie miała zamiaru zatrzyma si tam na długo. Chciała tylko załatwi swoje sprawy i si wynie .

Zacisn ła palce na kierownicy. Zalała j fala, wspomnie uwi zionych w innym czasie i przestrzeni, wspomnie obietnic i kłamstw, seksu podczas wiosennej burzy i konsekwencji zdrady. Z trudem przełkn ła lin . Nie chciała przemierza tej bolesnej cie ki.

Wył czyła radio gwałtownym ruchem i wcisn ła na nos okulary przeciwsłoneczne. Nie chciała słucha adnych ekliwych, romantycznych kawałków, a w ka dym razie nie dzisiaj. I chyba w ogóle. Zerkn ła na siedzenie obok siebie, gdzie cisn ła nesesor. Z bocznej kieszeni wystawał róg szarej koperty. Był w niej list - anonimowy - ze znaczkiem podstemplowanym w San Antonio. Wła nie z powodu tego listu poprosiła o urlop okoliczno ciowy szefa biura nieruchomości, w którym pracowała, spakowała podr czn torb , pojechała na lotnisko Sea-Tac i poleciała pierwszym samolotem do Austin.

W niecał dob po otrzymaniu obci aj tego listu mkn ła przez ulice w centrum miasteczka, które nazywała domem przez pierwszych osiemna cie lat swojego ycia.

Niewiele si tu zmieniło.

Drogeria wygl dała tak samo; zachował si nawet pał do przywi zywania koni wbity przed bocznymi drzwiami. U miechn ła si ironicznie na wspomnienie dnia, w którym wyrzyła na tym wła nie pału swoje inicjały, i zacz ła si zastanawia , czy mimo upływu czasu wci jeszcze wida tam głupiutkie serduszko, wyznanie miło ci do m czyzny, który j w sobie rozkochał:

- Idiotka - mrukn ła pod nosem, zatrzymuj c si przed czerwonym wiatłem jedynej sygnalizacji w mie cie i czekaj c, a przejdzie przez ulic ci arna kobieta pchaj ca spacerówk z płacz cym dzieciakiem.

Z chodnika unosił si nagrzaný kurz, utrudniał widoczno i Shelby miała wra er

Jezu, ale tu było gorąco. Zapomniała o tym. Po czole spływał jej pot, a gorące powietrze zdawało się napierać na jej bawełnianą bluzkę. Skóra pod spódniczką khaki była wilgotna. Mogła zamknąć ten cholerny dach, zasunąć okna i włączyć klimatyzację, ale nie chciała tego robić. Pragnęła zachować *Bad Luck** w pamięci jako beznadziejne miejsce. Miasteczko zawdzięczało swoją nazwę, bardzo zresztą odpowiednią, jakiemuś dawnemu poszukiwaczowi ropy naftowej. Rozwijało się powoli i niewielu jego obywateli dobrze prosperowało - najbardziej spośród nich wybił się jej ojciec. Gdy tylko otrzepała buty z kurzu *Bad Luck*, powzięła mocne postanowienie, że jej noga nigdy więcej tu nie postanie.

Ale wróciła.

I nie zamierzała przeproszać za to, że uciekła.

Jechała pewnie skądś w stronę bocznymi uliczkami. Skręciła przy motelu z cementowych bloków - który reklamował się niskimi cenami, klimatyzacją i telewizją kablową - a potem minęła rodzinny sklep spożywczy, gdzie na parkingu pobłykiwały maski nielicznych samochodów. Dalej, za małymi bungalowami - w niektórych oknach wisiały wywieszki **DO WYNAJĘCIA** - ulica skręcała obok pomnika Sama Houstona w parku i prowadziła do dzielnicy mieszkaniowej, gdzie korony rozłożystych drzew dawały ochronę przed słońcem, a kilka starszych domostw spowiadało dziewiętnastowieczny urok.

Z dala od centrum miasteczka, bliżej wzgórz, stały domy bardziej zamożnych obywateli - nie było ich wiele.

Dom jej ojca w stylu wiktoriańskim, wedle standardów *Bad Luck* zasługujący na miano rezydencji, był najokazalszy. Stał na dwuhektarowej posiadłości, w półtora kilometra od miasta; tu przy nim, między bardzo starymi drzewami przepływała rzeczka. Zbudowana z tego kamienia i cegły trzypiętrowa posiadłość była otoczona ze wszystkich stron szerokimi, zadaszonymi gankami. Wysokie okna i ozdobne kraty upiększały wiszące kosze fuksji w krzykliwych kolorach. Trawa była przystrojona i zielonutka, kwitnący żywopłot równie starannie utrzymany. Shelby wyobraziła sobie, że basen na tyłach domu, w kształcie nerki, nadal przypominał nieliczne, turkusowe jezioro, a jednocześnie nie świadczyło o bogactwie, władzy i wpływach sędziego Cole'a.

Shelby zmarszczyła brwi, przypominając sobie szyderstwa, których musiała wysłuchiwać jako dziecko i nastolatka, szepty wyrażające lekceważenie i pogardę; wtedy starała się je ignorować.

- Bogata sukca.

- Największa farciara na zachód od San Antonio.

- Wyobraź sobie? Ma wszystko, czego zapragnie. Wystarczy, że poprosi albo zamruga swoimi błękitnymi oczkami do tatusia.

- Ci kochanie, co, kochanie?

Nawet teraz Shelby czuła, że jej policzki płoną z zakłopotania tak samo jak kiedyś, kiedy zakazano jej bawić się z Marią, córką dozorcę, albo ostrzeżono, że Ruby Dee to „niegrzeczna dziewczynka”, albo kiedy dowiedziała się, że jej klacz Appaloosa jest warta więcej, niż zarabia Nevada Smith przez cały rok pracy po godzinach na ranchu byłą jej ojca, trzynastu kilometrów na północ od miasta.

Nic dziwnego, że stamtąd uciekła. Teraz zahamowała przy garażu, wsunęła szpilki, zgasiła silnik i wrzuciła kluczyki do neseseru. Mrucząc po cichu: „Daj mi siłę”, do niewiadomego kogo, wygramoliła się z samochodu i, nie bacząc na to, że bluzka przylepia jej się do pleców, pomaszerowała chodnikiem do domu. Nawet nie podniosła mosiężnej kołatki z dumnie wygrawerowanym nazwiskiem Cole. Przypomniała sobie obrzydliwą parodię rymo-

* *bad luck* (ang.) - pech (przyp. tłum.).

wanki, którą usłyszała w szkole podstawowej:

Stary s dzia Cole

Okropn star dusz miał,

Wredny był z niego wał.

Stryczkiem albo spluw groził,

Trzech slugusów z sob woził.

Frontowe drzwi otworzyły się bez trudu i powitał ją zapach płynu do mebli, potpourii i cynamonu. Włoski marmur, widoczny przy brzegach kosztownych kilimów, lśnił w słońcu, które się przelatywało przez wysokie, nienagane czyste okna.

- *Hola!* Kto tam jest? - zabrzmiał znajomy głos z wyraźnym hiszpańskim akcentem i dały się słyszeć ciche kroki, a kiedy Shelby skręciła w stronę kuchni, niemal nie wpadła na Lydię, gospośnię ojca.

Ciemne oczy ją rozpoznały, na twarzy pojawił się uśmiech radości.

- *Se orita* Shelby! - Lydia uśmiechała się od ucha do ucha. Jej niegdyś czarne włosy, starannie splecione i zwinięte w kok nisko na szyi, były teraz poprzetykane siwizną. Nieliczne, niesforne kosmyki okalały twarz, którą Shelby pamiętała z młodości. Z biegiem lat talia Lydie trochę się zaokrągliła, ale na twarzy nie było zmarszczek, a skóra o miedzianej karnacji z meksykańskimi akcentami i typowymi dla Indian wystającymi kośćmi policzkowymi wydawała się równie gładka jak kiedyś.

- *Dios!* - Lydia uśmiechnęła się, którą pomagała wychowywać. - Dlaczego nikogo nie zawiadomiła, że przyjeżdżasz do domu?

- Zdecydowałam o tym nagle. - Objęła Lydię i do oczu napłynęły jej niechciane łzy. Czarna sukienka, biały kołnierzyk, biały fartuch i proste sandały... strój Lydie przez wszystkie te lata, kiedy Shelby tu nie było, w ogóle się nie zmienił. I wciąż pachniała wanilią, talkiem i papierosowym dymem. - Jak... jak to dobrze cię zobaczyłam.

- I ciebie też, *ni a*. - Lydia cmoknęła ją w zęby. - Gdybym wiedziała, że przyjeżdżasz, ugotowałabym wszystkie twoje ulubione potrawy: szynkę i słodkie ziemniaki, a na deser ciasto z orzechami pekan. Jeszcze dzisiaj je zrobię. Wciąż je uwielbiasz?

Shelby się za nią.

- Tak, ale proszę cię, Lydio, nie rób sobie kłopotu. Nie wiem, ile czasu zostanie.

- Cicho. Nie będziemy mówić o twoim wyjeździe, skoro dopiero co przekroczyła próg tego domu. Ach, *ni a!* - W oczach starej kobiety zabłyśły łzy. Szybko zamrugnęła powiekami i szepnęła: - Jesteś jak *fantasma*, jak duch twojej matki. - Westchnęła, odsunęła Shelby na długo i dokładnie jej się przyjrzała. - Ale jesteś za chuda. *Dios!* Czy oni tam na północy nie umieją gotować?

- Nie. Nikt nie umie - droczyła się z nią Shelby. - W Seattle wszyscy są chudzi jak szczapy. Tylko piją kawę, kulą się przed deszczem i wspinają na góry. Co w tym rodzaju.

Lydia zachichotała.

- Z tym sobie poradzimy.

- Pójdź. Teraz chcę się zobaczyć z siostrą - odparła Shelby. Nie zamierzała zmieniać planów pod wpływem życzliwości gospodyni albo jakiegoś nedorzecznego uczucia nostalgii. Miała misję do spełnienia. - Czy jest w domu? - Wyswobodziła się z objęcia Lydie.

- Si. Na werandzie, ale akurat ma klientów. Powiem mu, że jesteś ...

Ale było za późno. Shelby już ruszyła w stronę przeszklonych drzwi balkonowych, które prowadziły na tyły rezydencji.

- Sama to zrobi. Dziękuj, Lydio.

Przeszła obok błyszczącego mahoniowego stołu - wraz z dwunastoma rzeźbionymi krzesłami stał w jadalni. Na połyskującym blacie pyszniła się wianka rajskich ptaków, ulubionych kwiatów jej matki. Od ponad dwudziestu lat, jakie minęły od śmierci Jasmine Cole, co tydzień pojawiała się nowa kwietna kompozycja. Przez szklane panele masywnego kredensu było widać kryształ i porcelanę, błyszczące i gotowe do użytku w razie uroczystego przyjęcia.

Shelby doszła do wniosku, że w Bad Luck nic się nie zmienia. Otworzyła przeszklone drzwi i weszła na wyłożone kafelkami werandę, z której było widać basen. Zamontowane pod sufitem wentylatory leniwie meły powietrze, a cień drzew po kądłał łagodzący letni śpiek. Gorące powietrze unosiło się nad okalającym basen terakotą i odbijało wyrazistymi smugami w migoczącej, błękitnej wodzie.

Ojciec siedział przy stoliku, ubrany w czarny garnitur i białą koszulę; trzymał na kolanach laskę z rzeźbioną głową słońca, a na stole leżał czarny stetson. Był pochłonięty rozmową z dwoma mężczyznami. Po myśle, że to nie trzech sługusów, ale dwóch potakiwaczy, w dźwiękach i koszulach z podwiniętymi rękawami. Jeden miał brzośki i przeczadające włosy, drugi przykuwał uwagę siwymi brzośkami i ciemnymi okularami.

Na dźwięk zamykanych drzwi wszyscy podnieśli głowy. Dwaj mężczyźni nachmurzyli się i jednocześnie obrzucili ją spojrzeniami. Powoli na ich skwaszonych twarzach pojawiło się zainteresowanie.

Zignorowała obu.

Ojciec obejrzał się przez ramię.

- Shelby!

Poczuła ból, widząc jego rozradowaną twarz. Bo e, ale on się postarzał. Jego twarz z biegiem lat zrobiła się puchowata, a brzuch jeszcze się powiększył. Powieki opadały, a szyja i czoło przecinały głębokie, nieregularne zmarszczki. Rude włosy posiwiały i bardzo się przeczadziły, ale wciąż prezentował się okazale i kiedy wstał, a miał sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, przypomniała sobie, jaki potrafił dominować na ławie sędziów.

- Mój Boże, dziewczyno, dobrze cię widzę. - Rozłożył szeroko ramiona, ale Shelby nie ruszyła się z miejsca i zachowywała dystans.

- Musimy porozmawiać.

- Do diabła, co ty tutaj robisz, malutka? - Jego błękitne oczy zdradzały rozczarowanie i miała ochotę podbiec do niego, zarzucić mu ręce na szyję i powiedzieć: „Och, tato, stęknęłam się za tobą”. Ale nie zrobiła tego. Przeciwnie, stała sztywno wyprostowana i walczyła ze sobą, aby się nie rozkleić. Nie była już przerażoną dziewczynką.

- Sam na sam, sędzi. Musimy porozmawiać bez świadków. - Spojrzała wymownie na jego pomagierów.

Odprawieni jednym skinieniem głowy szefa, mężczyźni szybko podnieśli się z krzesel i, egnani cichymi, po pieśniami zapewnieniami sędziego Cole'a o tym, że spotkają się później, sztywnym krokiem obeszlili dom i zniknęli za bramą. Zapadła cisza, w której słychać było tylko brzęczenie pszczoł i stukanie dziobów, ale Shelby nie marnowała czasu. Sięgnęła do walizeczki, wyjęła szarą kopertę, rozerwała ją i wysypała jej zawartość na szklany blat stolika, gdzie w wypitych do połowy drinkach wciąż pływały kostki lodu.

Z czarno-białej fotografii spoglądała na nich dziewięć-, dziesięcioletnia dziewczynka

powietrze i powoli usiadł. Shelby zauważyła, że obrączka wrzyna się głęboko w palec jego lewej ręki. Nie zdejmował jej od ponad trzydziestu lat, a na prawej ręce miał pierścionek z diamentem, jaki chciałaby nosić niejedna hollywoodzka narzeczona.

Shelby nachyliła się nad stołem, tak że prawie dotykała nosem czubka nosa ojca. Pokazała palcem czarno-białe zdjęcie.

- To moja córka - powiedziała dr cym głosem, czując jak bardzo się denerwuje. - Twoja wnuczka.

Szukała na twarzy sędziego jakichkolwiek oznak, że rozpoznaje dziewczynkę. Nie dostrzegła niczego.

- Ona wygląda zupełnie jak ja. Jak mama.

Sędzia zerknął na zdjęcie.

- Istnieje pewne podobieństwo.

- To nie jest podobieństwo, sędzio. Ta dziewczynka wygląda dokładnie tak samo jak ja. A tutaj... - wydobyla kartkę spod fotografii - ...jest kopia jej aktu urodzenia. A to... jej akt zgonu, kiedy była noworodkiem. Przeczytaj go: Elizabeth Jasmine Cole. Rzekomo umarła, sędzio, na skutek powikłań, problemów z sercem, zaraz po narodzinach. Ty... ty powiedziałaś mi, że ona nie przeżyła. Te prochy, które rozsiałaś na wzgórzach... Och Boże, czyje to były prochy? - zapytała, a potem potrząsnęła głową, nie chcąc słyszeć kolejnych kłamstw. - Nie mów... o Boże. - Miała ci się gardło i pomyliła, że zaraz zwymiotuje. - Okłamała mnie. Dlaczego?

- Nie kłamałem...

- Przesta! Po prostu przesta! - Wyciągnęła rękę w jego stronę i cofnęła się o krok. Czuliła, jak zalewają ją gorycz. Wciekła sprawiała, że drżały jej mięśnie. - Kto, nie wiem kto, przysłał mi to wszystko. Dostałam to wczoraj, no i wróciłam tutaj, żeby wyjaśnić sprawę. Gdzie jest moja córka, tato? - wycedziła przez zęby, które zaciskała tak mocno, że aż bolała ją szczęka. - Co z nią zrobiłeś, do jasnej cholery?

- Ale kochanie...

- Przesta! I to natychmiast! Nie nazywaj mnie kochaniem ani cukiereczkiem, ani dzieciną, ani panienczką, ani adnym innym czułym określeniem, dobrze? Ja jestem już dorosła, jeżeli nie zauważyłaś, i nie udaj się wywinąć z tego słodkimi słówkami, sędzio. Nie jestem małą dziewczynką. Dobrze wiem, że nie należy wierzyć ani jednemu słowu, jakie pada z twoich kłamliwych ust, a przyjechałam tu tylko po to, żeby odnaleźć moje dziecko, sędzio, moją córkę. - Stuknęła się w pierś kciukiem.

- Twój i kogo jeszcze? - zapytał. Już się nie uśmiechał, a w głosie słyszała dawny, dobrze jej znany szorstki ton.

- To... to nie ma znaczenia.

- Czy by? - Sędzia rozrzucił papiery na stole i zmarszczył brwi, mrużąc oczy za okularami w szerokiej oprawce. - Dziwne, nie uważasz? Dostajesz dowód, że masz dziecko, w tym samym tygodniu, w którym Ros McCallum ma być zwolniony z więzienia.

- Co? - Nogi się pod nią ugryzły. McCallum nie może odzyskać wolności. Jeszcze nie teraz. I nigdy. Strach cięł jej krew. Nagle zrobiło jej się gorąco, a zaraz potem zimno.

- Och, a więc nie wiedziała? - Sędzia znowu rozsiadł się na krześle i bawił kciukiem rękawki. Zerknął na córkę ponad okularów. - Tak, Ross będzie wolnym człowiekiem. Aha, jeżeli chodzi o Nevadę Smitha, nadal mieszka w tej okolicy.

Jej głupie serce na chwilę przestało bić, ale starała się zachować obojętny wyraz twarzy. Nevada nie istniał w jej życiu, i to od bardzo, bardzo dawna. Nic tego nie zmieni. Nigdy.

- Tak - ci gn 1 s dzia, gładz c opuszkami palców gałk laski - odziedziczył skrawek skalistej ziemi, na której próbuje prowadzi ranczo. Nikt nie wie, jak Nevada zareaguje na uwolnienie Rossa, ale kr 1 plotki, e na pewno rozp ta si niezła awantura. - Przygryzł doln warg i z nachmurzon min zamy lił si , jak to miał w zwyczaju, kiedy przesiadywał w s dzie i wysłuchiwał długich, rozwlekłych podsumowa . - A teraz kto wysyła ci przyn t ... chodzi o to, eby ci gn ci z powrotem do miasta, do którego przysi gła sobie ju nigdy nie wróci . Kto robi z ciebie idiotk , Shelby - powiedział, powoli kiwaj c głow , jakby zgadzał si z samym sob - i to nie jestem ja.

Ten jeden raz mu uwierzyła.

Przyjechała tu przepełniona szlachetno ci i determinacj , by odszuka swoje dziecko. To si nie zmieniło. Ale teraz czuła, e kto ni manipuluje i, tak jak powiedział ojciec, robi z niej idiotk . Niechc cy wpadła w pułapk starannie przygotowan przez kogo , kto miał własne cele.

Postanowiła nie da si tak łatwo!

Wyprostowała si , była mokra od potu.

Znajdzie sposób, eby si jako wydosta z sideł. Bez wzgl du na wszystko, raz na zawsze zostawi za sob Bad Luck w Teksasie.

I tym razem, na Boga, zabierze ze sob swoj córka .

Rozdział 2

Ale nie mo esz wyjecha . *Ni a*, przecie dopiero przyjechała ! - Lydia nie nale ała do osób łatwo daj cych za wygran . Pod tym wzgl dem nie zmieniła si wcale mimo upływu lat. Troch posiwała i przybyło jej kilogramów, ale była tak samo stanowcza, jak we wspomnieniach Shelby z młodo ci. - S dzia ci potrzebuje - dodała, posapuj c, bo z trudem nad ała za zmiernaj c do drzwi frontowych Shelby.

- On nikogo nie potrzebuje.

- My lałam, e przyjechała w odwiedziny.

- Nie. Słubowo. - Shelby potrz sn ła głow . Nie mogła tu zosta . Nie mogła zosta w tym domu, w tym pot nym grobowcu, gdzie jej własna matka odebrała sobie ycie, a ona dorastała jako jedynaczka pod okiem surowego prawnika, gdzie jacy ludzie wiecznie wkradali si i wymykali, eby wykonywa specjalne polecenia s dziego, nie wiadomi, e Shelby obserwuje ich z górnego podestu, ukryta w cieniu, we wn ce obok szafy na bieli- zn , e chowa si za fikusem i zerka na foyer przez cieniutkie gałzki.

- Ale Shelby... - Głos Lydii zadr ał i Shelby zatrzymała si pod drzwiami. Odwróciła si i zobaczyła autentyczny smutek w ciemnych oczach Lydii. - ...St skniłam si za tob , *ni a*. Odk d ciebie nie ma, w tym domu jest tak zimno.

Shelby miała wra enie, e topnieje lód wokół jej serca, bo przecie ta kobieta wychowywała j od czasu, gdy Jasmine Cole wybrała mier zamiast ha by rozwodu. To wła nie w ramionach Lydii Vasquez przestawała si ba , to w jej obfity biust wtulała głow , eby usłysze bicie dobrego serca, to Lydia zach cała j , eby nie zrezygnowała z marze , i pocieszała, kiedy co si nie udawało. Lydia smarowała jodyn jej zadrapanie kolana, strofowała szybko jak karabin maszynowy hiszpa szczyzn , kiedy Shelby popełniła bł d, albo mrugała porozumiewawczo i przymykała oko, kiedy Shelby „po yczała” klucze do ojcowskiego pontiaca 1940.

- Nie mog tu zosta - powiedziała Shelby, kład c r ce na pulchnych ramionach Lydii.

- Nie na zawsze, nie. Ale mo e na kilka dni? To by mu sprawiło tak ulg ... tak

stron patio na tyłach rezydencji, gdzie siedział obok basenu. - I mnie te . *Por favor*. Kilka dni. *Semana*.

- Tydzień ? - zapytała Shelby. - Mowy nie ma. Nie dam rady.

- A cóż by to szkodziło? Twojemu ojcu by się to spodobało, a ja... ja dopilnowałabym, żeby dziecko przytyła. Od twojego wyjazdu wiele się zmieniło. - Zaciśnięła wargi, tak jakby widziała wokół nich zmarszczki. - On nie jest... no, wiesz... nie jest tym, czym go nazywałeś. Monstruo.

Shelby musiała się uśmiechnąć.

- Potworem, Lydio. Nie monstrum. Nie przekraczaj słów.

- Si. Potworem.

- Ja... pomyśl o tym.

- Zrób to, a ja będę się modliła. Do Matki Boskiej i...

- Ona sobie poradzi. Nie musisz wzywać wszystkich wiary w tych - rzuciła Shelby. Na to małe blu nierstwo przerażenie pojawiło się na puchawatej twarzy Lydie. Shelby wybuchnęła śmiechem i ucałowała ją w policzek. - Pozwól, żeby załatwił to po swojemu, dobrze? Nie potrzebuję ani ciebie, ani Najświętszej Dziewicy, ani nawet Pana Boga, żeby mi mówili, co mam robić.

Kiedy Shelby wyciągnęła rękę do klamki frontowych drzwi, Lydia przebiegła się z prawdziwie religijnym apelem i zaczęła mamrotać po hiszpańsku o upartych, nierozsądnych młodych kobietach, które nie wiedzą, gdzie jest ich miejsce na ziemi. Shelby usłyszała tylko połowę z tego potoku słów, ale zrozumiała, o co z grubsza chodzi, i zdecydowanie zamknęła drzwi.

Nie miała ochoty przebywać pod jednym dachem z ojcem. Nie wyobrażała sobie, jak mogłaby rozpałcić wszystkie nadzieje, marzenia i rozczarowania, które przeżywała przez pierwsze osiemnaście lat swojego życia, ale pozostała tutaj, blisko człowieka, który tak brutalnie zniszczył jej życie... to miało sens, jeśli chciała się dowiedzieć, co dokładnie zdarzyło się przed dziesięć laty i jak on odegrał rolę w tej gigantycznej grze pozorów.

Nogi lekko się pod nią uginały, kiedy szła do cadillaca, ale bez wahania usiadła za kierownicę; poczuła, że fotel parzy jej uda. Przekraczając kluczyk w stacyjce, zerknęła na dom i mogłaby przysiąc, że jedna z zasłon w gabinecie się dziegocio lekko się poruszyła. Czy by zrobił to jej ojciec? Lydia? Kto inny?

Ale właściwie to było bez znaczenia. Shelby wsunęła okulary na nos, cofnęła się prawie do rogu garażu, a potem ruszyła gwałtownie, zwiędzając obroty silnika. Pod pewnymi względami łatwiej byłoby zatrzymać się u ojca, ale mimo wszystko nie była gotowa na takie upokorzenie. Jeszcze nie.

Czy istnieje lepsze miejsce, żeby odkryć jego tajemnice? żeby z nim porozmawiać w nadziei, że się otworzy i powie prawdę?

- Do diabła z tym wszystkim - mruknęła pod nosem i pojechała swoim wielkim samochodem do centrum miasteczka, do starej kamienicy, w której kiedyś przyjmował pacjentów doktor Pritchard. Wciąż bolała jej głowa. Ross McCallum miał wkrótce znaleźć się na wolności.

Nagle zaciśnięte na kierownicy palce zrobiły się mokre od potu, a serce zaczęło walić jak młotem. Shelby czuła gorączkę w gardle, zaciśnięła zęby i próbowała się skoncentrować, kiedy wjeżdżała do centrum Bad Luck i kliniki, w której kiedyś leczono ją na wszystkie choroby, od bronchitu po zapalenie spojówek.

Budynek się nie zmienił. Miał trzy piętra, a na parterze w szybach odbijały się promienie słoneczne, bo wstawiono szyby, dodatkowo wzmocnione drutem. W pobliżu frontowych drzwi znajdowała

Zainstalowano klimatyzację, a w niegdyś wyłożonych linoleum korytarzach teraz leżała brzoza wykładzina. Na szklanych drzwiach na drugim piętrze, przez które dawniej wchodziło się do gabinetu Pritcharta, teraz przybita była tabliczka z nazwą firmy ubezpieczeniowej.

Shelby, do głębi rozczarowana, nacisnęła jednak klamkę i weszła do pomalowanej na różne odcienie błękitu, chłodnej recepcji. Nieco impertynencka recepcjonistka o włosach, których kolor pasował do srebrzystego błękitu ścian, i obwieszona biuterii jak choinka, zerknęła na Shelby zza komputera. Na tabliczce na jej biurku widniał napis **ROBERT FLETCHER**.

- Szukam doktora Neda Pritcharta - powiedziała Shelby, zanim pani Fletcher zdążyła się do niej odezwać. - Byłam jego pacjentką przed laty, kiedy zajmował to biuro.

Roberta uśmiechnęła się miło, ale w jej oczach, powiększonych przez szkła kontaktowe, nie było ani trochę życzliwości.

- Doktor Pritchart? Jego tu nie ma od dawna, chyba od dziesięciu lat. My jesteśmy tutaj od sześciu, a przedtem urzędował tu prawnik, niejaki pan Blackwell. Arthur Blackwell.

- Czy wie pani, kto przejął jego gabinet albo gdzie mogłabym go znaleźć?

Pani Fletcher wzruszyła ramionami, rozkładając bezradnie ręce.

- Nie mam pojęcia. Ale słyszałam, że rzucił pracę, wyprowadził się, nie pamiętam tam dokąd. Właściwie to nigdy go nie znałam, przynajmniej nie na tyle, żeby z nim porozmawiać. Widywałam go w mieście tylko od czasu do czasu.

- Na chwilę umilkła i obrzuciła Shelby uważnym spojrzeniem. - Czy pani nie jest córką sędziego Cole'a? Shelby? Pamiętam ci... o rety, ale ty jesteś podobna do swojej matki, niech odpoczywa w spokoju.

- Tak. Dziękuję. - A więc to tak będzie. Wszyscy w Bad Luck będą ją rozpoznawali.

- Szkoda jej. No wiesz, kochanie - powiedziała recepcjonistka, nagle najwiksza przyjaciółka Shelby - ona była cudowną kobietą.

- Tak, wiem. Pamiętam.

- Jak się miewa twój ojciec? Już dawno go nie widziałam.

- Dobrze. Hm, wszystko u niego w porządku.

- Od jak dawna jesteś w mieście?

- Jakiś czas - odparła Shelby wymijając co, pamiętaj, że w małym mieście wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich. - Dokładnie nie pamiętam.

Uwiedziła sobie, że jej poszukiwania prowadzą donikąd, i nie chcąc odpowiadać na dalsze pytania, podziękowała recepcjonistce, zeszła po schodach na dół i stanowczym ruchem otworzyła frontowe drzwi. Owionęła ją gorące popołudniowe powietrze. Po drugiej stronie ulicy znajdowała się jedyna apteka w mieście, dawniej drogeria Rexall z saturatorem na tyłach. Shelby bywała tutaj często jako nastolatka, w tym piekielnym okresie między dzieciństwem a wiekiem dojrzewania. Wolałaby zapomnieć, ile wypłała winiowych coca-coli, kiedy obracała się na obitych czerwonych taboretach, machała nogami i zanurzała frytki w keczupie z dodatkiem cytryny i sosu tabasco, i marzyła o jakimś młodziowym idole czy aktorze telewizyjnym, którego nazwiska już nie pamiętała. Miała wrażenie, że żyła tak beztrosko całe wieki temu.

Przekroczyła jezdnię w niedozwolonym miejscu, bo ruch nie był zbyt wielki, minęła róg ulicy i podeszła do bocznego wejścia, gdzie niczym strażnik stał dumnie pał do przywiżywania koni. Gładkie, nieco sfatygowane ze starości drewno było upstrzone ładami po gaszonych papierosach. Przesuwała opuszczone

po tylu latach wci tu było.

Bo e, zupełnie zwariowała na jego punkcie. Była wtedy licealistk , a on starszy od niej wrócił do domu po krótkim epizodzie w wojsku.

To nie była najm drzejsza decyzja w twoim yciu, przypominała sobie i wyprostowała si , otrzepuj c r ce. Nie zamierzała snu głupich wspomnie , zwłaszcza e czas naglił. Ka dy mijaj cy dzie oznaczał, e przez kolejne dwadzie cia cztery godziny nie b dzie mogła si spotka ze swoj córka .

Zacisn ła z by, przeszła na drug stron ulicy do jedynej w tej okolicy budki telefonicznej i zacz ła kartkowa mocno sfatygowan ksi k telefoniczn z nadziej , e na li cie lekarzy znajdzie nazwisko doktora Neda Pritcharta.

Niestety. Wodziła palcami po kolumnach nazwisk, łudz c si , e mo e przypomni sobie jakiego wspólnika albo podwładnego, albo kogo powi zanego z Pritchartem, ale jej wysiłki spełzły na niczym. Wiatr przybrał na sile, jego gor cy podmuch przesuwiał papierzyska i zeschni te li cie i rozrzucił je po ulicy. Zza drzwi wychyn ł szary, c tkowany kot, po czym schował si w cieniu za pra cym si w sło cu chevroletem, który wygl dał tak, jakby stał zaparkowany w tym miejscu od dwudziestu lat.

Powolny rytm ycia w Bad Luck bardzo kontrastował ze zgiełkiem Seattle, gdzie przechodnie, rowery, samochody osobowe, ci arówki i autobusy tarasowały strome ulice prowadz ce do nabrze a. Nad tłumami turystów kr yły rozwrzeszczane mewy, portowe foki zagra ały ławicom łososi, a po wzburzonych szarych wodach Cie niny Pugeta płyn ły wielkie promy i łodzie, w których agle d ł silny północny wiatr. To miasto poło one na północnym zachodzie, gdzie wzdłu wybrze a stały tłumnie strzeliste drapacze chmur, naprawd yło, t tniło niepohamowan , wibruj c energi , czerpi c j z eklektycznej mieszanki obywateli, którzy tu mieszkali, pracowali albo przyje d ali w celach turystycznych. Powietrze było rze kie, pachniało słonym oceanem, a na cz sto zalewanych deszczem ulicach tłoczyli si ubrani w płaszcze i parki przechodnie, którzy pochylali głowy, eby osłoni si przed wiatrem, i szli wawo - có za przeciwie stwo powolnego tempa lata w Bad Luck.

Shelby wyszła z budki telefoniczn i skierowała si do apteki; ocieraj c pot z czoła, poczuła, e jest obserwowana. Obrzuciła spojrzeniem ca ł ulic . W oddali stał zaparkowany stary pikap, jaki m czyzna ładował do niego torb ziarna. Ale ukryte za okularami przeciwsłonecznymi oczy patrzyły wprost na ni .

Tego człowieka rozpoznałaby wsz dzie.

Na chwil zapało jej dech w piersiach. Przez głow przemykały, jak błyskawice, rozmaite, przyjemne i smutne, wspomnienia. Nevada Smith. Nawet si nie u miechn ł, tylko ruszył ku niej tym swoim swobodnym, rozko łysanym krokiem, tak zwodniczo szybkim. Miał na sobie znoszone, spłowiałe od sło ca d insy, zakurzone buty i postrz pion , kiedy ciemnozielon koszulk . Zatrzymał si dopiero w cieniu apteki, dosłownie centymetry od Shelby. Włosy lepiły mu si od potu.

- Shelby Cole. - W jego głosie wyczuwało si pogard . - No, no - mrukn ł przeci gle i obrzucił j spojrzeniem. - Słyszałem plotki, e wracasz tutaj.

- Czy by? - Dlaczego jej serce biło tak mocno? Ich zwi zek ju si zako czył. Dawno temu. I postanowiła sobie, e to si nie zmieni. Ten nieokrzesany kowboj był dla niej kim obcym.

- Złe wie ci szybko si rozchodz w Bad Luck - oparł si szczupłym, odzianym w d ins biodrem o pal do przywi zywania koni.

- Złe wie ci szybko si rozchodz wsz dzie.

- Chyba tak. - Patrzył na nią uważnie przez ciemne okulary. Jego podbródek był wciąż mocno zarysowany - i pokryty kilkudniowym zarostem - a muskularne ramiona wzbudzały podziw opalenizną. I wciąż miał w sobie wielką arogancję i sarkazm. - Co cię sprowadza do Bad Luck?

Wcześniej zastanawiała się, czy nie powinna z nim porozmawiać. W końcu miał takie samo prawo wiedzy jak ona. Jego córka - o jej istnieniu nawet nie wiedział, dziewięcioletnia dziewczynka, której nie miał szansy pokochać ani odrzucić. Przynajmniej przez wszystkie te lata przekonywała samą siebie, że dziecko było jego. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że... To straszne... Na samą myśl o tym robiło jej się niedobrze.

Obok przejechał minivan; przez otwarte okna było słychać, jak rozszoszczona matka wrzeszczy na swoje dzieci. Nieco dalej wrona o błyszczących czarnych skrzydłach przechadzała się nerwowo wzdłuż rowu odpływowego, szukając czegoś do jedzenia.

A on wciąż czekał. Bezcelnie. Shelby chrząknęła.

- Wróciłam z kilku powodów - przyznała, mrużąc oczy. Teraz albo nigdy, pomyślała. - Jeden z nich ma związek z tobą. Jak będziesz miał wolne minuty, powinniśmy porozmawiać.

- Tylko tyle to zajmie? Minuty? - Spojrzył na nią przez te cholerne okulary, a ona zaprzęgnęła zerwać mu jej twarz.

- Dziesięć... najwyżej dwadzieścia.

- Możliwe pogadamy teraz?

Na moment głos uwił jej w gardle. Tyle nocy zastanawiała się nad tym, czy kiedykolwiek skontaktuje się z nim, czy zdradzi mu tajemnicę, którą skrywała w sercu przez prawie dziesięć lat. Nigdy nie potrafiła znaleźć sensownej odpowiedzi. A do teraz. Zapewne dlatego, że nie miała wyboru. No cóż, jak się powiedziało A, to trzeba powiedzieć B. Lepiej wyrzucić to wszystko z siebie i czekać na konsekwencje.

- Dobrze - powiedziała. - Niech będzie teraz, czemu nie. - Zerknęła na rozgrzaną, asfaltową jezdnię.

- Postawię ci drinka. Jesteś już pełnoletnia, prawda?

- Od dawna - burknęła.

Spojrzał w stronę White Horse Saloon i ruszył tam, gdy tymczasem Shelby zbierała się na odwagę, aby powiedzieć mu prawdę. Otworzył przed nim drzwi, które mocno zaskrzypiały na starych zawiasach, i weszła do mrocznego, przypominającego grobowiec pomieszczenia: belki na suficie były tu ciemne od wieloletniego papierosowego dymu, a przestarzały system klimatyzacji głośno buczał, jakby skazany na klęskę w walce z upałem. Kilka zamocowanych na suficie wentylatorów leniwie rozgarniało gęste, ciepłe powietrze, metaliczna muzyka z ukrytych głośników mieszała się z wyraźnym stukotem kul bilardowych w drugim rogu pomieszczenia. W szklankach brzęczały kostki lodu i Shelby poczuła w nozdrzach smród dymu i alkoholu. Przechodząc obok baru do boksu, czuła, że jest obiektem zainteresowania wielu osób.

- Piwo? - zapytał Nevada, kiedy usiadła.

- Możliwe by... - Było jej wszystko jedno. Wsunęła okulary przeciwsłoneczne do bocznej kieszonki torby, a Nevada podszedł do baru i przywołał barmankę, chudą, kruchą kobietę o tlenionych włosach, zbyt mocno narysowanych brwiach i ześlizganymi szminkami na wargach.

- Dwa, Lucy.

- Już się robi.

Przysiadł na ławce naprzeciwko niej i rzucił swoje ciemne okulary na stół. Wskazywał

oczy trochę się różni - jedna renica jest większa od drugiej. Przypomniała sobie, że to rezultat jego bójki z Rossem McCallumem.

- No, miało - powiedział. - O co chodzi, Shelby? Jaka to waśna sprawa sprowadza cię tutaj?

Obejrzała się przez ramię z niepokojem, powtarzając sobie w duchu, że wcale nie jest czy po niej i tak musi się z tym uporać. Najlepiej będzie dla niej to za sobą.

- Jest coś, o czym powinnam być ci powiedzieć dawno temu - wyznała i zobaczyła, jak napinają się mięśnie na jego szyi. - Coś waśnego.

- Co?

Przyszła Lucy. Położyła na stole kilka papierowych podkładek z mapką Teksasu i postawiła dwie smukłe butelki piwa i dwie szklanki. Po krótkim namyśleniu wyciągnęła rękę nad barem i po sfatygowanym blacie przysunęła koszyczek z orzeszkami w łupinach. Zatrzymał się tuż przy podstawce do serwetek.

- Co jeszcze? - zapytała.

- Chyba nie - odparł Nevada.

- Dajcie znać, jak się namyślicie.

- Damy znać. - Nevada napełnił swoją szklankę i znowu utkwiał wzrok w Shelby. - Mów dalej.

Poczuła, że sztywniej jej plecy. Starła się mówić jak najciszej.

- Ty i ja. Mieliśmy dziecko - wyznała.

Sięgnął w końcu po orzeszka i jego ręka zastygła w powietrzu. Zmrużył oczy i patrzył na nią jak sparaliżowany, z takim natężeniem, jakby brał ją za cel.

- Co? - wychrypiął.

- Mówi prawdę. - O Boże. - Dziewczynko.

Przez chwilę panowała cisza. Ogłuszał ją cisza potłuszczenia. Patrzył jej w oczy, szukając w nich choćby śladu kłamstwa.

- I nie powiedziała mi o tym? - wyszeptał w końcu. Twarz miał napiętą, jego spojrzenie zdradzało narastający gniew.

- Nie.

- Gdzie ona jest? - Jego wargi ledwo się poruszały.

- Nie wiem.

- Nie wiesz? - Zapomniał o piwie i o orzeszku. Wyglądał tak, jakby za chwilę miał przeskoczyć stół i potrącić nią. - Jak to, nie wiesz?

- Myślałam, że... ona urodziła się martwa - wyjąkała Shelby, siląc się na spokój.

- Co? Myślała? Przecież była tam? - dopytywał się, oszołomiony, jakby oskarżał Shelby o to, że kłamie w jej oczy.

Och, to wszystko brzmiało tak niewiarygodnie.

- Wszyscy mi to mówili, ale teraz... teraz myślę, że zostałam okłamana i że ona żyje, ale nie wiem gdzie. Prawdopodobnie została adoptowana, i to nielegalnie.

- Zaraz, zaraz! - Szybko wyciągnęła rękę, żeby ją uciszyć. Zerknęła w stronę baru i Shelby uświadomiła sobie, że Lucy podsłuchuje ich rozmowę, wycierając długi, błyszczący blat kontuaru, i coraz bardziej się do nich przysuwa.

Shelby dobrze zrozumiała to milczące ostrzeżenie. Nevada sięgnęła do kieszeni

banknotów na stół.

- Chodź - rozkazał i prawie wyciągnął ją z stolika, przy okazji zgarniając swoje okulary. - Reszty nie trzeba - burknął do Lucy, popychając Shelby do wskiego korytarza na tyłach lokalu, wciwniętego między toalety i kuchni. Otworzył drzwi ramieniem.

Owionęło ich upalne powietrze, a słone światło olepiało. Wokół mietnika przy murze rojono się od much i pszczoł. Ulicę sunął sznur samochodów i ciężarówek.

Nevada ujął łokieć Shelby stanowczym gestem i popychał ją na pokryty nierównym asfaltem parking.

- Dokąd jedziemy? - Próbowała wyszarpanąć ramieniem, ale on tylko wzmacnił uścisk.

- Do mnie.

- A gdzie to jest?

Zdała sobie sprawę, że prowadzi ją do swojego wozu.

- Parokilometrów za miastem.

- Mowy nie ma.

- Wolisz rozmawiać tutaj? - zapytał, zatrzymując się na chodniku, gdzie dwoje dzieciaków na rowerach mijając parkomaty, a kilka samochodów odjeżdżało albo hamowało przy krawężnikach. Przechodnie obrzucili ich zaciekawionymi spojrzeniami.

Mieczyna w goglach lotnika, w czapce Oilersów spuszczonej na oczy z nieukrywanym zainteresowaniem patrzył na nich przez otwarte okno swojej ciężarówki.

Nagle Shelby uświadomiła sobie, jak bardzo tu nie pasuje.

- Wiesz, ludzie cię rozpoznają - zauważył Nevada.

- Ale wiem. - Wahala się tylko przez chwilę. - Pojadę swoim samochodem, dobrze?

Puścił jej łokieć.

- Jedź za mną.

Nie potrzebowała dalszych zachęt. Mieczyna w ciężarówce splunął na chodnik tytoniową linę, a Shelby podbiegła do wynajętego cadillaca i otworzyła drzwi. W środku było niemiłosiernie gorąco. Nastawiła klimatyzację na najwyższy poziom, opuściła szybę i wykręciła kierownicę. Kiedy stary pikap Nevady oddalił się od krawężnika, włączyła się do ruchu tuż za nim.

Jadąc mu na ogonie i klnąc pod nosem, znów włożyła okulary. To jakiś nonsens, mówiła sobie. Na miłość boską, co ty wyprawiasz, dlaczego jedziesz do domu Nevady? Zaciśnięta zębami i jechała za nim przez miasto, na zachód i przez pagórkowate tereny, gdzie wreszcie poczuła działanie klimatyzacji.

Teren wokół rancza był chroniony drutem kolczastym, a sumaki rosły obok żywotników. Po suchej, pokrytej kurzem ziemi błękały się stadka kozłów, owiec i bydła, skubiąc rzadkie trawy i zioła. Pokonali kolejne kilometry i minęli wóz, którym kiedyś płynął strumyk. Nevada skierował swojego pikapa w stronę żywotników, gdzie wirowa, wyboista alejka prowadziła na rodek rancza.

Cadillac podskakiwał na zieleńcu - rosło między bliźniaczymi koleinami i rysowało podwozie auta.

- wietnie - Shelby mruknęła pod nosem, zaciskając ręce na kierownicy.

A więc to tutaj skończyła Nevada. Kawałek rancza z chatką, która wcale nie wyglądała jak wiejski domek, i kilkaset ogrodzonych akrów spalonych słoneczcem. Stadko longhornów w drowało po polach, a kilka zakurzonych koni próbowało się paść, opuszczając się ogonami od wszędolubych much.

Zdecydowanie nie był to raj na ziemi.

Zatrzymała cadillaca przy małej pompowni.

Kurz jeszcze nie opadł, a ona już wyci gała neseser i gramoliła się z wozu, żeby się nie rozmyła.

Nevada czekała na nią. Pies również. Zaczęła szczekać jak oszalała.

Nevada spojrzał na niego.

- Cicho, Crockett! Nic się nie dzieje. - Pies miał rozstawione łapy i zjeżdżał na grzbiecie. Warczał głucho, błyskawicznie z bami. - Do! - Warkot ustał, ale zwierzę nie spuszczało z Shelby ciemnych, podejrzliwych łepiów. Kiedy dygotała pod czarno-białą sierścią był naprężony, gotowy do skoku, gdyby padł taki rozkaz. - Nie artuj - ostrzegł Nevada, a potem podrapał psa za uszami. - Wejdz - powiedział, otwierając a urowe drzwi. Siateczka była połatana w paru miejscach, a farba zaczynała się łuszczyć.

Shelby weszła do domu - wcale nie było w nim chłodniej niż na dworze. Podniszczone meble były ustawione w do przypadkowy sposób wokół dywanu, który leżał na podłodze z linoleum. Nic tu nie pasowało. Wszystko było używane. Jeśli Nevada Smith miał choć trochę pieniędzy, to na pewno nie przeznaczał ich na domowe wygodę. Jakie czasopisma walały się na stoliku - kiedy zapewne wyglądał lepiej, ale nie zasługiwał na miano mebla w stylu retro.

Poprowadził ją obok mikroskopijnej kuchni do tylnych drzwi. Ganek był pogroby w cieniu, osłonięty parawanami - na szczęście było tu chłodniej o jakie dziesięć stopni. Do sidingu po jednej stronie drzwi był przyklejony wyblakły znak Burma-Shave, dobrze już stary. Obok niego znajdował się rdzewiejący termometr - słupki rtęci pokazywał ponad czterdzieści stopni Celsjusza. - Usiądź - zaproponował, wskazując plastikowe krzeselko przy małym stoliku. - Herbaty z lodem?

- Masz? - Była zdumiona. Naprawdę nie oczekiwała od niego ani odrobiny gocinności, ale w gardle miała sucho i była potwornie zdenerwowana - jak mysz, która dała się złapać w pułapkę.

- Mogę ci zrobić. Z torebki.

- Dobrze.

Zniknął w rodoku i Shelby mogła się teraz rozejrzeć po podwórzu, gdzie pojedyncze kępy suchej trawy otaczały dół w kształcie podkowy i kamienny rojen, który już zaczynał się kruszyć. Na sznurze rozpiętym między domem a tyczką na podwórzu suszyła się bielizna. Za ogrodzeniem kilka błyszczących w słońcu koni piło wodę z cementowego koryta. A urowe drzwi zaskrzypiały i stary pies zamachał ogonem na widok swego pana. Nevada wyszedł z kuchni. Niósł dwie różnej wielkości szklanki wypełnione lodem i mętłą bursztynową cieczą, raczej nieprzypominając herbaty.

Podał jej szklankę.

- No dobrze, opowiadała mi o swoim dziecku. - Z surowym miną usiadł na krześle i oparł zniszczony obcas buta na beczulce pod drzwiami. - O naszej córce.

Shelby zesztywniała. Nie miała zamiaru dać się zastraszyć, odparła więc:

- Zgadza się, Nevada. Już ci mówiłam, myślałam, że ona nie żyje.

- Czy by nie było ci przy tym? - Nie widziała, jak się rodziła?

- Ja... byłam pod wpływem leków.

- Cholera. - Rzucił jej wymowne spojrzenie, a potem szybko strzepnął palce, sugerując, żeby mówiła dalej.

Shelby chrząknęła.

- Mam kopie aktu urodzenia i aktu zgonu.

- Kto ci je dał?

- Obie z podpisem doktora Pritcharta dostałam w szpitalu.

- Ten facet to kanciarz.

- Ten facet zagin ł - odparła, a potem wypła łyk herbaty. Po szklance ciekawy kropelki napoju.

- Wyjechał z miasta niedługo po tobie.

- Na to wygl da. - Pogrzebała w neseserze i znalazła szar kopert , która zmieniła jej ycie. - Przyjrzyj si im - powiedziała i podała mu zawarto koperty. Zastanawiała si , dlaczego popełnia b ł d, pozwalaj c mu obejrze dokumenty, list i zdj cie Elizabeth Jasmine Cole (takie imiona wybrała dla córki).

- Nigdy nie widziała dziecka? - mówił spokojnym głosem, ale zdradzały go drgaj ce k ciki ust.

- Nigdy.

- Dlaczego?

- Mówiłam ci. Byłam pod wpływem narkozy, nieprzytomna, kiedy dziecko si rodziło. - Powieki zapiekły j od łez gniewu, ale nie wybuchn ła płaczem. Nie miała czasu na u alanie si nad sob . Nie teraz.

Zmru ył oczy.

- Twierdzisz, e istniała jaka zmowa przeciwko tobie, e... e co? Doktor Pritchart dolał ci czego do kroplówki?

- Nie... nie s dz . To znaczy... - Nie chciała si nad tym rozwodzi , skrzywiła si . - Byłam głupia, rozumiesz? W ósmym miesi cu ci y wybrałam si na przeja d k konn , dostałam krwotoku, no i dziecko postanowiło przyj na wiat przed terminem. - Popatrzyła na mgł zbieraj c si nad niskimi wzgórzami; nad zagajnikiem mesquite kr ył samotny jastrz b. Nie miało sensu opowiada o bólu, strachu, rzece krwi, która miertelnie j przeraziła. Nie musiał wiedzie o je dzie karetk - ojciec to przed ni zataił - ani o tym, e od doktora Pritcharta cuchn ło alkoholem, nie musiał zna prostej prawdy, e przez dziesi łat miała ogromne poczucie winy z powodu mierci swojego dziecka.

- Kiedy si przebudziłam, wszyscy mówili mi, e dziecko nie yje i e mój ojciec, który pozostawał moim opiekunem prawnym, poniewa byłam nieletnia, zarz dził sekcj zwłok i kremacj .

- I nie podawała tego w w tpliwo ?

- Miałam siedemna cie lat. - Obróciła si i przygwo dziła Nevad w ciekłym spojrzeniem. - Nie pomy lałam, e mógłby kłama .

- To był twój pierwszy b ł d.

- Nie pierwszy. - Z ka dego jej słowa bił chłód; zauwa yła, jak napinaj si mi nie w dolnej cz ci szyi Nevady.

- Zrobiłam ich wtedy całkiem sporo.

- To akurat dotyczy nas wszystkich, prawda?

Poczula ból w sercu, ale nie pokazała tego po sobie. Przyjechała wyzna mu prawd , a kiedy to ju si stało, niewiele pozostawało do powiedzenia.

Ogl dał błyszcz ce zdj cie w taki sposób, jakby szukał potwierdzenia, e dziecko jest jego.

- Rozmawiała z s dzi ?

- Jasne.

- I?

- Wszystkiego si wypiera.

- Ale ty mu nie wierzysz.

- Ani trochę .

- Uczysz się .

- Miejmy nadzieję . - Dopięła herbatę jednym haustem i postawiła pustą szklankę na stół. - Od tamtych wydarzeń bardzo wydołałam. - Wstała, sięgnęła po fotografię i papiery.

- Kto ci je przysłał? - Po raz ostatni spojrzał na młodą dziewczynkę na zdjęciu, a potem wsunął je do koperty wraz z innymi dokumentami.

- Właśnie dlatego tu jestem. Aby się tego dowiedzieć .

sięgnął brwi w zamyśleniu, odwrócił paczkę i zerknął na stempel na znaczku.

- San Antonio.

- Tak. Niedaleko stąd.

Wcisnął kopertę do jej ręki.

- I dlatego zastanawiam się, czy mieszka w pobliżu Bad Luck... jeżeli Elizabeth dorastała tutaj albo w sąsiednim miasteczku, albo na jakimś ranchu na wsi, albo jeżeli ten znaczek nalepiono dla zmyłki, aby sięgnąć mnie tutaj, podczas gdy ona tak naprawdę jest w Kalifornii albo Meksyku, albo Quebecu, albo Bóg wie gdzie... - Znowu poczuła dławienie w gardle, ten sam ból, jakiego doświadczała przez wszystkie te lata na myśl o córce, którą utraciła. Nie potrafiła rozklejać, zbesztiała się w myślach. Wsunęła kopertę do bocznej kieszeni nesesera.

- Masz zamiar pogadać z policją? - Gapił się na nią bezczelnie, rozparty na krześle. Domyślała się jednak, że mimo nonszalancji i opanowania dokładnie analizował wszystkie nowiny.

- Z policją? Nie wiem - przyznała. - Dostałam tę kopertę wczoraj. Z kim miałabym się skontaktować? Z policją San Antonio? Z Biurem Szeryfa? Ze strażnikami Teksasu? - Na samą myśl o tym głowa rozboleła jej jeszcze bardziej. - Nie... na razie chyba będzie działać na własną rękę. Nie chcę, aby to się przedostało do prasy, dopóki sama się nie rozjeżdży. Powiedziałam ci tylko dlatego, że na ciebie wpadłam.

- Dziwi się, że to zrobiła .

- Dlaczego?

Uniósł brew arogancko.

- Nie pomyślałbym, że starczy ci odwagi.

- To chyba za dobrze mnie nie znasz, co?

Krzyknął cicho na piersiach, przechylił się na krześle i zaczął się jej uważnie przyglądać. Od stóp do głów. Jego spojrzenie zatrzymało się na jej oczach.

- Znam cię dość dobrze.

- Znałaś, Smith. Znałaś. Byłam wtedy jeszcze dzieckiem.

- Całkiem ładnym dzieckiem, o ile dobrze pamiętam.

- Na pewno byłam naiwna - odparła, nie chcąc dać się uwieść jego słowom - i chyba głupia.

Wstał i potarł zarys podbródka.

- Nie spieszyłaś się z przyjazdem tutaj.

- Zwlekałam dziewięć lat. Dostatecznie długo. - Podniosła neseser, jakby zbierała się do wyjścia.

- Zatrzymasz się u swojego ojca?

Zawahała się .

- Nie wiem.

- Zadzwo do mnie, jak si zdecydujesz.

Plecy jej zeszywniały; popatrzyła na niego gniewnie przez ciemne okulary.

- Dlaczego?

- Chciałbym, eby my byli w kontakcie.

- To chyba nie najlepszy pomysł. Naprawd .

- No có , według mnie nie da si tego unikn .

- Miasteczko nie jest znów takie małe.

- Dobrze wiesz, e nie o tym mówi . Wpadła do Bad Luck i przywiozła mi tak niespodziank ... powiedziała , e gdzie yje moje dziecko. Je li to prawda...

- To jest prawda - zapewniła, czuj c, jak piek j policzki.

- Je li to prawda, to powiedziałbym, e mam w tym swój udział. - Obrzucił j chłodnym spojrzeniem. - B d chciał pozna moj córk .

- Najpierw musz j znale .

- Poprawka: musimy j znale .

- Ale...

- I znajdziemy. - Powiedział to spokojnym, rzeczowym tonem. - Chc dosta kopie wszystkich dokumentów, jakie masz.

Poczula, e po kr gosłupie spływa jej kropelka potu. Ze strachu. Nie chciała znowu wpa w pułapk , jak były kontakty z Nevad Smithem. Nie ma mowy. Wykluczone. Był nieudacznikiem - wci seksownym, to musiała przyzna , ale nie chciała si z nim zadawa . Sprawiał takie wra enie, jakby był z kamienia - stał przed ni bez ruchu, bardzo m ski, postawny i pełen determinacji.

- Zobacz , co mogłabym zrobi .

- Nie, Shelby. Ty to zrobisz.

Zacisn ła z by. Co za niewiarygodnie bezczelny typ. No, ale przecie zawsze taki był.

- Ustalmy sobie jedn rzecz, Nevada. Nie b dziesz mn rz dził.

K cik jego ust drgn ł, jakby go to rozbawiło.

- O tym nawet bym nie marzył. Czy mógłbym dosta kopie wszystkiego? - Przerwa. - Prosz ?

Otwarcie z niej szydz c, posłał jej ol niewaj cy teksa ski u miech, którym uwiódł j przed tak wielu laty. Nagle jego rozbawione oczy mocno zabłyły.

- Pomy l o tym.

- Pomy l.

Wyci gn ła r k do klamki i si zawahała. Czego jeszcze nie omówili. Z ymaj c si w duchu, powiedziała:

- S dzia wspomniał, e Ross McCallum wkrótce wyjdzie z wi zienia.

- I to niedługo. - Nevada lekko poruszył nozdrzami. - Wygl da na to, e stary Caleb Swaggert odwołuje zeznanie i twierdzi, e jednak to nie Ross zabił Ramóna Estevana.

- W takim razie kto?

- A to jest, Shelby, dziewcz miłe, pytanie za milion dolarów.

- Nie jedyne.

- Fakt. Wiesz, jakie pytanie mnie dr czy? Dlaczego właśnie nie w tygodniu, w którym McCallum ma być zwolniony z więzienia, dostajesz tyle informacji o dziecku, ponoć nie w czym?

- Nie wiem - przyznała.

- Może powinniśmy się tego dowiedzieć.

- My? - Natychmiast zrobiła się czujna.

- No tak. - Oparł rękę na drzwiach i przytrzymał je, tak że nie mogła wyjść. Był tak blisko, że czuła jego zapach, mieszanie potu, mydła i kurzu. Nachylił się jeszcze bardziej. Jej serce waliło jak oszalałe. Dostrzegła kilka czarnych włosków na jego rękach i nieregularny kształt brzośnicy w uszkodzonym oku. Miał ciepły, lekki oddech. Po jej plecach pociekła struga potu. Popęłniła błędną nadzieję, przyjeżdżając tutaj, przebywając z nim sam na sam. Wielki błędną nadzieję. Z trudem przełknęła ślinę i starała się nie patrzeć na jego wargi, kiedy mówił. - Jeżeli ta dziewczynka na zdjęciu jest moją córką, to dobrze wiesz, że błąd się angażował w tę sprawę.

- Nie musisz...

- Nie chodzi o zobowiązanie, Shelby - powiedział stanowczo, wpatrując się w jej oczy. - To sprawa wiązów krwi.

Rozdział 3

Shep Marson zaparkował policyjny wóz w cieniu samotnego żywotnika i otarł pot z czoła. Domek, w którym mieszkał przez ostatnich dziesięć lat - trzy sypialnie z łazienką - wyglądał bardzo niekorzystnie w bezlitosnych promieniach słońca. Jasnozielona farba niszczyła się przy drzwiach, antena telewizyjna się wykrzywiła, a gonty na dachu były wielokrotnie łatane. Niestety, ostatnimi czasy Shep nie mierzył groszem, tym bardziej że miał na utrzymaniu sześć osób. Jednak nie to było najgorsze. Wprawdzie udawało mu się wyżyć za koniec z końcem - jako przedstawiciel służb mundurowych kupił nawet dom na niskoprocentowany kredyt - ale jego portfel znacznie uszczuplały inne, jemu tylko znane wydatki.

Czuł się jak kompletny głupek - ech, wiedział, że jest głupkiem, ale miał nadzieję, że znajdzie jakieś wyjście z tej pułapki. Musi je znaleźć, zanim zupełnie się wykończy. W pewnym momencie liczył na finansowe wsparcie rodziców, ale te stracił wraz z oszczędzonymi pieniędzmi, kiedy załamał się rynek bydła.

Drapąc się po karku, Shep obszedł dom; na podwórzu jego myśliwski pies przyleciał na smyczy i czekał jak szalony.

- Cicho! - wrzasnął Shep, a potem zauważył, że ciekawa kotka siedząca w lizguje się pod ganek. Szarpnął w żel krawata i odpiął dwa guziki koszuli.

Powiesił kapelusz na kołku przy tylnych drzwiach i już miał wejść do kuchni, pachnącej cynamonem i gałkami muszkatołowymi.

- Buty na tylnym ganku! Shep, słyszysz mnie? - wrzasnęła Peggy Sue gdzieś z salonu, przekrzykując jazgot telewizora i kłótni dzieciaków. Dwójka z nich podbiegła do ojca, bębniąc bosymi stopami po zniszczonym linoleum. - Tato! Tato! - wołała Candice, blondyneczka z mymi ogonkami; tuż za nią biegł jej młodszy braciszek.

- Witaj, panienczko. - Shep wziął sześciolatka na ręce, gdy tymczasem Donny wycelował w niego z pistoletu na wodociąg i nacisnął spust. Ciepła struga zmoczyła Shepowi mundur. - W domu tak się nie robi - upomniał syna surowym tonem.

Z korytarza wychynęła jego żona, Peggy Sue. Miała na sobie zniszczone dżinsy i kraciastą bluzkę zawiązaną pod piersiami. Nigdy nie wiała i piękna twarz wyrażała niezadowolony. Odgarniła te do

policzkowe - inne kobiety mówiły, że „zabiłyby”, żeby takie miały - i zadarty nos z kilkoma piegami, które dawniej wydawały się Shepowi takie urocze.

- Co ja ci mówiłam o butach? - zapytała. Podeszła do piekarnika, zdmuchując grzywkę z czoła. Brzoza zwała włosy miała spięte w kucyk, a kiedy się pochyliła nad drzwiczkami piekarnika, można było dostrzec pierwsze nitki siwizny. Trochę te przytyła i Shep nie mógł się pogodzić z myślą, że jego ona, Peggy Sue Collins, ongi najzwyklejsza tamburmajorka w całym okręgu i najlepsza laska, jak kiedykolwiek zaliczył na tylnym siedzeniu swojego starego forda, zaczyna się starzeć.

Postawił Candice na podłodze, wyrwał Donny'emu pistolet na wodę, a potem zdjął buty.

- Gdzie Timmy i Robby?

Używając dwóch postrzępionych rękawic, Peggy Sue wyciągnęła z piekarnika ciasto z brzoskwiniami i ostro nie postawiła je na górnej płycie.

- Timmy chyba wypełnia podania do Safeway'a i do młyna Cole'a. - Zdjęła folię, którą była wyłożona forma do ciasta. - A Robby mamrotał coś, że idzie popływać z Billiem Rayem i Pete'em Dauberem.

- Nie podoba mi się, że zadaje się z chłopakami Dauberów. Oni zawsze coś narozrabiają. - Sięgnęła do lodówki i znalazła zimną puszkę Pabst Blue Ribbon. - Pewnie gdzieś popalają ...

- A, a, a - Peggy Sue rzuciła mroźne ostrzegawcze spojrzenie, a potem wymownie zerknęła na młodsze dzieci. - Porozmawiamy o tym później.

- Powinien sobie znaleźć jakąś pracę na wakacje.

- W zeszłym miesiącu zbierał siano.

- I mógłby to dalej robić, gdyby się nie pokłócił ze starym Kramerem. - Shep był w coraz gorszym nastroju. Otworzył półlitrową puszkę i uśmiechnął się, słysząc cichy, dobrze znany syk.

- Było, minęło.

- Ja chcę ciasta! - oznajmił Donny.

- Po kolacji. Teraz biegnij pozbierać klocki lego, a ty, Candice, masz mu pomóc. - Peggy Sue zwróciła się do matki. - Może by im nalać wody do baseniku?

- Za chwilę. - Miał ochotę położyć się na rozkładanym fotelu i popoglądać telewizję, ale spojrzenie, jakie mu posłała, u miarczyło rozwścieczonego grzechotnika, a on nie chciał zaczynać walki, nie teraz. Wolał toczyć z nią boje o późniejszej porze, a potem wynagradzać je kilkugodzinnym barszkwaniem.

W łóżku Peggy Sue potrafiła być istną diablicą, najlepszą do zerwania cię w całym okręgu. I była jego on. Człowiek dumny, wiedzący, że jest napalona jak dzika klacz w okresie godowym, że wije się i jęczy w sobotni wieczór, a w niedzielę rano jak gdyby nigdy nic wstaje, szykuje dzieci do szkoły niedzielnej i prowadzi kościelny chór, pobożna niczym aniołek. Przechodząc, klepnął ją artobliwie po pośladkach. Odwróciła się do niego.

- Daj spokój; idź napełnij ten basen. No już. - Pokręciła głową i sięgnęła do kredensu.

- Idź, idź - obiecał i dopił piwa, a potem próbował objąć ją w talii i szybko pomacać jej piersi. Wtulił nos w jej kark, a zawsze gotowy do akcji penis wcisnął się w to rozkoszne zagłębienie w jej dachach.

- Przestań, Shep! Nie mam czasu na takie rzeczy! - Obróciła się na pięcie i spojrzała mu w oczy. Była spięta, mocno zaciskała usta, na których były jeszcze resztki szminki.

- Dobrze już, dobrze. Cholera, człowiekowi się wydaje, że kobieta od czasu do czasu chce, żeby zwrócić na nią uwagę.

Odburknęła co pod nosem. Shep znalazł stare trampki. Neandertalczyk? To właśnie nie powiedziała? Nawet nie zawiązał sznurowadeł, tylko wyszedł na dwór i zmarszczył brwi.

Skip wrywał się na smyczy i ujadł.

- Zamknij się! - huknął Shep. Zaraz jednak poczuł wyrzuty sumienia, bo retriever rzucił się ku niemu w nadziei, że pan go pogłaszcze. Shep westchnął i wydeptany przez psa, cisnąc się w trawniku, podszedł do niego i poklepał go po łbie. - Pójdziemy na polowanie, ty i ja. Już niedługo, staruszkule - obiecał, a potem począłpał do gumowego węża. Nad krągłymi błotami przeciekał cęgi kurka, który zamierzał naprawić od paru tygodni, krężyły osy. Oganiając się od nich, rozwinął węży i podszedł do basenu. Na powierzchni niezmiennie od tygodnia wody zebrały się dżdżownice, trawy, chwasty i martwe owady. Shep wylał starą wodę, napełnił basenik i pomyślał, że już zasłużył na wieczorne wylegiwanie się w fotelu.

Donny i Candice hałasowali na tylnym ganku, a potem, piszcząc z zachwytu albo złości, wskoczyli do czystej wody. Candice miała liczne buziaki - Shep uważał, że będzie z niej wykapana matka - ale Donny był chuderlawym dzieciakiem o wielkich, zażawionych oczach, któremu wiecznie ciekło z nosa. Prawdę mówiąc, Shep nie przepadał za swoim najmłodszym synem - miał z tego powodu wyrzuty sumienia, ale nie mógł nic na to poradzić. Donny marudził, narzekał, a Peggy Sue go rozpieszczała i nigdy nie pozwalała Shepowi zlać chłopaka paskiem, nawet jeśli na to zasłużył.

Zakręcił kurek, wyprostował się i zerknął przez boczne podwórce na ulicę, którą akurat przejeżdżał stary gruchot marki El Camino. Za kierownicą, z rozwianymi czarnymi włosami i papierosem w czerwonych, wilgotnych ustach, siedziała Vianca Estevan, córka człowieka, którego wedle powszechnej opinii Ross McCallum wyprowadził przedwcześnie na tamten świat. Zbyt duże okulary przeciwsłoneczne zakrywały dobrze znane Shepowi oczy - oczy, które płonęły niczym w gielki. Jedno krótkie spojrzenie - i już zauważył, że Vianca ma na sobie gładki bokobici, białą koszulkę, która czysto obnaża jej piersi.

Kiedy wrócił do domu, zacisnął zęby, próbując zignorować kolejną erekcję.

Tymczasem Peggy Sue kroїła cebulę, a bekon skwierczał w rondelku na płycie piekarnika. Krople rozgrzanego tłuszczu, podskakiwały i spadały na blat.

- Wspaniale pachnie.

Nic nie odpowiedziała. Sięgnęła do lodówki po następne piwo, pomyślał, że tego ona jest ostatnio podenerwowana. Zerknęła tylko na niego, zacisnęła wargi i nie gderwała. Wiedziała, że nie warto. Shep przyglądał się jej i znowu poczuł twardość w spodniach. Ile to czasu się nie kochali? Tydzień? Dwa? Długo. Próbował przytulić się do niej co noc, ale ona cięgle powtarzała, że nie jest w nastroju, a potem odwracała się na bok w ich małżeńskim łóżku ze zwisającym materacem i zostawiała go niezaspokojonego.

- Ubiegasz się o posadź szeryfa? - zapytała w końcu, wrzucając garść talarków cebuli do rondelka. Natychmiast zaczął się skwierczeć w gorącym tłuszczu.

- Tak.

- Złożył podanie?

- Nie.

- Nie uważasz, że powinieneś?

- Powiniennem.

- Co ci powstrzymuje? - Nawet na niego nie spojrzała, kiedy zdrapywała nosem r

deski do krojenia.

- Robota. - Teraz nie chciał o tym rozmawiać. Lepiej byłoby dla niej, gdyby nie wiedziała.

- To dlatego, że Ross McCallum wychodzi na wolno, prawda? - zapytała. Był zaskoczony, że domyśliła się, w czym rzecz. - Mnie się wydaje, że prokurator okręgowy chce ponownie zająć się tą sprawą, bo naciskają na niego ludzie z miasteczka, a tak i Chicanos i Latynos, czy jak oni się tam zwą.

- Mniej wiemy o to chodzi. - Oparł ramiona na kredens i przyglądał się jej. Nigdy nie przestawała go zdumiewać. Nieraz wydawała mu się ciemna jak tabaka w rogu, kiedy indziej dostrzegał w niej przebliski inteligencji, z którą rzadko się zdradzała. - Już rozmawiałem ze Smithem.

- Z Nevady? - Natychmiast zauważył, że jej ramiona zeszywniały. Zawsze miała słabo do Metysów. Cholera, tak słabo przejawiała połowa kobiet w okręgu.

Nigdy nie potrafił powiedzieć, dlaczego z pozoru zdrowe na umyśle kobiety po dają nicponia ranczera o bardzo niechlubnej reputacji, który - jak się dziwił Shep - wiedział o zamordowaniu Estevana znacznie więcej, niż był gotów przyznać.

- Tak. To Smith wsadził McCalluma za kratki, jeszcze zanim się go pozbyli.

- Chciała powiedzieć: bezpodstawnie oskarżili.

- Miał szansę odkryć ci swoje imię. Nie skorzystał z niej. Niektórzy uważają, że wiedział o śmierci Ramóna więcej, niż by to wynikało z jego zeznań.

- Czy by?

- Pomyślałem, że trochę go przycisnąć i zobaczyć, czy się złamie.

- Nie złamie się.

Była tego tak cholernie pewna. Pomieszała nosem między patelnię.

- Wróciła Shelby Cole.

Teraz odwróciła się do niego z twarzą białą jak mercedes starej Etty Parsons.

- No, nie gadaj. - Cebule zrobiły się przezroczyste, bekon mocno skwierczał.

- Tak. Dzisiaj widziałem ją w mieście, no i proszę bardzo, oczywiście na kogo od razu wpadła? - Zauważył błysk w oczach. - Zgadza się. Na Nevadę Smitha we własnej osobie. Ucieli sobie pogawędki w White Horse.

- Kto ci to powiedział?

- Lucy. Ale par osób widziało, jak wchodzi razem, a potem nie wypili nawet łyka i wymknęli się tylnymi drzwiami. Z tego, co słyszałem, Badger Collins wypił oba piwa, zanim Lucy zdążyła je zabrać. - Shep zachichotał cicho, ale Peggy Sue nawet się nie uśmiechnęła,

- Cholera. - Znieruchomiała i utkwiała w nim wzrok. Odniósł wrażenie, że te oczy należą do osoby dwukrotnie starszej niż Peggy.

- Co ci droczy?

- Można tak powiedzieć. - Energicznie wzruszyła ramionami.

- Co?

- Shep, znowu jestem w ciąży. - Zamrugnęła i pocięła nosem.

- Niech to szlag. - wiatr zaczął mu się walić. Jak zdoła wykarmi jeszcze jednego? Pieniądzy już i tak zaczyna brakować. Dopił piwo, cisnął puszkę do kubła ze mieściami i podszedł do niej, ale ona skrzywiła się i podniosła głowę. Ostrzeżenie w bładym świetle.

- Nawet się do mnie nie zbliżaj, rozumiesz?

- Ale...

- Mówi poważnie. Idź do kliniki i umów się na zabieg, i nawet nie próbuj mnie dotknąć, bo sama rozwiąże problem. - Nie martwowała. - Oboje wiemy, że nie stać nas na kolejne dziecko.

- Nie musimy go mieć - odparł wolno.

- O, właśnie nie musimy. Znasz moje poglądy.

Naturalnie, że ją znał. Odbyli już tak rozmowy, zanim przyszli na wieści Candice i Donny. Nie ustąpiła. Obiecała, że podda się wasektomii. Dwa razy. I nic. Nie pozwoliła, żeby jakiś chirurg majstrował nożem przy jego jajach. Bała się, że skończy jako sopran w kościelnym chórze, z którego Peggy Sue była taka dumna.

- Znajdziemy jakiś sposób.

- Chcesz powiedzieć, że to ty znajdziesz jakiś sposób. - Wyrwała nadgarstek z dłoni Shepa i przez chwilę nóż znajdował się niebezpiecznie blisko jego klaki piersiowej. - Zrób sobie zabieg, Shep, i postaraj się o tę posadźszeryfę, bo mam dosyć tej nędzy. Wierz mi, dopóki tego nie zrobisz, nie będę z tobą spała.

- Ale kochanie...

- Nie. - Gniewnie wykrzywiła usta. - Nawet nie myśl o tym, żeby mnie dotykać. Zrozumiano? Nie zmienię decyzji, więc jeśli nie chcesz spędzić reszty życia napalony jak byk czempion sędziego Cole'a, musisz iść na ten cholerny zabieg.

W tym momencie domem wstrząsnął krzyk, który mógłby zbudzić nieboszczyków w siednim okolicy. Do kuchni wpadła czerwona na twarzy i wrzeszcząca wniebogłosy Candice, a tuż za nią Donny.

- Co jej ugryzło! - zawył malec i Shep zauważył, że na przedramieniu córki tworzą się dwie jaskrawoczerwone obwódki. Candice zanosila się płaczem. Donny cały we łzach, wtulił się w kci. Peggy Sue wzięła córkę na ręce i rzuciła im obojgu gniewne, zmęczone spojrzenie.

- Zrób to, Shep - wyszeptwała, gdy tymczasem skwierczący i przypalający się bekoniem zasnuł dymem dom, w którym już tak było mroczno od milczących oskarżeń i straconych marzeń.

Shep sięgnął po kapelusz.

Na miłośnika boskiej, w co ja się pakuję? Nevada zaniósł worek z pasz do stajni i rzucił go na ziemię, tak że rozległ się głośny łoskot i wzbił się tuman kurzu. Głośny szelest w sianie wiadczył o tym, że jakiś przedstawiciel mysiej populacji czmycha w popłochu do bezpiecznego zakamarka.

Nevada zagwizdał na konie, rozciął jutowy worek scyzorykiem, a następnie, używając starej puszkę po kawie, odmierzał porcję owsa do każdego boksu. Dwie klacze - jego najlepsze i jedyne konie, które były coś warte - z nadstawionymi uszami i drżącymi nozdrzami, przytruchtały do słabo oświetlonego pomieszczenia. Z zewnątrz dało się słyszeć pełne wyczekiwania rzenie i stukot kopyt reszty niecierpliwego stada, które właśnie nie wchodziło do rodka.

Crockett obwahał naroniki starego korytka na kukurydzę i Nevada poczuł ogromne napięcie. Był niespokojny, nie mógł sobie znaleźć miejsca. Kiedy zawsze doznawał podobnych uczuć, kiedy w pobliżu znajdowała się Shelby Cole. Bezwiednie rozchyliwszy usta, rozpamiętywał te księżycowe noce, kiedy parkował swój stary wóz w pobliżu drogi prowadzącej do domu sędziego; serce mu łomotało, zaciskał spoczone dłonie na kierownicy i na myślał o Shelby, jak twardnie mu penis w rozporku.

Teraz samo wspomnienie seksu z nią sprawiało, że miał ci ją gardło.

Jej piersi były małe, białe w blasku księżyca, z różowymi włoskami między jej opalonymi nogami miały jasnorudy kolor. Boże, jak on jej pragnął, chociaż się do tego nie przyznawał.

- A niech to szlag. - Miał erekcję na samą myśl o kochaniu się z nią po noc, przed burzą, jeszcze zanim rozpałała się prawdziwe piekło.

Skończył rozdzierać pasz, sprawdził wodę w korytach i wszedł z powrotem do domu, a za nim przybiegł Crockett. Nie mógł teraz myśleć o Shelby, a przynajmniej nie w taki sposób. Za duży miał roboty. Ciągnął ubranie i wziął zimny prysznic, jeżeli na taką nazwę zasługiwała struga wody skapująca z sitka. O tej porze roku na studni raczej nie można było polegać; Nevada pomyślał, że przydałoby się wywiercić jeszcze jedną.

W ciągu dwudziestu minut wytarł się, spryskał dezodorantem i wodą kolośką, włożył czystą koszulę i dżinsy i pomaszerał do swojego pikapa. Wciąż nie odstąpiło go wspomnienie Shelby Cole, tak jak wciąż było zapach jej perfum w domku. Postanowił sobie jednak, że nie będzie o niej myślał, przynajmniej na razie. Musiał się uporać z ważnymi sprawami. Czy jej się to podobało, czy nie, zamierzał na własną rękę zdobyć informacje o narodzinach swojej córki - dowiedzieć się, czy dziewczynka żyje i czy jest jego dzieckiem. Otworzył drzwi i wsiadł do rozgrzanego słoncem wozu. No, i jeszcze ta sprawa z Rossem McCallumem. Nevada nie mógł siedzieć z założonymi rękami.

Co tu mierdziło.

Nie będzie idiotką, mówiła sobie Shelby, powoli wjedzie wynajętym samochodem na parking zajazdu Well Come Inn. Nie odstraszał jej ani szary budynek z połamanym neonowym szyldem, który informował o wolnych miejscach i kolorowych telewizorach, ani to, że kiedy to miejsce zostało wyklęte. Shelby uświadomiła sobie oczywisty fakt: skoro chciała wydobyć od swojego ojca prawdę, to jej szanse na pewno by wzrosły, gdyby zamieszkała z nim pod jednym dachem przez następny tydzień, dwa.

Szlag, szlag i jeszcze raz szlag, mruzczała pod nosem, cofając wóz i wykręcając kierownicę. Wyjechała spod jednopiętrowego budynku, kiedy słonco zaczynało zachodzić za wzgórzami. Nadal było gorąco jak w piekle, ale Shelby wiedziała, że wraz z zapadnięciem zmierzchu temperatura spadnie, zerwie się wiatr i noc będzie rozbrzmiewała słodkimi owadzi kołysankami. Ta myśl ją uspokajała, chociaż nie potrafiła powiedzieć dlaczego.

Jechała na pamięć, jak setki razy wcześniej, i uświadomiła sobie, że czeka ją nowa porcja upokorzeń

Zatrzymała cadillaca blisko gara u z cegły, wysiadła i znalazła się w cieniu żywotników, które otaczały dom. Drzwi od gara były otwarte, a w środku nie było mercedesa, którym jeździł jej ojciec. Przez jakiś czas zostanie jej oszczędzony kontakt z nim.

Wytaszczyła laptopa, neseser i resztę bagażu, weszła po schodkach i, nawet nie dzwoniąc do drzwi, wsunęła się do środka. Usłyszała, jak Lydia cicho śpiewa po hiszpańsku. Mimo woli ogarnął ją wzruszenie i powtarzała sobie, że zachowuje się jak idiotka. Ten dom przecież tak naprawdę nie był - jej prawdziwym domem - nie był nim od chwili, gdy jej matka uznała, że nie potrafi już żyć ze swoim despotycznym mężem, Jerome'em Cole'em.

- Ni a? To ty? - zawołała Lydia gdzieś z głębi domu.

- Tak, wróciłam. Córka marnotrawna.

- Wiedziałam, że wrócisz. - Lydia wyłoniła się ze skrzydła, w którym mieściła się kuchnia. Uśmiechała się szeroko, a jej ciemne oczy jaśniały.

- Dobrze ju , dobrze, wygrała . Przyznaj . - Shelby pokr ciła głow . - Nie powinnam była si z tob spiera .
- To prawda. No, a teraz wchod . S dzia wróci za jak godzin , to zjecie kolacj .
- Wspaniale - Shelby nie umiała ukry sarkazmu.
- Ale tak. *Fabuloso!* No, id ! Od wie si . Ja mam tu robot . - Lydia mrugn ła do niej, lekko popchn ła j w stron tylnych schodów i klepn ła po po ladku.

Wchodz c na drugie pi tro, Shelby przypominała sobie noce, kiedy zostawiała przeszkłone drzwi otwarte i czekała na łó ku, nasłuchuj c kroków na tych zniszczonych schodach, z nadziej , e Nevada wkradnie si do domu i przemknie wła nie tym korytarzem, gdzie ze złoconych ram spogl dały całe pokolenia Cole'ów, a stoły zdobity wie o ci te kwiaty. Ale jej marzenie nigdy si nie zi ciło.

Otworzyła drzwi do swojej sypialni, spodziewaj c si , e poczuje odór kurzu i niewywietrzonego pomieszczenia, ale Lydia ju zd yła za cieli łó ko, wypolerowała je, jak równie palisandrowe biurko i łó ko cytrynowym olejkiem, podniosła rolety i otworzyła wykuszowe okno. Przez koronkowe firanki, za pomoc powoli obracaj cego si wiatraczka, wpadał lekki wiatr. Shelby zrzuciła torby przy łó ku z baldachimem i podeszła do okna z widokiem na basen. Tafla wody migotała kusz co i odbijała ostatnie promienie sło ca. Kiedy Shelby patrzyła na te turkusowe gł biny, jej my li koncentrowały si na przyczynie, dla której wróciła do Bad Luck, i na pytaniach, na które jeszcze nie umiała odpowiedzie .

Kto przysłał jej zdj cia Elizabeth? Zastanawiała si ju chyba tyśi czy raz. Kto znał prawd i jaka ona była? Shelby przygryzła warg i zmarszczyła brwi, gdy osaczyło j najbardziej bolesne pytanie: A je li to wszystko oka e si tylko bezsensownym po cigiem, artem, czyim okrutnym dowcipem? Miała w tym mie cie wielu wrogów, ludzi, którzy zazdro cili jej uprzywilejowanego statusu i ycia w bogactwie, kiedy dorastała. A tych, którzy nienawidzili jej ojca, było mnóstwo. Na drodze kariery Jerome Cole zmia d ył swoimi srebrnymi butami niejednego przyjaciela i oponenta. Kiedy ju przywdział s dziowsk tog , posłał do wi zienia setki m czyzn i kobiet.

Stary s dzia Cole

Okropn star dusz miał...

Ten wierszyk nawet teraz budził w niej niech , ale starała si nie bra go do serca. Chwilowo koncentrowała si tylko na odnalezieniu Elizabeth.

A co z Nevad ? - szydziła z samej siebie, ale nie zamierzała jeszcze raz pa ofiar dawnych uczu . Musiała mie do czynienia z Nevad - był przecie ojcem jej córki. I niczym wi cej. Dopóki nie odnajdzie dziecka, nic innego si nie liczy.

Nic.

Caleb Swaggert prawie zasypiał, kiedy Nevada wszedł na jego szpitaln sal . Niegdy dobrze zbudowany, Swaggert wygl dał teraz jak szkielet; jego pucolowata twarz wychudła, skóra zrobiła si ziemista, a w dodatku wypadły mu prawie wszystkie włosy. Pokój o wietlały dwie fluorescencyjne lampy zamontowane po obu stronach łó ka, a na małym stoliku stał wazon ze zwi dni tymi kwiatami, szklanka z plastikow słomk , le ała paczka chusteczek i Biblia. Było tu sterylne. Cicho. W tej sali jedni dochodzili do zdrowia, a inni umierali.

- Smith - wychrypiał stary m czyzna, szybko mrugaj c powiekami.
- Witaj, Caleb - powiedział Nevada, patrz c na stojak z kroplówk przy łó ku chore

rureczk do yły na r ce starca.

- Czego chcesz? - Caleb mówił niewyra nie, mo e na skutek za ywania lekarstw albo dlatego, e wyj to mu sztucz n szcz k .

- Słyszałem, e zmieniłe zeznanie. - Nevada stan ł u wezł owia i, skrzy owawszy r ce na piersi, przypatrywał si twarzy Caleba, by upewni si , e chory nie kłamie.

- Musiałem zrobi , co nale y.

- Mówiłe mi, e Ross McCallum był w sklepie, kiedy zabito Ramóna.

- Powiedziałem, e wydawało mi si , e go widziałem. Myliłem si - odparł Caleb podniesionym głosem.

- Skłamałe ?

Caleb otworzył usta, zamkn ł je, a potem ci gn ł wargi. Był pewnym siebie człowiekiem, trudno mu było przyzna , e popełnił b ł d.

- Tak.

- Dlaczego?

- Bo polegałe na mnie - popatrzył przez okno. - A ja byłem grzesznikiem, ale teraz przyj łem Jezusa do mojego serca i...

- Zamknij dziób. - Nevada nie ruszył si w stron ł ó ka, ale odczuwał obrzydzenie. - Mo e pastor Whitaker ci wierzy, ale ja nie. Za dobrze ci znam, Swaggert. Widziałem, co zrobiłe swojej pierwszej onie.

- Ja... byłem grzesznikiem, ale si zmieniłem, Smith, przysi gam na Bogato znaczy odnalazłem Pana.

- Gówno prawda.

- Nie zaszkodziłoby ci, gdyby i ty przyj ł Jezusa do swojego serca, Smith. Mo e wygnałby nienawi z tej twojej czarnej jak smoła duszy.

- Wezm to pod uwag - odparł cynicznie Nevada.

- Przyszedłe mnie dr czy ?

- Po prostu chciałem usłysze prawd . - Nevada w zamy leniu podrapał si po brodzie. - Wiesz, jak to si mówi, Caleb: „Prawda was wyzwoli”.

- No przecie to wła nie robi , nie? Wreszcie mówi prawd . Je eli Ross McCallum był w sklepie Estevana tamtego wieczoru, kiedy Ramón dał si zabi , to ja go nie widziałem.

Nevada zbli ył si o krok.

- Ale dziesi lat temu skłamałe i pomogłe wsadzi tego człowieka za kratki. Dlaczego?

Mi sie zadrgał w k ciku ust Caleba. Chory szybko zamrugał.

- Dlaczego?

Oczy starego człowieka odzyskały blask. Na twarzy pojawił si ironiczny, ohydny grymas.

- Bo to kawał wrednego sukinsyna i nawet je li nie zabił Ramóna, to nale ało go zapuszkowa .

- A wi c skłamałe .

- Dzisiaj bym tego nie zrobił.

Nevada powoli pokr cił głow .

- Wiesz co, Caleb, je li kłamie si w takiej sprawie i wrabia kogo w zbrodni , której ten kto nie popełnił, to tylko po to, eby uratowa własn n dzn skór ...

- Nie zabiłem tego starego meksyka skiego przybł dy i ty dobrze o tym wiesz! - Na

jego ziemista twarz nabrała rumieńców.

- ...albo dlatego, e dostało si w łap , eby kłama . - Nevada popatrzył Calebowi prosto w oczy. - Słyszałem ró ne pogłoski na mie cie, Caleb. Na przykład, e chcesz sprzeda swój histori jakiemu reporterowi.

Calebowi zrzędał mina.

- Zastanawiam si , czy zamierzasz nałga temu reporterowi tylko po to, eby dosta szmal.

- Jeste łośnym draniem - wybełkotał Caleb.

- Bez w tpienia.

- Wyno si , Smith - sykn ł starzec. - Jestem chory, umieraj cy i postanowiłem oczy ci sumienie, zanim stan przed swoim Stwórc . Ot i cała przyczyna. A teraz wyjd , bo zawołam piel gniark i ka ci wyrzuci .

Nevada nic wi cej od niego nie wyci gn ł. Caleb Swaggert zamierzał zabra swoje tajemnice do grobu.

- Jak ci si jeszcze co przypomni, daj mi zna .

- Wyno si .

Nevada podszedł do drzwi.

- I wiesz co, Smith?

Odwrócił si i zobaczył słaby uśmiech na w skich, spieczonych wargach Caleba.

- Niech Pan b dzie z tob .

Rozdział 4

Bum!

Drzwi wi zienia zamkn ły si ze szcz kiem.

Ross McCallum był nareszcie wolnym człowiekiem.

Najwy sza pora.

Ten koszmar ci gn ł si od dziesi ciu lat, z czego osiem Ross sp dził za kratkami - cała dekada straconego ycia. Z jednej strony miał ochot pój do najbli szego baru i znale tam sobie gor cokrwiśt kobiet . Potem szklaneeczka José Cuervo i jaki tani motel. Ale z drugiej strony pragn ł zemsty, i to bardzo.

Odetchn ł gł boko wie ym powietrzem. Było wspaniałe. Zerkn ł przez rami , wykonał obra liwy gest w kierunku wartownika na wie y straniczej i po cichu powtarzał „pieprzcie si ”, maj c na my li wszystkich wkurzaj cych go wi niów, ka dego gnoja stranika, a zwłaszcza drania, który był ich przeło onym i rz dził wi zieniem niby jaki cholerny król.

- Daj ju spokój - mrukn ł do siebie i splun ł na nierówny beton podjazdu. Wyszedł na wolno . Tylko to si liczyło. I nigdy tu nie wróci. Obiecywał to sobie ka dego ranka, kiedy budził si , patrzył w sufit i czuł w nozdrzach smród tego miejsca. O nie. Ju wolałby umrze , ni ponownie trafi za kratki.

Ci gn c za sob zabrudzon torb ze swoim skromnym dobytkiem, podszedł butnie do podniszczonego kombi, ukrytego w cieniu muru stranicy. Za kierownic , pal c papierosa i słuchaj c jakiej j kliwej piosenki country, siedziała ostatnia osoba na tej planecie, na któr mógł liczy : Mary Beth Looney, jego dwukrotnie rozwiedziona młodsza siostra. W jednej r ce trzymała papierosa, a drug miarowo b bniła w kierownic . Nie miała na palcu lubnej obr czki. To akurat było dobr nowin , bo je li chodziło o facetów, gust miała fatalny.

- No, wreszcie - powiedziała przez otwarte okno. Włosy, jasne jak słoma, okalały jej twarz niechlujn pl tanin , ale były błyszcz ce i mi kkie, bez ciemnych odrostów, z g st grzywka .

- No wiesz, rz dy działaj wolno. Jak si masz. Mary Beth?

- Jestem zmęczona.

- Ładnie wyglądasz.

Na pomalowanych morelowych szminkach ustach pojawił się lekki uśmiech. Mary wzięła papierosa do kłosa ust.

- Szkoda, że o tobie nie da się tego powiedzieć.

Rzucił torbę na tylne siedzenie, na którym walały się opakowania z McDonalda i Taco Bell, zapomniane torebki po pikantnym sosie, którego czerwone resztki zakrzepły na winylowej osłonie, a obok leżało kilka twardych jak kamień frytek.

- Gdzie dzieciaki? - zapytał, siadając obok siostry.

- Ze swoimi tatusiami.

- Nie myślałem, że spotykasz się ze swoimi byłymi.

- Nie spotykam się. - Przekrzyknęła kluczyk w stacyjce. - Chyba po prostu miałam szczęście. - Wcisnęła pedał gazu i wypuściła dym nosem.

Odjechali, wzniesając tuman kurzu.

Ross opuścił okno i czuł, jak powietrze owiewa wnętrza wozu, ale jednocześnie nie paliło go wspomnienie dziesięciu lat koszmaru. Karmił swoją nienawistką tego dnia, przysięgając sobie zemstę, i teraz nadeszła jej pora. W głowie wirowały mu nazwiska osób, z którymi zamierzał się porachować. Ruby Dee, Caleb Swaggert, Shelby Cole, sędzia, Nevada Smith. Zwłaszcza ten ostatni.

Bawiąc się kostkami pałców, Ross patrzył przez zakurzone, upstrzone owadami szyby na teksaskie widoki, które odkrywał teraz na nowo.

Sumaki i kolczaste grusze, kiedy zupełnie zwyczajne, teraz wydawały się nadzwyczaj piękne. Walcowate wzgórza porośnięte wysuszoną trawą były traktowane przez owce i kozy, których dawniej nie zauważał, a niebo - Chryste, niebo cięgnęło się bezkocznie. Zaciśniętymi zębami, aby nie poddać się wzruszeniu. Po co się roztkliwiał, mazał jak dziecko. Był wolnym człowiekiem i postanowił, że już nigdy nie trafi za betonowe mury z drutem kolczastym, strzeżone przez milczących, ponurych mężczyzn w okularach odbłaskowych, z karabinami, których mieli ochotę uciąć. Nigdy więcej.

- Dokąd? - zapytała Mary Beth. Jechali autostradą i mijali wolno płynące rzeki Guadalupe.

- Bad Luck.

Mary Beth spojrzała na niego kątem oka.

- Nie uważasz, że powinieneś zacząć gdzieś indziej?

- Nie uważam.

- Gdzieś będziesz mieszkał?

- U starych.

Potrząsnęła głową i cisnęła kierownicę tak mocno, jakby zamierzała ją wyrwać.

- Do diabła, Ross, a co tam jest? Stara chatka babci właśnie nie się rozpadła. To, co zostało, jest przegniłe i pełne termitów.

- A co z przyczepą?

Westchnęła.

- Ta szeroka wciąż stoi; i wymówiłam najem, tak jak prosiłaś, ale wierz mi, to istny chlew.

- Na pewno nie jest tam gorzej niż w miejscu, w którym byłem. - Ross zerknął na ty

przywi zywała zbyt du ej wagi do higieny. Je li było prawd to, co mówiono o czysto ci i pobo no ci, to Mary Beth miała marne szanse na przekroczenie bram raj, gdyby zavezwał j tam Pan. Nie eby Ross specjalnie si tym przejmował. - Gdzie musz mieszka na pocz tek - powiedział, a ona wgniotła papierosa w popielniczk , w której pełno ju było niedopałków ze ładami szminki.

- Niby tak. Ale tu zostało wiele złej krwi. - Odgarn ła włosy na ramiona i udawała, e nie zwraca uwagi na jego reakcj . - Do miasta wróciła Shelby Cole.

Ross nie mógł si powstrzyma od u miechu satysfakcji. Shelby? W Bad Luck? No, no, robiło si coraz ciekawiej.

- Naprawd ? Co podobnego.

- Nie przypuszczam, eby ty miał co wspólnego z tym powrotem.

- Zapominasz, gdzie byłem.

- Hm, najlepiej, eby trzymał si od niej z dala - ostrzegła, a potem przekr ciła gałk radia i zwi kszyła gło no piosenki; czysty kobiecy głoś piewał j kliwy utwór w stylu country and western. Mary Beth wtórowała piosenkarce i szło jej całkiem nie le, mo e piewała troch monotownie, ale Rossowi było wszystko jedno.

No, ale jemu przecie na niczym specjalnie nie zale ało. Oprócz zemsty.

Oparłszy si wygodnie na fotelu, milczał podczas jazdy autostrad i przywoływał w pami ci znajome twarze - zwłaszcza Shelby Cole. Bł kitne, niewinne, smutne oczy, zadarty nos i kilka piegów, idealnie owalny kształt twarzy. Tak, Shelby to była niezła sztuka. B dzie musiał j odszuka . Nie doko czyli pewnej sprawy.

Mary Beth zwolniła, dopiero kiedy min li kilka miasteczek w drodze do Bad Luck. Tak, wszystko zacznie si lepiej układa .

Wytrzn ła kolejnego papierosa z paczki le cej na siedzeniu mi dzy nimi i nacisn ła zapalniczk . Pocz stował si marlboro light.

- No, wi c gdzie chcesz znale prac ?

Ross wykr cił wsteczne lusterko do siebie i potarł zaro ni t brod . Kiedy był przystojnym m czynn , ale lata sp dzone za kratami odbiły si na nim pod tym wzgl dem niekorzystnie. Czoło i k ciki oczu naznaczone były gł bokimi bruzdami. Miał te kilka blizn - pami tka po walkach na pi ci - i ran od no a na prawym udzie, a ilekro poruszył prawym ramieniem, czuł lekki ból mi dzy ebrami, które Nevada Smith połamał mu podczas ich ostatniej bójki.

Zapalniczka szcz kn ła i oboje zapalili papierosy. Płuca Rossa wypełnił kikatynowy dym.

- Pewno nie masz przy sobie niczego do picia? - zagadn ł. - Kurcz , ju dawno nie miałem w ustach whisky ani tequili, ani nawet cholernego piwa.

- Trzymaj si z dala od alkoholu, dobrze? - Mary Beth odwróciła lusterko, eby móc w nie spogl da . - Nie pakuj si w adne kłopoty, Ross. Nie mam zamiaru zajmowa si wyci ganiem braciszka z mamra.

- Bez obawy - odparł z zapalem, czuj c, e jest podekscytowany.

Min li rzek , która o tej porze roku przypominała raczej strumyk, i przemkn li obok cmentarza na wschód od miasta. Nagrobki, z których cz zaczynała si wali , stały po ród nielicznych drzew, podobne do wartowników o dziwacznym sylwetkach. Ross zastanawiał si , ile nowych dusz odeszło z tego wiata od czasu, gdy stary Ramón Estevan spotkał si ze swoim Stwórc , ale nie chciało mu si o to pyta .

Bad Luck było zaraz za nast pnym wzniesieniem.

Zaci gn wszy si po raz ostatni, Mary Beth zerkn ła we wsteczne lusterko.

- O cholera.

- Co?

- Chyba ju zd yłe ci gn na sobie uwag . To gliny.

- A niech to szlag! - Wykr cił si na fotelu i zobaczył wóz policyjny, który mrugał do nich wiatłami. - Ja tam nie wróc , Mary Beth. Cho by nie wiem co, ja tam nie wracam. Musieliby mnie najpierw zabi ! - Adrenalina rozpalala mu krew. Serce oszalało, biło w zabójczym tempie.

- Trzymaj si mocno! - Skr ciła na wzgórze, a samochód policjanta, wci błyskaj cy wiatłami, jakby to był cholerny czwarty lipca, pojechał za ni .

- Co ty, u diabła, zrobiła?

- Nic, jasne? Nie zrobiłam niczego złego! - upierała si . - Kurde, to Shep Marson.

Rossowi od razu zrobiło si niedobrze. Zerkn ł przez brudne tylne okno i ujrzał twarz, która odcisn ła mu si gł boko w pami ci. Shep miał twarde rysy twarzy, któr po cz ci skrywało rondo kapelusza, ale zrobił si troch okr glejszy.

- Czego on chce?

- Zaraz si dowiemy. - Wgniotła niedopałek w popielniczk , nerwowo zmierzwiła włosy, a potem wystawiła głow na zewn trz. - Co jest, Shep? - zawołała.

Ross usłyszał zgrzyt buciorów na wirze. Pot nieprzyjemnie oblepił mu czaszk i spływał po karku. ałował, e nie ma na tylnym siedzeniu dubeltówki. Rozwaliłby Marsona, tak eby poszedł wraz ze swoj odznak i pyszałkowatym, prawym zachowaniem, do samego diabła.

Niech to szlag! Nie mo e my le w ten sposób. W głowie wzbierał mu stłumiony ryk, dłonie zacz ły si poci i sw dzie . Trzymaj si . Rozegraj to na spokojnie. Mimo zaci ni tych z bów zdołał si zaci gn papierosem.

Przez twarz Mary Beth przemkn ł cie . Ross skupił wzrok na otwartym oknie po stronie kierowcy. Widział tylko mundur - czyj tors zakryty wydan przez okr g, podniszczon i poplamion koszul .

- Wiesz, e wygasło ci ubezpieczenie? - hukn ł Shep, tak e Ross go usłyszał mimo ci głęgo szumu w uszach. Zast pca szeryfa nachylił si tak mocno, e okno obramowywało jego twarz, a rondo kapelusza prawie ocierało si o policzek Mary Beth.

- Nie... to znaczy, po prostu nie zd yłam... - Mary Beth wzruszyła ramionami i Ross miał ochot j udusi . Co ona sobie my łała: eby przyje d a po niego autem z niewa nymi tablicami rejestracyjnymi?! Kurcz blade, czy jego siostra to zupełna kretynka?

- Aha. No có , pomy łałam sobie, e tym razem dam ci tylko ustne upomnienie - powiedział Shep i przeniósł wzrok na niego. Ci ar tego spojrzenia za przekl tymi okularami przeciwsłonecznymi był dla Rossa niemal nie do zniesienia. Niemał. - Ho, ho, patrzcie no tylko, kogo tu mamy. - Skin ł przyja nie głow . - Chciałbym powiedzie , e miło jest znowu ci widzie , McCallum, ale obaj wiemy, e to nieprawda.

Ross nic nie odpowiedział.

- Nie chc adnych kłopotów z twojego powodu - dorzucił Shep. - Zdajesz sobie spraw , e to nie jest tylko ostrze enie dla twojej siostry. - U miechn ł si z przymusem. - Mówi do ciebie, McCallum. Pami taj, e ju st - pasz po niebezpiecznie kruchym lodzie, synu. Ten okr g jest mój.

- Pami tam - wydusił z siebie Ross.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Postaraj się o tym nie zapominać. - Shep uchylił kapelusza, eggnaj c siostr Rossa. - A ty, Mary Beth, zadbaj o te tablice rejestracyjne.

- Oczywiście - odparła słodko, podczas gdy zastępca szeryfa wracał do swojego wozu. Energicznie włączyła silnik starego Forda i poczekała, a obok przemknęła furgonetka, w której siedzieli Meksykanie, po brzegi wypełniona siano. Zaczęła narzekać. - Ju się zaczyna. - Twarz jej zbladła mimo opalenizny, a usta wyrażały niezadowolenie. - Niech to cholera, to ju się zaczyna.

Fakt, pomyliła, wyrzucając przez okno niedopałek papierosa.

I nie mógł się doczekać owego początku.

Shelby ze złości włączyła laptopa. Skulona na pasiastym krześle, wciśnięta między okno i łóżko w jej pokoju, buszowała w Internecie od wielu godzin: przeszukiwała strony na temat zaginionych osób, wystukiwała pytania na forach dyskusyjnych, zastanawiając się, gdzie może przebywać doktor Ned Charles Pritchard. Bolał ją kręgosłup, bolała szyja, a głowa wprost pękała. Frustracja szybko stawała się jej nieodłącznym towarzyszem.

No i jeszcze Nevada. Jego obraz pojawiał się i znikał w jej umyśle, nakał ją jak natrętny owad, który nie chce odlecieć. Najgorsze było to, że wciśnięta pod kołdrę poczuła swym pierwotnym, taksyminowym typem urody. Raz po raz powtarzała sobie, że niedługo będzie musiała się ustosunkować, że latek przybywa, że potrzebuje odpowiedzialnego mężczyzny, co to będzie pracował od dziesiętej do piętej albo i dłużej, jakiego biznesmena o ładnym umięśnieniu i twardym charakterze, który będzie chciał dzieci, rodziny, domku na przedmieściach Seattle... ale z pewnościami nie ubogiego kowboja na bakier z prawem.

Tyle że kiedy byli kochankami, mieli dziecko... no i był niewiarygodnie seksowny. Przestała warknąć do siebie, wyciągnęła nogi na otomanę. Miała zadanie do wykonania. Nie mogła pozwolić, żeby ktoś jej w tym przeszkodził. Nie pozwoliła na to nikomu, nawet diabelnie poczęstemu ojcu Elizabeth.

Problem polegał na tym, że mimo upływu dwóch dni od chwili, gdy otrzymała kopertę, nie posunęła się ani o krok w poszukiwaniach córki. We śnie w garści, bo to musi potrwać, powiedziała do swojego bladego odbicia w oknie sypialni. Nie mogła jednak pozbyć się uczucia, że czas ucieka. Już przegapiła dziesięć lat życia swojej córki, ile jeszcze czasu mogła zaryzykować?

Brała pod uwagę wynajętego zawodowego internetowego detektywa, ale nie wiedziała, którego z kilkudziesięciu osobowej listy wybrać. W ramach własnych poszukiwań zdołała odnaleźć kilku doktorów Pritchardów na terenie Stanów Zjednoczonych - okazało się jednak, że żaden z nich nie jest tym Nedem Pritchardem, który odbierał poród jej dziecka.

Mógł się ukryć wszędzie. W Europie. W Ameryce Południowej. Mógł też być gdzieś.

Nie mógł w taki sposób.

Znowu zerknęła na dziedziniec na tyłach domu i połyskiującą turkusową wodę w basenie. Kusiła swoim chłodem. Shelby nie przywiozła ze sobą kostiumu kąpielowego, ale chyba udało się coś znaleźć w starych rzeczach.

Właśnie podchodziła do komódki, kiedy usłyszała nadjeżdżający samochód ojca. Spojrzała na zegarek... już po trzeciej. Sądził być zapracowanym człowiekiem. Zeszłego wieczoru wrócił bardzo późno i wbrew oczekiwaniom Shelby nawet nie zapukał do jej drzwi, chociaż słyszała jego kroki, bo nie mogła zasnąć. Wczesnym witem już znowu go nie było.

Najpierw czuła ulgę, że nie musi z nim przebywać, ale nie mogła w nieskończoność

nie chciała jej odkładać. Wróciła do Bad Luck w konkretnym celu, a sędzia bez wątpienia ukrywał przed nią jakie tajemnice.

Włożyła sandały i wyjechała z komódki gumki, zwiłała włosy w niedbały kok i zbiegła tylnymi schodami do kuchni.

- Niema. - Lydia, która postawiła sobie za cel podkarmienie Shelby, przygotowała tacę z owocami, serem i krakersami. - Właśnie nie robiłam twojemu ojcu drinka. - Uśmiechnęła się tak szeroko, że widać było złotą koronkę na jednym z zębów. - Co by chciała?

- Wezmiesz szklankę herbaty z lodem - odparła Shelby, stukając kłapkami po terakotowej posadzce.

- Ukroję ci plasterki cytryny...

- Dzięki, Lydio, naprawdę. Doceniam to. Ale dam sobie radę sama.

Choć Shelby uwielbiała kobiety, która opiekowała się nią od śmierci matki, nie potrafiła zniechęcić się do Lydii, a Lydia miała by się o nią troszczyć jak o bezradne dziecko albo, co gorsza, rozpieszczoną księżniczkę córki bogatego człowieka. Za długo prowadziła niezależne życie i, mieszkając sama, przywykła do samodzielności. Zignorowała urągające spojrzenie Lydii, wrzuciła kilka kostek lodu do wysokiej szklanki, nalała herbaty ze schłodzonego dzbanka i sama wkroiła sobie do niej plasterki cytryny, a potem poszła za Lydią na tylną werandę, gdzie jej ojciec już czytał martini.

- A więc postanowiła zostać - stwierdził, wyraźnie zadowolony, a ona usiadła naprzeciwko niego, przy stole ze szklanym blatem. W górze wirowały wentylatory.

- Pomyślałam, że łatwiej mi będzie porozmawiać z tobą. - Zamieszała swój napój.

Lydia zaczęła narzekać na ogrodnika, wyrwała kilka suchych płatków z petunii w wielkich donicach stojących w pobliżu tylnych drzwi i pognęła do kuchni, gdy usłyszała głośnie brzęczenie zegara.

- Myślałem, że nie chcesz ze mną rozmawiać.

- Nie chciałam. - Pocięła łyk herbaty. Była o wiele mocniejsza i bardziej klarowna niż mętna ciecz, którą wczoraj zaserwował jej Nevada. - Zmieniłam zdanie. - Patrzyła na niego znad szklanki, biorąc następną wzmocnioną cytrynę. Nigdy nie była nie miałym dzieckiem, a jednak przy ojcu czuła się skrępowana. Pewne rzeczy nie zmieniły się mimo upływu lat. - Mam nadzieję, że będziesz mi w stanie pomóc.

- Zrobię co w mojej mocy. - Wyciągnął z drinka plastikowy wykałaczek i wyssał jedną z oliwek.

- Dobrze. W takim razie musisz mi opowiedzieć o Elizabeth. - Tego popołudnia Shelby była spokojniejsza, ale ani trochę mniej zdeterminowana.

- Nie wiem nic o twoim dziecku.

- Nie okłamuj mnie, tato. Pójdź na policję.

Wziął oliwkę, a potem ją połknął.

- Z czym? Ze zdjęciem dziecka, które wygląda jak ty? Z anonimowym listem?

- Tak.

- To będzie jak otwarcie puszkii Pandory.

- Ona już jest otwarta.

Potrząsnął energicznie głową.

- Będą zadawali mnóstwo pytań. Niektóre z nich ci się nie spodobają.

- Nie martw się tym. Uwiadom sobie co, sędzio. Ja już nie jestem tu przerażony.

która wstydziła się, że jest w ciąży i bez męża.

- To małe miasteczko.

- Amen.

- Nie wielka aglomeracja, gdzie możesz się ukryć.

- Ja się nie ukrywam, sędzio, i chcę prawdy. Ty wiesz, co się stało tej nocy, kiedy urodziłam dziecko. Musiałeś to wszystko zaaranżować. Nikt, ani doktor Pritchard, ani ktokolwiek inny w tamtym szpitalu, nie odważyłby się odstawić takiego numeru w pojedynkę. Musiałeś ich przekupić albo jakimś sposobem zmusić.

- Przekupstwo i przymus. Ciężkie oskarżenia.

Nie zamierzała zbaczać z tematu.

- Posłuchaj, albo powiesz mi, co wiesz, i zaoszczędzimy mnóstwo czasu, albo będziesz wylała samodzielnie, ale wtedy wyciągną na publiczny widok wszystkie trupy z szafy rodu Cole'ów.

- Na twoim miejscu poważyłbym się nad tym zastanowić.

- Ale ja zastanowiłam się nad tym bardzo poważyłam.

Ugryzł kolejną oliwkę.

- Słyszałem, że wczoraj była z Nevada.

- Wpadłam na niego na ulicy.

Siwiejące, krzaczaste brwi wygięły się sceptycznie ku górze.

- No, no, pierwsza osoba, na jaką się natykasz, to dokładnie ktoś, kogo powinna unikać.

- Ojciec mojego dziecka.

- Może.

Poczuła, że gwałtownie się rumieni, udawała więc, że obserwuje motyle i pszczoły przelatujące z jednej doniczki pełnej kwiatów na drugą.

- W tym sęku, dziewczyno. A jeśli ten dzieciak nie jest Smitha? Wiesz, już jest late, a mogłoby się zrobić jeszcze gorzej.

Powoli wstała i pochyliła się nad stołem. Nie mogła pozwolić, aby ojciec ją zastraszał.

- Rzecz w tym, że to dziecko jest moje. I tylko to się liczy. Właśnie nie po to tu wróciłam. Posłuchaj, masz wybór. Albo zechcesz mi pomóc, albo nie, ale tak czy inaczej odnajdę swoją córkę.

- A jeśli ją odnajdziesz? - Trzecia oliwka powdrowała do jego ust. Patrzył na Shelby z takim naciskiem, z jakim mierzył krzyżownicę w ścianie. - Jeśli ta dziewczynka żyje, jeśli jest twoja i jeśli ją odnajdziesz, co wtedy? Masz zamiar odrywać ją od rodziców, których zna od dziesięciu lat? Odrywać ją od matki, ojca i rodziny po to tylko, aby zaznać spokoju? Czy właśnie nie to byłoby dla niej najlepsze? - Popił oliwkę dużym haustem, a Shelby poczuła mdło ci. - A może to byłoby najlepsze dla ciebie? - Wtulił cię, które wyraził głośno, przeładowały ją od momentu, gdy otworzyła kopertę z San Antonio.

- Krok po kroku - odparła, starając się nie załamać pod jego surowym spojrzeniem. - Najpierw muszę ją odnaleźć.

- Igrasz z ogniem, Shelby.

- Ty jako nie miałaś oporów, co? - Zmuszała się do tego, aby panować nad sobą. - A teraz albo mi pomożesz, albo będziesz robić sama, ale będziesz pewien, że nie dam za wygraną. - Dopijała herbatę z lodem i odstawiła szklankę. - Kto mógłby mi przysłać to zdjęcie?

- Nie wiem. - Nie odrywał wzroku od jej oczu; siwe włosy na jego głowie były

koszula i krawat na gumce wydawały się wie e i wyprasowane, jakby dopiero je wło ył, podczas gdy ona wylewała tony potu w T-shircie i szortach. Na kolanach s dzia trzymał lask z ko cian główk , bardziej dla fasonu niż z rzeczywistej potrzeby.

- No dobrze, w takim razie kto zaadoptował moje dziecko? - Nie zamierzała odpuszczać w tej kwestii.

- Wci nie wiem.

- Jak możesz tak sobie spokojnie siedzieć i beczelnie kłamać mi w oczy? Musiałeś wiedzieć .

Powoli, cedząc słowa sylaba po sylabie, odparł:

- Nie wiem, co się stało z dzieckiem. Ja o to nie pytałem.

- Ale wiedziałeś , że przeżyła.

- Nie. Wiedziałem tylko, że nie urodziła się martwa. Poza tym nie widziałem powodu, żeby zrobić coś więcej.

- Ona jest twój wnuczek ! - Chociaż Shelby chciała poznać prawdę , teraz czuła się nie przytłoczona.

- A ty jesteś mój córk . Zawsze robiłem to, co uważałem za najlepsze.

Nie wierzyła własnym uszom, a potem zastanawiała się , dlaczego w ogóle próbuje z nim dyskutować . Należał do ludzi, którzy grają według własnych reguł, nagiął prawo do własnych celów i racjonalizował swoje poczynania.

- O Bo e, nie mogłem w to uwierzyć . - Opadła na wyplatane krzeselko. - Jesteś obłąkany.

- Praktyczny.

- Zdolny do manipulowania ludźmi. Och Bo e. - Chwyciwszy szklankę , przyłożyła zaparowane szkło do czoła, czując chłód topniejących kostek lodu. Jak ten człowiek, ten nad ty potwór może być jej ojcem?

- A co ze Smithem? Powiedziała mu o dziecku?

- Nie miałam wyboru.

- Zawsze ma się jakiś wybór.

- Nie wtedy, gdy ktoś , komu się ufa, manipuluje tobą . - Odstawiła szklankę na stół.

S dzia spochmurniał. Kiedy przyglądał się stadku szpaków odlatującym z cyprysa po drugiej stronie basenu, nagle w jego oczach pojawił się smutek.

- Ech, Shelby - westchnął, mierzwiąc włosy grubymi palcami. Zmarszczki na jego czole i wokół ust pogłębiły się i nagle wydał się Shelby bardzo stary. - Nie masz pojęcia, co narobiła .

- Ale mam - odparła stanowczo, opanowując drżenie głosu. - Zrobiłam to, co należało zrobić .

- Dowiedziała się czego dzisiaj?

- Mało. Ale się dowiem - obiecała, odsuwając krzesło.

I nagle doznała olśnienia. Wiedziała, od czego zacząć .

Rozdział 5

Nevada zakarbował ucho ostatniemu cielakowi i klepnął zwierzę w zad tak mocno, że ryknęło i pognało do stada. Nevada cięgnął r kawice, spojrzął na zachodzące słońce i zaczął się zastanawiać , dlaczego wciąż tu mieszka i ledwo udaje mu się zwiżyć koniec z koćcem, skoro nawet pomimo obowiązujecej poprawności politycznej ludzie przezywają go mieszańcem.

Nie, żeby się tym przejmował. To nie fakt, że jego matka była pół-Irokezka , sprawiał mu przykrość , lecz to, że wyjechała, kiedy miał trzy lata, i że w ogóle jej nie pamiętał. Nigdy się nie dowiedział, jakie były jej dalsze losy, i nawet nie czuł takiej potrzeby.

Zdecydował si jednak pozosta tutaj, blisko Bad Luck. Nigdy nie umiał si przystosowa do otoczenia, ale to mu specjalnie nie przeszkadzało. W gł bi duszy wiedział, e kiedy b dzie mu si yło łatwiej.

A poza tym to był jego dom. Mo e niezbyt okazały, ale własny. Nevada patrzył na pomocn granic rancza i na ziemi , któr kupił przed dwoma laty, podwajaj c w ten sposób powierzchnię swojego gospodarstwa, a przy okazji zdobywaj c kamieniołom i brzoskwiniowy sad. Kosztowało go to krocie, ale interes zacz ł si opłaca , i Nevada powoli wychodził z długów.

Zatrzymał si przy kranie z wod , przekr cił kurek i wsun ł głow pod strumie wody, jeszcze ciepłej od nagrzaných rur. Wkrótce zrobiła si zimna i ochlapał ni szyj i ramiona, a potem wypił du y łyk. To miejsce nie było idealne, ale czuł, e to jego dom.

Strz sn ł z włosów krople wody i podszedł do szopy. Stał tam beczynnie traktor, wyprodukowany cztery lata przed jego narodzinami - miał pop kane d tki i matowe reflektory. Farba na eksploatowanej przez wiele lat w promieniach bezlitosnego teksa skiego sło ca maszynie dawno utraciła połysk.

Ale w Johnie Deere wci jeszcze tliło si ycie. Nevada sprawdził poziom oleju. Wiedział, e b dzie je dził tym traktorem, a maszyna stanie w polu. Ocieraj c r ce, zastanawiał si , czy - je li wierzy Shelby Cole - jest ojcem. Nigdy nie s dził, e b dzie miał dzieci. Prawdopodobnie dlatego, e nigdy nie znalazł kobiety, z któr chciałby sp dzi reszt swojego ycia. I nie chciał, eby jego dziecko dorastało w takich warunkach jak on.

Teraz miał córk . Dziecko Shelby. Cały dzie przetrawiał t szokuj c nowin . Posun ł si nawet do tego, e zadzwonił do starego kumpla z wojska, który został prywatnym detektywem w Houston.

Starał si nie my le o Shelby. Potrafiła wywróci czyje ycie do góry nogami. Zawsze były z ni kłopoty i zawsze b d . No, ale on nigdy nie unikał kłopotów; prawd mówi c, był taki czas, kiedy sam si o nie prosił.

To było wiele lat temu.

My lał, e ju mu przeszło szale stwo na jej punkcie, e raz na zawsze o niej zapomniiał.

No có , pewne rzeczy nigdy si nie zmieniaj .

Wystarczyło, e tylko na ni spojrział i od razu poczuł znajomy ar w l d wiach i t przejmuj c t sknot gdzie w gł bi duszy. Zacisn ł z by i ruszył z powrotem do domu. adna kobieta, nawet Shelby, seksowna córka s dziego Cole'a, nie zdoła ju wywoła w nim takich emocji, jak ona przed dziesi ciu laty.

Pogwizduj c na Crocketta, Nevada wszedł na tylny ganek, zrzucił buty, zdj ł mokr koszul i wytarł si ni jak r cznikiem, a potem wypił piwo. Ju miał wej pod prysznic, kiedy usłyszał warkot silnika i zobaczył tuman kurzu za frontowym oknem.

Mi dzy ywod bami, którymi był wysadzony podjazd, błysn ła biała plama. Rozpoznał samochód wynaj ty przez Shelby. Długi, l ni cy cadillac przemkn ł obok zagajnika blisko skrzynki pocztowej.

- Do diabła! - mrukn ł, wci gaj c oddech.

Po kilku sekundach ju wychodził frontowymi drzwiami.

Samochód si zatrzymał. Sło ce wła nie zachodziło za wzgórzami. Crockett si rozszczękał, ale wystarczyło jedno spojrzenie Nevady, eby go uciszy .

Shelby wysiadła z samochodu.

Nevada zacisn ł z by.

W szortach khaki i białym bezr kawniku, z lekko rudawymi włosami odgarni tyimi do tyłu, wydała mu si najbardziej fascynuj c kobiet , jak kiedykolwiek widział. Miała długie, opalone n

były dostatecznie duże, by wypełnić mskie dłonie. Musiał bardzo nad sobą panować, żeby nie myśleć o tym, o czym nie powinien.

Oparłszy się ramieniem o słupek podpierający okap ganku, czekał, aż Shelby przejdzie przez bramę.

- Znowu tu jesteś? - spytał powoli.

- Muszę z tobą pogadać. - Shelby nawet nie siła się na uśmiech. Wargi miała zaciśnięte, była pełna determinacji.

Zepchnęła okulary przeciwsłoneczne nad czoło. Jej błkitnozielone oczy spjrzały na niego z niepokojem.

- No proszę, a ja myślałem, że urzędziła sobie wycieczkę do slumsów.

- Nie przyjechałam tutaj słuchać dowcipów - odciła się, wchodząc po stopniach na ganek. Uniosła ku niemu twarz. Jej oczy były prawie turkusowe, odbijały się w nich ostatnie promyki słońca.

- Mów.

- Potrzebuję twojej pomocy.

Uniósł podejrzliwie brew i nic nie powiedział. Tylko czekał.

- Musimy znaleźć Elizabeth.

- Naprawdę? - odparł rozwlekle, starając się nie patrzeć na wycięcie jej bluzki i to kuszące co, co się pod nią kryło.

- Tak.

- Zabawne. Teraz chcesz mojej pomocy.

- Nie ma w tym nic zabawnego.

- Masz rację - rzekł, czując budzący się w nim gniew.

- W takim razie możemy przejść do rzeczy i...

- Dlaczego nie powiedziała mi, że jesteś w ciąży?

To pytanie wytręciło ją z równowagi. Skrzywiła się. Na policzkach i szyi, i nawet na tym kawałeczku skóry między jej piersiami pojawił się rumieniec.

- Co takiego?

- Dawno temu. Mogła mi powiedzieć.

Chrzęknęła i zauważył wahanie w jej oczach, które przez tyle lat nie zdradziły prawdy.

- Nie było powodu. To znaczy, nie miało sensu ci kłopota...

- Kłopot? Uważasz, że nie powinienem być wiedzie, że bdziesz miała ze mną dziecko? - Jak ona mogła patrzeć mu prosto w oczy? - Jeśli ja byłem ojcem...

- Byłem. Jesteś.

Prychnął pogardliwie.

- Co ukrywałaś, Shelby?

- Nic - pokręciła głową, kładąc ręce na biodrach. - Już nie ma nic do ukrycia. I nie przyjechałam tutaj, żeby się kłócić.

- Ja tylko chcę wiedzieć, dlaczego mi nie powiedziała. - Musi znać odpowiedź. Nie odpuci tak łatwo. Na miłość boską, przecie rozmawiaj o jego dziecku!

- Myślałem, że dziecko umarło.

- Ale musiała wiedzieć co najmniej przez siedem, osiem miesięcy, że nosisz je w sobie.

- Byłam przerażona - przyznała, wysuwając podbródek. Jej plecy zeszywniały, a

wysun ło si z koka i rozwiewał je wiatr.

- Czym? - nalegał.

Zawahała si . Po raz pierwszy opadła z niej maska zachowato ci.

- Jako nie pami tam, eby cokolwiek ci przera ło. Była rozpieszczona i bogata, ale lubiła te rozrabia i miała niewyparzony j zyk, którego nie bała si u ywa .

- Nie o to mi chodziło.

Przechylił głow na bok. Czekał.

Walczyła ze sob i wci miała czerwone policzki.

- Wydu to z siebie, Shelby.

- A niech to. - Widział, jak zмага si ze sob . - Nie przyjechałam tutaj, eby o tym dyskutowa .

- O czym? - ciskał.

- Och, do diabła. No dobrze, bałam si ciebie. Mojego taty. Tego, co powiedz ludzie.

- Dlaczego?

- Bo byłam młoda.

- I?

Przez chwil patrzyła w inn stron ; zauwa ył kropelki potu na jej czole.

- No dobrze, bałam si ciebie, bo... - jej wzrok znowu spocz ł na nim - ...bo kochałam ci , Nevada - wyznała. Mi dzy jej brwiami pojawiły si małe zmarszczki i nagle Nevada zacz ł łoowa , e tak nalegał. Nie chciał słucha skrywanego przez dziesi łat wyznania. - Wła nie tak. To było głupie. Idiotyczne. Dziecinne. Ale kochałam ci . Masz czego chciae i... och Bo e, jak ja ci kochałam. adna zdrowa na umy le kobieta nie powinna tak kocham czyzny, ale... kurcz , nigdy nie mogłam na ciebie liczy , prawda? Nigdy nie wiedziałam, na czym stoj w naszym zwi zku, a potem... potem zaszłam w ci i... i... - Umilkła i przygryzła warg , wci si ze sob zmagaj c. Potarła ramiona, jakby zrobiło jej si zimno, chocia nadal było bardzo gor co. - Potem - wyszeptala, czerpi c sił z jakiego nieznanego ródła - zanim si obejrzałam, rozp tało si prawdziwe piekło, i byłam naprawd przera ona. Wszystko mnie przera ło.

Ale chodziło o co wi cej. Wyczytał to z jej pociemniałych oczu.

- Nawet próbowałam raz z tob porozmawia - przyznała i zauwa ył, e k ciki jej ust zastygaj , podobnie jak ramiona. - Ale kiedy zajęchałam pod twój dom, ty... ty byłe z Vianc Estevan.

- Jej ojciec wła nie został zabity.

- Wiem, ale...

- Była przyjaciółk .

- Była dla ciebie kim wi cej i oboje to wiemy. - Shelby posłała mu spojrzenie, które mogłoby zmrozi oie piekielny. - Nie próbuj mi wciska kitu, dobrze? Ty i Vianca byli cie kochankami.

- Dawno temu - zgodził si .

- A ja byłam chwilow rozrywk .

W tym momencie nie wytrzymał. Bez namysłu pchn ł j na cian obok drzwi. Zaniepokojony Crockett zaszczekał.

- Zgadza si , Shelby. Była diabelnie dobr rozrywk . A czym ja byłem dla ciebie? Sposobem na dokuczenie twojemu staremu? Kim , nad kim mo na si litowa ? Jednym z tych niegrzecznych

było si zbli y ?

- Nie.

- Kłamczucha.

- Ty... ty byłe zast pc szeryfa.

- Ale nie na długo. - Próbował nie zwa a na to, co czuje, dotykaj c jej skóry. - No i miałem zł reputacj , któr usiłowałem naprawi . Ty była ze mn tylko po to, eby si buntowa i dopiec s dziemu.

- Nie! To znaczy...

- Och, do diabła!

Shelby nabrała powietrza, a wtedy Nevada zrobił jedn z najgłupszych rzeczy w swoim yciu. Pocałował j . Mocno. Wpił si z całych sił w jej usta i przywarł do niej całym ciałem. Nogi w zakurzonych d insach wciskały si w gołe łydki i uda Shelby, biodra czuły mi kko jej bioder, a jej podbrzusze wtapiało si naturalnie w jego rozporek. Mimo warstwy bawełny poczuł gor c skór młodej kobiety i w gł bi duszy przeklinał samego siebie za swoj słabo .

Wepchn ł j zyk mi dzy jej wargi, poczuł, e jest spi ta, ale nie powstrzymywała go, cho nie odwzajemniała pocałunku.

Pot ciekął mu po plecach. Chocia chciał tylko co udowodni , rozpałało go po danie. Zatliło si gdzie w gł bi, a potem wzburzyło w nim krew. Jego członek nabrzmiął, był gruby i twardy. Nevada oderwał usta od Shelby i patrzył w jej morskie oczy, które nawet nie mrugn ły.

- Nie rób tego - powiedziała tonem równie ciepłym jak syberyjska zima. - Cokolwiek próbowałe mi zrobi , to si nie zdarzyło, jasne?

- Aha, akurat! - Oparł obie dłonie na chropowatym sidingu po obu stronach jej głowy, ale ona odepchn ła jego nagie ramiona.

- Neandertalska taktyka nie działa na mnie, Nevada. Ani taktyka kromanio ska, wi c daj sobie spokój.

Prawie jej uwierzył. Wydawała si taka chłodna i opanowana. Zauwa ył jednak, e wgł bienie jej szyi pulsuje, a palce oplataj cedrowe deski, i przypomniał sobie, jak kiedy reagowała, kiedy j całował w to miejsce.

- Nawet o tym nie my l - ostrzegła. - Udowodniłe , co miała udowodni , ale ja nie mam czasu na... na jakie absurdy w rodzaju...

- No, jakie?

- Na przykład wi zanie si w jakikolwiek sposób z tob .

- Nie? - Skrzy owawszy r ce na nagiej piersi, u wiadomił sobie, e u miecha si szyderczo.

- Nie. - Była stanowcza. - Przyjechałam tutaj, bo my łałam, e mo e zechcesz mi pomóc. - Jej biust falował troch zbyt mocno; Nevada cofn ł si i dał jej troch przestrzeni. - Teraz posłuchaj - powiedziała zdyszonym głosem. - Albo w to wchodzisz, albo nie. Prosta sprawa. Zamierzam odnale Elizabeth, cho by wiat si walił. Z tob lub bez ciebie. Pomy łałam, e... e powinnam ci o tym powiadomi . No, wi c jak b dzie?

Zmierzył j wzrokiem. Z wiekiem dojrzała, ale nadal była uparta i miała klapki na oczach. Zupełnie jak jej stary.

- Jestem daleko przed tob , Shelby.

- W tpi .

- Zd yłem ju skontaktowa si z prywatnym detektywem.

- Bez uzgodnienia ze mn ? - Miała czelno uwa a si za obra on , kiedy stała p

ganku.

- Tak.

- Ale nie pomyłała, przecież chciałabym wiedzieć... - Przerwała i chrząknęła, a potem zapatrzyła się w blask zachodzącego słońca, jaskrawe odcienie różu i złota, który podkreślał kontury wzgórz na zachodzie. - Och, rozumiem.

- No myślałam. Niemiłe uczucie, kiedy jest się pomijanym, co? A teraz - Nevada cofnęła się o kilka schodków i usiadła na krawężniku czy - ustalmy sobie jedną rzecz. Pomagamy sobie nawzajem i pracujemy razem, żeby je odnaleźć. To oznacza, że wymieniamy się informacjami. Żadne z nas nie porywa się na samodzielne poszukiwania.

Zawahała się przez moment.

- To uczciwy układ.

- Dobrze. A więc gdzie jesteś? Mieszkasz w domu ze swoim starym?

- Na razie.

To go zirytowało, ale nic nie powiedział.

- Postaraj się wydobyć coś od sędziego.

- Próbowałam, wierz mi. - Podeszła do krawężnika ganku i patrzyła na pole, gdzie trzy najlepsze kłaczki Nevady skubały trawę, a ich boki błyszczały w ostatnich promieniach słońca.

- I?

- Och, równie dobrze mógłby rzucić kamielem w ogień.

- Wobec tego bógdzimy musieli spróbować czegoś innego.

- Jestem zwarta i gotowa.

Spojrzał na nią przeciągle.

- W to nie wątpi.

Serce Shelby miało się w klatce piersiowej jak oszalałe. Co on, u diabła, sobie myślał, flirtując z nią, całując ją, zachowując się jak podrywacz?

- No, to bierzemy się do roboty - powiedziała, udając, że nie widzi muskularnych ramion Nevady, jego opalonej, nagiej piersi i wyraźnie zarysowanych mięśni brzucha. Postanowiła też sobie, że pozostanie obojętna na widok ciemnych włosów porastających jego plecy przy dżinsach, zdecydowanie zbyt nisko opinających jego biodra. - I może co by na siebie włożył, hm?

- Zakłopotana? - zagadnął, szczerząc białutkie zębiska w beczelnym uśmiechu.

- Moesz sobie pomarzyć, Smith.

- A żeby wiedziała.

Oboje spojrzeli na siebie. Wiatło słoneczne gasło. Przez krzewy mesquite i cedry skradał się zmierzch. Wierszce już zaczęły swój nocny pieśń. Shelby dostrzegła w oczach Nevady chwilę uwiedzenia jej - chwilę niepoohamowaną, autentyczną i potężną.

- Może lepiej nie mówmy o tym - powiedziała, marząc, żeby jej głos był mniej schrypnięty, a gardło nagle nie zrobiło się suche niczym zachodnio-tekspi wiatr.

Patrzył na nią, krzywiąc usta. Przez chwilę myślała, że znowu ją pocałuje. W oczekiwaniu na ten pocałunek wstrzymała oddech. Nagle poczuła duszność w płucach.

Przeszedł przez ganek i otworzył przed nią podniszczone drzwi, które zaskrzypiały.

- Wejd , Shelby. Zafunduj ci piwo i wszystko obgadamy.
- Piwo sobie daruj . Lepiej zajmijmy si planem odnalezienia naszej córki.
- Jak sobie yczysz.

Jako w to w tpiła. Nevada nigdy nie nale ał do osób, które słuchaj polece ; wła nie ta cecha charakteru sprawiła, e utracił policyjn odznak . Weszła do rodka, a za ni , z wywieszonym ozorem, Crockett, i, Nevada niemal bezszelestnie.

- Mam black velvet albo Jacka danielsa - zaproponował, otwieraj c staromodn szafk przy frontowych drzwiach.
- Mowy nie ma.

Wyci gn ł opró nion w połowie butelk , whisky.

- Perrier? Chardonnay?
- Bardzo mieszne. We my si do roboty.
- Dobrze. - Odstawił butelk , a ona rozejrzała si po małym pomieszczeniu.

Było czyste, ale dawno nieremontowane; meble pochodziły mniej wi cej z 1980 roku albo jeszcze dawniejszych czasów. Na stoliku wały si gazety i magazyny z poobgryzаныmi rogami. Nevada zaprosił swojego go cia na niegdy br zow kanap - i dokładnie w tym momencie zadzwonił telefon.

Nevada pomaszerował do kuchni, chwycił słuchawk , zanim zabrzmiał trzeci dzwonek, i powiedział krótko: Smith. Powoli sadowi c si na skórzanym oparciu kanapy, Shelby widziała, jak sztywnieje ka dy mi sie jego ciała.

- Która wyspa? - zapytał. Rozejrzał si , gdzie jest Shelby, i odt d nie spuszczał z niej wzroku.

Poczwała, e po plecach cieka jej stru ka potu.

- I ju nie praktykuje? - zapytał Nevada.

Serce bił jej jak młotem. Czy by mówił o doktorze Pritchardzie? Natychmiast si poderwała i podbiegła do Nevady; mnóstwo pyta cison ło jej si na usta.

- ...jest pan pewien? Tak? Och. - Jego głos przycichł, a twarz st ała z irytacji. - Domy lałem si tego. Dzi kuj .

- O co chodziło? - zapytała, gdy tylko odło ył słuchawk .

- Dobre i złe wie ci.

- Najpierw te dobre.

- To był mój przyjaciel, ten prywatny detektyw. Mówiłem ci ju , e zadzwoniłem do niego i poprosiłem, eby poszperał tu i ówdzie. On chyba uwa a, e doktor, który odbierał poród, przebywa gdzie na Karaibach.

- Ale nie jest tego pewny?

- Wci bada t spraw .

- Sk d wie? - zapytała.

- Nie pytaj. Po prostu wie, dobra?

- Posłuchaj, Nevada. Ja chc mie tylko pewno , e on jest całkowicie uczciwy.

- Zale y.

- Od czego?

- Od tego, co rozumiesz przez poj cie uczciwo ci.

- Chc wiedzie , czy on nie jest na bakier z prawem.

- To ma jakie znaczenie?

- Tak!

- Dlaczego?

- Nie mogł uwierzyć, że kłócimy się o coś takiego. Kiedy odnajdziemy Elizabeth, nie chcemy żadnych przekrętów, żadnych... żadnych niezgodnych z prawem sztuczek, które mogłyby mi, nam uniemożliwić zobaczenie się z nią.

- Nie zapierzaj się tak. To mój stary kumpel z wojska. Przez jakiś czas pracował dla CIA, a teraz jest wolnym strzelcem. Jeśli ktokolwiek potrafi namierzyć Pritcharda albo Elizabeth, to właśnie nie on. Przecież tego chciała, prawda?

- Tak, ale...

- No to musisz z tym żyć.

- Kim on jest? Zakładam, że ma jakieś nazwisko.

Nevada chwycił ją za nagie ramiona swoimi dużymi, stwardniałymi dłońmi.

- Nie chcesz poznać złych wieści? - Nagle zrobił się miertelnie poważny i miśnie jego twarzy jakby zastygły.

- Jakich?

- Ross McCallum wyszedł z więzienia. - Zmarła. Poczuliśmy, że robi jej się niedobrze. - Już jest w Bad Luck.

Zupełnie się załamała. Gdyby nie podtrzymała jej dłonie Nevady, chyba zaczęłaby dygotać. Wysiłkiem woli odzyskała spokój. McCallum nie mógł jej zaszkodzić. Nie odważyłby się.

- Twój przyjaciel z rozmowy telefonicznej też o tym wiedział?

- Nie. Sam się o tym dowiedziałem, dzisiaj rano. Shep Marson był na tyle uprzejmy, że mnie poinformował.

- Shep Marson nigdy nie jest uprzejmy - odparła Shelby, czując wewnątrz trzask. Marson i McCallum, dwie złe wiadomości. Wydostała się z uścisku Nevady. Nie chciała, żeby jej dotykał.

- Trudno temu zaprzeczyć. Ludzie mówią, że będzie się ubiegał o posadzenie szeryfa w następnym wyborach.

- Wierzę. - Shelby weszła do pokoju i znów przysiadła na kanapie. - Chyba zmieniłam zdanie. Teraz chciałabym się czegoś napić.

A więc to było Bad Luck w stanie Teksas!

Katrina Nedelesky gwałtownie wcisnęła hamulec swojego forda escorta i doszła do wniosku, że żadna inna miejscowość na tym pastwisku nie nosi trafniejszej nazwy. Bad Luck było małe, prowincjonalne, całkowicie pozbawione charakteru i nadziei na rozwój.

Dwie, trzy uliczki ze sklepami, jedna stacja benzynowa, garstka tawern i tyle samo kociół wokół centrum miasteczka, które było skądś w słowach, zmierzona i wyblakła. Informacja, że Bad Luck jest oddalone o kilkaset kilometrów od Dallas, okazała się niecisła. W gruncie rzeczy należało mówić o dystansie lat świetlnych.

Katrina miała wrażenie, że cofnęła się w czasie o jakieś pół stulecia.

- Jako że przebolejesz - burknęła do siebie i, zerkając w małe lustro, pomalowała usta szminką, która musiała roztopić się w tym upale. Klimatyzacja w jej fordzie była do niczego, a chłodnica wydawała dziwne, syczące dźwięki, ale ten mały samochód musiał wytrzymać jeszcze tylko kilka miesięcy, potem Katrina zamierzała go zmienić na nowe porsche albo bmw, albo nawet kabriolet mustang - w każdym razie na coś z klasy, auto, które będzie przekazywało przejrzystą treść: „Niech cały świat patrzy, oto przybyła Katrina Nedelesky!” Załatwi sobie tablice rejestracyjne z jakimś napisem. I nie będzie to napis: Bad Luck.

Mimo wszystko Bad Luck w stanie Teksas na razie miało być dla niej przepustką

leniwy punkcik na mapie i wi ca si z nim prawie dziesioletnia tajemnica morderstwa powinny jej przynie zału on sław , wydoby j z długów i pomóc załatwi stare porachunki. A wszystko to za jednym zamachem.

Nie mogła si tego doczeka !

Jej ubranie w tym upale wygl dało okropnie i modliła si , eby gdzie w okolicy był motel. Gardło miała wyschni te i była wyko czona wielogodzinna jazd . Poprawiła włosy i wygramoliła si z samochodu. Zapadł zmierzch i kilka latami ulicznych ju wieciło, przyci gaj c owady i zalewaj c główn ulic sztucznym, bł kitnym blaskiem.

To niewiele pomagało. Bad Luck potrzebowało czego wicej ni łagodnego o wietlenia; ono wymagało radykalnego liftingu. Chocia mieszka cy tej cz ci stanu woleliby tego nie przyznawa , w przypadku Bad Luck sprawdzało si stare powiedzenie, e gdyby kto , mijaj c miasteczko, mrugn ł okiem, zapewne w ogóle by go nie zauwa ył.

Tu za rogiem, obok apteki, dostrzegła stary pał do przywi zywania koni. Na miło bosk , czy tu naprawd nikt nie słyisał o nastaniu nowego tysi clecia?

Przeszła przez ulic w kierunku małego sklepu spo ywczego. Wiatr podwiewał jej spódnic , a za charz c furgonetk z brzoskwiniami przejechały jakie dzieciaki na rowerach. Trzech nastolatków stało w zawadiackich pozach pod oknami i paliło papierosy. Popatrzyli na Katrin , kiedy pchn ła drzwi. Gor ce powietrze młócił wiatraczek zamontowany w miejscu dawnego okienka. Przy d wi kach hiszpa skiej muzyki i pisków w radiu kilku klientów ogl dało półki wypełnione tak zwan tani ywno ci i małymi pojemnikami z artykułami pierwszej potrzeby.

Przy cianie z tyłu stała starodawna lodówka, w której mroziły si puszki z col i piwem. Katrina wyj ła puszk Dr Pepper. Poczwała orze wiaj ce chłodne powietrze i od razu poprawił jej si nastrój.

Kobieta za lad była Latynosk , podobnie jak połowa klientów w tym malutkim sklepie. Nagle Katrina doznała ol nienia, jakby kto d gn ł j no em. Dlaczego nie zauwa yła tego wcz niej? Ale miała głupie szcz cie! Zapłaciła za swojego dr. Peppera i torebk cukierków M&M, a potem przeszła obok półek, na których stały proszki w małych pudełkach, do frontowych drzwi. Na zewn trz przeczytała r cznie malowany napis na szyldzie nad oknem: U ESTEVANA.

Takie samo nazwisko jak Ramón Estevan.

A zatem takie samo nazwisko, jak nazwisko m czyzny, który został zamordowany i którego zabójca wła nie został uniewinniony.

- Dzi ki ci, Bo e - wyszeptała pod nosem i postanowiła, e przynajmniej przez dzie , dwa b dzie rozgrywała spraw spokojnie.

Otworzyła puszk dr. Peppera i poci gn ła długi łyk. Nikt jej tu nie znał i nikt nie wiedział o jej osobistym zaangażowaniu. Postanowiła, e ma tak by przez jaki czas. Udaj c, e czego zapomniała, pow drowała z powrotem do sklepu i ruszyła w stron kasy.

Nie zwracaj c uwagi na dzienniki z San Antonio i Dallas, kartkowała kolejne magazyny, skupiaj c si na blyszcz cych stronach, a jednocze nie nadstawiała uszu. Jaki nieogolony m czyzna z siwiej cym kucykiem i zaniedbanymi z bami kupił papierosy i sze ciopak piwa. Niewiele mówił, ale zwrócił si do kobiety per Vianca.

Katrina starała si ukry u miech. Lukratywny interes. Vianca Estevan, jedyna córka Ramóna Estevana. Miała blyszcz ce czarne włosy, wyraziste oczy, pełne wargi i pi kne rysy twarzy. Flirtow

jednocześnie nie wydawała reszt i zerkała w lustro, żeby sprawdzić, czy ktoś nie kradnie towaru.

A zatem gdzie była ona? Matka Vianki - jak ona się nazywała? Och, tak, Aloise. adnej starszej pani nie było widać na zapleczu, adna też nie rozkładała produktów na półkach. Pewnie była w miejscowym kościele katolickim albo ukrywała się w domu. Krzyły pogłoski, że u Aloise stwierdzono chorobę psychiczną - odepowiedziano jej mordercą, nie była już sobą. Ale Vianca to coś innego. Energiczna i bystra, potrafiła chyba utrzymać rodzinny biznes, choć Katrina zupełnie, ale to zupełnie nie mogła zrozumieć, w jakim celu. Myślała intensywnie. Czy przypadkiem Vianca nie miała brata? Roberto, tak miał na imię! No, ale dlaczego nie było go w sklepie?

Katrina przejrzała wydanie „Cosmopolitana” sprzed miesiąca, nasłuchując, o czym plotkują klienci sklepu. Połowa rozmów odbywała się w języku hiszpańskim i Katrina w duchu przeklinała swojego nauczyciela hiszpańskiego z liceum, gdy niewiele rozumiała. Nie, żeby te rozmowy były szczególnie ciekawe. Udało jej się dowiedzieć, że w mieście w którym nie urodziły się bliźnięta, że połów ryb w pobliskim jeziorze był bardzo skromny i że po aromal nie zniszczył czyjego domu.

Wielkie mi co.

Już miała wychodzić, kiedy w kocu usłyszała coś, co ją zainteresowało. Człuch rozmowy była po hiszpańsku, ale wyłowiała nazwisko Ross McCallum. Zerknęła przez ramiona i dostrzegła reakcję, której się spodziewała. Oczy Vianki zabłyśły. Zmarszczyła nos.

Katrina wytężyła słuch, ale nie wszystko rozumiała. Jednak emocje mogła się domyślić. Zauważyła, że Vianca nie jest zachwycona. Jej liczna buzia nagle się zamurzyła, a ludzie przebywający w sklepie po cichu składali jej wyrazy współczucia.

Katrina podeszła do lady, żeby zapłacić za kilka czasopism; nie zamierzała teraz ich przeglądać, bo rozmowy ucichły. Tak, b dzie musiała wrócić do tego beznadziejnego miasteczka i przeprowadzić wywiady z kilkoma osobami. I to nie tylko z racji wykonywanego zawodu, o nie. Chodziło o coś więcej niż tylko to, że była tutaj na zlecenie magazynu „Lone Star”.

Miała do załatwienia własny interes. Spraw natury osobistej.

Rozdział 6

A niech ci, Nevada Smith. - Shelby wygramoliła się z łóżka i sieknęła. Poczowała, że ból rozsadza jej głowę. Przewracała się z boku na bok całą noc, a w jej myślach przewijały się obrazy Nevady, ojca i dziecka, które oddała dawno temu. Przeładowały ją te inne, straszne wspomnienia, które przez tyle lat starała się wymazać.

Była bardzo spięta, bolały ją usztywnione mięśnie twarzy. Ciągnęła z wieszaka w szafie swój stary szlafrok, rozcierała kark. Rozumiała swój niepokój o córkę, ale uczucia do Nevady były czymś zaskakującym i na pewno niepo danym.

No dobrze, była w nim zakochana dziesięć lat temu.

I co z tego?

Była wtedy jeszcze dzieckiem, a od tamtego czasu upłynęło wiele lat. Wsunęła ręce w ręcznik frotowy podomki, zawiązała pasek, włożyła klapki i stanęła przy oknie.

Nie mogła nie myśleć o Nevadzie - o jego niadej skórze, muskularnej sylwetce i podejrzliwym spojrzeniu. Zapomnij o nim. Patrzyła przez okno na basen. Na tafli wody tańczyły promienie słońca, rozproszone przez gałęzie drzew parka.

Przypomniała sobie, jak kochali się w deszczu, jego twarde, męskie ciało. W powietrzu czuło się wtedy zapach burzy, a młodziutki, naiwny Shelby przepełniała dzika, nieokiełznana dąca. Nie miała pojęcia, jakie skutki będzie miała jej miłość do Nevady. Nie dbała o nie.

Była dziecinny głupek. Skończyła idiotką. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze i zauważyła, że ma rumieńce na policzkach i rozszerzone nienic.

- Nawet nie myślałam o tym - powiedziała do kobiety patrzącej na nią z lustra. Wzięła szczotkę i dźgnęła nią swoje odbicie. - Takiego głupstwa już nie popełnisz. Nigdy więcej.

Doprawdy, ostatni raz, jakiej potrzebowała, był związek z kimś, zwłaszcza z jakimś ałosnym kowbojem. To wykluczone. Absolutnie niemożliwe. Wiedziała, czego chce w życiu i jakiego mężczyzny szuka. Z pewnością nie gburowatego, biednego kowboja w zakurzonych dżinsach i wyblakłym T-shirtcie. Już raz miała z kimś takim do czynienia.

Jeżeli w ogóle się z kimś zwiąże, to z jakim dobrze prosperującym biznesmenem, właścicielem firmy, z facetem, który będzie chodził do pracy w garniturze, a w domu wkładał czyste spodnie - przy tym czarującym i wytwornym, i wykształconym, do jasnej cholery.

Gniewnie rozczesywała włosy. Dlaczego w ogóle myślała w ten sposób? Kiepsko spała, no i co z tego? Pocałował ją, wielkie rzeczy. Innym kobietom zdarza się to na co dzień. Czym tu się przejmowa? Znowu wyjrzała przez okno.

Potrzebowała jakiegoś odprężającego zajęcia, żeby oczyścić umysł. Kiedy jeszcze mieszkała w rodzinnym miasteczku, znakomicie pomagała jej jazda konna albo pływanie. W Seattle zaczęła biegać wczesnym rano, nawet w deszczu czy przy silnym wietrze; potem w nagrodę wstąpiła do lokalnej kafejki i zamawiała kawę espresso; w końcu szła do biura.

W tutejszym upale jogging nie miał sensu. Bardziej kusiąca poranna chłodna woda w basenie.

Nie namyślała się długo.

Przejrzała zawartość szafy i znalazła jednoczęściowy kostium kąpielowy, wciągnęła go na siebie. Zdjęła szlafrok i piąmkę, włożyła kostium, spięła włosy i znów narzuciła szlafrok. Zabrała ręcznik z łazienki i zbiegła po schodach. Powitał ją aromat mocnej kawy i brzęk naczyń.

- *Ni a* - Lydia uśmiechnęła się od ucha do ucha na jej widok. - Chcesz popływać?

- Tak, pomyślałam, że to dobry pomysł. - Shelby nalała sobie kawy ze szklanego dzbanuszka.

- A potem śniadanie? Wafle, brzoskwinie i truskawki. Twój ojciec pojechał do miasta, do swojego biura, ale powiedział, że wróci, a wtedy coś mu przyrzadź.

- Rano przejechała nie tylko pijąc kawę - odparła Shelby, kręcąc głową. Zauważyła jednak rozczarowane spojrzenie Lydii i westchnęła. - Jasne, czemu nie, ale ja naprawdę przyzwyczyłam się do tego, że rano piję tylko espresso albo latte. Na północnym zachodzie to normalne.

- Ale teraz jesteś w domu.

- Hm, na jaki czas. - Wyszła z filianki na dziedziniec i dopiero wtedy poczuła, jak ciepły jest poranek. Postawiła kawę na stoliku, zostawiła ręcznik i szlafrok przy basenie i skoczyła.

Woda była tak chłodna, że przez chwilę nie mogła złapać tchu. Zaczęła płynąć, wykonując swobodne, zamasztywane ruchy. Czuła, jak pulsuje w niej krew i przejeżdża jej się w głowie. Niebo było bezchmurne, słońce świeciło jasno, w drzewach nad czubkami drzew. Ruch, oddech, ruch, ruch, oddech. Zł

rozmyła o czekającym ją dniu. Zadzwoiła do Nevady, zdobyła nazwisko jego prywatnego detektywa i postarała się ustalić, gdzie mieszka ten tchórz, doktor Pritchard. Na pewno mogłaby go zabrać do siebie - hm, może nawet już ją utracił. Shelby nie kierowała się pragnieniem zemsty, lecz tym, co wiedziała.

A więc bieżąca musiała zobaczyć się z Nevadą jeszcze raz. No cóż, to nieuniknione. Jest przecież ojcem jej dziecka.

Ale czy na pewno?

Wzdrygnęła się. Nie wolno jej tak myśleć. Nie będzie myślała w ten sposób.

Ruch, ruch, oddech.

Ale istnieje możliwość, że ojcem Elizabeth jest Ross McCallum.

Zgubiła rytm. Zrobiło jej się niedobrze i poczuła, że zaraz zwymiotuje. Nie! To niemożliwe. To się nie mogło stać.

Musisz być uczciwa, Shelby. Czy nie tego oczekujesz od innych?

Ruch. Ruch. Skoncentruj się na czymś pozytywnym.

Możliwe, że Ross McCallum...

- Nie, do diabła! - wrzasnęła, dopłynęła do płytkiej części basenu. Potrzebowała głębi, tak że kropelki wody w jej włosach rozpryskały się na wszystkie strony, i oparła się o wyłożone kafelkami krawężel basenu.

- Co nie? - zabrzmiał głos Nevady. Wpadła w popłoch. Przez chwilę myślała, że ma przywidzenia, ale Nevada naprawdę stał obok stolika ze szklanym blatem. Kawa parowała nad filiżanki. Zasłonił oczy okularami przeciwsłonecznymi. Miał na sobie czyste levisy i białą koszulę, której rękawy zawiniął do łokci. Był ogolony i zaczesał włosy do tyłu, chociaż podejrzewała, że za chwilę znowu mu się zwichrzę. Pamiętała, że przeświadczenia nie opadały mu na oczy niesfornymi chłopcami czuprynami.

- Co ty tutaj robisz?

- Wczoraj odjechała tak nagle.

Fakt. Usłyszawszy, że Ross McCallum wrócił do Bad Luck, Shelby szybko wymamrotała pod nosem jakie usprawiedliwienie, wybiegła z domku Nevady, wsiadła do wynajętego cadillaca i zdenerwowana, odjechała w obłoku kurzu. Jej współpraca z Nevadą była trudna, ale perspektywa spotkania z Rossem McCallumem wydawała się koszmarem. Wprawdzie wiedziała o uniewinnieniu McCalluma, ale na myśl o tym, że dra przebywa w Bad Luck, robiło jej się słabo.

- Byłam wytręconą z równowagi - odparła, podciągnęła się na krawężel basenu. Wycisnęła włosy i chwyciła ręcznik, a potem zmrużyła oczy i popatrzyła na swojego gościa. - Nie odpowiedziałe na moje pytanie. Co tutaj robisz?

- Myślałem, że jesteście partnerami.

- Partnerami? - Natychmiast zrobiła się podejrzliwa. Potem zrozumiała, o co chodzi. Wytarła się ręcznikiem, czując na sobie jego wzrok. - Aha.

- Tak. Jeśli chodzi o odnalezienie naszej córki.

Naszej córki.

- To był twój pomysł.

- Wiem. - Otarła twarz ręcznikiem i sięgnęła po szlafrok, starając się nie myśleć, kto naprawdę jest ojcem. - Masz jakieś wiadomości? I kim jest ten prywatny detektyw? Zakładam, że ma jakieś nazwisko.

- Bill Levinson. I nie mam żadnych wieści. Ale wczoraj wyszła bez planu działania.

Wkładając ręce w rękawy szlafroka, Shelby podeszła bosą do stolika. Nevada był wyszy od niej prawie o głowę. Próbowała nie zwracać uwagi na jego długie nogi, szerokie ramiona, szczupły brzuch. Przypomniała sobie, jak wczoraj ją chwycił i pocałował, i jak przyparł do ściany. Był niczym drapieżnik, który atakuje niczego nie podejrzewającą ofiarę. Już na samym początku o nim zapierało jej dech w piersiach. Ostatniej nocy przez wiele godzin wracała myślami do tego jednego, oszałamiającego pocałunku. Chrzęknęła.

- A ty go masz?

- Chyba tak.

Tyłne drzwi otworzyły się i stanęła w nich Lydia z tacą w ręku.

- Przyniosłam ciadanie - wyjąknęła, uśmiechając się szeroko. - Dla dwóch osób.

Nevada już miał protestować. Shelby to wyczuła.

- Posłuchaj, nawet nie próbuj się wymigać. Lydia wypełnia misję: pilnuje, aby kiedyś w promieniu piętnastu kilometrów otrzymywał więcej niż sto procent dziennego zapotrzebowania na substancje odżywcze i wszelkiego rodzaju kalorie.

- Ale...

- To prawda - przyznała Lydia, uśmiechając się z dumą; w złocistych nakryciach odbijały się promienie porannego światła.

- A więc wsuwaj - powiedziała Shelby do Nevada i pomogła Lydii nakryć do stołu. Po kilku minutach na szklanym blacie znalazły się dwa półmiski, a na nich wafle z cukrem pudrem, owoce, paski bekonu oraz sok pomarańczowy, woda i dzbanek z kawą. - Lydio, to wygląda cudownie - pochwaliła Shelby, podczas gdy starsza pani kładła przy talerzach sztuczne owinięte haftowanymi serwetkami. Na środku stołu postawiła mały wazonik z różami.

Nevada pokiwał głową.

- To naprawdę wygląda wspaniale.

- *Gracias*. - Lydia poczerwieniła z zadowolenia i odwróciła się w stronę kuchni, a potem dostrzegła ogrodnika przy trelii, gdzie powojnik był obsypany fioletowymi płatkami. Ogrodnik trzymał w rękach nożyce i przycinał wywółot. - Przepraszam - mruknęła Lydia i odeszła zamaszczonym krokiem, bez wątpienia po to, aby obsztorcować biedaka za złe traktowanie krzewów albo kwiatów.

- Zamiast lepiej się nie spierać o jedzenie - oświadczyła Shelby, wgrzyzając się w wafle pokryte brzoskwiniami i ociekające syropem o zapachu cynamonu i gałki muszkatołowej. - Wiesz, zaskoczyło mnie, że tu przyszedłeś. - Zerknęła na Nevada. - Ze względu na ojca.

- Nie mów, że byłbym niemile widziany?

- Złamałoby ci to serce? - droczyła się.

Zawahał się.

- Ja nie mam serca. - Przez chwilę patrzył jej w oczy. - W końcu razem tak mi powiedziano. - Przynal się do Shelby, a ona przypominała sobie ich burzliwą rozmowę i gniewne słowa pod jego adresem. - Nie, aby to było specjalnie ważne. I chociaż różniły się zdaniem w wielu sprawach, pomyślałem, że powinienem z tobą porozmawiać.

- Na przykład o czym? - Nagle straciła apetyt.

- Przypu my, e odnajdujemy Elizabeth.

- Odnajdziemy j . Odnajd j .

- I co wtedy? Co zamierzasz zrobi ? - zapytał, mru c oczy.

- Spotkam si z ni .

- To znaczy, e spotkasz si z jej rodzicami.

- Raczej z jej przybranymi rodzicami - poprawiła i, nastroszona, wbiła widelec w wafelek, a potem wło yła kawałek do ust.

- I co potem? - naciskał, nadziejaj c na widelec kawałek brzoskwini. - A je li oni nie zgodz si na spotkanie z tob ? Albo pójd do s du, eby ci uniemo liwi kontakt z ni ? A je li twoja obecno b dzie szkodliwa dla niej albo dla jej rodziny? Czy w ogóle si nad tym zastanawiała ? - pytał mi dzy jednym k sem a drugim.

Miała wra enie, e wafel w jej ustach zamienił si w piach. Z trudem przełkn ła i poczuła, e robi jej si niedobrze. Powracały w tpiwo ci, które nie pozwalały jej zasn tej nocy.

- Oczywi cie.

- Ale mimo to post pisz tak, jak uwa asz za stosowne.

- Tak. - Odło yła widelec. - Ale nie musisz si w to anga owa , Nevada. Nikt tego od ciebie nie wymaga.

- Nie o to mi chodziło. Chciałem tylko, eby rozwa yła spraw ze wszystkich stron.

- Rozwa yłam. Wiele razy. Uwierz mi. Ten problem sp dza mi sen z powiek. Ale musz to zrobi . - Bezwiednie zahaczyła kciukiem o poły szlafroka i zorientowała si , e lekko odsłoniła piersi. Chryste, co za absurd: siedzi sobie półnaga, je niadanie z dawnym kochankiem i rozmawia o dziecku, które do niedawna uwa ała za zmarłe. Zakryła si szczelniej szlafrokiem. - Pora naprawi to, co si stało... a poza tym chc przynajmniej si z ni zobaczy . - Mówiła teraz nieco ciszej, pod wpływem emocji. - Spojrze jej w oczy.

- Przytuli j ? - zapytał, przyprawiaj c j o dr enie.

O Bo e, tak. Chc przytuli swoje dziecko. Przytuli je i nigdy nie wypu ci z obj .

- Je eli... je eli to b dzie mo liwe.

Uniósł ciemn brew, tak e było j wida mimo okularów przeciwsłonecznych, ale nic nie odpowiedział. Shelby wmusiła w siebie jeszcze kilka k sów, zupełnie jednak straciła apetyt i wiedziała, e czeka j matczyrna reprimenda Lydii.

- Co mówi twój ojciec? - zapytał Nevada po długiej ciszy, zakłócaney tylko trzepotaniem ptasich skrzydeł w koronach drzew p ka i szcz kiem sztu ców.

- Niewiele. Zacz ł od tego, e wszystkiego si wyparł, a teraz unika rozmów na ten temat.

- Chcesz, ebym z nim porozmawiał?

- Nie! - odparła gwałtownie i zaraz ugryzła si w j zyk, bo zobaczyła napi te yły na jego szyi. - My l , e... lepiej b dzie, jak sama to załatwi .

- W porz dku, ale naprawd chc pomóc.

- Dzi ki. - Starła si , eby w jej głosie zabrzmiała cho odrobina entuzjazmu, ale w kwestiach dotycz cych jej ojca była pewna, e działa wi cej ni Nevada Smith, m czyzna nazywany przez s dziego bezu ytecznym, zarozumiałym miesza cem, m czyzna, który jako nastolatek woził siano i zaganiał bydło s dziego, ale został wylany, bo wdał si w bójk z szefem grupy, m czyzna, który kiedy stał przed jej ojcem na sali s dowej. - Ja b d rozmawia z tat .

- Daj mi znać, jeśli zmienisz zdanie. - Nevada przeciągnęła się na krześle, długo się rozglądała dookoła, a potem zahaczyła kciukiem o szlufkę dżinsów. - Jak tylko czegoś się dowiesz, zawiadom mnie.

- Dobrze. Ty też. - Wsunęła klapki i odprowadziła go do bramy. Nie umiała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz Nevada odwiedził ją w jej domu. Może nigdy go u niej nie było?

Zatrzymał się przed domem. Naprzeciwko głównej bramy stał jego zakurzony, pełen wgnieceń pikap, symbol życia, jakie przypadło mu w udziale.

- Aha, Shelby... - Odwrócił się i wyciągnął rękę, jakby chciał jej dotknąć. Ale nie pogłodził nagiego ramienia i opuścił rękę. - Jeśli Ross McCallum kiedyś próbował się z tobą skontaktować albo kiedyś cię nachodził...

- Nie kiedyś - odparła z naciskiem w głosie.

- Może nie. Ale jeśli kiedyś, masz mi o tym powiedzieć. - Nagle twarz Nevada stała się płaska, a usta przypominały cienką, prostą linię.

- Dam sobie radę z Rossem.

- Czy by? - Poczuli na sobie spojrzenie jego zakrytych ciemnymi szklami oczu i się zarumieniła. - Dotychczas nie dawałaś sobie z nim rady.

- W ciągu ostatnich dziesięciu lat wiele się zmieniło. Ty i ja również się zmieniliśmy.

- Tak, ale McCallum siedział w więzieniu. Domyślałam się, że pobyt w zamknięciu nie wpłynął na niego korzystnie. Pewnie stał się jeszcze podłej jakości.

- Naprawdę? - zapytała, zmuszając się, wbrew temu, co czuła, do uśmiechu i beztroskiego tonu. - No, to mam dla ciebie wiadomość, Nevada: ja też.

Za nią się i wsiadł do pikapa.

- No tak, jasne - zadrwił. Właśnie czył zapłon i powoli ruszył, opierając ramiona na otwartym oknie. - Jesteś podła jak ranna niedźwiedzica, którą włączyła się rozdzielona z jej dziećmi.

Posmutniała.

- Masz rację. - Był bardzo blisko prawdy. Była rozdzielona z Elizabeth przez dziesięć lat, stanowczo za długo.

- Nie chciałem...

- Nie ważne. - Usłyszała warkot mercedesa dokładnie w chwili, gdy samochód pojawił się na końcu podjazdu. Odebrała go podszedł jej do gardła i kiedy Nevada spojrzała na niego, natychmiast zerknęła za siebie. Zobaczyła auto swojego i zacisnęła zęby. - Właśnie z nim miałem nadzieję się spotkać. - Wygasił silnik.

- Nie... - Potrzebowała głosu. Pora nie była odpowiednia na starcie między Nevada i jej ojcem, ale drzwi Forda już się otworzyły i Nevada wysiadł na wyasfaltowany podjazd, gdy tymczasem Red Cole zwolnił i opuścił szybę po swojej stronie.

- Słuchaj. - Nevada lekko skinęła głową, zakładając ręce na piersi.

- Mnie szukasz? - Red Cole cisnął koniec cygara między zębami. Zapach tytoniu kłócił się z wonią róży i kapryfolium w ogrodzie.

Shelby rozpoznała najbardziej protekcyjny uśmiech ojca.

Nevada stał obok niej, prawie jej dotykał.

- Przyjechałem zobaczyć się z Shelby, ale myślałem, że dobrze byłoby, żebyśmy porozmawiali.

- Czy by? - Słuchając zerknęła na córkę i przestał się ironicznie uśmiechać, kiedy zauważyła, że jest na wpół rozebrana. - Co mi się wydaje, że powinieneś być ze mną rozmawiać jakieś dziesięć

pogawędki, kiedy się z nią wykradała.

- To był mój wybór - wtręciła się Shelby.

Ale się dźbia skupiał wzrok na Nevadzie i kiedy znowu przemówił, usta, w których trzymał cygaro, ledwo się poruszały.

- Nie mam ci nic do powiedzenia, Smith. I nigdy nie miałem. Stań tylko, bo za bardzo ci pobłądłem, gdy zaciągnę to ci na rozprawę u mnie. Powinienem być porządnie dawać ci w kość, kiedy byłeś bystrym, aroganckim dzieciakiem, powinienem był skazać ci na więzienie, zamiast dawać ci szansę, chociaż narobiłeś tyle kłopotów, czy proponowałeś pracę na moim ranchu.

- Zdaje się, że zapomniałem panu podziękować - wycedził Nevada.

Twarz się dziegocinowo poczerwieniała.

- Zgadza się. Z wyrokiem nigdy nie dostałby tej pracy w Biurze Szeryfa, nigdy nie okryłby się wiśniętym i nie został wywalony na zbity pysk, i nigdy nie zacząłby się zadawać z Shelby! - Obrzucił córkę potężnym spojrzeniem. - I nie musielibyśmy szukać wyjścia z tak kłopotliwej sytuacji, w jakiej teraz jesteśmy.

- Może i nie musielibyśmy, gdyby wtedy powiedział pan Shelby prawdę. A chodziło o pana własnego wnuczka. - Skóra na policzkach Nevady naprężyła się jeszcze bardziej. - Zastanawiam się tylko dlaczego.

- Zrobiłem to, co uważałem za najwłaściwsze.

- Co mi się zdaje, że gdyby sprawa wyszła na jaw, byłby pan w tarapatkach. Ucierpiałaby nie tylko pańska reputacja, ale i etyka zawodowa. Istnieje prawo dotyczące fałszowania takich dokumentów jak akty urodzenia i akty zgonu, sędzio.

- Nie zasiadam już w sądzie i nie prowadzę praktyki - odparł ojciec Shelby, patrząc na niego spokojnie.

- Ale mógłby pan skończyć w więzieniu. - Nevada nie zamierzał traktować starego człowieka ulgowo. - Z tego, co słyszałem, McCallum wyszedł na wolność, więc wolna cęła się znajdzie.

- Ty się nigdy niczego nie nauczysz, co, Smith? Tyle narobiłeś kłopotów i wciąż nie masz pojęcia, kiedy przestać naciskać, kiedy trzymać swój łosnąg b na kłódkę, kiedy...

- Dość tego! - przerwała Shelby. - Nevada przyjechał tu z samego rana, ponieważ... ponieważ będzie mi pomagał odnaleźć Elizabeth.

Jej ojciec poruszył nozdrzami, jakby poczuł brzydki zapach. Przesuwał cygaro z jednego kęciaka ust w drugi.

- Oboje popełniacie wielki błąd.

Nevada kiwnęła głową.

- Może liwe. Ale myślimy, że powinniśmy spróbować. Chciałbym wiedzieć, czy mam gdzie córkę.

Sędzia spojrział w oczy Shelby, a ona z trudem przełknęła ślinę, walcząc z coraz większymi wstępliwociami. W głębi duszy błagała go, aby nie poruszał trudnego tematu ojcostwa Elizabeth. Nie tutaj. Nie w tym momencie.

- A więc nie powiedziała mi, co? - zapytał. Ale zaraz spochmurniał, a w jego oczach pojawił się smutek. - Do diabła, ale zamieszanie.

Shelby czuła, jak sztywniej jej plecy. Nie miała w zwyczajnie unikać walki, teraz jednak było jej ciężko, cholernie ciężko.

- Co powinna być mi powiedzieć? - spytał Nevada.

- Chryste miłosierny. Pasuj ci tylko prawdziwo wiarygodne informacje, Smith! - Sędzia wyjął z ust cygaro. - No, ale to jest akurat w twoim stylu, kiepskie informacje i wiadomości, na których nie mo

- Mówi pan o Calebie Swaggercie.

- Jasne, e o nim.

- On kłamał.

- A teraz odnalazł Jezusa i prawd czy jak jej odmian . Wiesz, e zamierza sprzeda swoj histori prasie? -
Łysiej ce czoło s dziego si zmarszczyło.

- Co takiego?

- Stary Caleb udzielił wywiadu czy czego równie nonsensownego magazynowi „Lone Star”, a przynajmniej tak mówili w kawiarni dzisiaj rano.

- Dlaczego miałby to zrobi ?

- Dla pieni dzy.

- On umiera. - Nevada zmru ył oczy.

- To niewa ne. Jeszcze nie umarł i ten stek kłamstw, który doprowadził McCalluma do wi zienia, teraz zamieni si w złoto. - S dzia si skrzywił. - To znów twój problem i twoja wina, Smith.

- Moja wina?

- Pomogłe przykn McCalluma, a teraz to wszystko kupy si nie trzyma. Wła nie do takich sytuacji dochodzi, kiedy bierze si na wiadków włócz gów i dziwki. To cud, e Ross McCallum w ogóle został uznany za winnego. Przecie nie znaleziono broni, a on tamtej nocy prowadził twój furgonetk .

- Została ukradziona.

- Tak twierdził ty.

- Zło yłem raport.

- Łatwo to zrobi , kiedy pracuje si dla wymiaru sprawiedliwo ci.

Nevada zacisn ł gro nie usta.

- Wi c uwa a pan, e Ross McCallum jest niewinny? - Pod koszulk Nevady wida było napi te mi nie.

- Niewinny? Jasne, e nie. Jest bezwzgl dnie winny, ale teraz to bez znaczenia, prawda? Bo stary Caleb piewa inn piosenk i ma nadzieję dosta si do raj. O ile znam si na paragrafach, nie mo na skaza człowieka za t sam zbrodni dwa razy. W wietle prawa Ross McCallum jest wolnym, a mo e i niewinnym, człowiekiem. Rany boskie, ale cyrk. - Podniósł szyb i wł czył silnik. Srebrny samochód przejechał po wysadzonej wawrzynami alejce; drzwi gara u gło no szcz kn ły i zacz ły si otwiera .

Nevada nie powiedział ju ani słowa, ale wokół jego ust pojawiły si jasne bruzdy, kontrastuj ce z opalon skór i kiedy odprowadzał wzrokiem mercedesa, wygl dał na bardzo rozzłoszczonego.

- O co mu chodziło, kiedy mówił, e znam tylko cz tej historii? - zapytał, odwracaj c si do Shelby.

- Po prostu jest w ciekły, e Ross McCallum wychodzi z wi zienia.

- Nie próbuj ze mn pogrywa .

- Gdzie bym miała.

- Twój ojciec uwa a, e co przede mn ukrywała .

- Mój ojciec uwa a wiele rzeczy.

Wydawało si , e Nevada ma ochot dalej si kłóci , ale zerkn ł tylko na zegarek i jeszcze bardziej si nachmurzył. Frustracja pogł biała bruzdy na jego twarzy.

- Pogadamy pó niej. Tymczasem spróbuj ustali list ludzi, którzy mogli ci wysła

Elizabeth.

- Ju nad tym pracuj - przyznała. Prawd mówi c, przez cała podróż samolotem zastanawiała si , kto mógłby chcie si z ni skontaktowa i dlaczego zrobił to po tylu latach, akurat w tym samym tygodniu, w którym Ross McCallum odzyskał wolno . - Chciałabym porozmawia z twoim przyjacielem... tym prywatnym detektywem, którego wynaj łe .

- Powiem mu, eby do ciebie zadzwonił.

Zacz ła si op dza od osy, która nagle pojawiła si nad jej głow .

- My l , e lepiej b dzie, je li to ja do niego zadzwoni - odparła stanowczo.

Nevada si zawahał.

- Powiedziałem ci, e dam mu zna , eby do ciebie zadzwonił.

- Ty mi nie ufasz. - Poraziła j ta my l.

- Wła nie, Shelby. Nie ufam ci. I naprawd nie przychodzi mi do głowy aden powód, dla którego miałbym ci ufa . Mówiłem, e dam mu zna , eby do ciebie zadzwonił, i zrobi to.

- Ale...

- Jak ju powiedziała mi elokwentnie, „wypchaj si ”.

Potrz sn ła głow i rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Ale z ciebie dra !

- No.

- I w dodatku jeste najbardziej irytuj cym facetem w całym stanie.

- Pewnie tak. - Wgramolił si do samochodu, uruchomił silnik i zdecydowanym ruchem wrzucił bieg. - Ale je li ci to pocieszy, potrzebowałem wielu lat praktyki, eby zdoby ten tytuł.

- Id do diabła.

- Ju u niego byłem. - Wyszczrzył z by w beczelnym u miechu, który j rozw cieczył. - Szczerze mówi c, niejeden raz. - I wcisn ł pedał gazu.

Patrzyła, jak stary ford nabiera szybko ci na zacienionej alejce, a potem bezsilnie zacisn ła pi ci i odwróciła si na pi cie. On nie mo e na ciebie wpływa , Shelby, nie uda mu si to, je li mu na to nie pozwolisz, pomy łała. Weszła do domu i skierowała si wprost do gabinetu ojca, do sanktuarium, w którym nie była mile widzianym go ciem. No có , teraz stare reguły nie obowi zywały.

S dzia Red Cole siedział za biurkiem, trzymaj c na nim nog w bucie; odchyłał si na krze le do tyłu, rozmawiaj c z kim przez telefon.

- ...Nie obchodzi mnie, co musisz zrobi , po prostu sprzedaj reszt jednorocznych albo... - Podniósł głow i zauwa ył przypatruj c mu si Shelby. - Posłuchaj, oddzwoni do ciebie. - Odłoy słuchawk i zach cił gestem r ki, eby usiadła na jednym z mi kkich, obitych skór krzeseł po drugiej stronie biurka. - Usi d . - Załoy r ce na wydatnym brzuchu. - Co ci gryzie?

- Zdaj sobie spraw , e to przypomina walenie głow w mur, ale chciałam da ci jeszcze jedn szans , eby ze mn szczerze porozmawiał. Byłoby o wiele łatwiej, gdyby powiedział mi wszystko, co wiesz o Elizabeth.

- Ju to zrobiłem.

- No, to gdzie jest doktor Pritchard?

- Na emeryturze. Ostatni raz słyzałem, e przebywa we Florida Keys. Łowi ryby i

stała. Miał różne dziwne wyobrażenia o tropikalnym raj.

- I nigdy ci nie powiedział, kto zaadoptował moją córkę?

- Nie - odparł stanowczo sędzia.

- No, ale ty nigdy go nie zapytałaś, prawda?

- Zdaje mi się, że już o tym rozmawialiśmy - burknął lekceważąco. - Musisz to jako przeboleć, użyj swoim życiem. Właśnie nie słyszałaś, jak rozmawiałem ze swoim pomocnikiem o sprzedaży ci bycia. Jest ku temu powód. Uzgadniałem z moimi prawnikami sprawę mojego testamentu, a ponieważ i tak tu jesteś, pomyślałem, że może chcesz wiedzieć, co w nim jest.

- Co takiego? Nie. To znaczy, będziesz żył długo i nawet nie chcemy leżeć, co się stanie, kiedy umrzesz.

- No cóż, panienko, będziesz musiała o tym pomyśleć - stwierdził - ponieważ ja nie będę żył wiecznie. - Sięgnął do szuflady, a Shelby wstała. - Mam tu gdzieś kopię ...

- Nie musisz jej oglądać.

- Do diabła, gdzie ona się podziała? Powinna wiedzieć. Chciałbym, żeby zadbała o kilka osób, które dla mnie pracowały albo pomogły mi dostać nominację, i żeby zajęła się paroma funduszami charytatywnymi, w które była zaangażowana twoja matka... cholera jasna, gdzie ona jest? - Sapnął i zacisnął usta, a potem zatrzęsł się gniewnie szufladą. - Hm, w skrócie przedstawia się to tak: ty dziedziczysz wszystko. Wiem, że spodziewała się tego, bo jesteś moim jedynym dzieckiem, ale jest pewna zagwozdzka.

- Nie obchodzi mnie to.

- Posłuchaj mnie, dobrze? - Znowu zaczynał wpadać w złość i twarz mu poczerwieniała. - Nie chcę, żeby sprzedała ten dom czy którąś z posiadłości... - Wpiął w nią surowe spojrzenie. - Oczekuję, że zamieszkaż tutaj.

- Co? Och, tato, dlaczego poruszasz ten temat w takim momencie? - zapytała i zauważyła, że jego twarz pojaśniała; jego córka po raz pierwszy od dziesięciu lat przyznała, że on jest jej ojcem.

- Ponieważ to musi być powiedziane, oto dlaczego.

- Ja mam swoje życie w Seattle...

- Masz męża?

- No, nie.

- Chłopaka?

- Nie... już nie. - Oczywiście ci umawiała się na randki i niektóre z nich traktowała poważnie, ale ostatni mężczyzna, z którym była związana, przeniósł się do San Francisco.

- Nie masz nawet zwierzątka.

- Nie, ale mam pracę, przyjaciół...

- Możesz pracować tutaj, jeśli zechcesz, chociaż oczywiście nie będziesz musiała, a poza tym tutaj też masz przyjaciół i możesz poznać nowych. Możesz nie w Bad Luck, ale w San Antonio albo Austin. - Mówił z coraz większym zapałem, gwałtownie gestykulując, tak że jego palce utworzyły namiotik nad brzuchem. - Mam nawet zaproszenia na kilka imprez: kolacja charytatywna i jakiś ubaw w Galveston... chcę, żeby tam się ze mną wybrała. Przedstawi ci w towarzystwie. Zapoznam z mężczyznami w twoim wieku. Wszyscy prezentują się całkiem nieźle, a niektórzy są bogaci.

- Nie zostanę tutaj długo - powiedziała, czując gorycz w ustach. - Jak tylko znajdę Elizabeth, wynoszę się stąd.

To było jak zimny prysznic. Sędzia położył ręce na biurku i nachylił się nad nim.

- Nie mów takich rzeczy, dziewczyno. Wiem, że popełniłem wiele błędów, wychowałem cię samotnie, ale st skniłem się za tobą, kochanie. Och Boże, strasznie mi cię brakowało. - Chrzknął, oczy zaszyły mu łzami; zamrugnął i odwrócił głowę. - Jesteś tak cholernie podobna do swojej matki. Och, do diabła, za niego tęskni. Nie byłem najlepszym matką ani też najlepszym ojcem, ale Bóg mi świadkiem, kochałem twoją matkę jak nikogo innego. A ty... wiesz, że zawsze była najdroższą mojemu sercu, nawet kiedy tak bardzo buntowała się przeciwko mnie.

Shelby poczuła, że wzruszenie ciska jej gardło, ale przypomniała sobie o kłamstwach, które latami nękały ten dom, o tajemnicach i plotkach, które przekazywali sobie szeptem ludzie w miasteczku. Nachyliła się nad biurkiem i położyła rękę na jego szkatkach kłódkach.

- Przyjechałam tutaj, żeby znaleźć moją córkę. To wszystko. Miałam nadzieję, że mi pomożesz. - Wstała, wyszła na korytarz i westchnęła głęboko. Dopiero kiedy minęła lustro nad lakierowanym stolikiem we frontowym holu, uświadomiła sobie, że w jej zaczerwienionych oczach weszły łzy.

- Do diabła z tym. - Otarła je i po cichu przysięgła sobie, że nie pozwoli ojcu manipulować sobą. Nie może na to pozwolić. Zbyt wiele ma do zrobienia. Weszła po schodkach do swojego pokoju. Chciała zadzwonić do swojego biura w Seattle, żeby sprawdzić, co się dzieje z jej klientami, a potem dowiedzieć się czegoś o prywatnym detektywie Nevady z Internetu. Ale kiedy mijiała rodzinny portret w górnym holu, obraz zamówiony zaledwie kilka miesięcy przed śmiercią matki, zupełnie się załamała. Miała wtedy raptem cztery lata i prawie nie pamiętała kobiety, której zawdzięczała swoje narodziny.

Nie, wikszość jej wspomnień wiązała się z innym okresem. Obrazy, które tak bardzo pragnęła wymazać z pamięci, osaczały ją teraz z całą bolesną jasnością.

Nie mogąc już nad nimi zapanować, weszła do swojej sypialni i objęła jeden ze słupków łóżka, tego samego czterokolumnowego łóżka, na którym płakała miesiącami po śmierci Jasmine, tego samego, na którym marzyła o kochaniu się z młodym buntownikiem, który zawładnął jej sercem i duszą: łóżka, na którym leżała sama i, obejmując się ramionami, wyplakiwała ciche łzy frustracji, bólu i strachu, kiedy miała siedemnaście lat i była w najgorszych tarapatkach w swoim życiu.

- Nie rób tego - ostrzegła sam siebie, ale było już za późno. Z dawna ukrywane wspomnienia wynurzyły się z jej pamięci i ujrzała siebie tak, jaka była wtedy: naiwna, pewna siebie, nieświadoma podłej ironii, jak niesie ze sobą życie.

Wodząc opuszkami palców po gładkim słupku palisandrowym, powoli położyła się na ręcznie szytej kołdrze i oddała przykrym wspomnieniom z odległej przeszłości. Czy naprawdę minęło a dziesięć lat? Cała dekada jej życia?

Pod pewnymi względami okres ten wydawał się wiecznością, ale miała też wrażenie, że to wszystko zdarzyło się bardzo niedawno...

Rozdział 7

Dziesięć lat wcześniej

Mówi ci, Shelby, jemu nie można ufać. Nevada Smith to same kłopoty. Mów sobie, co chcesz, ale wychowali go na dzikusa i dzikusiem pozostał. - Ojciec rzucił marynarkę na oparcie kanapy w rodzinnym salonie i podszedł do barku, po czym wyciągnął butelkę szkockiej. - A poza tym on jest dla ciebie za stary.

- Mam siedemnaście lat, nie jestem dzieckiem - spierała się, zrzucając buty dojazdu konnej. Skrzywiła się, kiedy ci gała z włosów gumką. Zobaczyła swoje odbicie w ukośnie ci tym lustrze nad szafką z alkoholem. Piegi, zmierzwiłone włosy, zarumienione policzki i zero makijażu. Nic dziwnego, że ojciec traktował ją jak dziecko - ona wyglądała jak dziecko.

- A on ile ma lat? Dwadzieścia cztery?

- Ty byłeś dwadzieścia lat starszy od mamy.

- No właśnie nie. - Siedział zacerpnął dłońmi kłód z kubałka, który Lydia zawsze miała pod ręką, i wrzucił kilka kostek do niskiej szklanki. - Posłuchaj, Nevada Smith pracował dla mnie, wiesz o tym, a ja go nie wyrzuciłem, prawda? Nawet po tym, jak przywlekli go do mnie na salę sądową. Upił się razem z paroma kolegami, ukraść kluczyki do samochodu i urzadzili sobie przejażdżkę. Wtedy doszedłem do wniosku, że po prostu chcieli się zabawić, no wiesz, jak to chłopaki. Ale potem przyłapano Smitha i młodego McCalluma, jak strzelali do skrzynek pocztowych. W tym przypadku również potraktowałem sprawę pobłażliwie, ale nie mam do niego zaufania. - Odkręcił butelkę, popatrzył na swoją szklankę i nalał sobie trochę alkoholu.

- Teraz pracuje w Biurze Szeryfa.

- Słyszałem - zachmurzył się i podrapał po brodzie, a potem zakorkował butelkę i odstawił ją do szafki. - Długo to nie potrwa.

- Tego nie możesz wiedzieć ...

- Właśnie nie, nie wiem. - Pokiwał głową, jakby rozmawiał z samym sobą, i po raz pierwszy w życiu Shelby doznała olnienia, odniosła wrażenie, że ojciec nie jest taki zasadniczy i uczciwy, jak jej się wydawało, że by może manipuluje innymi w ten sam sposób, w jaki manipulował nią.

- Był w wojsku - dodała. - Został awansowany i...

- Tak, słyszałem o tym wszystkim. Ale może czyna się nie zmienia, chociaż ty, panienko, wolałabyś wierzyć, że jest inaczej. Tu chodzi o osobiste zasady. Nasz młodzieniec Nevada nie ma ich zbyt wiele. Właśnie ciwie to nie jego wina; po prostu tak został wychowany. - Zakręcił swoim drinkiem i kostki lodu lekko zagrzechotały.

Shelby bardzo chciała bronić Nevady, ale знаła ojca wystarczająco dobrze, by trzymać język za zębami. Sprzeczenie się z nim nie miało sensu. W kwestii chłopaków, z którymi się umawiała, ojciec zachowywał się jak tyran.

- No co? Sprawa załatwiona - zapytał, usiadłszy na swoim ulubionym fotelu, który stał blisko kominka; jego obicie z brzozej skóry było wystrzępione i zniszczone. Siedział twierdząc, że to jedyny wygodny fotel w całym domu. Uwielbiał ten pokój, odpowiadało mu jego usytuowanie względem kuchni. Przez rzędy okien miał widok z lotu ptaka na basen i ogrody. Za ledwie parę kroków dalej, po drugiej stronie tylnych schodów, za zamkniętymi oszklonymi drzwiami był jeszcze jeden pokój, a w nim solidny stół bilardowy z niebieskim obiciem. Raz w tygodniu siedział i jego najbliżsi przyjaciele zbierali się tutaj, żeby pograć w karty i bilard. Shelby wyganiano wtedy do jej pokoju na górze, chociaż dzięki przewodom wentylacyjnym często podsłuchiwała go, jak opowiadał sprone historyjki.

- Shelby? - Głos ojca gwałtownie przywrócił ją do rzeczywistości. Siedział wstał z fotela i popatrzył jej w oczy. - Rozumiemy się? Nie zobaczysz się już z Nevada Smithem.

- Kiedyś miała osiemnaście lat...

- To porozmawiamy. Do tego czasu masz się trzymać od niego z daleka. - Stan

kominka; wypolerowane długie rogi zawieszzone na murku nad balustradą wyglądały tak, jakby wyrastały wprost z jego głowy. - Nie chciałbym nakładać szlabanu albo zabierać ci samochodu. To byłoby przykre.

- Nie bdziesz musiał - skłamała. Uwielbiała swój samochód, cytrynowo-óły kabriolet, niemal tak jak swój cenny klacz Appaloos, chociaż nie kochała ich tak namiętnie jak Nevady. O nie, jej uczucia do Nevady nie dało się opisać.

Wprawdzie do pewnego stopnia zdawała sobie sprawę z tego, że po prostu buntuje się przeciwko despotycznemu ojcu i że wywołowy Nevada to nie chłopak dla niej, nie mogła się jednak powstrzymać: musiała postąpić wbrew życzeniom sędziego i robić to, co sama chce - włącznie z umawianiem się na potajemne randki z Nevada Smithem. Miała serdecznie do tego, że nazywano ją księżniczką, rozpieszczoną córeczką sędziego Cole'a, witość.

Poza tym ostatnio nawet specjalnie nie rozrabiała. Nevada Smith był uczciwym, przestrzegającym prawa obywatelem - to tylko jej ojciec był innego zdania. Chłopak pracował wprawdzie w Biurze Szeryfa niespełna rok, ale zapowiadało się, że wyjdzie na prostą. Tylko dlaczego przez dnię zaciskała kciuki, wchodząc po schodach?

Zatrzymała się przy rodzinnym portrecie i spojrzała na twarz swojej matki. Jasmine Alicia Falconer Cole miała szlachetne rysy, włosy ciemnoblonde i oczy o intensywnym złocistozielonym odcieniu. Była uderzająco piękna kobietą, a na dodatek córką naftowego potentata, o której względy zabiegało wielu. Odebrała sobie życie na kilka dni przed swoimi dwudziestymi ósmymi urodzinami.

- Sprawy ułożyłyby się inaczej, gdyby tu była, mamo - powiedziała cicho, wchodząc do swojego pokoju. Skłamałaby, bezczelnie twierdząc, że ałuje, i robi pewne rzeczy za plecami ojca. Prawda wyglądała tak: tego wieczoru umówiła się na spotkanie z Nevada i bez względu na to, co o tym myślał jej ojciec, poruszyłaby niebo i ziemię, byleby tylko móc go zobaczyć.

Noc była gorąca; podniecona Shelby miała wrażenie, że powietrze jest naelektryzowane. Opuściła dach swojego porsche i, cięgle zerkając na zegarek, pokonywała ulicę Bad Luck szybko jak błyskawica, której pojawienie się spece od pogody przewidywali cały dzień.

- Uwaga, Shelby, bo przegapisz zjazd! - wrzasnęła Lily, która siedziała z tyłu ze swoim chłopakiem.

Chudziutka jak patyczek, Lily Ingles była najlepszą przyjaciółką Shelby, jedyną dziewczyną w najstarszej klasie liceum w Austin, której można było zaufać. - Hej! To tutaj!

Shelby mocno szarpnęła kierownicę kabrioletu, a zapisały opony, i zatrzymała wóz na środku podjazdu przed domem Lily.

- Jezus, Shelby, chcesz nas zabić? - zapytał Todd, nachylając się do przodu. Zalaatywało od niego tanim winem, papierosami i marihuaną. Potargane od wiatru włosy sterczały mu na wszystkie strony.

- Nie. Wygląda na to, że pod tym względem doskonale sobie radzisz bez niczyjej pomocy.

Lily zachichotała i wraz z Toddem wygramoliła się z samochodu. Na frontowym trawniku chłopak próbował ją objąć, ale ona uskokczyła i zatoczył się na wywołot.

- Na pewno nie chcesz wejść? - zapytała Lily. Jej biała sukienka w wietle lampy wydawała się niebieska, a splecione włosy opadały na jeden policzek.

- Nie - odparła Shelby. Nie miała zamiaru zmienić zdania. Nie dzisiejszego wieczoru. - Już ci mówiłam, że mam plany.

- Ale...

- Pst. Wejd do rodka, bo obudzisz s siadów.

Todd d wign ł si na nogi i chwycił Lily za ramiona. Omal nie ugi ła si pod jego ci arem. Shelby zerkn ła na zegarek. Była jedenasta trzydzie ci pi .

- Skoro jeste pewna...

- Id ju ! - nalegała Shelby.

- Dobrze ju , dobrze...

Todd wtulił nos w szyj Lily i przywarł do niej, kiedy szli pod szpalerem do tylnych drzwi. Gdy tylko weszli do rodka, Shelby nie marnowała czasu. Szybko zrzuciła krótk spódniczka , wcisn ła d insowe szorty, które przechowywała pod fotelem, a zamiast sandałów wło yła swoje ulubione, znoszone buty.

Wrzuciła wsteczny bieg i wyjechała na ulic , w momencie gdy zapaliły si wiatła w domu Lily.

Po chwili wrzuciła jedynk i wyjechała z miasta, ignoruj c głos sumienia, który podpowiadał jej, e wkrótce zrobi kolejny wielki bł d. A lista jej bł dów stale si rozrastała. Zd yła ju okłama swojego ojca, rodzin Lily i Nevad . Na my l o tym ostatnim oszustwie a przygryzła warg . Dr czyło j poczucie winy, bo wiedziała, e nie chciał si z ni spotyka sam na sam, e miał w tpliwo ci, czy powinien si wi za z córk s dziego Cole'a.

Ale było ju za pó no.

Ju byli ze sob zwi zani. W ka dym razie Shelby czuła, e jest z nim zwi zana, i za wszelk cen pragn ła si z nim zobaczy . Czekwała cały dzie na chwil , w której b dzie mogła obj go za szyj i wycisn na jego ustach nami tny pocałunek. Nevada był ostro niejszy. Nie podobało mu si , e spotykaj si bez wiedzy ojca. No có , tak musiało by , przynajmniej na razie.

Kiedy przestała widzie miasto we wstecznym lusterku, wł czyła radio, ale nie słyszała ani słowa z piosenki płyn cej z gło ników.

Jeszcze w czasach gimnazjum poszła z Lily na pota cówk i okropnie si na niej wynudziła. Lokalny zespół znał tylko kilka utworów country and western i grał je nieustannie, dra ni c ju i tak mocno zszargane nerwy Shelby. Wmawiała sobie, e próbuje si wczu w nastrój imprezy, ale odór przepoconych mat nie był ani romantyczny, ani ekscytuj cy. Chłopcy zachowywali si jak gówniarze, muzyka była dr twa, a Shelby czuła si rozdra niona, w dodatku wydawało jej si , e jest tu całkowicie zb dna.

Miała serdecznie do szkoły redniej i swoich przyjaciół. Nie interesowały j towarzyskie gierki i intrygi, które tak fascynowały innych. Dla niej cały ten układ był równie ciekawy jak konkurs plucia tytoniem na odległo .

Wcze niej tego dnia, kiedy jej ojciec pakował torb z ubraniami na podró do Dallas, powiedziała, e zostaje na noc u Lily, a Lily okłamała swoich wyje d aj cych za miasto rodziców, mówi c, e ma zamiar nocowa u Shelby. To był idealny plan. Lily mogła sp dzi troch czasu sam na sam z Toddem, a Shelby - spotka si z Nevada.

U miechn ła si i zwolniła, wpatrzona w bli niacze plamy wiatel rzucanych przez reflektory samochodu. Widywała si z Nevada potajemnie od kilku miesi cy. Znała go od zawsze, ale była za młoda, eby si przejmowa słowami ojca, który kiedy powiedział: „Ten piekielnik idzie do wojska, chwala Bogu. To dobra wie dla tego miasta, ale zła dla Wujka Sama”. Wtedy w ogóle nie zaprz tała sobie głowy Nevada. Zawsze słyszała o wybrykach rozwydrzonego Smitha, „mieszca i b karta, cwaniaka nad cwaniakami”. Wkrótce Nevada opu cił miasto, a jej ycie toczyło si normalnym trybem.

Ale potem Nevada Smith wrócił i przyszedł czas, kiedy to ona zacz ła si buntowa

gdzie pędziła do domu na złamanie karku, bo była spóźniona, a on kazał jej zjechać na pobocze. Z powątpieniem, surowym min poprosił ją o okazanie prawa jazdy i dowodu rejestracyjnego, a po obejrzeniu dokumentów skierował światło latarki na jej twarz. Zamrugła.

- Hej, zgasła to.

- Hm, czy to nie słodka ironia? - powiedział. - Jesteś córką sędziego Cole'a.

- I co z tego?

Lekko uniósł kciuk ust.

- Powiedzmy, że to jeden z moich przyjaciół.

- Akurat.

- A ty co o tym możesz wiedzieć?

- Sądziłam, że ma przyjaciół.

Uśmiechnął się szerzej i zauważyła, jak świetnie wygląda, mimo że jest zwykłym gliniarzem.

- No cóż, tym razem ci daruję, ale jedź wolniej, dobrze? Przez te twoje ciemne nogi będziesz miała kłopoty, Shelby.

Dokładnie w tym momencie dostrzegła plakiety z jego imieniem i nazwiskiem. A więc to Nevada Smith. Ten młodociany przestępca, którego jej ojciec chyba nienawidzi.

- Z tego, co słyszałam, ty jesteś ekspertem od kłopotów.

- Byłem.

- A teraz jesteś gliniarzem?

- Tak. - Wybuchnął gardłowym, drwiącym śmiechem. - Kto by pomyślał?

- Mój ojciec by nie pomyślał.

- Hej, sam bym nie pomyślał. - Poklepał bok jej samochodu. - A teraz jedź wolno i nie pakuj się w kłopoty.

Nigdy nie pomyślała, patrząc, jak odchodzi do policyjnego wozu zaparkowanego na poboczu za jej samochodem. Serce waliło jej jak szalone i była bardzo zdenerwowana, kiedy wjeżdżała na drogę.

Od tamtego spotkania zakochała się w nim na zabój, a sytuacja nie ułatwiała to, że cięgle na niego wpadała, a to w barku kawowym, a to przy saturatorze w drogerii. Godzinami marzyła o nim, a potem mówiła sobie, że jest idiotką. Ale chłopcy w szkole byli tacy dziecinni, a ona zawsze znajdowała powód, żeby być tam, gdzie był Nevada. Nadeszła wiosna, Shelby nie mogła znaleźć sobie miejsca, a Nevada Smith, kiedy najwiskrzy zabijaka, pociągał ją jak nikt inny przedtem. Może dlatego, że wciąż wkurzał jej ojca, może dlatego, że nie był już chłopcem, może dlatego, że był najseksowniejszym facetem, jakiego znała. Jakikolwiek był to powód, myślała o nim nieustannie i posunęła się do tego, że wyrwała jego inicjały na palu do przywiązania koni, obok apteki, a kiedy wpadła na niego któregoś wieczoru w kawiarence w Coopersville po filmowym seansie z przyjaciółmi, zrozumiała, że musi go zdobyć.

- Cześć - powiedziała. Siedział przy stoliku sam, popijając piwo. Miał na sobie wyblakłe dżinsy i czystą koszulkę, która marszczyła się na plecach. Właściwie nie siedział, ale położył, wyciągnął długie nogi w przejście. Spojrzał na nią.

- O, zawitała do nas cięka stopa. Jak się miewa twój ojciec?

- Wszystko po staremu. - Poczuli, że pali ją skóra na karku. Droczył się z nią. Wabił ją. A ona była z tego zadowolona.

- Jak jest, tak jest. - Pociągł duży tyk i powoli lustrował jej wzrokiem, od wystających z sandałów palców aż po dżinsowe szorty i kuszący bluzkę. - Zdaje mi się, że jego ranczo nadal służy jako schronienie dla renegatów, którzy wolą pracować za grosze zamiast siedzieć w ciupie.

- Cóż, tempo pracy trochę zmalało, odkąd ty wróciłaś na dobrą drogę.

Żałowała, że nie posłała jej zabójczy uśmiech, który zaparł Shelby dech w piersiach i przyśpieszył bicie serca.

- Chyba tak. - Dopił piwo i zerknął na zegarek. - Co tutaj robisz, z dala od tatuścia?

Popatrzyła prosto w jego stalowoszare oczy.

- To, co mi się wydaje, ci się podobają.

- Niezłe z ciebie ziółko, co?

Tym razem to ona się uśmiechnęła.

- Tak mówi.

Uniósł ciemny brew.

- Powinna uważać, Shelby. Takie gadki mogą cię wpędzić w kłopoty.

- Może ja wcale nie szukam kłopotów - odparła i nie mogła uwierzyć, że powiedziała coś takiego. Uświadomiła sobie, że nie mniej, niż wcześniej z nim flirtuje.

- Jak ich szukasz, to bierz je miała. To ci gwarantuję.

- Dobrze.

Przez moment patrzył na nią intensywnie i zauważyła w jego oczach iskrę nieskrywanego, męskiego podania. Iskra znikła niemal natychmiast, ale Shelby ją rozpoznała i miała wrażenie, że słyszy bicie własnego serca.

- Uwaga, bo twoje życzenie może się spełnić, złotko. - Odstawił krzesło i wyszedł na dwór, zostawiając Shelby samą. Poczuli się jak idiotka.

Nie było jej lepiej, kiedy wyjrzała przez okno kawiarni i zobaczyła, że Vianca Estevan wysiada z furgonetki prowadzonej przez jej brata i biegnie po parkingu do Nevady, a potem zarzuca mu ręce na szyję i całuje go na oczach całego wiata.

Nevada nie zareagował, tylko pomógł jej wsiąść do pikapa i odjechał, gdy tymczasem Shelby w duchu wyzywała siebie od skończonych idiotek. Ale nie przejmowała się zbyt. Zwyczajnie w wiecie pragnęła Nevady i po raz pierwszy w życiu miała zamiar go zdobyć.

Akurat pod tym względem nie było to zbyt trudne zadanie. Wyglądało na to, że Nevada jest nią zainteresowany równie mocno jak ona nim. Po tym jak wpadł na nią któregoś wieczoru nad rzeką, zadzwonił do niej i zaczęli się umawiać na potajemne randki, w tajemnicy przed jej ojcem. Twierdził, że zerwał z Viancą, a w międzyczasie kręły pogłoski, że Vianca jest w ciąży, za to jej ojciec oddycha z ulgą. Ramónowi nigdy nie podobało się to, że Vianca spotyka się z kimś, kto nie jest z pochodzenia Hiszpanem, a w dodatku ma złą reputację i został gliniarzem, i tylko ją „wykorzystuje”. Ale mówiło się też, że ojciec nie akceptuje żadnego z chłopaków Vianki.

A Shelby się zakochała. Szybko i po prostu. Była podekscytowana tym, że spotyka się z Nevada za plecami ojca, że biegnie przez mrok w wiosennej mgle; marzyła o Nevadzie w nocy, myślała o nim w dzień - miłość była łatwa.

I któregoś wieczoru, kiedy byli sami nad zakolem rzeki, a księżyc wiecił wysoko na niebie, wreszcie ją pocałował. Objął ją silnym ramieniem, posadził na kolanach i wpił się w jej usta tak arłocznie, że ledwo oddychała.

Poczuli się wylądowali, nie chciała już niczego sobie odmawiać i w tym momencie

nim kocha .

Oczywi cie nie dane jej było si z nim kocha , bo wprawdzie zacz ł rozpina jej bluzk i całowa wra liwe miejsce za uchem, ale przerwał.

- Nie mog tego zrobi - powiedział.

- D-dlaczego? - Nadal siedziała mu na kolanach, wci upojona jego pocałunkami. Oboje mieli na sobie d insy, lecz i tak czuła jego erekcj , która zadawała kłam jego słowom.

- Shelby, jeste za młoda, ukrywamy si , to nie w porz dku. Och, do diabła, jest mnóstwo innych powodów. Jeste dziewic , prawda?

Zdziwiła si .

- A jakie to ma znaczenie?

- Jeste ?

- Nie, ja... ja...

- Kłamczucha.

- Co jest? Mam to wypisane na czole czy jak?

Zachichotał.

- Tak. Co w tym rodzaju. Posłuchaj. - Stanowczym ruchem zepchn ł j ze swoich kolan i popatrzył na czarn to rzeki. - Mo e kiedy mogłoby co z tego wyj , ale... och Bo e, nie, nic z tego nie b dzie. Musimy przesta si widywa .

- Dlaczego?

- Jest milion powodów.

- Je eli chodzi o s dziego...

- To bardzo powa ny powód. - Wstał i otrzepał d insy.

- On nie rz dzi moim yciem!

- A jak e. On rz dzi yciem wszystkich.

- Ale ja nie pozwol ...

- Nie masz wyboru. Naprawd . - Wyci gn ł r k , eby pomóc jej wsta , ale ona sama si poderwała si na nogi i dumnie uniosła brod .

- Ale mam wybór i ty te go masz.

- Och, Shelby...

- Odk d to przejmujesz si opini s dziego?

- Odk d zacz łem przejmowa si tob . - Przestał si u miecha , a w jego pociemniałych oczach pojawił si smutek. - No, chod , odwioz ci do domu.

- Nie. - Zrzuciła mu r ce na szyj i nami tnie go pocałowała. - Ja... ja nie chc .

- Tak b dzie najlepiej. - Obj ł j i mocno przytulił, a potem pocałował w głow .

Shelby miała łzy w oczach, ale przyrzekła sobie, e si nie załamie. Bez wzgl du na to, czy Nevada Smith zdawał sobie z tego spraw , czy nie, jego zwi zek z Shelby si nie sko czył.

I dzi wieczór zrezygnowała z ta ców, bo zamierzała zobaczy si z nim jeszcze raz. Zadzwoiła do niego, nalegała, a w ko cu zgodził si na spotkanie, chocia w jego głosie wyczuwała niech . Ju ona to zmieni. Potrafi to zrobi . W ko cu jest córka s dziego Cole'a. W swoich cholernych genach

zawzi to ci.

Skr ciła zbyt szybko i opony jej wozu mocno zapiszczały.

Nevada ko czył zmian o pomocy. Obiecał, e spotka si z ni na ranchu jej ojca o pierwszej.

Je li wszystko pójdzie zgodnie z planem, b dzie czekała na niego.

Manewrowała swoim małym autem na zakr tach wiejskiej drogi, która biegła obok rancha. Wiatr rozwiewał jej włosy i chłodził skór , ale r ce miała spocone. Zwolniła przy zje dzie i jej serce zacz ło mocno bi . Wła nie w tym miejscu robiło si niebezpiecznie - tutaj w ka dej sekundzie mogła zosta zdemaskowana.

Wrzuciła ni szy bieg, skr ciła w alej i modliła si , eby z przeciwka nie nadjechał jaki samochód. Miała szcz cie. Nie widziała adnych reflektorów.

Ksi yc stał wysoko na niebie, a chłodna, kwietniowa bryza wiała łagodnie. Shelby zaparkowała swój kabriolet za g szcem mesquite, na poboczu długiej alei wij cej si przez górzyst okolic a do serca ojcowskiego rancha. Gdzie w oddali zawył kojot i Shelby dostała g siej skórki, ale wkładaj c kluczyki do kieszeni, zignorowała wra enie, e co jest nie tak, e w powietrzu jest jakie elektryczne napi cie.

Oczywi cie, spotkanie si z Nevada w takich okoliczno ciach, wbrew woli ojca, musiało wywoła u niej l k i przyprawiało j o du e zdenerwowanie. To dlatego czuła si tak nieswojo. Tylko dlatego.

Kilka chmur o zamglonych konturach przesłoniło ksi yc. Shelby pu ciła si p dem przez wzgórze, czuj c zapach wie ej trawy. Gdzie w oddali zadudnił poci g, a wysoko w górze, na niebie usianym gwiazdami, mrugały skrzydła samolotu. Konie z rancha, niezagnane do stajni, parskaly i podnosiły łby, kiedy obok nich przemykała. Zbiegła szybko ze wzgórze, pokonała strumyk, wspi ła si na płot i wyl dowala na krótkim trawiastym odcinku. Kiedy dotarła do pierwszych zabudowa rancha, była ju nie le zdyszana.

Czuła łaskot krwi w głowie, a puls podskoczył jej jeszcze bardziej, kiedy dała nurka za szop z narz dziami i przywarła do zniszczonego sidingu, nasłuchuj c. Jeden z psów zacz ł szczeka i Shelby przygryzła warg .

Drzwi gło no zaskrzypiały.

- Co jest? - zagrzmiął basowy głos.

Ju nie yj , pomy lała.

Głupi pies szczekał coraz gło niej i coraz bardziej zajadle. Shelby bała si oddycha .

- Zamknij si ! - nakazał m czyzna. - Ty beznadziejny, strachliwy durniu!

- Co nie w porz dku? - zapytał kto inny, zniecierpliwionym, piskliwym głosem.

- Nic nie widz .

- Przekl ty pies.

- Przydałaby mu si suka z cieczk - odezwał si kto trzeci, za miał si chrapliwie, a potem zacz ł zanosi kaszlem. - No, ale to akurat przydałoby si nam wszystkim, no nie?

Rozpoznała ten głos i zrobiło jej si niedobrze. Ross McCallum. Było w nim co , co budziło jej nieufno . Znała go od lat, a ostatnio przyłapywała na tym, e spogl dał na ni oczami, które wydawały si okrutne.

- No, Jeb. My tu gramy. Grasz czy pasujesz?

- Gram. Powiedziałem, e gram, McCallum. Nie pop dzaj mnie, do cholery. Obejrz twój pi tk i podnios stawk do dziesi ciu. - Jeb mówił d wi cznym, łagodnym głosem.

- No, to wła , kurwa, do rodka! Cafej nocy nie mamy. - McCallum był poirytowany.

- Czego si tak pieszysz?

- Albo szczasz, albo zła z nocnika!

- Kurde, McCallum, co ci gryzie? - zapytał Jeb.

- Tak jakby.

- Wyjtkowo wredny z ciebie gad, wiesz? - A urowe drzwi zamknęły się z hukiem. - To pewnie dlatego, że Nevada został zastępcą.

Shelby zamarła. Jej serce prawie się zatrzymało. Co ma wspólnego Ross McCallum z Nevada Smithem?

- Wygląda na to, że Smith wyszedł na prostą. - Piskliwy głos rozbrzmiewał donośnie na podwórzu. - Znalazł sobie porządnie pracę, odłożył trochę pieniędzy z tego, co zarobił na oddzie u Wujka Sama, a teraz jeszcze najwiksza nagroda: zabawia się ze słodziutką córeczką s dziego. Jasny gwint, widzieliście kiedy tak wietnie dup?

- Zamknij się, Frank - warknął McCallum.

Shelby czuła, jak pali ją skóra na karku. Krew zawrzała w niej z gniewu. Za kogo oni się mieli - te prymitywne pastuchy - że mówi o niej w ten sposób?

- Widocznie Ruby Dee nie daje ci tego, czego potrzebujesz. - To był znowu Jeb.

- Zostaw w spokoju tę dziwkę.

Przez okno dolatywał szyderczy śmiech.

- Ja tam wcale się nie dziwię, że chciałby przelecieć córkę s dziego. - Frank, ten z piskliwym głosem, zachichotał złośliwie. - Kuma, dałbym sobie odciągnąć prawą rękę, żeby posmakować tej słodkiej cipki.

- Ja też - zawtórował mu Jeb.

Shelby miała ochotę zwiewać gdzie pieprz rośnie.

- Ale ona zachowuje cnotę dla Smitha. - Ironiczne prychnięcie Franka, chuderławego, pryszczatego kowboja, którego parę razy spotkała. - No, i s dziego jest wkurwiony jak cholera.

- Do! - ucił McCallum szorstko. - Grajmy.

- Dobrze już, dobrze. - Frank wciąż chichotał. - Ale nie próbuj zaprzeczać, McCallum, masz straszną ochotę na księżniczkę Cole i jakoś nie chce ci ona przejść.

Bum. Coś mocno walnęło w stół. Zapewne piasek.

- Zamknij się, Frank, do kurwy nędzy, bo ci wbiją zębami w gardło tak mocno, że wylez ci tyłkiem. Kapujesz?

- Hej, McCallum, on tylko cię podpuszcza. Uspokójmy się wszyscy i grajmy, dobra? - Jeb próbował załagodzić sytuację. - Starczy nam Jacka Danielsa jeszcze na jedną, dwie kolejki, a potem ten, który wygra, może nas zabrać do White Horse, okej?

Napięcie było elektryzujące. Nikt nie odpowiedział. Shelby wstrzymała oddech. Ręce miała wilgotne od potu.

- Dobra - odparł McCallum basowym, chrypliwym głosem. - Obstawiam.

Shelby była rozdygotana; łowiąca, że nie przyszło jej do głowy jakie inne miejsce na schadzkę. Ohydna rozmowa wciąż rozbrzmiewała w jej uszach i sprawiała, że ciarki przechodziły jej po plecach. Gdyby miała choć trochę rozumu, zawróciłaby, wsiadła do samochodu i pojechała do domu. Zapomniała o tradycji piątkowego pokera wśród niektórych pracowników rancza, którzy pili, grali w karty, a potem czasami jechali do miasteczka.

Jeżeli teraz zawrócisz, nie zobaczysz się z Nevada.

O, co to, to nie.

Pełna determinacji, wyprostowała się i powoli ruszyła naprzód. Ukryta w ziemi, z dala od buczy tego, był kitnego wiatła latami, przekradała się w stronę stajni, w której trzymano jej klacz, czempic

wieczorem zobaczy si z Nevada. Po prostu musiała.

Z gardła psa wydobył si głuchy warkot, ale Shelby, nie zwa aj c na nic, obeszła szop z narz dziami. W uszach czuła bicie serca, a nerwy miała napi te jak postronki. Z niepokojem spojrzała przez rami na barak, ale drzwi nie otworzyły si ponownie, a pies - o cholera, gdzie si podział ten pies? Mru c oczy, starała si wypatrzy go na ganku, ale był tam cie . Pies mógł by wsz dzie, gotów zaalarmowa robotników szczekaniem albo warczeniem... o, dostrzegła go: czaił si przy ogrodzeniu, gdzie stało zaparkowanych kilka ci arówek i d ipów. Miał nastroszon sier na karku, a ólte lepia l niły złowieszczo w wietle lamp i ledziły ka dy jej ruch, chocia zwierz nawet nie drgn ło i nie wydało z siebie cho by cichego warkotu.

Shelby ze strachu miała ci ni te gardło.

No dalej, zrób to. miała, Shelby. Nie b d tchórzem. Tak daleko zaszła , nie mo esz si teraz wycofa . Nevada czeka.

Przygryzła wargi i pchn ła ramieniem drzwi stajni; skrzywiła si , bo zaskrzyphiały, a wtedy pies szczekn ł ostrzegawczo. Serce waliło jej jak młotem, kiedy w lizgiwała si do rodka i, dotykaj c po omacku ciany, szła w stron siodłami. Nie mogła zapali wiatła, zbyt du e ryzyko, ale wiedziała, w którym miejscu pod oknem wisi uzda Appaloosy. Opuszkami palców wodziła po skórzanych cuglach. Zr cznie zdj ła uzd z kołka, a potem, wci macaj c cian , wróciła do stajni i szybko pomaszerowała cementowym korytarzem do odległego boksu, w którym stała jej klacz.

- Spokojnie, malutka - szepn ła Shelby, otwieraj c bramk i wchodz c do rodka. Jej oczy powoli przywykały do ciemno ci, zobaczyła białe plamy na zadzie. Kiedy nakładała paski uzdy na długie nozdrza i uszy swojej ulubienicy, czuła odór koni, paszy i kurzu.

Klacz, z natury bardzo wra liwa, parskn ła i odrzuciła łeb do tyłu. Mimo ciemno ci wida było białe obwódki wokół jej lepiów.

- Pst... to ja. - Shelby poklepała l ni cy kark, zaciskaj c pasek pod szcz k zwierz cia. - No, chod . - Ostro nie poprowadziła je nieo wietlonym korytarzem do tylnych drzwi. Chocia stalowe podkowy gło no stukały o beton, nie było słyca ani psa, ani m czyzn. Kiedy Shelby przechodziła obok baraku, w drzwiach i oknach paliło si wiatło.

Jak dot d, wszystko szło zgodnie z planem.

Modl c si , eby stare zawiasy nie narobiły hałasu, Shelby pchn ła tylne drzwi i poci gn ła klacz za cugle, a ona poruszyła nozdrzami. Shelby poprowadziła j na ciemne pole, gdzie duszne powietrze zapowiadało deszcz. Parskaj c i przest puj c z nogi na nog , zwierz było niespokojne, jakby i ono czuło elektryzuj ce napi cie tej nocy.

- Spokojnie. No, grzeczna dziewczynka - wyszeptała Shelby, u ywaj c słupka ogrodzenia, eby wspi si na szeroki grzbiet.

ciskaj c j mocno kolanami, cicho cmokn ła.

- No, jazda.

Klacz ruszyła z miejsca. Pu ciła si swobodnym kłusem i z ka dym krokiem nabierała pr dko ci, pokonuj c kolejne metry wysuszonej ziemi i trawy, a przeszła w galop.

W Shelby serce rosło.

Pies i Ross McCallum zostali daleko w tyle.

Przed ni był Nevada.

Czuła adrenalinę w żyłach na myśl o tym, że znów się z nim zobaczy. Wiatr targał jej włosy. Nad wzgórzami groźnie grzmiało, ta noc była przepelniona oczekiwaniem. Chmury zakrywały księżyc, tylko gdzieś tam w ród nich przebłyskiwały gwiazdy.

Shelby nachyliła się do przodu.

- Dalej, dalej - ponaglała swojego konia, nie chcąc zmarnować ani sekundy. Niedługo znowu będzie z Nevada, niedługo dotknie go, przytuli... Och Boże, na samą myśl o tym, co przyniosła następną godzinę, zasychało jej w gardle.

Jeśli on tam będzie.

Oczywiście, że będzie na umówionym miejscu. Dlaczego miałoby go nie być?

Wprawdzie sugerował, że nie powinni już więcej się widywać, ale nie wierzyła, że mógłby wystawić ją do wiatru.

Miała nadzieję, może płonną, że Nevada czeka na nią. Był jej pierwszym i jedynym miłościem. Umawiała się z kilkoma chłopakami w liceum, ale to nie było nic poważnego i ograniczały się do nic nieznaczących pieszczot. Ale z Nevada od samego początku było inaczej. Kiedy wrócił do Bad Luck, w miasteczku huczało od plotek o tym diable wcielonym, który nie do końca miał czelność znowu się tutaj pokazać, to jeszcze jakim cudem zdobył posadkę jako zastępca szeryfa. Już wcześniej nie było jego nazwisko z kilkoma kobietami w Bad Luck, między innymi z Viancą Estevan, miejscową dziewczyną, której reputacja była porównywalna ze stanem starego Dodge'a Caleba Swaggerta.

Ale to już dawno skończone, mówiła sobie Shelby. Teraz to ona i tylko ona jest kobietą Nevady.

Ponagliła klacz, która zareagowała, napinając mięśnie, i gnała coraz szybciej, dudniąc kopytami po resztkach siana i zielsku.

Kośwobodnie pędził przez pola, minął szkielet starej chatki, a potem wzgórze. Shelby przywarła do grzbietu. Czuła, jak mięśnie klaczy poruszają się pod jej gołymi nogami, a szorstka grzywa wplątuje się między palce. W oddali nad wzgórzami przetoczył się grzmot.

Pokonały ostatnie wzniesienie. Potem, kiedy Shelby zacisnęła palce na cugłach, zdenerwowana klacz zaczęła zwalniać, a wreszcie, potrzebując łbem, szła stępą szlakiem, który opadał w kierunku odnogi rzeki, na najdalej wysuniętym na północ skraju rancza. Na rudym grzbiecie łnił pot. Słychać było łopot skrzydeł nietoperzy. W powietrzu mieszały się zapach kurzu i dzikich kwiatów.

Odnogi rzeki porastały dębiny; ich ciemne sylwetki wydawały się przytłaczające i złowrogie. Shelby zmrużyła oczy i w ród ciemności rozglądała się za Nevada. Cały czas trzymała kciuki i po cichu modliła się, żeby tu był.

- Proszę - szeptała do wtóru oddechom klaczy i stukotu jej podków. A potem zobaczyła czerwony czubek zapalonego papierosa, latarnię w ród pogrońonych w cieniu drzew.

- Udało ci się. - Głos Nevady przenikał wprost do jej serca.

- Oczywiście, że tak. - Przerzuciła nogę nad grzbietem konia i zeskoczyła na ziemię. - Mówiłam, że przyjadę.

Ostatni raz zaciął się papierosem, upuścił go i rozgniół obcasem.

- To nie jest dobry pomysł.

- Tak mówią. - Przywiła klacz do młodego drzewa i powoli podeszła do Nevady. Pomimo ciemności rozpoznawała jego ostre rysy i wyniosłą postawę. W znoszonych dżinsach i T-shirtcie wydawał się znacznie bardziej przystępny niż w mundurze policjanta. - Chyba jednak się mylisz.

- Ty tak uważasz, prawda?

- Mmm. Co mogłoby być w tym złego? - zapytała, stała przed nim, dotykała go stopami jego stóp, i miała oplota ramionami jego szyję.

- To mogłoby się skończyć kłopotami.

- Może ja chcę kłopotów - wypaliła bez ogródek. Była zszokowana własnym zachowaniem.

- Nie chcesz. Uwierz mi. - Ale jego ramiona objęły ją w pasie, a silne mięśnie nie dawały poczucie pewności.

- Nie wiesz, czego chcesz.

- Jesteś pewna?

- Mm, aha.

Woda w rzeczce zabulgotała, a uzda kłacz lekko szczyknęła. Owady brzęczały, wiatr się wzmógł i wiejący chmur zasłaniało księżyc.

- Chcesz tego, czego chcą wszystkie kobiety, księżniczko - mruknął, pochylał się tak bardzo, że jego oddech zdawał się szeptać między jej włosami, a słowa pieściły jej ucho. Shelby zadygotała. - Chcesz mężczyznę, który będzie zaspokajał twoje potrzeby, będzie się tobą opiekował i da ci mnóstwo dzieci.

- Nie ja - potrzebuję głowę.

- Dlaczego jesteś inna?

- Ty mi powiedz. - Odchyliła głowę do tyłu i spojrzała w górę, w jego pogrończe w cieniu oczu. Białe zębiska błysnęły w lekceważącym uśmiechu.

- Dobrze. Po pierwsze jesteś cholernie bogata.

- Nie, chodzi mi o to...

- No a poza tym jesteś córką sędziego Cole'a..

- Ale...

- W dodatku jesteś rozpieszczona, harda, pewna siebie i cięta jak bat.

Nie wiedziała, czy ma potraktować jego słowa jak komplement, czy jak zniewagę.

- Zaraz, zaraz...

- Jesteś prymuską w szkole, beczelnie flirtujesz z chłopakami, z którymi nawet nie masz zamiaru się umówić, jeździsz tym swoim cholernym złotym kabrioletem za szybko i za dużo wkuwasz. Czasami zachowujesz się jak zepsuty bachor, ale bywa też i tak, że wydajesz się ponad wiek młodą i dojrzałą. - Mocne palce wplotły się w jej włosy, odchyliły jej głowę i zmusiły, by patrzyła na skąd pan w mroku twarzy. - Mówiła mi, że chcesz porozmawiać o czymś ważnym, że musisz się z tobą spotkać, i to było cholernie kłamstwo, oboje o tym wiemy.

- Najważniejsze, żebyśmy byli razem. Nie sądzisz?

- Ja tylko próbuję się zachować.

- A nie jesteś mody?

- Nie. Prawda jest taka, że nie wiem, co z tobą poczuję, Shelby Cole - przyznał i po raz pierwszy, odkąd Shelby go знаła, wyczuła nutę desperacji w jego głosie.

- Kłamczuch - droczyła się z nim.

- Mówi serio.

Och, gdyby to była prawda! Kochaj mnie, Nevada, och, proszę ci, tylko kochaj mnie! Nie mogła się zdobyć na wypowiedzenie tych słów.

- Ja te mówi serio - odparła.

- I to cholernie mnie przeraża.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie mogła się angażować w związek z tobą, Shelby.

- Ty już się zaangażowałaś.

Gdzieś w górach ptak zatrzepotał skrzydłami, a w liściach żywotników zaszumiał wiatr. Nevada pocałował Shelby w czoło i poczuła, że jego ciało drży.

- Ty i ja...

- Nie mów tego. - Położyła palec na jego ustach. - Nie mów, że jesteście mi z innych wiatrów albo czegoś równie oklepanego - szepnęła. - Ja wiem. To nie ma znaczenia.

- Ale ma znaczenie. - Poruszył ustami, które przykrywała palcem, i polizał jej skórę, budząc w niej dreszcze. Wodziła palcem po jego wargach i usłyszała wydobywający się gdzieś głęboko. Opuszkami wywierała lekki nacisk, a rozchylił usta, otoczył jej zębami palec i zaczął go delikatnie ssać.

Shelby zadrżała, czując, jak wrze w niej krew. Miała wrażenie, że w jej ciele szaleje ogień. Chciała go całować, dotykać go, do wiadczy cudu kochania się z nim.

Odsunął głowę.

- Nie rób tego - ostrzegł ją.

- Dlaczego nie?

- Nie musimy znowu przez to przechodzić. - Puszczając ją, zakłamał pod nosem i cofnął się o krok.

- Nevada.

Gniewnie wpiął palce w swoje włosy.

- Nie masz pojęcia, w co się pakujesz - sapnął ze zdenerwowania. Zauważyła, jak napięte są jego szerokie barki, kiedy podszedł do brzegu rzeczki i, wyciągnąwszy ręce do góry, uwiesił się nisko opadającymi gałęziami jednego z dębów.

- Oczywiście że mam.

- A skąd?

- Ja... wiem, co się dzieje między mężczyznami i kobietami.

- Czy by? - W jego głosie zabrzmiało szydercze niedowierzanie.

- Tak! Wychowałam się na ranczu. Patrzyłam na byki z krowami i na ogiery, które doprowadzano do klaczy. To znaczy, nie pozwalano mi patrzeć - przyznała, podchodząc do niego od tyłu i obejmując go w pasie - ale i tak się gapiłam.

Wzdrygnął się.

- No cóż, z ludźmi jest trochę inaczej.

Położyła głowę między jego łopatkami, przytuliła się do niego mocno i słyszała jego oddech. Dobry Boże, czy to jego serce waliło tak szaleczo, czy jej? Pachniał dymem i piwem, a jej dotyk sprawiał, że jego twarde mięśnie napinały się jeszcze bardziej.

- W jakim sensie inaczej?

- Nie udawaj idiotki, Shelby. To nie w twoim stylu.

- Nevada, czy ty mnie nie chcesz?

Wydał cichy jęk, a potem, chwyciwszy rękę Shelby, która spoczywała na jego brzuchu, pociągnął ją w dół, w okolice rozporoka. Zaczęła wyszarpywać rękę, ale on był silny i przycisnął jej dłoń do wypukłości między swoimi nogami.

- Jak myślisz? - zapytał i puścił ją.

Nie była w stanie myśleć.

- To...to jest...jest naturalne.

- Nie baw się ze mną w kotka i myszkę, księżniczko. To, o czym mówimy, jest niebezpieczne.

- Nevada, ja chyba cię kocham. - Te słowa nieoczekiwanie wyrwały jej się z ust.

- O, cholera, nie. Ty nie masz pojęcia o miłości. - Odwrócił się i ponownie spojrzał jej w oczy. Tym razem dostrzegła w jego twarzy coś więcej niż gniew. Czy Nevada skrywała inne emocje: wielki ból, którego nie rozumiała.

- Wiem, co czuję.

- Jesteś dzieckiem.

- W przyszłym roku skończysz osiemnaście lat.

- Powtarzam ci, jesteś dzieckiem. - Oparł się czołem o jej czoło i westchnął. - Lepiej już idź sobie.

- Nie.

Stanęła na palcach i łagodnie pocałowała go w usta. Poczowała jego opór i pocałowała go znowu, tym razem wolniej. Nevada rozchylił usta i zaczął wodzić językiem po jej zębach. Objął ją ramionami. Kiedy całował ją, długo i mocno, wydawało się, że świat przestał istnieć. Miała wrażenie, że ktoś jej kruszeje, a krew zaczyna wrzeć. Jęknęła cicho, kiedy schylił głowę i pocałował kciuk jej ust i kark. Musnęła wargami miejsce w pobliżu obojczyka, i wtedy Shelby zadygotała, pragnąc więcej - o Boże, pragnęła o wiele więcej.

Trzymając ją w mocnym uścisku, ocierał się o nią. Twardy rozporok jego dżinsów wciskał się w jej brzuch, a ona czuła przez szorty, jaki jest rozgrzany, jak bardzo jej potrzeba.

Powoli cofnęła się pod jego naporem, a dotknęła go po łapkach pnia drzewa. Przypierał ją do niego, wplatał ręce w jej włosy i wyciskał magiczne pocałunki na każdym skrawku jej ciała.

- Tego chcesz, Shelby? - zapytał.

- Tak.

Pocałował ją mocniej, wpychając język w jej usta, oddychając chrapliwie. Miażdżył jej piersi, przywierał do jej nóg swoimi nogami. Zadrżała z podniecenia, kiedy wyciągnął jej bluzkę z szortów i położył rękę na jej brzuchu. Potem przesunął dłoń coraz wyżej, a jego palce wpełzły pod stanik Shelby, odnalazły jej pierś i zaczęły muskać sutek.

- Jesteś pewna?

- Tak. - Och Boże, tak. Bezwiednie ciągnęła udę i znowu jęknęła. Nevada rozpiął jej bluzkę, zsunął ramiączko stanika, a potem uniósł jej pierś i powoli, jakby chciał ją torturować, drażnił jej sutek językiem i zębami.

Zaczęła odczuwać ból gdzieś w środku. Pulsowanie. Szczypta, jakiej nigdy wcześniej nie doznała. Cudownie było przytulać się do niego, całować go, robić rzeczy, na które dotychczas nigdy się nie odważyła. Miała wiadomość, że w końcu nie przekracza drzwi, które zamknęła za nią raz na zawsze, a mimo to nie potrafiła oprzeć się pokusie.

Wyginając ciało, mocniej przywierała do niego biodrami. Czuła jego twardość, czuła jak gładka jest jego skóra, łaskotała dotyku.

Nevada nie przestawał całować jej i ssa. Chwyła jego głowę i przycisnęła go bliżej, do wiadczej c rozkoszy i bólu, kiedy jego zby delikatnie drasnęła jej skórę, a nabrzmiała pierś wci domagała się pieszczot.

- To szaleństwo - mrucał Nevada.

Shelby odchyliła głowę do tyłu. Przywarli do siebie i osunęli się na ziemi. Kiedy Shelby leżała na plecach, Nevada podniósł głowę i wpiął się z całej siły w jej usta. Ciśnięcie jej bluzki przez głowę i siśnięcie do zapięcia stanika na plecach, a potem odpiął ją i obnażył jej piersi. Jego wargi i ręce były wszędzie: pocałunki i pieszczoty sprawiały, że drżała z podniecenia.

W uszach czuła zwirowane tętno swojego serca. Wbiła palce w plecy Nevada, a w końcu przerwał na chwilę, zerwał z siebie koszulkę i rzucił ją na bok. Stała się miękka i napięła się, kiedy ją uniósł i przycisnął. Ocierał się o nią, nagi, a ona odważnie dotykała opuszkami palców jego płaskich sutków, ukrytych w gęszczu skręconych włosów. Natychmiast stwardniały. Szybko, jakby przystąpił do ataku, chwycił ją za nadgarstki.

- Uwaga...

- Na co?

- Na mnie.

- Mam sił? - droczyła się.

- O, tak.

W odpowiedzi opuściła rękę i przesuwiała palce po jego skórze, a dotarła do paska dżinsów. Wcisnęła powietrze i wtedy dotknęła jego nabrzmiętego członka.

- Słodki Jezu - szepnęła, a ona pociśnęła rozpostarte.

Guziki pokały z trzaskiem i znoszone levisy Nevada szybko się rozchyliły. Shelby zaczęła cięgać mu dżinsy z bioder, kiedy chwycił jej nadgarstek twardymi jak stal palcami. - Przychodzi taki czas, Shelby, kiedy aden męczyzna, naprawdę aden męczyzna nie potrafi się już zatrzymać.

Z trudem przełknęła ślinę, spojrzała w jego szare, pełne żaru oczy i powoli wycisnęła rękę. Znowu zaparło mu dech w piersiach i zamknął oczy, a ona wyjęła jego gruby członek i zaczęła przesuwać po nim palcami.

- Shelby, nie... - ostrzegł ją. - Nie wiem czy... och Boże.

Zareagował błyskawicznie. Zrzucił buty i dżinsy, a potem siśnięcie do zapięcia jej szortów. Opadły z cichym szelestem: wydawało im się, że ten szelest odbija się echem po okolicznych wzgórzach. Bez wysiłku zsunął jej resztę ubrania i zanim zdążyła odetchnąć, już leżała przy nim naga, czując chłodny powiew wiatru, który przyprawiał ją o gęsią skórę; słyszała szmer wartkiego nurtu rzeki, a w oddali łoskot grzmotu.

Nagie ciała kochanków przywarły gwałtownie do siebie, wargi odnalazły się w mroku. Shelby całowała i była całowana, cały czas wbijając palce w twarde, umięśnione plecy Nevada. Nie ma odwrotu, ostrzegają głos wewnętrzny, ale ona nie zwracała na niego uwagi ani się nim nie przejmowała.

- Boże, jesteś piękna - powiedział Nevada, wpatrując się w nią i delikatnie rozsuwając jej kolana. - Diabelnie piękna.

Miała wrażenie, że podniecenie rozpalę jej żyły. W powietrzu unosił się zapach seksu.

- Kocham cię, Nevada - szepnęła z zapałem.

Zamknął oczy. Zawahał się.

Nie mógł przestać. Nie teraz. Przycisnęła go do siebie i szeptała mu ochryple do ucha:

- Pragnę cię, Nevada, prosz... kochaj mnie.

Objął ją ramionami i zagłębził w jej ciele, zrywając kruchą barierę dziewictwa. Kiedy krzyknęła, mocno ją przytulił.

Odtąd nic już nie miało być tak jak dawniej.

Rozdział 8

Wryła swoje inicjały na palu do przywizywania koni przed drogerią - szepnęła, wtulona w ramiona Nevady. Patrzyła w górę, przez gałęzie drzew, na gwiazdy, które szybko zniknęły. Nadciągały chmury. Grzmoty, które wydawały się tak odległe, znacznie się przybliżyły i Shelby ujrzała błyskawice nad wzgórzami.

- Naprawdę?

- Mmm. - Wtuliła się w niego, cicho westchnęła i słuchała jego oddechu, czując, jak powoli gaśnie ar ekstazy. A więc to tak czuje się kobieta, kiedy kocha się z mężczyzną, kiedy ma go w sobie, kiedy chce, żeby ich ciała się połączyły.

Seks z Nevada napawał ją strachem i radością. Najpierw bolało, a potem było niesamowicie.

- Na tym słupie w środku miasta?

- Tak. Od spodu.

- Co te ci przyszło do głowy?

Wzruszyła ramionami. Nagle poczuła się młoda i głupia.

- Wtedy wydawało mi się, że to dobry pomysł.

- Wolałbym nie wiedzieć, co uważasz za zły pomysł.

Zachichotała; wiedziała, że zakochuje się w nim na zabój.

Pocałował ją w czubek głowy.

- Wiesz, myślisz, że może na byłoby to uznać za przestępstwo. Profanacja punktu orientacyjnego w miejscu publicznym, akt wandalizmu czy...

Przewróciła się na brzuch i zamknęła mu usta pocałunkiem. Chociaż jeszcze była obolała, to jednak pragnęła być blisko niego, czując jego ciało. Otoczył ją ramionami i pokręcił głowę, kiedy się na nim położyła.

- Niezły z ciebie numer. - Przywierał ustami do jej piersi.

- Co?

- Nie wiem. Nie umiem tego dobrze rozgrywać.

- Spróbuj.

- Uwierz mi, próbowałem - odparł i znowu ją pocałował. Tym razem mocniej. Natarczywie.

Rozchyliła usta i westchnęła. Gładził jej plecy, a po chwili jego ręce ujęły jej pośladki. Szorstkie od pracy fizycznej dłonie przylgnęły do jej delikatnej skóry. Zatopił w niej palce. Pachnący deszczem wiatr owiał nagie ciało Shelby, buszował w jej włosach. Gdzieś w pobliżu zahuczała sowa.

Shelby czuła przyjemne mrowienie. Całował jej piersi, ssał sutki.

Miała wrażenie, że krew w niej wrze. Nevada ssał jej piersi coraz mocniej. Zamknęła oczy i poczuła, jak twardnieje jego członek.

- Znowu? - wyszeptała z niedowierzaniem i zanim zdążyła zadać następną pytanie, on przesunął się trochę, tak żeby znowu znaleźć się w niej. Zaparło jej dech w piersiach, kiedy wygiął plecy do tyłu, napinając mięśnie pośladków. Przytrzymał ją mocnymi rękami, a ona zaczęła się kołysać, dostosowując do jego powolnego rytmu, tracąc się w magii tej nocy.

Jej wyobraźnia opanowały erotyczne obrazy. Po daniu sprawiło, że zupełnie straciła nad sobą kontrolę. W tej jednej chwili Nevada był dla niej wszystkim, jej pocztkiem i kołosem. Zamknęła oczy, czując, że zawładnąła nią dżama, że pulsuje w niej ból i pragnienie. To on ją obudził i tylko on mógł jej przynieść ulgę.

- Nevada! - krzyczała ochryple - o Boże... Nevada... - Poruszał się teraz szybciej i czuła, że zatraciła się w jego zapale, w cudowności tej nocy. Oddychała krótko, spazmatycznie; na jej ciele wystąpiły kropelki potu, serce biło bez opamiętania, a umysł wymykał się spod kontroli.

- Kocham cię.

Czy to ona powiedziała? A może on?

Z nieba zaczęły spadać krople deszczu.

- Nevada... o Boże... - Wpiła palce jeszcze mocniej w mięśnie jego barków.

Jęknęła. Przygwoździł ją jeszcze mocniej i zwiłkszył tempo.

- O, tak, właśnie tak, och, Shelby...

W tym momencie jej ciałem wstrząsnął spazm niepohamowanej rozkoszy. Krzyknęła i zaraz potem Nevada wydał przeciągły jęk i wytrysnęła w niego. Ogień i lód; wrodku Shelby czuła ar, lecz jej skóra już stała się chłodna pod wpływem pierwszych kropli deszczu.

Zadygotała i opadła na jego ciało, wyczerpana.

Słyszała, jak głośnie wali mu serce. Z trudem łapał powietrze.

Niebo się otworzyło.

Shelby poczuła strumień zimnych kropli na obnażonych plecach.

Nevada poruszył się, wplatając ręce w mokre kosmyki jej włosów.

- Utopisz się - drażnił się z nią, wciśnięty nie mogąc złapać tchu.

- Nie przejmuj się tym.

- No, to będziesz się przejmowała.

- Nigdy. - Leżała na nim i miała się, czując, jak deszcz cieką jej po nosie.

Objął ją mocnymi ramionami i pocałował w skroń.

- O, tak, księżniczko, uwierz mi, będziesz, i to bardzo.

- Nie znasz mnie.

- Znam cię dostatecznie dobrze - odparł i klepnął ją lekko po pupie. - Chyba powinniśmy zabrać ubrania i pognać do mojego wozu. Zaparkowałem go po drugiej stronie ogrodzenia, pół kilometra stąd.

- Pół kilometra?

- Nie chciałem, żeby ktoś nas przyłapał.

Za miała się, słysząc o takiej ostrości no ci.

- No, chodź, podwiozę ci, dokąd zechcesz.

Ta propozycja brzmiała cudownie, ale Shelby nie mogła aż tak ryzykować. Już i tak nazbyt kusiła los. Nawet w tej chwili ojciec mógł zadzwonić do domu Lily i zdać sobie sprawę, że jego jedyna córka go okłamała. Znała go i wiedziała, że na pewno zawiadomiłby policję albo, co gorsza, zorganizowałby własny ekip poszukiwawczy z robotników z rancza.

Mruć oczy pod wpływem ulewy, zerknęła z niepokojem na ciemne niebo i zadrżała. Och, jak pragnęła teraz odjechać z Nevad Smithem i odtąd być z nim na zawsze.

- Musz odprowadzi klacz z powrotem na ranczo i pozwoli jej ochłon - powiedziała. - To mo e by trudne. Deszcze przybrał na sile, lało jak z cebra.

- Czułbym si lepiej, gdyby pojechała ze mn - przesun ł r k po jej mokrym udzie w kusz cym ge cie.

- Nie mog . Naprawd . - Wbrew sobie zsun ła si z Nevady, podniosła swoje mokre majtki i szorty i wło yła je. Szukaj c butów w błotnistej trawie, do wiadczała nowych emocji: wreszcie czuła si prawdziw kobiet .

- Shelby..

- Naprawd . Musz wróci na ranczo.

Nic nie odpowiedział, tylko pomógł znale jej stare buty. Kiedy je wkładała, rzucił jej bluzk i stanik.

- Nie podoba mi si to.

- Nic mi nie b dzie - zapewniła, chocia była ju całkiem przemoczona.

Chwycił swoje d insy i wstał. Uj ł jej r k w łokciu.

- Lepiej b dzie, je eli pójd z tob .

- Nie b d niem dry - sprzeczała si , ale cieszyła j my l, e chciał z ni by , odprowadzi j bezpiecznie do domu. Ten kowboj miał serce d entelmena. - Przyjechałam tu sama i dam rad wróci do domu.

Nie przekonała go.

- Byłoby lepiej...

- ...gdyby nikt si nie dowiedział, e byli my razem - doko czyła za niego, nic sobie nie robi c z jego zatroskanego tonu. Zapi ła stanik, a potem, czuj c dreszcze, wło yła bawełnian bluzk z krótkimi r kawami. - Okej?

Zawahał si , zakł ł pod nosem i chwycił j w obj cia, eby wycisn na jej ustach ostatni, desperacki pocałunek. Strumienie wody lały si z nieba, a wiatr chłodził jej skór .

- Zadzwo do mnie, kiedy dotrzesz do domu - nakazał. Stał nagi w mroku, przemoczony do suchej nitki. - Chc mie pewno , e nic ci nie jest.

- Zadzwoni - obiecała, wzruszona, e tak si ni przejmuje.

Szybko wło ył d insy.

Usiłuj c zapi guziki przy bluzce, mrugała oczami i wmawiała sobie, e to tylko deszcz, e to nie mog by jej lzy. Krople ciekły jej po nosie i podbródku. Palce nagle wydały jej si grube i niezdarne.

- Pozwól, e ci pomog . - Nevada jeszcze nie zd ył zapi rozporka, a jego bose stopy stawały si coraz bardziej ubłocone. Odsun ł r ce Shelby i ostro nie zapinał kolejne perłowe guziczki. - Prosz bardzo.

- Dzi ki.

- Cała przyjemno po mojej stronie. - W ciemno ci nocy wida było wyra nie biel jego z bów. U miechał si krzywo. - Uwa aj na siebie, Shelby - powiedział szorstko, uj ł jej twarz w dłonie i z całej siły wpił si w jej usta.

Kiedy odsun ł si od niej, skin ła głow w milczeniu; jego czuło sprawiała, e serce jej si krajało.

Pomógł jej wsi na konia i stał na szeroko rozstawionych nogach, z r kami zło onymi na piersi, gdy ona ci gała przemoczone lejce i cicho cmokała. Klacz nie potrzebowała zach ty. W sz c wiatr nozdrzami, ruszyła z kopyta i zacz ła si pi po wzgórz, eby jak najszybciej wróci do stajni.

Obejrawszy si przez rami , Shelby po raz ostatni ujrzała ciemn sylwetk Nevady. Potem w ulewnym deszczu straciła go z oczu.

Nadeszła pora powrotu do domu.

- No, dalej. - Poklepała klacz, kiedy dotarły na wzgórze.

Burza rozszalała się na dobre. Wiatr i woda mocno targały trawę. Błyskawice przypominały niesamowite, postrzępione palce. Nad wzgórzami przetoczył się kolejny, donośny grzmot.

Mruć oczy, Shelby pochyliła się do przodu i spierała konia butami. Klacz szarpnęła się, wyciągając długie nogi i stukając podkowami o błotnisty grunt. Piekący ból między nogami przypomniał Shelby o jej miłosnych zmaganiach z Nevada i uśmiechnęła się mimo wiatru i deszczu. Co z tego, że była przemoczona do suchej nitki, że ojciec mógł ją przyłapać i przez wieki, że mokre kołskie włosie boleśnie ocierało jej gołe nogi? Warto było. Teraz, dzięki Nevadzie Smithowi, była naprawdę kobietą.

Klacz coraz szybciej galopowała przez pola. Shelby mrugała oczami i ocierała je jedną ręką, drugą za kurczowo trzymała skórzane lejce i grzywę Appaloosy. Noc była ciemna, bezksiężycowa, trawiaste połacie wydawały się surowe i ponure. Shelby jechała na wycucie, ufając intuicji swojego konia i własnemu zmysłowi przestrzennemu.

Jak póno mogło być? Czy jej ojciec dzwonił? Co ją czeka, kiedy wróci ma ranczo? Co będzie, jeśli ktoś - na przykład Ross McCallum - znajdzie jej wóz? Problemy, które dotychczas odsuwała, teraz urastały w jej głowie do monstrualnych rozmiarów. Co powie? Czy się odważy w jej kłamstwa? Prawda by go zabiła.

Dręciła i szczekała z bami z zimna, czuła, że bluzka przylepia jej się do skóry, a z włosów cieknie woda i płoszy ją wiatr, teraz bardzo zimny i porywisty.

- Szybciej, malutka - nakazała. - Galopem. - Zwierz przy pieszyło, rozpryskując błoto kopytami. Minęło star chat i pole, na którym mimo burzy pały się longhorny.

Ciemne niebo rozogniła nieregularna błyskawica i spłoszona klacz zboczyła z drogi.

Shelby pochyliła się do przodu, kurczowo złapała się grzywy i jako zdołała utrzymać w siodle, z bijącym sercem wyprostowała się i dostrzegła błyskawicę po wiatłach rancza. Najbardziej wysunięte zabudowania i niły dziwnie w strugach deszczu.

- Bo e, dopomóż mi - szepnęła.

W baraku było ciemno, ale wiatła zainstalowane dla ochrony rancza mimo wszystko trochę rozjaśniały mrok. Na szczęście żadne wiatło nie padało ze stajni. Nikt nie zauważył braku klaczy.

Mimo wszystko Shelby zachowywała ostrożność. Kazała jej zwolnić i zeskoczyła z niej w pewnej odległości od oświetlonego terenu. Jej buty chlupały w coraz grubszej warstwie błota. Uważnie nasłuchiwała dźwięków wiadczych o obecności człowieka lub psa, a jednocześnie nie prowadziła klacz do cieplej, suchej stajni. Kiedy tam doszły, odpiła uzdę, cisnęła ją przez łeb klaczy i zamknęła zwierzę w boksie. Marzyła teraz tylko o tym, aby uciec stąd jak najdalej, wtopiła się w ciemność, aby jej nie przyłapali. Mimo po piechu wyszczotkowała Appaloosę i wytarła ją, mając zapewne pełną nadzieję, że za parę godzin, kiedy konie będą oporzędzane, nikt z pomocników nie zauważy zmiany w wyglądzie klaczy.

Powiesiła uzdę na kołku i w głębi duszy modliła się, aby nikt nie zauważył uprzedzenia i nie zaczął się zastanawiać, dlaczego jest taka mokra.

Potem lekko uchyliła drzwi i wyliznęła się na zewnątrz. Nie było widać furgonetek, które wcześniej stały zaparkowane przy szopie z narzędziami;

Shelby nie widziała nigdzie psa, ale czuła, że ktoś lub coś ją obserwuje.

Co jej się przywidziało, wmawiała sobie, pędząc przez pola, ale nie mogła pozbyć się uczucia, że czyjeś oczy z ukrycia ledzą jej każdy krok. Przygryzła wargę i prosiła Boga, aby jej kabriolet nie

jej się niepokój Nevady. Burza tylko potęgowała jej zdenerwowanie. Nie mogła się doczekać, a pokona dystans dzielący ją od ojcowskiego rancza.

Musiała przebiec przez strumyk. Poślizgnęła się na mokrej trawie i błocie, kiedy gramoliła się na drugi brzeg. Ze skulonymi przed deszczem ramionami pognęła do miejsca, w którym zaparkowała swój wóz za gęszczem z krzewów mesquite. Mały ciemny kabriolet stał tam, gdzie go zostawiła: ponieważ opadła deszcz, wnętrza było mokre od deszczu.

Tym Shelby się nie przejmowała. Samochód przecie wyschnie.

- Dziękuj - wyszeptała na wypadek, gdyby Bóg jej słuchał.

Pełna wdzięku usiadła za kierownicę. Otarła mokre oczy, zerknęła we wsteczne lustro i zauważyła, że jej usta są spuchnięte, renice rozszerzone, a włosy ulizane. Mimo to uśmiechnęła się do swojego odbicia. Teraz pojedzie do domu, po cichu wejdzie do domu, wezmie prysznic, przebierze się i resztę nocy będzie miała o Nevadzie. Wszystko będzie w porządku.

Błyskawicznie uruchomiła silnik i wrzuciła wsteczny bieg. Cofnęła wóz o jakieś pół metra - potem koła zaczęły boksować, a porsche przechyliło się na bok.

- No, dalej, dalej. - Zmniejszyła gaz, a po chwili ponownie mocno nacisnęła pedał. Opony znowu się obróciły, ale samochód nie mógł ruszyć z miejsca. Wrzuciła jedynkę i dodała gazu. Kabriolet znów się przechylił. Koła obracały się jak zwariowane. Kiedy zdjęła nogę z gazu, wóz odzyskał stabilność.

- Nie rób mi tego. Proszę ci. Nie teraz. - Ponawiała próby, a zaparowały szyby. Zaczęła się intensywnie pocić pod pachami i uświadomiła sobie, że tylne koła wozu grzeszą w głębi bokich brzdach. Kiedy otworzyła drzwi i wysiadła, jej buty równie ugrzęzły w błocie.

wiecznie, pomyślała z pełną goryczy ironią. Po prostu rewelacja.

Przedarła się przez gęszcz krzewów mesquite do miejsca, w którym rozpadzona woda przelewała się po wirze. Wyglądało na to, że sytuacja cięgle się pogarsza.

Wróciła do wozu i uklękła obok tylnego koła. Pogrzebała pod nim i zobaczyła, że nie do końca, że opona ugrzęzła w głębi bokiej koleiny, to jeszcze zapadła się, prawie do osi, cała tylna część porsche.

Zrozumiała, że bez podnośnika nie uda jej się się wydostać.

I co teraz? - zastanawiała się, patrząc przez strugi deszczu na odległy o kilkaset metrów dom na ranczu. Wiedziała, jak dostać się do rodka, gdzie wisi komplet kluczy do pikapa chevy, należących do jej ojca. Mogłaby znaleźć czech w szopie z narzędziami i za pomocą łatarki, sprytu, wysiłku i dużej ilości owiniętego wokół niego, przymocować drugi koniec do pikapa i, jeżeli nie wydarzyłaby się kolejna katastrofa, wyciągnąć wóz z błota.

Może jej się uda.

Pod warunkiem, że wszyscy robotnicy z rancza pojechali do miasta.

Teoretycznie było to mało prawdopodobne. Według umowy ranczo musiało być strzeżone dwadzieścia cztery godziny na dobę, a zatem zawsze powinien tu być któryś z robotników - przeważnie brygadzysta. Jednak w piątkowe wieczory wszyscy zazwyczaj wymykali się do miasta. Shelby mogła liczyć, że będzie tak i tym razem.

Wiele ryzykowała, mogło się to skończyć, ale jaki miała wybór?

- Musisz spróbować - powiedziała sobie i zaczęła biec w stronę domu. Była zupełnie przemoczona i brudna jak wieprzek tarzający się w błocie, ale to w tej sytuacji było nieważne. Cięko dyszała. Strach dodawał jej siły. Zwolniła dopiero w odległości kilkudziesięciu metrów od baraku, gdy tam mogła się spocząć.

wynaj tego gościa o równie podłym charakterze. Poruszała się cicho, wodziła losowi za to, że krople deszczu nieustannie bębniły w kałuże i strugi wody ciekły z rynien przy wtórze głosu szumu wiatru.

Psa wciąż nie było widać, od razu więc pobiegła do domku na ranczu, zostawiła ubłocone buty na tylnym ganku i weszła do kuchni. Przygryzając wargę, wyciągnęła rękę w prawo. Jej palce namacały zapasowy pasek kluczy na haczyku w cieniu. Klucze głono zabrzmiały. Gdzieś na dworze rozległo się szczekanie psa. Shelby poczuła, że ze strachu boli ją brzuch. Nie marnowała ani chwili. Chwyliła wszystkie klucze, wepchnęła je do kieszeni szortów, a potem cichutko zamknęła drzwi i wcisnęła buty.

Na razie wszystko szło gładko.

W kilka sekund zeszła z ganku i okrążyła budynek. Przez chwilę biegła w cieniu, w stronę widocznego w drzewnym wietle latarni podwórza, skąd było już blisko do wozu. Obejrzała się przez ramię. Nie widziała ani człowieka, ani psa, otworzyła więc drzwi.

W środku natychmiast zabłysło światło. Rozdygotana Shelby wsunęła się za kierownicę i zamknęła drzwi. Światło zgasło, ale była pewna, że została przyłapaną. Szczekając z bami, spróbowała użyć pierwszego klucza. Bez powodzenia. Drugi również nie pasował. Kiedy trzeci klucz tętno nic się nie przydał, tak się zdenerwowała, że ledwo mogła ruszać palcami. A jeśli zostawiła jakiś komplet kluczy w domu? Jeśli jeden klucz nie był w jej kieszeni? A jeśli...?

- Kto tam, do cholery? - zabrzmiał donośny głos.

Shelby aż podskoczyła. Pisnęła. Wyrzuciła kierownicę.

Klakson zaryczał. Gdzieś na zewnątrz rozległo się ujadanie psa i w tym momencie ktoś gwałtownym ruchem otworzył drzwi samochodu.

Światło w środku znowu się zapaliło. W jego ostrym blasku Shelby patrzyła w rumianą, zaciekniętą twarz Rossa McCalluma. Mokre włosy oblepiały mu czoło, oczy przypominały szparki, a mina wyrażała nie to zaskoczenie, nie to satysfakcję. W wielkiej piśnicy ciskał pistolet ze srebrną lufą.

Shelby niemal nie zsiusiała się w majtki.

- A to dopiero, spójrzcie no, kogo my tu mamy? Córniasz dziego, akurat tutaj, w tym cholernym wozie.

W kabinie czuć było odór skwaśniałej whisky. Shelby poczuła mdłości.

- No i co ty wyrabiasz, malutka Shelby? Kradniesz staremu bryk?

- Pożyczam - wydusiła, miertelnie przerażona. Nie miała wyjścia, musiała blefować.

- A dlaczego to?

- Nie twój interes. - Przypominała sobie, że ten mężczyzna jest tylko wynajętym przez jej ojca robotnikiem, nikim więcej. Ale pamięć podsuwała fragmenty rozmowy, którą podsłuchiwała wczynie w budynku na ranczu. W głębi duszy trzęsła się jak galareta. Nigdy w życiu nie była tak przerażona.

- Czy to ma jakiś związek z samochodem, który ukryła dalej? - Kiwnęła głowę w kierunku głównej drogi. Serce w niej zamierało, kiedy widziała, jak McCallum uwa nie się jej przygląda, gapi na jej mokre włosy, prawie przezroczysty bluzk, krótkie, przemoczone szorty. Gdzieś za nim warknął pies. - Tak, widziałem go, kiedy wracałem z miasta, wiesz, ten chrom znakomicie odbija światła reflektorów. - Uniósł brwi, jakby oczekiwał, że ona kiwnie potakując głową. - Zatrzymałem się, zobaczyłem, że w tak burznie dalej nie pojedzie, i domyśliłem się, że wczynie nie gdzieś tu pokaże się.

Ta uwaga ją dobiła. On na nią czekał. Iedził ją. Prawdopodobnie miał się w kułak

Podrapał si ę po nieogolonym podbródku.

- No, to co tam knujesz? Nie, nie mów mi. Pozwól, ę zgadn ę. Poszła si ę kurwi ę z moim starym kumplem, zast pc szeryfa, Nevad Smithem.

- Jestem tutaj tylko po to, ęby po yczy wóz - skłamała, staraj c si ę mówi ę pewnym głosem. - Nie musz ci si ę z niczego tłumaczy ę.

Czerwona, nieogolona twarz McCalluma si ę o ywiła.

- Nie, s dz ę, ę nie musisz. - Wydawało si ę, ę zastanawia si ę nad tym, co przed chwil ę usłyszał, i Shelby w swojej naiwno ci poczuła iskierek nadziei. - Słuchaj no, wiem, ę masz przer bane, bo nie do ę, ę siadł ci samochód, to jeszcze kombinujesz za plecami ojca i w ogóle, ale ch tnie ci pomog ę wy dosta si ę z tego syfu, i nawet nikomu o tym nie powiem, je li chcesz.

Nie wierzyła mu. Nigdy by mu nie zaufała. Zerknęła z niepokojem na pistolet ze srebrn ę luf ę, który McCallum wci ę ciskał w r ęce.

- Naprawd ę. - Schylił si ę i wsun ł do kabiny.

- Nie potrzebuj ę twojej pomocy.

- Ale potrzebujesz, złotko - powiedział i zacz ł wodzi ę swoim grubym paluchem po jej twarzy.

- Wyno si ę!

- Tego nie mog ę zrobi ę.

- Mówi ę powa nie, McCallum.

- Ach tak? I co zrobisz? - Przysun ł si ę do niej, a ona szybko uciekła na drugi koniec i wyci gn ęła r ęk ę do klamki. Za pó no. Złapał j ę za szyj ę swoj ę wielk ę łap ę i przyci gn ł do siebie.

O Bo ę, strasznie mu cuchn ęło z g ęby.

Otworzył usta i pocałował j ę. Shelby omal nie z wymiotowała.

- Zostaw mnie w spokoju.

- O nie, cukiereczku. Nie zrobi ę tego. Nie teraz.

Strach zmroził jej krew. McCallum znowu j ę pocałował. Odłó ył pistolet na półk ę. Shelby odczołgała si ę do tyłu, ęby si ę na niego zamierzy ę, lecz on uderzy j ę po r ęce i za miał si ę zło liwie, jakby jej nieudolne próby go bawiły.

Uderzyła go mocno, dłoni ę w policzek.

- Wyno si ę, Ross, bo przysi gam...

- Nic nie zrobisz, tylko dasz mi to, co dała ę temu skundlonemu gnojowi - warkn ł i rzucił si ę na ni ę.

Walczyła z nim, krzyczała i drapała go po twarzy, lecz on tylko szczyrzył z ęby w u miechu i spychał j ę na fotel.

Łup! Wyr n ęła tyłem głowy w okno od strony pasa era. Poczuła przejmuj cy ból. Zobaczyła jasne wiatła, a potem wiat zacz ł ciemnie ę przed jej oczami. Omal nie zemdlęła, gdy tymczasem on próbował j ę pocałowa ę. Machała bezładnie r ękami, a udało jej si ę zadrapa ę go w policzek.

- Kurcz ! Wiedziałem, ę b dziesz jak w ciekła kotka - sapn ł. Przygwo dził j ę do siedzenia i przytrzymał jedn ę r ęk ę oba jej nadgarstki nad jej głow ę. - Dla mnie mo ę by ę. Lubi ę, jak kobieta troch ę si ę opiera.

Shelby odrzuciła głow ę do tyłu i splun ęła. Ku jej osłupieniu, zlizał jej lin ę i cmokn ł. Wyci gn ęł r ęk ę i zacz ł brutalnie obmacywa ę jej piersi.

Przepełniona obrzydzeniem, próbowała zepchn ę go z siebie. Poczuła, jak twardy jest jego członek. Usłyszała przera aj cy d wi k odpinanej klamry paska i rozporka d ę insów. O Bo ę, zamierzał j ę

A ona nic nie mogła zrobić .

Dosłownie nic.

- Nie! - krzyknęła, zła, a słyszy błagalny ton w swoim głosie. - Nie rób tego. Proszę. Ross, och, nie! - Wiła się bezradnie. Był za nią, za bardzo zdeterminowany. Czowała, że coś w niej umiera. Łzy ciekły jej po twarzy; z gardła wydobywały się okropne dźwięki, nie to krzyk, nie to szloch. - Nie, nie, nie!

- Spodoba ci się - mruknął, ledwo poruszając wargami. - Wszystkie zawzięte dziwki to lubi .

Próbowała odepchnąć go kolanem, ale on miał refleks. Przesunął się. Rozłożył jej nogi i przytrzymał, a potem odepchnął jej rękę .

- No, dziecinko. Wyluzuj się . Zaraz się zabawimy w wozie twojego tatusia. - Zalatywało od niego whisky. Szczecina na jego podbródku bole nie ocierała jej twarz. Miał szorstkie ręce i ciemno sapał. - Wiesz, licznotko, czekałem na to całe życie.

Przez następny tydzień Shelby chodziła jak we mgle, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało. Wciąż przypominała sobie ohydne, potworne wydarzenia tamtej nocy. Brała prysznic i kąpiele, próbowała zmyć z siebie brud, ale on wciąż czaił się tuż pod jej skórą i penetrował najmroczniejsze zakamarki jej umysłu. Była apatyczna, niezdolna do życia. Ukrywała swój sekret, nie wyjawiała go nikomu. Unikając wypraw do miasta, nie chodziła do szkoły z powodu „migren”, a w nocy, kiedy była sama, kuliła się na łóżku i kiwała niespokojnie, przygryzając język, aby łzy, które wypłakiwała w poduszkę, spadały bezgłośnie.

Lydia była zatroskana i próbowała zachęcić ją do jedzenia, mimo że Shelby nie mogła nic przełknąć . Ojciec potraktował zmiany w jej zachowaniu jako kolejny etap dojrzewania.

- Och, małej Shelby nic nie będzie - usłyszała, jak ojciec mówi to zmartwionej gospoście. - To typowe wariactwa pod koniec roku. Wiesz, martwi się o to, czy ukończy liceum. Wszystkie dziewczyny w jej wieku przejmują się takimi rzeczami.

- Ale...

- No, nie martw się , Lydio. Nic jej nie będzie. Chyba nie zamierzasz jej matkować , co? Jesteś jej gospoście i doceniam to, że zysłaś się z Shelby, ale wszystko będzie w porządku. W całkowitym porządku. Daj jej tylko czas, aby się przystosowała.

Kiedyś spórko czył się w ten sposób, chociaż ciemne oczy Lydie pozostawały bardzo zatroskane.

Nevada dzwonił, ale Shelby nie odbierała telefonu. Nie była w stanie spojrzeć mu w twarz ani słuchać jego głosu. Unikając go w mieszkaniu i natknęła się na niego tylko raz, kilka tygodni później.

Jechała do domu ze szkoły, wciąż wracając myślnie do tamtej wstrząsającej nocy. Nevada, który nadal pracował w Biurze Szeryfa, kazał jej zatrzymać wóz.

Podszedł do niej krokami do pracującego na wolnych obrotach kabrioletu i zadał odpowiedzi, których ona nie potrafiła mu dać .

- Co się stało? - Stanął przy oknie od strony kierowcy.

Shelby zaparkowała wóz na wysadzonej drzewami ulicy, niedaleko swojego domu. Och Boże, co mogła odpowiedzieć ? Patrzyła na niego, ale nie była w stanie wydusić ani słowa. Nevada otworzył drzwi, wyciągnął ją na wiatło słoneczne i patrzył na nią tak gniewnie, że myślała, że zaraz się roztopi pod jego surowym spojrzeniem.

- Co, u diabła, się stało, Shelby? - powtórzył wolno, jakby mówił do osoby ograniczonej

- Nic - wydusiła.

- Akurat nic!

- Daj spokój, Nevada. - Och Bo e, strasznie chciała powiedzie mu prawd , ale nie mogła. Nigdy by nie zrozumiał. Nikt nie mógł si dowiedzie , co prze yła. Absolutnie nikt.

- Miała do mnie zadzwoni tamtej nocy. Odchodziłem od zmysłów.

- Zapomniałam. - Chrz kn ła.

- Zapomniała ? Wiesz, do nasłuchałem si kitu w swoim yciu, eby wiedzie , kiedy kto chce mi co takiego wcisn .

- Masz zamiar ukara mnie mandatem czy co w tym stylu? Bo je li tak, to po prostu zrób to, a je li nie, to lepiej ju pojed do domu - powiedziała to spokojnie, bez emocji, ale wiele j to kosztowało.

- Odpychasz mnie.

Milczała. Patrzyła na mijaj cy ich samochód; dwóch chłopaków, których znała, p dziło na złamanie karku. My leli, e Shelby jest karana mandatem, i rykn li miechem, który zagłuszył ryk silnika, a nawet zgiełk heavymetalowej muzyki.

- Dzwoniłem.

- Byłam zaj ta. - Nawet w jej własnych uszach ta wymówka brzmiała nieprzekonuj co.

- Chodzi o twojego ojca.

Nic nie odpowiedziała.

Mocne palce zacisn ły si na jej przedramionach.

- Je li to sko czone, w porz dku. - Słysz c to, miała ochot zapa si pod ziemi . - Ale przynajmniej jeste mi winna jakie wyja nienie.

- Nic ci nie jestem winna - odparła głuchym głosem, chocia po raz pierwszy od ataku Rossa co poczuła, jakby echo nami tno ci, skrytej gł boko w odr twiałym ciele i duszy.

Zacisn ł z by.

- W takim razie o co chodziło w tym wszystkim, w naszym spotkaniu nad rzek jaki miesi c temu?

- Czy musi o co chodzi ? - Wbiła wzrok w ziemi , zauwa yła zgnieciony kapsel od butelki w wirze na wzniesieniu. Przełkn ła lin .

- Shelby? - O Bo e, czy by w jego głosie słyszała nut desperacji?

Chciała wykrzycze , e go kocha, e jej przykro, e wie, jak bardzo nieracjonalne i łośne jest uczucie wstydu z powodu czego , co było poza jej kontrol , ale gdyby to zrobiła, musiałaby powiedzie mu prawd , a na to nie mogła si odwa y . I nigdy si nie odwa y.

- Czy musi o co chodzi ? Hm, tak, Shelby, musi.

- Ja... ja nie potrafi tego wyja ni .

- Spróbuj. - Desperacj w jego głosie zast pił gniew.

Wzi ła gł boki oddech, ale nie potrafiła znale słów. Wrona załopotala czarnymi skrzydłami i usadowiła si na drucie telefonicznym mi dzy gał ziami s katego d bu.

- Spójrz na mnie.

Zebrała si w sobie i podniosła oczy. Zmusiła si do konfrontacji z jego pytaj cym spojrzeniem.

- Czy a tak mocno ci zraniłem?

Miała ochotę umrzeć. Prawda dudniła w jej uszach, ale wstyd nie pozwolił jej ujawnić nic.

- Nie.

- No, więc?...

Cóż mogła powiedzieć? Nic. I dlatego milczała.

Spojrzała na niego gniewnie, jego wargi wygięły się w ponurym grymasie. W szarych oczach zbierały się gradowe chmury.

- To nieprawda, dobrze o tym wiesz - powiedział głosem, który w jakiś sposób przebił się do jej zrozpaczonego umysłu.

Zamrugnęła.

- Co?

- E znowu widuję się z Viancą.

Jej serce, już tak nieodwracalnie zranione, otrzymało kolejny ostry cios.

- Ja... ja nie rozumiem.

- To tylko gadanie, Shelby. - Bruzdy wokół jego ust stały i bardzo się pogłębiły. Z wnętrza jego wozu dał się słyszeć trzask radia. To nie ma znaczenia.

- Akurat, do diabła! - Szarpnął ją, gwałtownie przyciągnął do siebie i pocałował tak mocno, że nie mogła złapać tchu ani logicznie myśleć. Kiedy podniósł głowę, spojrzała na niego zapłakana. - To na tobie mi zależy. Niech mnie diabli porwą, Shelby, ale właśnie nie tak to wygląda.

Pociągnęła nosem, gdy tymczasem radio CB znowu zatrzeszczało i ktoś podał numer służby Niewady oraz słyszalnie mimo zakłóceń komendę: „...oficer potrzebuje wsparcia...”.

- Cholera. Jego uścisk zelżał. Zdjął kapelusz i niecierpliwie wsunął palce we włosy. - Nie wierzysz mi.

- Nie wiem, w co mam wierzyć - odparła, usiłując przez wyćwiczone niezastępowane poczucie winy i poniesienia.

- Bez względu na to co się stanie, jesteś tu jedynym. - Spojrzenie jego szarych oczu było gorące i czyste. - Jesteś tu jedynym. - Odmaszerował do swojego wozu, wskoczył do środka, powiedział coś do mikrofonu i włączył wiatła i syreny. Odjechał z piskiem opon, tak że unosił się za nim tuman kurzu.

- Przeboleję to - powiedziała do siebie. Odnalazła w sobie odrobinę wiary w jego słowa. Wiedziała, że musi mu ufać, że musi odnaleźć poczucie bezpieczeństwa, jakiego zaznawała w jego ramionach, na nowo odkrywając swoje ja, odzyskać wolność. Jadąc do domu, zerknęła we wsteczne lustro. - Nie pozwalaj, żeby Ross McCallum ci to robił. - Łzy ciekły jej po twarzy potokami, rozmazany tusz zostawiał czarne ślady. - Nie możesz pozwolić mu wygrać.

Zaparkowała blisko garażu, obiegła wywłóki i pognęła przez furtkę na schody na tyłach rezydencji. Z każdym stopniem przybywało jej determinacji i do głosu dochodziło poczucie godności, mocno nadwątłone, ale nie całkiem zniszczone. Nevada ją kocha. Sam jej to powiedział. To, co się stało tamtej nocy przed sześcioma tygodniami, już było skończone. I nie zdarzy się nigdy więcej. Przenigdy. Jeden mój czyn, nie wywołaj takich szumów jak Ross McCallum, nie będzie jej już nigdy terroryzował.

Na szczycie schodów lekko zakręciło się jej w głowie. Kiedy szła do pokoju, poczuła atak mdłości. Jej łódź zbuntowała się i domagał oczyszczenia. Pobiegła do łazienki; ledwo zdążyła dopaść do sedesu i zaraz zaczęły się torsje.

Zwymiotowała wszystko, co zjadła, a więc niewiele.

Upadła na zimny posadzek, a potem przytrzymała się ściany i wstała. Opłukała usta pod kranem. Co się z nią dzieje? W głębi duszy wiedziała co, i zamartwiała się od kilku tygodni.

- O, nie. - Zwiesiła głowę.

W jednej chwili zawałił jej się świat i nie mogła już dłużej ignorować tego, co próbowała wyprzeć ze wiadomości.

- Och Boże, nie. - Pobiegła do swojej sypialni, wzięła kalendarz i patrzyła na niego z niedowierzaniem. - Proszę, nie - szeptała. - Tylko nie to...

Spóźnień jej się okres.

Nie o miesiąc, o nie. Minęło jej prawie sześćdziesiąt dni, odkąd ostatni raz miesiączkowała.

- Boże, dopomóż mi - szepnęła i kolejny, chyba tysięczny raz, ogarnęła ją myśl, że nie ma przy niej matki.

Może le policzyła, może jej cykl był zaburzony ze względu na koniec roku i fakt, że wkrótce miała ukończyć szkołę. Była zmęczona i zmartwiona, pogrąbiona w stresie i depresji z powodu gwałtu i... i... i... Przełknęła ślinę, spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Wymówki, których kurczowo się trzymała przez kilka ostatnich tygodni, nie miały już sensu. Patrzyła smutnymi oczami na swój ziemisty, niemal wychudzoną twarz.

Shelby Cole nie miała już wątpliwości: była w ciąży.

Rozdział 9

Tera niejszo

Teraz, po dziesięciu latach, Ross McCallum wrócił do miasta. Jako wolny człowiek. Na myśl o tym Shelby zadrżała. Leżąc w łóżku i patrząc na leniwie obracające się łopatki wentylatora pod sufitem, wmawiała sobie, że już nie czuje strachu. Od czasu, gdy po raz ostatni widziała McCalluma, wyprowadziła się od kontroli jej ojca, spędziła niezliczone godziny z terapeutami i psychologami, odzyskała szacunek do siebie i zdołała ukończyć college w Kalifornii. Ostatecznie wyjechała do Seattle, gdzie zaczęła studia magisterskie, a jednocześnie przystąpiła do egzaminu na pośrednika agencji nieruchomości. Nie dokonała pracy magisterskiej, ale była zadowolona, odnosiła sukcesy i przestała się denerwować koszmarami z młodości.

Wstała z łóżka i włączyła komputer. W trakcie ładowania systemu doszła do wniosku, że sama powinna trochę posurfować po Internecie. Najpierw spróbuje odnaleźć przyjaciela Nevady, Billa Levinsona, ponoć prywatnego detektywa. Wprawdzie to niewiele, ale przynajmniej mogłaby ruszyć z miejsca, miała już dość czekania, a ktoś wykona za nią to, co sama powinna zrobić. Nadal poszukiwała doktora Pritcharta i osób z nim związanych - krewnych, innych lekarzy, pielęgniarek czy recepcjonistek. No i był jeszcze prawnik ojca - jak on się nazywał?

Orrin Co tam. Orrin... Filkins albo Filmore, albo... Przypomniała sobie, jak wczoraj sędzia szperał w swojej szufladzie, szukając testamentu. Natychmiast popadła schodami do jego gabinetu, gdzie w powietrzu wciąż było czuć zapach palonych dawno temu cygar. Sędzię nigdzie nie widziała. Nie, żeby się tym specjalnie przejmowała. Nawet gdyby przyłapał ją na grzebaniu w jego osobistych rzeczach. Przecież on uprzykrzał jej życie, odkąd się pojawił. I życie jej córki. Niech się wkurzy, kiedy zobaczy, że Shelby przetrzała jego osobiste rzeczy. Niech ma to, na co zasłużył.

Bez najmniejszych skrupułów otwierała kolejne szuflady biurka. Nie znalazła żadnych dokumentów, rozglądała się więc po pokoju w poszukiwaniu rolodexu, notesu z adresami albo czegokolwiek

cz tk kancelarii. Poci gn ła szuflady jego kredensu, ale wykonany z l ni cego wi niowego drewna mebel był zamkni ty na klucz. Musiało tu co by : kawałek kartki, papier firmowy, wizytówki... Rozejrzała si jeszcze raz i wypatrzyła p k kluczy na kryształowej salaterce obok pojemnika na cygara. Wypróbowała trzy klucze, a w ko cu natrafiła na ten wła ciwy. Zwalczyła wyrzuty sumienia, otworzyła pierwsz szuflad i szybko zacz ła przerzuca teczki - niektóre z nich liczyły sobie tyle lat ile ona sama. Mimo brz ku garnków usłyszała ciche nucenie Lydii: była to ta sama hiszpa ska kołysanka, któr pami tała z dzieci stwa. K tem oka zauwa yła jaki ruch za oknem - Pablo Ramirez, ogrodnik, grabił grz dki. Wci nie było wida s dziego.

Serce Shelby biło coraz gło niej. Na czoło wyst piły krople potu.

- To musi gdzie tutaj by - powiedziała do siebie, a potem stan ła jak wryta. Zaparło jej dech w piersiach, kiedy natkn ła si na teczk z nazwiskiem swojej matki. - Co jest, do pioruna? - wyszeptała, czuj c sucho w gardle. U wiadomiła sobie, e ma przed sob kartoteki dotycz ce wszystkich osób, które kiedykolwiek pracowały dla s dziego, oraz wszystkich jego krewnych i innych...

COLE, ELIZABETH

Jej dziecko!

COLE, JASMINE

DEE, RUBY

ESTEVAN, RAMÓN

HART, NELL

MCCALLUM, ROSS

RAMIREZ, MARIA

RAMIREZ, PABLO

PRITCHART, NED

SMITH, NEVADA

VASQUEZ, PEDRO

Te rubryki czytało si jak spis ludno ci miasteczka Bad Luck. Shelby zrobiło si zimno. Nagle poczuła si jak intruz, który wypłyn ł na ciemn wod , gdzie w ka dej chwili mo na straci grunt pod nogami i uton w niezna-nych, zdradzieckich gł binach. A potem zobaczyła swoje nazwisko i imi .

Ojciec zało ył jej teczk ?

- Och, tato - szepn ła w odruchu rozpacz i niedowierzania.

Usłyszała skrzypni cie otwieranych drzwi, a potem cich rozmow ojca z Lydi . Zamarła, rozpoznawszy jego miarowe kroki i stukanie laski. Przygryzła warg i szybko wyci gn ła z szuflady kilka teczek - tylko kilka, eby nie było wida , jak wiele ich ubyło. Po cichu zamkn ła kredens na klucz, zostawiła klucz na kryształowej salaterce i bezgło nie wybiegła z pokoju. Wprawdzie była gotowa na konfrontacj z ojcem, gdyby j zastał w swoim gabinecie, ale nie musiał wiedzie , z jakim uporem jego córka d y do celu, ani o tym, e zamierza przewrócić dom do góry nogami i przeczesa wszystkie jego dokumenty, eby pozna prawd o losie swojego dziecka.

Jego nieregularne kroki było słyca coraz bli ej.

A niech to!

Wcisn wszy akta pod pach , zostawiła lekko uchylone drzwi i, eby nie wpa na ojca, pobiegła przez spi arni , min ła jadalni i salon, a z foyer przemkn ła do głównych schodów. Była na pode

Zamarła i wstrzymała oddech. Zerknęła na matowe szyby okien nad dwuskrzydłowymi frontowymi drzwiami. Na zewnątrz wiatr wydawał się taki sam - trawa przed domem, zielona i bujna mimo kurzu i upału, była podlewana przez automatyczne spryskiwacze - ale w środku, w miejscu, gdzie Shelby się wychowywała, jej życie przypominało karkocię.

- ...wiesz, martwi się o nią - mówił sędzia. - Shelby zachowuje się teraz tak, jakby miała obsesję, wymyśla sobie, że wszyscy są przeciw niej.

- A nie są? - zagadnęła Lydia.

- Oczywiście, że nie. - Red Cole prychnął z niedowierzaniem. - Miej na nią oko, kiedy jestem poza domem.

- Ona jest dorosłą kobietą.

- Wiem, wiem, ale Ross McCallum wrócił do miasta.

- *Dios...* Ten człowiek, on jest... *el diablo*.

- To fakt. On jest diabłem wcielonym. - Umilkł na chwilę i Shelby musiała wytężyć słuch. - Moja córka wybrała sobie niezłą porę na powrót tutaj.

- Myśl, że to się obróci na dobre - odparła cicho Lydia. - A pan, sędzio, powinien jej powiedzieć prawdę.

- Czy by?

Shelby zacisnęła palce na aktach. Co takiego ukrywali przed nią Lydia i sędzia? Serce waliło jej tak mocno, że z trudem słyszała rozmowę. Przechyliła się przez poręcz i zobaczyła czubki butów ojca.

- *Si*. Tak byłoby uczciwie. Za dużo jest tajemnic w tej rodzinie.

Amen, pomyślała Shelby. Będzie musiała pogadać z Lydią.

- Naprawdę, Shelby ma prawo wiedzieć - powiedziała z naciskiem Lydia.

A zatem gospoś - kobieta o silnym matczynym instynkcie - najwyraźniej wiedziała więcej o rodzinie Shelby niż ona sama. Co zakłuło ją w sercu. Czuła się zdradzona. Zawsze podejrzewała ojca o to, że manipuluje jej życiem, ale nie myślała w ten sposób o Lydii, kobiecie, która tuliła ją, kiedy się bała, opatrywała jej starte kolana i udzielała niechcianych rad na temat przyjaciół, szkoły i życia w ogóle, jakby Shelby była jej córką. Teraz wyglądało na to, że Lydii nie można do końca wierzyć. A więc komu można zaufa? Na pewno nie ojcu. Lydii też nie.

Oczami wyobraźni zobaczyła szorstkie rysy Nevady.

Och, Shelby, czy aż tak bardzo zgłupiała, że jesteś gotowa mu zaufa?

- Posłuchaj, Lydio, robię, co mogę, żeby zapewnić mojej córce bezpieczeństwo, i to jest najważniejsze. - Red Cole mówił zamyślonym głosem i po chwili, bymoe dlatego, że Lydia uniosła brew albo okazała niedowierzanie w jakiś inny sposób, dodał: - Naprawdę. Do diabła, wiem, że nadszedł czas, żeby wyjawić parę rzeczy, ale niełatwo jest otworzyć własną szafę i wyjąć schowane w niej trupy. Zrobi to, do jasnej cholery. Za jakiś czas. Sam zdecyduj kiedy.

Niedowierzające prychnięcie Lydii było bardzo wymowne.

Jakie trupy?

- Będzie na ranchu dziś po południu, więc nie rób dla mnie lunchu.

- Będzie pan jadł tam? - zapytała Lydia. W jej głosie czuło się pretensję. Musiało to mieć coś wspólnego z rozmową, której Shelby nie rozumiała.

- Co skubną.

- Ale doktor mówił...

Doktor? Jaki doktor? Z pewno ci nie Pritchard. Czy by s dzia był chory? Zawsze uwa ała, e jej ojciec jest zdrów jak ryba, a przy tym diabelnie uparty.

- Dam sobie rad , Lydio - burkn ł poirytowany. - To zreszt i tak ma niewielkie znaczenie.

O Bo e, có to miało znaczy ? Jak bardzo był chory?

Jego nieregularne kroki robiły si coraz gło niejsze, wi c Shelby pokonała reszt schodów i przekradła si bezszelestnie do swojego pokoju, eby ojciec nie zobaczył jej z aktami. Zamkn ła drzwi swojej sypialni, wsun ła teczki mi dzy materac i spr yny, poło yła si na łó ku i udawała, e pi, gdyby jej ojciec otworzył drzwi. Nie zrobił tego.

Z biciem serca, z tysiem pyta wiruj cych w głowie, słuchała oddalaj cych si kroków ojca, który najwyra niej szedł do swojego apartamentu w innym skrzydle rezydencji. Odetchn ła z ulg , a potem, niecierpliwie patrz c w sufit, gdzie nad wolno obracaj cym si wiatraczkiem bzycała mucha, czekała, a ojciec otworzy drzwi swojego pokoju, i usłyszała jego ci kie, nierówne kroki na tylnej klatce schodowej.

Gdy tylko upewniła si , e ojciec nie wraca, wyci gn ła teczki i usiadła na swoim ulubionym krze le - tym samym, na którym kiedy matka siedziała wraz z ni i czytała jej wierszyki.

Ale nie chciała jeszcze my le o Jasmine Cole ani o tym, jak umarła. Miała do czasu, eby rozpami tywa mgliste obrazy kobiety, która wydała j na wiat, kobiety, której nawet nie zd yła dobrze pozna .

Skoncentrowała si na swoim zadaniu i otworzyła pierwsz teczk , oznaczon imieniem i nazwiskiem córki. Rozczarowało j , e teczka była cienka i zawierała tylko akt urodzenia oraz akt zgonu.

Dopadło j rozgoryczenie. Poczua piek ce łzy w oczach. Ogl dała ju kopie tych dokumentów niezliczon liczb razy.

A czego si spodziewała , dokuczal jej sfrustrowany umysł. Zdj ? Nazwisk przybranych rodziców Elizabeth? wiadectw i raportów ze szkoły, do której chodziła? Jej pierwszych niezdarnych prób malowania paluszkami? No, czego?

Mocno przygryzła warg i powiedziała sobie, e nie mo e si poddawa . To była tylko mała przeszkoda, i skoro jej pierwsze próby poznania prawdy poprzez włamanie nie odniosły skutku, b dzie próbowała dalej.

Otworzyła drug teczk , z napisem SMITH, NEVADA. Był w niej plik dokumentów i bior c je do r ki, Shelby czua si tak, jakby wkraczała na czyj prywatny teren. Akt urodzenia na nazwisko Nevada Evans Smith, dokumentacja medyczna, wiadectwa szkolne i wojskowe, a tak e historia jego wykrocze z młodo ci i raport prywatnego detektywa na jego temat i jego rodziców - ojca pijaka i matki, która uciekła z domu.

Shelby dygotała z niepokoju, przegl daj c kolejne strony. Obejrzała si nawet za siebie, jakby w obawie, e zaraz pojawi si tu Nevada i przyłapie j na w cibianiu nosa w jego ycie prywatne. Wiedziała, e to niem dre uczucie. Oczywi cie była sama w pokoju i, słysz c jak obracaj si nad ni łopatki wentylatora, a mucha odbija si od szyby, oparła si na krze le i zacz ła czyta o m czy nie, którego kiedy kochała, chocia ledwo go znała, o m czy nie, który prawdopodobnie był ojcem jej jedyne dziecko.

Na wszelki wypadek odpukała w pobliski stół, chocia Nevada z pewno ci był ojcem Elizabeth. Po prostu musiał nim by . Nawet nie brała pod uwag innej mo liwo ci. Na sam koniec zostawiła sobie teczk , na której wypisano du ymi literami jej nazwisko i imi .

Caleb Swaggert wygl da jak mier na chor gwi, pomy lała Katrina, zatrzymu

szpitalnej, na której leżała. Stukot jej wysokich obcasów przestał rozbrzmiewać w urywanym staccato na korytarzach Szpitala Naszej Matki Boskiej Bolesnej. Nie porozmawiała z nikim z personelu, tylko wkroczyła na salę, jakby gdyby nigdy nic.

Caleb leżał na szpitalnym łóżku, które było zabezpieczone sterylnymi, metalowymi poręczami. Był chudy jak szkielet, skóra miała bladą i obwisłą, a jego czaszkę oblepiało tylko kilka siwych kosmyków. Jego brzośce oczy tak pociemniały, że wydawały się czarne, i były mocno zapadnięte. Nawet ich nie mrugał, patrząc na telewizor - na ekranie jakiś telekaszodziejca nerwowo rozprawiał się o zapłacie za grzechy.

Caleb był podłączony do aparatury różnymi rurkami i przewodami i sprawiał wrażenie kogoś, kto jest jedynym w grobie. Jednak jego kiepski stan zdrowia nie był dla Katriny zaskoczeniem. Zaszokowała ją raczej wielka liczba religijnych wizerunków. Trzy nowe Bibliie na stoliku przy jego łóżku, kilkadziesiąt przyczepionych do ściany obrazków Jezusa i wizerunków Marii, figurki Chrystusa sflaczona na okiennym parapecie i na stole, gdzie znajdowały się nie tylko jego grzebień, pudełko chusteczek higienicznych, szklanka z wodą i elektryczna maszynka do golenia, ale także miniatura szopki bożonarodzeniowej, chociaż do wizerunku było jeszcze z pół roku.

Diabeł z pewno cię nie miał tu na co liczyć.

W pewnym sensie było to niesamowite.

Co do Caleba, właściwie był u progu śmierci. Jeśli Katrina chciała przeprowadzić wywiad, a bardzo jej na nim zależało, to musiała się poprosić, żeby nie ubiegła jej kostucha.

- Pan Swaggert? - zagadnęła, budząc w nim popłoch. Podskoczył, a monitor nad jego głową na chwilę zwariował. Swaggert odwrócił wychudzoną twarz do góry. - Nazywam się Katrina Nedelesky. - Powoli szła w kierunku łóżka, jakby starała się podejść do bojaźliwego reba. Jakby ten staruszek miał się uciekać. Zmusiła się do uśmiechu. Miała nadzieję, że wygląda choć trochę przekonująco. - Pamięta pan? Z magazynu „Lone Star”.

Na moment zmarszczył upstrzone plamkami czoło, ale zaraz przypomniał sobie, o co chodzi.

- Czy dostał pan umowę, którą panu wysłałam? - zapytała, podchodząc bliżej do łóżka i próbując nie okazywać obrzydzenia na widok jego kocistego ciała. W gruncie rzeczy nie spodziewała się, żeby wiele pamiętał. Ten facet ledwo był przytomny. Miała jednak nadzieję, że uda mu się odtworzyć przebieg wydarzeń tej nocy, kiedy zastrzelono Ramóna Estevana.

- Pani jest reporterką? - zapytał suchym, bardzo zachrypniętym głosem.

- Tak. - Kiwnęła głową i pomyślała, że jednak nie jest tak źle z jego umysłem. - zaproponował mi pan wywiad na zeznanie w sprawie Rossa McCalluma.

- Pamiętam. - Oczy mu zabłyśły. Rzeczywiście go rozpoznał. - Zawarliśmy umowę, prawda?

- Z całą pewnością.

- A pieniądze po mojej śmierci zostaną przekazane mojej córce, Celeste. Celeste Hernandez. Przesłałem pani jej adres do El Paso.

- Tak, tak, mówili mi o tym. - Chyba z milion razy. - Mam w kartotece adres, imię i nazwisko Celeste - zapewniała Katrina, czując przy tym lekkie wyrzuty sumienia. Bez względu na swoje dawne postępowanie potrafił przynajmniej wykrzesać z siebie choć trochę ojcowiskiej odpowiedzialności.

Niektórzy ludzie, włącznie z nią samą, nie mieli tyle szczęścia.

Pomarszczona twarz Caleba wyrażała wzruszenie.

- Nie byłem dla niej dobrym ojcem. Rozstałem się z jej matką, jeszcze zanim miała

była próba odpokutowania za przeszłość. Katrina straciła wiele szacunku dla starego piernika, ale uznała, że lepsza choć odrobina ojcowskiego zainteresowania niż całkowity jego brak, i nawet jeśli miło do dziecka przychodziła późno, to na byłoby powiedzenie: „Lepiej późno niż wcale”.

- Chcę przeznaczyć połowę pieniędzy na Nasz Matkę Boską Bolesną, a drugą połowę zostawi Celeste - dodał z naciskiem Caleb i zaniósł się suchym rechotem. - To znaczy, po tym jak pani zapłaciła za sosnowe pudło, w którym się znajdę.

- Wszystko jest już załatwione. Przyniosłam nawet dokumenty - odparła. Otworzyła neseser i wyjęła szeleszczącą kopertę. - To egzemplarz dla pana. Zostawię go tutaj. - Położyła kopertę na stoliku blisko miniaturowej figurki małego Jezusa w łódku, ale Caleb potrzebował głowę.

- Proszę to włóż do szafki, dobrze? Jak zostawi pani tę kopertę na wierzchu, to ktoś może ją ukraść.

- Kto taki, mianowicie?

- Nigdy nic nie wiadomo, ale ja nie ufam nikomu, z wyjątkiem naszego Pana i Zbawcy, Jezusa Chrystusa.

- To chyba dobre podejście. - Starła się nie mówić sarkastycznym tonem. Wcisnęła kopertę do szafki, w której znajdował się podniszczony pikowany szlafrok i dziurawe kapcie. - Przywiozłam ze sobą dyktafon - dodała, zamykając drzwi szafki - więc możemy zaczynać.

- Co mamy zaczynać? - zagadnęła twardo czyjś głos.

Do pokoju wkroczyła dobrze zbudowana pielgniarka o krótkich, siwych włosach. Nosiła okulary o grubej oprawce. Na jej identyfikatorze było napisane LINDA RIFKIN, DYPLOMOWANA PIELGNIARKA. Miała nijakie rysy twarzy i ponure spojrzenie. Wyglądała jak buldog. Katrina pomyślała, że ta kobieta ogranicza się do wydawania komend i z nikim się nie patyczkuje.

- Muszę porozmawiać z tą panią - upierał się Caleb.

Rifkin podeszła do łóżka, sprawdziła poziom płynu w kroplówce i zerknęła na monitor, a potem wsunęła jednorazowy pokrowiec na termometr i delikatnie umieściła go w uchu Caleba.

- Nazywam się Katrina Nedelesky i razem z panem Swaggertem umówiliśmy się na wywiad...

- Nie, tu w szpitalu nie będzie pani przeprowadza...

- Wszystko jest w porządku - przerwał jej Caleb. - Niech pani pozwoli jej zostać.

- Nie będzie zawadzała. - Katrina nie miała zamiaru ustąpić.

Pielgniarka zmarszczyła brwi.

- Pan Swaggert potrzebuje wypoczynku.

Stary człowiek zaniósł się suchym michechem, który po chwili przeszedł w atak kaszlu.

- Co mi się zdaje, że już niedługo będzie go miał pod dostatkiem - sapnął, gdy tymczasem pielgniarka mierzyła mu ciśnienie, odczytywała wskazanie termometru i sprawdzała puls. - Ja umieram - stwierdził spokojnie. - Ani wy, ani wasze cholerne urzędzenia nie zmienicie tego smutnego faktu. Wić dajcie sobie spokój. - Odprawił pielgniarkę machnięciem ręki. - Mam coś do obgadania z tą młodą damą.

Rifkin przystanąła, zlustrowała Katrinę od stóp do głów i nachmurzyła się.

- Trzydzieści minut - powiedziała w końcu, stukając grubym palcem w cyferblat swojego timeksa. - Będzie sprawdzała czas. - I wyszła z sali, szeleszcząc wykrochmalonym fartuchem.

- Proszę nie zwracać uwagi na Panią Ciekawską - Caleb powiedział do Katriny, kiedy zostali sami, tylko w towarzystwie rozlicznych wizerunków Syna Bożego. - I pamiętaj o zamknięciu drzwi.

słuchał to, co mam do powiedzenia. Nacisnął osłabionymi palcami klawisz „mute” na telewizorze.

Katrina nie sprzeczała się z nim. Podeszła do drzwi, omiotła korytarz fachowym spojrzeniem, przekonała się, że nikt nie czyha w pobliżu, a potem stanowczym ruchem zamknęła drzwi. Zadowolona, przesłoniła się samą, wzięła jedyne, niewygodne krzesło w sali i przysunęła je do łóżka. Usiadła, uruchomiła dyktafon i ostro niepołóżła go między dwiema małymi figurkami kluczy pasterzy.

- Mam do ciebie pytanie - powiedziała. - Głównie o tę noc, kiedy zginął Ramón Estevan.

- Ale to nie wszystko?

- Nie. Porozmawiamy o tej nocy, oczywiście, to bardzo ważne. Bardzo chciała się dowiedzieć, kiedy dotarł pan do sklepu i co pan robił, kogo pan widział, co podsłuchał, ale zacznij od ogólnego zarysu. - Wyciągnęła notes i pióro, żeby zanotować jakieś osobiste wrażenia, podczas gdy dyktafon nagrywał rozmowę.

- Na przykład?

- Hm, ze względu na moje badania przede wszystkim potrzebuję informacji o atmosferze tego miasta, więc musi mi pan powiedzieć wszystko, co pan pamięta na temat Bad Luck, sędziego Cole'a i jego córki Shelby.

Caleb szybko zamrugnął oczami.

- Sędziego Cole'a? Po co? On nie przewodniczył sprawie o morderstwo. A co do jego córki Shelby, myślałem, że nie było jej w mieście, kiedy to się zdarzyło.

- Zapewne tak, ale proszę mnie wysłuchać. To moja historia i to, o co proszę, jest niezabawne, żebym włączyła cię w opowiedzenie. Proszę mi wierzyć. Sędzia był onaty, tak?

- Nie, w tamtym czasie nie. Ale był onaty wiele lat wcześniej. Z Jasmine Falconer. Ładna dziewczyna była z tej Jasmine. Cholernie atrakcyjna.

- Zmarła dawno temu. Zgadza się?

- Nie tylko zmarła. Zabiła się. - Caleb ruszył głową, tak że głośnie szurała na wykrochmalonych poduszkach. - Podcięła sobie żyły, kiedy brała kąpiel w marmurowej wannie sędziego.

Katrina wzdygnęła się na samą myśl o tym. Nie darzyła uczuciem nikogo, kto byłby jako powiązany z tym łajdakiem sędzią, ale mimo to czuła obrzydzenie, kiedy ten stary cap odmalował przed nią tragiczną scenę. Odchrząknęła i zapytała:

- Po co miałyby odbierać sobie życie?

Zawahała się, spochmurniała.

- Poznała pani sędziego Cole'a?

- Nie miałam tej przyjemności - odparła kwaśno.

- Jak go pani pozna, to zrozumie. - Prychnął i przesunął się na łóżku. - Jasmine była przyzwyczajona do kobiet. Nie, żeby Red czuł różnicę.

- A pan ją czuje?

Caleb uniósł chude jak szkielet ramiona.

- Proszę mi opowiedzieć o jego dzieciach - zaproponowała, siląc się na uśmiech.

- Tylko jedna dziewczynka. Shelby. Jeśli dobrze pamiętam, to nie ma jeszcze trzydziestu lat. Co pani chce o niej wiedzieć?

- Jak już mówiłam, ogólne tło. Z tego, co rozumiałam, Shelby Cole miała romans z Nevadą Smithem, zastępcą szeryfa prowadzącym śledztwo przeciw Rossowi McCallumowi. Wszyscy, z którym

mówili, że tych dwóch, Smith i McCallum, przez wiele lat było najwściekszymi wrogami, i ponoć nie le się poszarпали, jeszcze zanim Estevan został zamordowany.

Stary mężczyzna zastanawiał się przez chwilę i Katrina zaczęła się obawiać, że zaraz gdzie odpłynię myłami. Podrapał szczecinę na brodzie i odparł:

- Zupełnie zapomniałem o tej bójce. Ale ma pani rację. Nevada stracił oko, a Ross miał pękniętą łopatkę i złamaną rękę albo coś w tym stylu. Obaj wylądowali w szpitalu. Z tego, co pamiętam, kłopot polegał na tym, że McCallum zawsze chciał mieć Shelby Cole.

- A ona była dziewczyną Nevady.

- Przynajmniej w tamtym czasie. Tak się dzieje. - Caleb wzruszył ramionami; mimo zamkniętych drzwi słychać było szum przetaczanego obok szpitalnego wózka. - Po mnie ciekawość plotki, że widywała się ze Smithem. Pamiętam to tylko dlatego, że Shelby była córką sędziego. Wszystko, co robił wtedy Red Cole, było ważnym wydarzeniem.

Katrina mu uwierzyła.

- A zatem, jeżeli dobrze rozumiem, Ross McCallum jakimś sposobem omal nie ginie w wypadku z udziałem jednego samochodu, na południe od miasteczka. I jest to wóz Nevady Smitha. Czy to się zgadza?

- Tak. Ross ponoć ukradł wóz Smitha tej nocy, kiedy Ramón Estevan został zabity. Nikt nie może zrozumieć dlaczego. Smith zgłasza zaginięcie wozu, co nie jest szczególnie trudne, bo przecież pracuje w Biurze Szeryfa. Oczywiście, po paru godzinach później znajduje wóz: uderzył w drzewo na południe od miasteczka. Ross McCallum był kompletnie pijany. Miał szczęście, że przeżył.

- A Ramón Estevan już nie żył. Zastrzelono go z trzydziestkiósemki.

- Właśnie tak to było. - Caleb podniósł rękę i podrapał się w podbródek. Katrina zauważyła igły wbite w jego posiniaczoną skórę: jedna była połączona z kroplówką, druga zamknięta, żeby w razie potrzeby móc szybko pobrać krew.

Katrina skrzyżowała nogi i mimo włączzonego dyktafonu cały czas robiła notatki.

- Ale Ross nie miał przy sobie broni.

- Tylko starego winchestera Nevady Smitha, strzelb myśliwskiej.

Zesztywniała. Przeoczyła ten niepozorny fakt.

- Ale nie narzędzie zbrodni?

- Nie. Jak pani powiedziała, kula, która zabiła Ramona Estevana, pochodziła z pistoletu kaliber 38.

Co zanotowała, a potem zerknęła na zegarek i postanowiła skierować rozmowę na inne tory. Jeżeli ta pielęgniarka zamierzała dotrzymać słowa, a Katrina podejrzewała, że Linda Rifkin rzadko go nie dotrzymuje, to już wkrótce należało się jej spodziewać.

- Porozmawiajmy o pańskim zeznaniu.

Zaciął wargi.

- Dobrze.

- Skłamał pan w sędzię.

Zawahał się, a potem szybko skinął głową.

- Tak.

- Powiedział mi pan przez telefon, że zapłacono panu, żeby pan skłamał i zeznał, że widział Rossa McCalluma w sklepie Estevanów tamtej nocy, zgadza się?

- Tak, ale nie wiem, kto miał mi płacić, więc niech pani o to nie pyta. Dostałem swoje pięć tysięcy dolarów za to, a powiedziałem: „Tamtej nocy widziałem McCalluma w pikapie Nevady Smitha pod sklepem”.

- Ale go pan nie widział?

- W ogóle niewiele widziałem.

- Kto panu zapłacił?

- Mówiłem, żeby o to nie pytała, bo nie wiem. Pieniądze zostawiono w brzozywej torbie w koszu za White Horse. Widziałem je, przeliczyłem i powiedziałem to, co mi kazano. I tyle.

- Ale został pan krzywo przysięgnięty. To jest przestępstwo.

- Wiem o tym, ale kto będzie sobie teraz zawracał tym głowę? - zapytał i trudno było odmówić mu racji. Machina wymiaru sprawiedliwości działała zbyt wolno, by zdążyć oszukać i wtrącić do więzienia Caleba przed jego śmiercią.

Ziewnęła. Powieki zaczęły mu opadać. Katrina zapytała:

- Zatem jak pan się dowie, kto zabił Ramóna Estevana?

- Nie mam pojęcia. To mógł być każdy, tak myślałem. Ten Estevan był podłym sukkinsynem, to znaczy podłym łajdakiem. Upijał się, wszystko niszczył. Nieraz zdarzyło mu się wybić szyby we własnym sklepie. A poza tym ludziom w miasteczku nie podobało się to, że dobrze mu szedł interes ze sklepem, uważali, że jest zarozumiały.

- Dlatego, że był Latynosem?

- Może tak to się teraz nazywa. Był Meksykaninem. No i był kłótniwy i wredny.

- Miał wrogów?

- W Bad Luck każdy ma wrogów.

- A wroga, który chciał go zabić? - naciskała.

- Chyba co najmniej jednego - odparł Caleb, a ona miała ochotę potrząsnąć tym starym piernikiem.

- Kto to?

- Nie wiem.

- A co pan wie? - zapytała, starając się nie okazywać, że się irytuje.

- Wszystko jest w dokumentach. - Znowu ziewnęła i w tym momencie otworzyły się drzwi. Stała w nich siostra Rifkin, z brwiami tak wygiętymi, że było jej widać spod jej okularów.

- Dziękuj - powiedziała Katrina, wyłączając dyktafon. - Wróć tu jutro.

- Proszę bardzo - powiedział Caleb.

Pakując dyktafon i neseser, czuła, że przygląda się jej tyłkowi. Tylko to mu pozostało. Pomyślała, że to, co robi, jest trochę chore, ale specjalnie schyliła się jeszcze bardziej, żeby Caleb mógł zobaczyć, jak spódniczka opina jej pośladki. A niech stary zbok ma rozrywkę, zanim wyzionie ducha. Nic jej nie grozi. Będzie w tak beznadziejnym stanie, Swaggert nic nie może jej zrobić.

Łup!

Nevada wbił ostatni gwóźdź w słupek ogrodzenia, a potem złapał górny sztachtet i próbował je oderwać. Trzymała się mocno. Dobrze. Stopniowo to miejsce zaczynało wyglądać coraz lepiej. Otarł pot z czoła i patrzył, jak jego najlepsza klacz baraszkuje na południowym wybiegu.

Gniada czystej rasy, z białymi podkolanówkami i gwiaździstym znamieniem na

wszystkie inne jego klacze razem wzięte. I zachowywała się tak, jakby o tym wiedziała, potrzebując grzyw w sposób, w jaki atrakcyjne dziewczyny odgarniają włosy z twarzy. Za wybiegiem było sto sześćdziesiąt akrów ziemi, którą przyłczył do swojej posiadłości: kupił ten teren przed rokiem. Pasły się tam inne konie, gorszej klasy - nawet te najlepsze nie mogły się równać z nimi.

Wsunął młotek za pas i poszedł wzdłuż płotu, żeby sprawdzić, czy są uszkodzenia.

Miał szczęście, że udało mu się przyłczyć gospodarstwo starego Adamsa. Stary Adams nie sprzedałby swojej ziemi nikomu innemu. Przyjaźnił się z ojcem Nevady od wielu lat i był przyszywanym wujkiem dla Nevady i jego kuzyna, Joego Hawka, kiedy chłopcy dorastali. Gdy nadszedł czas emerytury i wyprowadzki do miasta, zaproponował Nevadzie umowę, bardzo uczciwą - w gruncie rzeczy była tak korzystna, że grzechem byłoby z niej nie skorzystać.

- Jeśli nie kupisz tej ziemi, będzie musiał ją wystawić na rynek i zapłacić jakiemuś agentowi nieruchomości prowizję za to, żeby mógł ją przejść ktoś obcy. Nie mam dzieci i naprawdę chciałbym, żeby to ty ją przejść.

Nevada podpisał umowę. Na terenie gospodarstwa znajdowało się pastwisko, cedrowy zagajnik, jezioro, które prawie nigdy nie wysychało, mały sad i skalisty kamieniołom. Stary dom na ranchu nie był wiele wart, bo Oscar Adams zapuścił go po śmierci ojca, ale w oczach Nevady ten dwupiętrowy budynek miał wartość, i to właśnie jego własny dom. Zamierzał się tam wprowadzić zaraz po remoncie.

Powoli, przypomniał sobie, jak to robił zawsze, gdy brała w nim górę niecierpliwie. Wszystko w swoim czasie.

Pogwizdując na Crocketta, wrócił do domu i zastanawiał się, czy znów nie zatelefonować do Levinsona. Jak na razie, prywatny detektyw nie potrafił odnaleźć dziewczynki.

Minęły trzy dni od momentu, gdy Nevada po raz pierwszy po latach wpadł na Shelby, ponad siedemdziesiąt od chwili, gdy powiedziano mu, że jest ojcem, i wciąż nie mógł uzyskać żadnych informacji. W erze elektronicznej, obejmującej cały świat i niemal błyskawicznej komunikacji, nie dowiedział się o swojej córce niczego - nie miał nawet pewności, czy rzeczywiście istnieje.

Jedyną, co miał, to zapewnienie Shelby, że przesłane jej zdjęcie jest autentyczne, że Elizabeth jest jego córką i chodzi tylko o to, żeby ją odnaleźć.

Jak przystało na sceptyka, Nevada zdawał sobie sprawę, że list i fotografia mogła być dziełem czyjejś chorej wyobraźni - okrutnym sztukiem, który miał zachęcić Shelby do powrotu do Bad Luck.

Ale po co? I kto za tym stał?

Jeśli list i zdjęcie okazałyby się oszustwem, zabiłoby to Shelby.

Tak bardzo chciała znaleźć tę dziewczynkę. Zresztą, on też.

Otrzeźwiający rzyś z kurzu, wszedł po frontowych schodkach na ganek i do rodzka, gdzie, mimo że nie docierało tam słońce, temperatura nie była niższa choćby o jeden stopień. Uchylił okno, ale i tak w pomieszczeniu wlać ciwie nie było przewiewu.

Parę razy rozmawiał z Shelby przez telefon, szperał na własną rękę i utrzymywał kontakt z prywatnym detektywem, ale na razie niczego się nie dowiedział.

Ktokolwiek przesłał Shelby zdjęcie dziewczynki, siedział cicho i nie kontaktował się z nią. Ktoś to mógłby i dla czego wybrał akurat taki moment, żeby zaoferować informacje? Dlaczego teraz? Co takiego zdarzyło się w kilku ostatnich miesiącach, co mogłoby skłonić osobę do takiego czynu - czy by komuś zależało na tym, żeby Shelby Cole akurat teraz wróciła do Bad Luck? Co się zmieniło?

Tylko jeden czynnik mógł to spowodować: Ross McCallum wyszedł z więzienia.

Nevada nie mógł się dopatrzeć innego związku.

A zatem co wiedział Ross? Czas poznać odpowiedź na to pytanie. Nevada już miał ponownie wykręcić numer do Levinsona, kiedy zadzwonił telefon.

Podniósł słuchawkę już po pierwszym dzwonku.

- Smith.

Po drugiej stronie wyczuwał wahanie.

- Halo?

brak odpowiedzi, tylko dźwięk muzyki w tle.

- Czy mnie słychać?

Nic. Był rok dnia, lecz Nevada czuł się tak, jakby miał do czynienia z czymś bardzo mrocznym.

- Kto tam? - zapytał z wiązaniem i usłyszał szelest odkładanej słuchawki.

Przez chwilę patrzył na swoją słuchawkę. Może to była pomyłka, kto wykręcił niewłaściwy numer. Może on wyciągał pochopne wnioski - ostatecznie pomyłki telefoniczne to najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem.

Mimo wszystko nie opuszczało go nieokreślone uczucie niepokoju.

Zdjął klucz z haczyka w pobliżu drzwi i wyszedł z domu na bezlitosny marzec tego dnia. Przymknął powieki i poczuł ból w zranionym przed dziesięć laty oku. Okaleczył go Ross McCallum.

Ciekawe, czy przypomniał sobie o tym właśnie dzisiaj.

Teczki nie zawierały zbyt wiele informacji o sposobie, w jaki rozumował szeryf. Shelby czytała każdą z nich bardzo uważnie w nadziei, że pomogą jej w poszukiwaniach, ale dowiedziała się tylko, jak nazywali się rodzice Nevady, i że Nevada był ubogim studentem, który wietnie radził sobie w wojsku. Jako młokos, nieraz popełniał wykroczenia - wszystkie były udokumentowane i opatrzone wycinkami z gazet na temat jego odejścia z Biura Szeryfa. Shelby nie pamiętała dokładnie tamtych okoliczności, ale musiały one mieć związek z aresztowaniem i skazaniem Rossa McCalluma. Przeprowadzono śledztwo ze względu na kradzież wozu i konflikt między Nevada a Rossem. Wprawdzie nie postawiono Nevadzie żadnych zarzutów, ale i tak oficjalnie zrezygnował z pełnienia służby, a ponadto istniały mocne poszlaki, że go do tego zmuszono. Czy przypadkiem jej ojciec nie powiedział, że Nevada został „wykopany”?

Zajrzała do swojej teczki. Nie było w niej niczego osobistego. Metryka urodzenia, szkolne świadectwa, dokumentacja medyczna, wszystko bardzo suche. Kilka nagród. Kopie jej podała do college'ów, ale nic na temat dzieci albo dziecka. Chociaż znalazła informację o złamanym obojczyku, kiedy miała siedem lat, i o ospie, którą przeżyła w wieku trzech lat, nie było w teczce żadnego dokumentu świadczącego o tym, że zaszła w ciążę i urodziła dziecko. Wyglądało to tak, jakby jej ojciec wypierał się tego istotnego momentu w jej życiu.

- Och, tato - szepnęła rozczarowana.

Udało jej się jednak wyszukać w dokumentach nazwisko adwokata ojca. Podpis Orrina Findleya widniał na wielu z nich. Shelby zanotowała jego numer telefonu i adres i postanowiła złożyć Findleyowi wizytę w San Antonio.

Postanowiła nie umawiać się z nim wcześniej. Po co? Na pewno zadzwoniłby wcześniej do jej ojca i go ostrzegł. Włożyła bawełniany sukienkę i sandały, spakowała ubranie na zmianę do starej torby sportowej, którą znalazła w szafie, i zbiegła na dół. Sądziła, że znowu nie było, więc bez problemu odłożyła jego te

Ju miała zasun szuflad , kiedy zauwa yła folder z napisem „Nasza Matka Boska Bolesna”.

To w tym szpitalu urodziła dziecko.

Niewiele my l c, wyj ła cienk teczk i odszukała dwa listy - jeden od dyrektora szpitala, a drugi od rady nadzorczej, z podzi kowaniem dla Jerome’a Cole’a za donacj w imieniu jego zmarłej ony. Kwota nie była wymieniona, ale Shelby zauwa yła, e listy te wysłano dwa miesi ce po tym, jak urodziła dziecko.

Patrzyła na te listy z niedowierzaniem. Czy to mo liwe, e zapłacono za sfałszowanie dokumentów? Z pewno ci nie. Ale... przeszył j chłodny dreszcz. Zanotowała nazwisko administratora szpitala na tym samym kawałku papieru, na którym wcz e niej zapisała nazwisko Findleya.

Dlaczego jej ojciec zadał sobie tyle trudu, eby nigdy nie dowiedziała si o Elizabeth? A mo e to wszystko było zbiegiem okoliczno ci? Mo e jej ojciec potrzebował ulgi podatkowej albo zapagn ł by szczodry... nie, to niemo liwe. Te dokumenty dowodziły, e chciał zatuszowa spraw . Shelby wło yła kartk do torby i poczuła potworny ból głowy.

Staraj c si nie robi hałasu, zamkn ła szuflad na klucz i odło yła go na miejsce.

Zaniepokojona tymi informacjami, weszła do kuchni. Lydia stała tyłem do pokoju i rozmawiała przez telefon. Z ukrytych gło ników s czyła si łagodna hiszpa ska muzyka.

Lydia nie zdawała sobie sprawy, e Shelby słucha. Rozwin ła kabel telefonu tak bardzo, e mogła patrze przez okno na strzyg cego traw ogrodnika. Mówiła szybko, prawie niezrozumiał hiszpa szczyzn . Jej zachowanie i ton głosu wskazywały na to, e jest w ciekła. Shelby nie rozumiała całej rozmowy. Dotarło do niej tylko, e Lydia czuje si uwi ziona. Nie chciała dalej podsłuchiwa , wi c gło no chrz kn ła, przeszła przez pokój i wzi ła winogrono z koszyczka z owocami.

Lydia odwróciła si gwałtownie. Było po niej wida , e jest zdenerwowana i e stara si nie rozpląka . Miała czerwon twarz i błyszcz ce oczy, a wokół jej zazwyczaj wygi tych w u miechu ust utworzyły si małe, jasne bruzdy.

- *Ni a* - powiedziała, spłoszona. - *Dios*, przestraszyła mnie. Och, przepraszam. - Przez chwil słuchała głosu swojego rozmówcy, rzuciła zdawkowe *Esta noche* i szybko odwiesiła słuchawk , jakby zakłopotana, e przyłapano j na prywatnej rozmowie w godzinach pracy. Gło no zastukała w szyb , a ogrodnik podniósł głow , a wtedy pogroziła mu palcem. - Ten człowiek nie ma poj cia, co robi. Chwileczk .

Błyskawicznie wybiegła na dwór do ogrodnika, który wyj ł z kieszeni paczk papierosów i cierpliwie słuchał potoku słów po hiszpa sku. Po paru sekundach Lydia wróciła, ju spokojniejsza, i Shelby pomy ła, e co tu jest nie w porz dku. Były w tej sytuacji podteksty, których nie rozumiała. Lydia nale ła do osób bardzo zrównowa onych i nigdy nie wpadała w tak w ciekło ; zwa ywszy na solidn prac ogrodnika, nie miała nawet powodu, eby si zdenerwowa . No, ale mo e ona dopatruje si w całym zdarzeniu zbyt wiele, zwłaszcza bior c pod uwag to, co niedawno znalazła w szufladzie ojca.

- *Hombres!* - burkn ła Lydia, wywracaj c czarnymi oczami.

- Nie mo na z nimi y , nie mo na ich zastrzeli - dorzuciła Shelby, próbuj c rozładowa atmosfer .

Lydia wybuchn ła miechem i chyba na moment si rozlu niła.

- *Si, si*. Zapami tam sobie to powiedzonko.

Shelby przerzuciła pasek torby przez rami .

- Czy co si stało? - zagadn ła. Nie chciała si wtr ca , ale czuła, e powinna co

zdeenerwowan .

- Zdeenerwowan ? - Lydia pokr ciła głow i si gn ła do lodówki po przykryte foli danie.

- Podczas rozmowy telefonicznej.

- Aha. Och, rodzinne kłopoty. Moja siostrzenica, Maria, ma problemy ze swoj córka . Nic powa nego - odparła, kład c ronderek na ladzie. Zdj ła foli . Kuchni wypełnił ostry zapach marynaty. Lydia nadziała na widelec sztuk mi sa i obróciła j kilkakrotnie.

- Jeste pewna?

- *Si*. - Lydia unikała wzroku Shelby, a ona nie chciała wywiera na niej presji. Czasami gosposia była bardzo wylewna, ale zdawało si te , e strzegła swojej prywatno ci. Wydawało si , e to jedna z tych bardzo osobistych chwil, tote Shelby uznała, e powinna wyj . - Wyje d asz gdzie ? - Lydia wskazała widelcem torb Shelby.

- Do San Antonio. Nie wiem, czy wróc przed wieczorem.

- Sprawy słu bowe? - zapytała Lydia.

- Nie - Shelby starała si podtrzymać artobliwy ton rozmowy. - Gor ca randka.

- *Z se orem* Smithem?

Shelby si spi ła.

- Nie, przyłapała mnie. Tylko si z tob dra niłam. adna randka. Pomy lałam, e pojad do miasta i zrobi zakupy. - Wło yła do ust kolejne winogrono i przełkn ła. - A tak dla cisło ci, to ja nie chodz na randki z *se orem* Smithem.

Lydia uniosła sceptycznie brew. Znała Shelby zbyt dobrze.

- Bierzesz urlop i jedziesz na zakupy?

- Tak. Mam ze sob tylko kilka rzeczy, a w Bad Luck, mo esz w to wierzy lub nie, butików jest zbyt mało.

Lydia zdobyła si na u miech.

- A zatem je li zadzwoni do mnie kto z mojego biura nieruchomości w Seattle, powiedz, e oddzwoni jutro. Ale je li zadzwoni niejaki pan Levinson, we od niego numer, a ja zadzwoni i odsłucham wiadomo ci. Je li b dziesz musiała wyj , to po prostu nagraj wiadomo ze wszystkimi informacjami na sekretark , dobrze?

- Spróbuj - odparła Lydia, ponownie wkładaj c ronderek z mi sem do lodówki, z której wyci gn ła du gomółk sera. Potem umyła r ce. - Ale twój ojciec w to nie uwierzy - powiedziała przy wtórce cieknej wody. - Przecie wróciła tutaj, eby znale swoj córka , prawda?

- Tak.

- Mówiła bardzo... *especifico*.

- Jednoznacznie - podsun ła Shelby.

- *Si*. Jednoznacznie. - Lydia zakr ciła kurek i wytarła r ce w ciereczk . - Nie s dz , eby uwierzył, e interesuje ci teraz nowa para butów albo bransoletka.

Shelby wyci gn ła z koszyczka nast pne winne grono i wło yła je do ust.

- To naprawd nie ma znaczenia, Lydio. Niech sobie my li, co chce. - Ju miała i , ale doszła do wniosku, e teraz jest dobra pora, eby pogada z Lydia o rozmowie, któr podsłuchiwała na klatce schodowej. - Wczoraj podsłuchiłam, jak rozmawiasz z s dzi .

- *Si, si*. - Lydia akurat wyci gała z kredensu tark do sera.

- Hm, konkretnie to rozmawiała z nim o mnie i jakich rodzinnych sekretach. Był

korytarzu, w pobliżu foyer.

Lydia na moment zamarła, ale zaraz odzyskała panowanie nad sobą i zaczęła odpakowywać ser.

- *Si* - mruknęła, wyraźnie zdenerwowana.

- O czym rozmawialiście? O jakich sekretach?

Lydia uniosła ramiona i zaczęła tarkować ser.

- Jest ich wiele.

- Na przykład jakie?

- Nie pytaj, *ni a*, bo nie mogę powiedzieć. - Podniosła głowę, a jej oczy wyrażały smutek, którego Shelby nie mogła zrozumieć. - O takich rzeczach możemy rozmawiać tylko ty i twój ojciec.

- Ale nie o takich rzeczach, które dotyczą mnie.

- Już ci mówiłam: zapytaj jego. - Gospośia odwróciła wzrok.

- Lydio.

- Już ci powiedziałam. Porozmawiaj z sędzią. - Spojrzała na kuchenny zegar. - Niedługo tu będzie dzie.

- Ale on nie... - Shelby przestała przekonywać, widząc zdeterminowaną minę Lydii. Nic nie mogło zachwiać lojalnością Lydii w stosunku do sędziego, chociaż Shelby nie rozumiała dlaczego. Owszem, gospośia miała duży pensjonat i podejmowała wiele decyzji, ale chyba nie było warto zadawać się z oszustem pokroju Reda Cole'a.

Stary sędzia Cole

Okropnie starą duszę miał

Wredny był z niego walec...

Jeszcze jako dziecko Shelby domyślała się prawdy o swoim ojcu - że był kłamcą i wielkim manipulującym - ale nie chciała w niego wierzyć. Teraz wyglądało na to, że jego sztuczki i wpływy sięgały o wiele dalej, niż podejrzewała.

- Posłuchaj, Lydio, mam pewne prawa - nalegała, wskazując kciukiem na siebie. - Jeśli wiesz coś o miejscu pobytu mojej córki...

W tym momencie zadzwonił telefon i Lydia podniosła słuchawkę.

- Halo? - powiedziała, wycierając rękę w fartuch. - Halo? - Zmarszczyła czoło i ścięgnęła wargi. - Kto mówi? Halo? - Odłożyła słuchawkę. - *Dios mio!*

- Co się stało?

- To już drugi raz. Nikt nie odpowiada.

- Może to pomyłka - zasugerowała Shelby.

- No, to przecie ten ktoś powinien coś powiedzieć. Idiota!

Shelby nie odpuszczała.

- Posłuchaj, Lydio...

Ale gospośia wyglądała przez okno i stuknęła kłykciami palców w patelnię.

- Ale leniuch z tego Pabla. Co ta moja siostra w nim widzi, pojciec nie mam. On jest moim *cu ado*, *si*, ale pracować nie umie. - Gestykułowała zamasywując w stronę czyżyny, który właśnie wyrównywał trawnik i ledwo podniósł głowę.

- Pablo Ramirez jest twoim szwagrem? - powtórzyła Shelby. Wcześniej o tym nie wiedziała.

- *Si, si*, no wiesz. To mój Carli. - Lydia cmoknęła w jego obrzydzenie. - Cudownie

wyrzucił go z pracy!

- Zaraz, zaraz, Lydia. Mam wrazenie, że wymigujesz się od odpowiedzi. Rozmawiałyśmy o mojej córce.

- *Nie*, proszę ci, ja nic nie wiem. Sekrety, o których wspominałam, dotyczą twojej matki, wie Pani nad jej duszą. - Szybko zrobiła znak krzyża na swojej obfitej piersi. - Te inne tajemnice powinna omówić ze swoim ojcem.

Shelby chciała pociągnąć temat, ale na razie musiała przerwać rozmowę, głównie dlatego, że usłyszała ryk silnika. Był może wrócił jej ojciec. Jeśli tak, to miała zamiar dać mu do wiwatów. Podeszła do miejsca, skąd widać było okna siadujące z frontowymi drzwiami, ale nie dostrzegła srebrnego mercedesa ojca, natomiast mignął jej wóz pomalowany starą, zieloną farbą, wóz Nevady.

- No dobrze, Lydio - powiedziała. - Na razie dam ci spokój. Nie bój się teraz z tobą sprzeczać, ale jeśli mój ojciec nie powie mi prawdy, zwłaszcza o mojej córce, to mam nadzieję, że ty mi ją powiesz. - Przygwoździła go spośmiępełnym determinacji spojrzeniem. - To chyba sprawiedliwe, nie uważasz?

- Czasami, *nie*, wiat nie jest sprawiedliwy.

- Ale powinien być sprawiedliwy, Lydio. Do diabła, powinien taki być. Nawet w Bad Luck.

I wyszła przed drzwi, gdy tymczasem Nevada zatrzymał wóz w pobliżu garażu. Wmawiała sobie, że nie chce go widzieć. Nie teraz. Ma za dużo roboty.

Wysiadł z wozu energicznie i głupie serce Shelby zatrzepotało na jego widok. Nie mogła pojąć dlaczego. Co z tego, że wyczuwała w nim coś elektryzującego, zwierzęcy magnetyzm, prymitywny i zmysłowy, odwołujący się do jej instynktów? Wielkie rzeczy.

Jest ojcem jej córki i tyle. O nic więcej tu nie chodzi. To, co było ich dziesięć lat temu, było skończone. I to od dawna. Nawet jeśli postąpiła głupio i zareagowała na jego pocałunek, to po prostu była to typowa kobieca reakcja, nic więcej.

Ale...

Trzasnęły drzwiami wozu i wyglądał tak, jakby miał za chwilę kogoś zabić. Patrzył gniewnie przed siebie. Miał okrutne oczy i zaciśnięte usta. I jeszcze znoszone dżinsy. Zakurzone buty, granatowa koszulka, która wyglądała na niele podniszczoną. Prawdziwy kowboj dwudziestego pierwszego wieku - zwinny i nieposkromiony jak ogier z zachodniego Teksasu. I równie dziki.

Wmawiała sobie, że go nie chce, ale się oszukiwała. Bezczelnie oszukiwała. Na przekór wszelkim argumentom, oczywista i przykra prawda była taka, że nigdy jej nie przeszło na punkcie Nevady.

Co gorsza, obawiała się, że to się nigdy nie zmieni.

Rozdział 10

Wybierasz się dokąd? - zagadnął Nevada, podchodząc do Shelby wielkimi krokami i pokazując torbę, którą przewiesiła sobie przez ramię.

Shelby była przygotowana. Nie wątpiła, że czeka ich kolejna konfrontacja.

- Do San Antonio. Mam dosyć beczynnego czekania, a twój przyjaciel Levinson zadzwoni z informacjami o Pritchardzie. Pomyślałam, że spróbuję odszukać adwokata ojca i coś z niego wydobyć. Pewno wie coś o tym, co zaszło.

- Pojadź z tobą.

Oślupiała.

- Nie musisz.

- Mo e chc .

Shelby była zaskoczona; miała wra enie, e te słowa wci rozbrzmiewaj echem w jej umy le, gdy tymczasem za jej plecami szcz kały no yce ogrodnika.

- Nie masz tu niczego do roboty?

Przest pił z nogi na nog i spostrzegła wahanie w jego oczach.

- Co si stało - szepn ła i poczuła gwałtowne wzruszenie. Mo e odnalazł Elizabeth! Ale gdyby tak było, przecie od razu by jej powiedział.

Zobaczyła jaki ruch po swojej prawej stronie i u wiadomiła sobie, e ich rozmow mo e usłysze ogrodnik. Nevada zauwa ył jej reakcj , wzi ł j za łokie i poprowadził przez altan do ławeczki przy basenie. Nad jaskraworó owymi i fioletowymi petuniami kr ył koliber.

- O co chodzi? - zapytała, kiedy usiedli obok siebie w cieniu kwitn cego ywopłotu. Przez moment dotykał nog jej uda i poczuła emanuj ce ze ciepło.

- Chyba o nic. Jaki czas temu odebrałem telefon. Kiedy podniosłem słuchawk , nikt si nie odezwał. W tle słyszałem muzyk , ale ten kto po drugiej stronie nie powiedział ani słowa. - ci gn ł wargi w zamy leniu.

- Lydia odebrała kilka takich telefonów tutaj, w domu. - Shelby poczuła niepokój.

Nevada gwałtownie podniósł głow .

- Kiedy?

- Niedawno. Nie wiem, kiedy był ten pierwszy telefon.

- Cholera! - yły na jego karku mocno nabrzmiały. - Nie podoba mi si to. Wcale mi si nie podoba.

- Mnie te nie - wyznała Shelby. - Jak my lisz, kto to mo e by ?

- McCallum - sykn ł Nevada przez zaci ni te z by.

- Dlaczego miałby si bawi w głuchy telefon?

- Nie wiem i nie jestem pewien, czy to był on - odparł Nevada - ale to o nim od razu pomy lałem. Wydaje mi si to najbardziej prawdopodobne. - Zmru ył gniewnie oczy i zerkn ł na tafl wody. - Chyba jestem tak samo podły jak inni ludzie w mie cie.

- To znaczy?

- Teraz kiedy McCallum jest na wolno ci, ludzie s zdenerwowani i mówi si , e b d przez niego kłopoty.

- To akurat adna nowo .

- Ale je li on dzwoni do ciebie...

- Zaraz, chwileczk . Kto zadzwonił do domu. Nie do mnie. I nawet nie wiemy, czy to był McCallum.

Nevada zacisn ł wargi.

- Jest co jeszcze.

- Co takiego? - zaniepokoiła si .

- Kr ci si tu jaka reporterka, Katrina Nedelesky, i wszystkich wypytuje. Pisze dla magazynu „Lone Star”. Ludzie mówi , e ma powsta seria artykułów o zamordowaniu Estevana i wypuszczeniu na wolno Rossa McCalluma.

- A wi c sprawa znowu zostanie rozgrzebana.

- Jeszcze jak. - Zauważyła lekkie drgnięcie cie w kciuku jego ust. - Mam przyjaciela w Biurze Szeryfa i wiem, że chcę wznowić śledztwo w sprawie Estevana.

- Aby znaleźć prawdziwego zabójcę?

Kciuki ust Nevady zeszytywniały jeszcze bardziej. Zaciśnięte rękawy piły.

- Shelby, prawdziwego zabójcę znaleźli my dziesięć lat temu. Problem w tym, że teraz jest na wolności.

- Ty tak uważasz. Jeśli Caleb Swaggert skłamał, to może Ross wcale nie zabił Ramóna Estevana.

Twarz Nevady stała w grymasie.

- McCallum to zrobił, Shelby. Mogłbym się założyć o własne życie, że tak było. - Nagle wstał i podszedł do krawędzi basenu. Jego dżinsy były przetarte na siedzeniu, jedna kieszeń była częściowo odpruta, a pasek zwisał nad pewnym wypukłością, którą Shelby pamiętała aż nadto dobrze. T-shirt ciasno opinał szerokie barki i plecy, w które kiedyś wpijała palce, kiedy się kochali. Nagle Shelby poczuła fale gorąca i oderwała wzrok od Nevady. Popatrzyła na dom i w duchu przeklinała własną słabość. Fantazjowanie o tym człowieku było niedorzeczne, zwłaszcza w takiej chwili, kiedy musieli się skupić na odnalezieniu córki.

- Masz jakie wieści od Levinsona? - zapytała, odchrząknęła.

- Nic nowego.

Właśnie tego Shelby się obawiała. Zerwała się i stanęła przy Nevadzie, w cieniu słabego drzewa parka. Liście szumiły i szumiały na wietrze, wiewiórka przeskakiwała z gałęzi na gałęzi, wydając cichą hałas liwe pomruki.

- A co z innymi ludźmi, którzy są w to zamieszani? - zastanawiał się Nevada. - Ten prawnik, jak on się nazywa?

- Findley. Orrin Findley.

- Można zacząć od niego, ale muszą być przecież inni, którzy wiedzieli o dziecku. Kim oni są?

Sama zadawała sobie to pytanie.

- Przez wiele tygodni cię mieszkaliśmy z ciotką ojca w Austin. Wszyscy myśleli, że wyjechałam do szkoły, ale w rzeczywistości robiłam kursy korespondencyjne i walczyłam z ojcem. Dostałam, abym oddała dziecko do adopcji, a ja za wszelką cenę chciałam je zatrzymać. W każdym razie moja ciotka oczywiście ci o wszystkim wiedziała, ale nie mówiła od trzech lat.

Nevada jeszcze bardziej zmarszczył czoło.

- Jest jeszcze ktoś?

- Jasne. Wszyscy, którzy pracowali tutaj w domu, mogli słyszeć moje kłótnie z siostrą. Oczywiście cię Lydia wiedziała. No, ale ona wie wszystko. - Wiem, że ty wiesz, przemknęło jej przez głowę.

- A twoi przyjaciele?

Shelby potrząsnęła głową i odgarnęła grzywkę z oczu.

- Z tego, co wiem, nie. Nie mówiłam o tej historii nikomu, a ponieważ wyjechałam z miasta, jeszcze zanim cię stała się widoczna, nikt niczego nie podejrzewał. Wszyscy myśleli, że wczoraj wyjechałam do szkoły. Siostra, a potem niej mogli się czegoś dowiedzieć z innych źródeł, ale nic do mnie nie dotarło. - Obserwowała reakcję Nevady i nagle poczuła wstyd, że kiedyś mu nie zaufała, że nie powiedziała mu o jego dziecku. A wszystko dlatego, że nie czuła się pewnie, że uniosła się dumnie i była zazdrosna o Vianę. No i jeszcze gwałt. O tym naprawdę nie była w stanie mu powiedzieć. - Posłuchaj, przepraszam, że o niczym ci nie powiedziałam.

Nevada posmutniał i wpełznął rękami do tylnych kieszeni dżinsów.

- Teraz to już nieważne.

- Ale powinnam była...

- Tak, powinna była. Za pół godziny jednak na przeprosiny, Shelby. - Odwrócił się i spojrzał na nią tym swoim potężnym wzrokiem. - Wróćmy do rzeczy. Przecież jacyś ludzie pracowali z Pritchardem, pielęgniarki czy ktoś inny, kto był w tamtym szpitalu.

Nieco poirytowana, Shelby odparła:

- Zadzwoń do szpitala i zapytaj o dokumentację, ale mają tylko metryki urodzenia i akt zgonu. Z tych dokumentów wynika, że Elizabeth zmarła.

- Musieli być jacyś inni ludzie. Lekarze, twój anestezjolog, personel pomocniczy, pielęgniarki, ktoś kto pracował na porodówce czy oddziale pediatrycznym.

- Wiem. Na razie niczego nie udało mi się ustalić. - Shelby podniosła rękę, ale zaraz ją opuściła.

- Który szpital?

Spodziewała się tego pytania.

- Szpital Naszej Matki Boskiej Bolesnej w Coopersville.

- Ten, w którym przebywa Caleb Swaggert? - zapytał i widział, że o czymś intensywnie myśli.

- Dziewięć lat temu to była mniejsza placówka. O wiele mniejsza. To było, jeszcze zanim ojciec przekazał szpitalowi darowiznę w imieniu mojej matki. Potem szpital został wchłonięty przez większą jednostkę. Gwałtownie uniósł głowę.

- Kiedy to się stało?

- Mój ojciec przekazał darowiznę zaraz po tym, jak urodziłam dziecko - przyznała. - Nie wiedziałam o tym aż do dzisiejszego popołudnia, kiedy przejrzałam jego akt. - Zerknęła na dom i zauważyła, że Lydia obserwuje ich przez otwarte okno w kuchni. Po chwili uświadomiła sobie, że w pobliżu jest także Pablo, przodkowie rabaty na drugim końcu altany, która zasłaniała basen. Czy Lydia przyglądała się Shelby i Nevadzie, czy też starała się nie spuszczać oka swojego szwagra?

- Jak duża była ta darowizna?

- Nie wiem. Właśnie nie odnalazłam list z podziękowaniami od zarządu i administratora szpitala. Jeszcze nie miałam okazji, żeby z ojcem o tym porozmawiać.

Nevada rozwinął i zaciskał piasek.

- Mylisz, że to była łapówka dla szpitala za zatuszowanie sprawy?

- Tak. - To była prawda, chociaż sam myślał o niej robiło jej się niedobrze.

- A niech to. - Niecierpliwie przeczesał włosy palcami. - Dlaczego twój ojciec tak bardzo się sprzeciwiał, żeby zatrzymała dziecko?

- Bał się skandalu - westchnęła. - Uważałem, że bardzo chcę zmarnować sobie życie.

- A chciała?

Spojrzała mu w oczy, które kiedyś tak namiętnie kochała, na moment, dla którego kiedyś poszłaby do samego piekła.

- Może. Kto wie? Byłam jeszcze dzieckiem. Ale myślałam o sobie, że miałam prawo je sobie zrujnować.

- Sobie i naszej córce. - Wypowiedział te słowa lekko oskarżycielskim tonem.

- Ustalmy jedną rzecz, Nevada - odparła z naciskiem. - Bez względu na okoliczności, nigdy, przenigdy nie zrobiłam niczego, żeby zaszkodzić swojemu dziecku.

- Z wyjątkiem tego, że nie powiedziała o nim jego ojcu.

Poczuła się tak, jakby ją zdradził czymś takim.

- Myślałam... myślałam, że to jest już za nami, ale najwyraźniej się myliłam.

Uznała, że nie ma sensu ciągnąć tej rozmowy. Ruszyła w stronę samochodu. Nevada dogonił ją, złapał za nadgarstek i odwrócił tak szybko, że niemal się z nim nie zderzyła.

- No, dobrze, to był chwyt poniżej pasa, ale chcę wierzyć, że teraz jesteście w tym samym położeniu. Powiedziała mi o wszystkim, co powinienem wiedzieć. Zgadza się?

- Absolutnie. - Z wyjątkiem gwałtu. Nie powiedziała mi o gwałcie, Shelby.

- Dobrze. - Przez chwilę nie mówił nic i czuła tylko na przegubie ręki gorące opuszkę jego palców. Jej serce zaczęło bić szybciej i kiedy wpatrywała się w twarz Nevada, bardzo łowiała, że nie może być w jakimś innym miejscu na kuli ziemskiej. Przebywanie tak blisko niego kosztowało ją zbyt wiele nerwów i emocji, stanowiło zbyt duży pokusę. - Ja... muszę jechać.

- Ja też.

Nadal stał w miejscu. Do uszu Shelby dochodził odgłos grabi ogrodnika i kwilenie ptaka gdzieś wysoko w górze, ale przez krótką chwilę, patrząc na Nevada, znowu czuła się siedemnastolatka - młodzieńcem, niewinnym i zbuntowanym dziewczyną. To było tak dawno temu. Jakby w innym życiu. Przełknęła ślinę, a on spojrzał na jej szyję.

- Uwaga na siebie.

- Bądź uważna.

- Jeśli znowu otrzymasz anonimowy telefon albo będziesz miała jakieś kłopoty... Do diabła, powinienem pojechać z tobą.

- Dam sobie radę. Ty zajmij się wszystkim tutaj. Pogadaj z Levinsonem. Odszukaj Pritcharta.

- Shelby..

Och Boże, czy by znowu miał zamiar ją pocałować? Wyszarpnęła rękę, a Nevada nie nalegał.

- Mówi poważnie, Shelby. Nie rób niczego ryzykownego.

Najbardziej ryzykowne rzeczy zrobiłam z tobą.

- Powiedziałam, że będę ostrożna, i dotrzymam słowa. Ty też uważaj na siebie, Nevada. - I poszła do samochodu. Nie pojechała się i nie patrzyła, jak Nevada idzie w stronę swojego wozu, a potem odjeżdża. Usiadła za kierownicę cadillaca, zdmuchnęła włosy z twarzy i poprawiła lusterko wsteczne, w którym na moment mignęły jej zaczerwienione policzki i błyszcząca oczy. - O, tak, no i jesteście idiotkami. Kompletnie, skoczonymi idiotkami. - Musiała jakoś wziąć się w garść. Nie może, nie chce znów zakochać się w Nevadzie. Raczej piekło zamarzną, nim miałyby do tego dojść.

Shep Marson nie mógł się pozbyć złego przeczucia, które towarzyszyło mu od paru dni, odkąd kazał się zatrzymać Mary Beth Looney i Rossowi McCallumowi. Niepokój ciągnął się za nim jak zły zapach. Przeładował go również teraz, kiedy zajął pod dom Estevanów i gasił silnik.

Oficjalnie Shep był już po słuźbie, ale nie chciał jeszcze wracać do domu. Peggy Sue na pewno się wścieknie z powodu jego spóźnienia, ale będzie musiała poczekać. Shep miał coś ważnego do załatwienia. Podciągnął spodnie i ruszył do frontowych drzwi.

Dom Estevanów był starannie utrzymanym bungalowem. W obejściu panował

zacienionym frontowym ganku bujnie kwitły petunie i nagietki, pięknie kontrastujące z jaskrawym różem fuksji. Obok hydrantu stał wysłony trycykl. Na okiennym gzymsie ciekotkowana kotka drapała się po uchu tylnym łapką, ale na widok Shepa zeskoczyła i zniknęła za rogiem domu.

Wchodząc po stopniach, Shep słyszał kobiecy śpiew i szum ciekącej wody. Zza siatkowej zasłony dolatywał zapach jakiejś ostrej potrawy z chili i kminkiem. Shepowi zaburczało w ośrodku. Wyciągnął puszkę Copenhagen, wypił łyk i zapukał do drzwi.

Śpiew natychmiast ucichł. Ktoś zakręcił wodę. Shep zajrzał do rodzka. W rogu salonu stał telewizor. Grał, ale cicho.

Pojawiła się Vianca z włosami owiniętymi w ręcznik, ubrana w bezrękawnik, jeszcze z mokrymi ramionami.

- Tak? - zagadnęła przez siatkowe otwory. Nie musieli się przedstawiać sobie nawzajem, bo już się znali. Shep uchylił kapelusza.

- Pomyślałem, że wpadnę zapytać, jak się miewacie, ty i matka - powiedział. - To nie sprawa służbowa, tylko przyjacielska wizyta. Domyślam się, że cięko wam obu, odkąd Ross McCallum jest na wolności.

- *Cabrón!* - wycodziła. Jej oczy zapłonęły z wściekłości.

Nie zaprzeczył. Wiąkszość ludzi w Bad Luck uważała, że Ross McCallum to drań albo coś jeszcze gorszego.

Nachmurzona Vianca przecisnęła się przez siatkę i wskazała dwa plastikowe krzesła na ganku.

- *Madre* cięko to przeżywa.

- Wyobraź sobie. - Shep usiadł na zakurzonej krześle, a krzesło obok zajęła Vianca. Zdjął kapelusz i zaczął się bawić jego rondem. Zazwyczaj był pewny siebie, ale Vianca Estevan należała do kobiet, które wprowadziły go w wielkie zakłopotanie. Była seksowna, ale za fasadą szorstkości kryła się niewinność, niewinność, która niezmiernie pocięgała Shepa. Krężyły plotki, że Vianca jest łatwa. Shep uwiadomił sobie, że chciałby, żeby to była prawda.

- *Madre...* ona nie czuje się dobrze.

Shep kiwnął głową: słyszał, że po tym jak jej mąż został zamordowany, Aloise Estevan miała coraz większe kłopoty z psychiką. Chodziła na msze dwa razy dziennie, ponoć kazała wybudować ołtarzyk ku pamięci Ramóna w domu, w którym mieszkała ze swoją córką i wnukiem, i słyszano, jak rozmawia z Ramónem, chociaż on od dawna nie żył.

Vianca skrzyłowała swoje szczupłe nogi i Shep starał się nie patrzeć na białe szorty, które ledwo zakrywały jej pupę. Zastanawiał się, czy ma na sobie majtki i jakiegoś koloru, ale w końcu ugryzł mocniej prymk tytoniu i spojrzął jej w twarz.

- Przykro mi. Wiem, że jest cięko i że nie będzie jej łatwiej przez kilka następnych tygodni. Zarządzono ponowne śledztwo w sprawie śmierci Ramóna, więc może będziesz musiała mi pomóc do czynienia ze śledczymi, i zapewne z prasą.

- *Mierda!* Mój ojciec nie żyje. *Se or...* to znaczy zastępca szeryfa Marson. *Muerto*. Nikt nie przywróci mu życia. I si, dobrze byłoby, żeby łajdak, który go zabił, dostał sprawiedliwy wyrok, ale... - wzruszyła ramionami i ręcznik, którym owinięła głowę, trochę się obsunęła. Przechyliła głowę na bok i utkwiała w nim swoje czarne, żarzące się jak gwiazdy oczy - ...to go nie wskrzesi.

- To nasza praca - powiedział. - Myślałem, że chciałaby wiedzieć.

Wyciągnęła usta i Shep zaczął zastanawiać się nad tym, co by poczuł, gdyby ją pocałował albo... co wiecej. Skoro miała taki gorący temperament, w łóżku musiała być istną kocią. Wystarczyło,

tworzo w kroczu. Poprawila r cznik i odprowadzila wzrokiem furgonetk sun c po ulicy. Kiedy podnosila r ce, jej bluzka troch si rozchylila i Shep widzial przez chwil kawalek miodowej skory wystaj cy zza czerwonej koronki stanika. Czerwonej - prawie szkarlatnej. Shep nie widzial takiego odcienia od lat. Ostatnio Peggy Sue nosila biala bielizn , ktora po kilku praniach nabierala odcienia nieapetycznej szaro ci. Ale to, co widzial teraz, sprawialo, e nie moglem oderwa oczu i z wra enia zupełnie zaschlo mu w gardle.

- *Gracias*. - Jej głos był chłodny i szorstki.

Podniósł szybko głow i zobaczył, e Vianca przypatruje mu si tymi swoimi ognistymi, czarnymi oczami. Surowo.

Wytrzymał to spojrzenie. Nie było sensu ukrywa , e bardzo go poci gała. Nawet nie mrugn ła.

Chrz kn ł.

- Wiem, e pracowala w sklepie tamtej nocy, kiedy zostal zabity twój ojciec.

- *Si* - powiedziala, nagle czujna.

- Widziala tam Rossa McCalluma.

Bez slowa kiwn ła głow .

- Kogo jeszcze?

- Mowilam to wiele razy, kiedy policja zacz ła mnie wypytywa . - Gdzie na ulicy pies zacz ł gło no ujada .

- Wiem, ale od wie mi pami .

Zawahala si . Zmarszczyla czoło w zamy leniu.

- Byla tam jego siostra, Mary Beth - powiedziala - i, oczywi cie, ta kurwa.

- Ruby Dee.

- *Si*. - Vianca zrobila pogardliw min . - Ruby. I Joe Hawk, byl tam wczesniej, o wiele wczesniej, z... Nevada Smithem. - Odwrócila wzrok.

Bingo! Shep podejrzewal, e Nevada i jego kuzyn tam byli, ale nie zd yl jeszcze si przekopa przez tony zezna z procesu McCalluma.

- Badger Collins, Etta Parsons... Celeste... och, ona jest córka Caleba, tego pijaka. - Niecierpliwie pstrykala palcami, usiluj c wszystko sobie przypomnie . Byla teraz jak w transie.

- Swaggert, obecnie Hernandez.

- Tak, byla tam, i jeszcze Manny Dauber i Lucy... kobieta, ktora pracuje teraz w pubie White Horse. - Vianca wymowila kolejne slowa po hiszpa sku, jakby to mialo o ywi jej pami .

- Lucy Pride - podsun ł Shep, chocia wiedzial, e Lucy miala kilka zatargow z prawem, byla notowana i u ywala niejednego nazwiska. Ostatnio sprawiala wra enie porz dnej obywatelki. Przypuszczal, e to dlatego wybrała sobie nazwisko Pride, Duma.

- *Si*, Pride - przytakn ła Vianca. Rozpami tywala kolejne lata przygryzaj c doln warg . - Tylu ich bylo. Maria Ramirez i Juan Padilla, twoja ona te tam byla - zauwaly i w tym momencie Shep zacisn ł szcz k . Ju sam fakt, e w to wszystko byla zamieszona Peggy Sue, przejmowal go wstydem.

- Poszla tam tylko po tylenol dla jednego z dzieciaków - wyjaln szybko, czuj c, e musi bronit kobiety, ktor poj ł za on tak dawno temu. - Timmy'ego bolala glowa, chyba z powodu grypy.

Vianca zbyla jego wytłumaczenie lekcewa cym machni ciem r ki i wla ciwie miala racj . Tamtej nocy w sklepie bylo mnóstwo ludzi z tego przekl tego miasteczka. Zwa ywszy na brak moty

two prawdopodobnie utknę w martwym punkcie.

Jednak w umyśle Shepa raz po raz pojawiała się, i nie chciało zniknąć, jedno nazwisko: Nevada Smith. Przed laty pracował niestrudzenie nad sprawą Estevana, upierając się, że to Ross McCallum wykończył Ramóna, kiedy był pijany i sprzeczał się o jakiś karciany dług. W tamtym czasie wszystko układało się w logiczną całość, zwłaszcza że wiadkowie widzieli, jak Ramón i Ross kłócili się zawzięcie na parkingu o dwa tysiące dolarów. Ale nawet dziesięć lat temu instynkt podpowiadał Shepowi, że Nevada nazbyt się stara przypisać to morderstwo McCallumowi, że w grę wchodzi jakieś osobiste porachunki. Może tu właśnie nie krył się klucz do zagadki - należałoby ustalić, co poróbiło McCalluma i Smitha.

Podejrzewał, że chodziło o kobietę - o samą księżniczkę.

Shep założyłby się o inkrustowane srebrem dziadkowe ostrogi, że to Shelby Cole była źródłem kłopotów. W dodatku był czyżo ich pokrewieństwo - był jej dalekim kuzynem - więc miał w tej sprawie osobisty motyw.

- Vianca! - krzyknął czyż piskliwy głos. Gdzie w głębi domu dał się słyszeć głośnie trzask drzwi, a potem tupot rozpadzonych nóg.

Vianca wstała w momencie, gdy do pomieszczenia wparował z wyglądem czteroletni chłopczyk.

- *Tia V, tia V* - zapłakał i z rozwianym czarnym czupryną rzucił się Viance w ramiona.

Wzięła go na ręce i okręciła się z nim w kółko; chłopczyk chichotał. Ręcznik zupełnie zsunął się z jej głowy i czarne włosy opadły na ramiona bezładnymi lokami.

- Och, mały Ramónie, posłuchaj no, istny szatan z ciebie - powiedziała, całując malca w policzki i rzucając ręcznik na krzesło. - Kochany mały *diablo*. - Zerknęła na Shepa. - To synek mojego brata Roberto - wyjaśniła - i światło mojego życia. - Wtuliła nos w policzek chłopca.

Mały Ramón odchylił głowę i rozejrzał się, gdy tymczasem drzwi znów się otworzyły i pojawiła się w nich zgarbiona, siwa Aloise Estevan. Miała udręczone, pozbawione duszy oczy, a niegdy nieskazitelna skóra była teraz pomarszczona i ziemista. Wsparta o ciemną metalową łaskę, popatrzyła na Shepa, ale był pewien, że go nie poznała; prawdopodobnie nie pamiętała już wielu ludzi.

Vianca szybko przedstawiła ich sobie, ale właśnie ciwie bezskutecznie. Aloise wymamrotała coś niezrozumiałego pod nosem i swobodna radość na twarzy Vianki ustąpiła miejsca rozpaczy.

- Nie, *madre*, jego tu nie ma. Pamiętasz? Podróż jest... odszedł. - Szybko spojrzała na Shepa i zrozumiał, o czym myśli.

- Będę się zbierał - powiedział. Nagle poczuł, że musi się napić piwa.

Aloise wciąż mówiła, z pozbawionym wyrazu twarzą, skupiona na wiecie, który tylko ona sama widziała. Znowu pojawiła się ciekawostka kotka i mały Ramón zsunął się po szczytym ciele ciotki, żeby ruszyć w pościg za zwierzęciem.

Shep uchylił kapelusza.

- Jeszcze porozmawiamy.

- *Si* - odparła Vianca i nie miało się do niego uśmiechnąć. Ten uśmiech Shep miał przed oczami w drodze do domu, gdzie czekała na niego rozgniewana Peggy Sue i zimne łóżko.

Podróż Shelby do San Antonio okazała się kompletnym niewypałem.

Jak na razie, Orrin Findley na nic jej się nie przydał. Bo przecie jeszcze się z nim

porozmawiała przez telefon. Przez dwa dni usiłowała dostać się do jego biura, ale jej wysiłki studziła zawsze słu bista jak sierant musztry sekretarka. Teraz, siedząc w kafejce pod gołym niebem na River Walk i obserwując wypełnioną turystami bark na rzece San Antonio, Shelby przypominała sobie wymówki, które słyszała:

„Pan Findley wyjechał z miasta”.

„Pan Findley jest w sędzie”.

„Pana Findleya nie ma w gabinecie”.

„Pan Findley jest na spotkaniu”.

Prawda była taka, że pan Findley jej unikał. Shelby oparła się na krześle i przypatrując się liściom drzew poruszanych bryzadami, syczącymi lemoniadami i próbowała nie tracić szybko wyczerpującej się cierpliwości. Taktyka zaskoczenia również nie zadziałała: Findley za każdym razem był niechcący na spotkaniu.

Tymczasem Shelby nie próbowała. Skontaktowała się ze swoim biurem w Seattle i dopilnowała, aby jej nieobecność nie odbiła się na klientach. Agent, który ją zastępował, spisywał się wietnie i jej nie ponaglał „niepiesz się, bo wszystko jest pod kontrolą”. Shelby mu ufała.

Zadzwoiła również do Lydii i dowiedziała się, że w końcu skontaktował się z nią Ben Levinson, ale kiedy wykręciła do niego numer podany przez gospożę, zgłosiła się elektroniczna sekretarka. Sfrustrowana nagrała się, podając numer w swoim hotelu, a potem poszła do biblioteki, gdzie przejrzała stare wycinki prasowe na mikrofilmach. Starła się przeczytać wszystko o rozprawie Rossa McCalluma. Nie mogła się uwolnić od myśli, że to jego wyjście z więzienia skłoniło kogoś do napisania anonimowego listu i wysłania jej zdjęcia Elizabeth. Ale kogo? I w jakim celu? I gdzie, na miłość boską, jest Elizabeth? Shelby znowu poczuła nieprzyjemny ucisk w ołdoku - do wiadczą ją go zawsze, ilekroć myślała o swojej córce i o tym, że nie potrafi jej odszukać.

Była tak zdesperowana, że zadzwoniła nawet do Smitha. Miała nadzieję, że Nevada pozostaje w kontakcie z Levinsonem albo czegoś się dowiedział, ale on również był nieuchwytny. Nie zostawiła mu wiadomości, ponieważ zamierzała szybko wrócić do Bad Luck. Postanowiła, że wtedy go odwiedzi.

aby porozmawiać z prawnikiem ojca, uciekła się do mniej uczciwych metod. Podśluchiwała, jak jego sekretarka zamawia dla niego stolik na lunch w restauracji na River Walk, zaledwie kilka lokali dalej od tej zacienionej kafejki, i postanowiła go zaczepić. Usadowiła się w takim miejscu, aby widzieć wejście do restauracji, w której Findley umówił się ze swoim klientem. Czekała, wypijała trzy szklanki lemoniady.

Findley miał się spotkać z klientem o pierwszej. Dochodziła trzecia. Shelby ponownie zerknęła na zegarek, zamieszała lemoniadę w szklance i obserwowała frontowe drzwi lokalu. Minęło kolejne dziesięć minut i pomyślała, że zaraz zwariuje. Stolik obok niej był pusty przez kilka minut. Potem usiadła przy nim kolejna para, siedząc po tym, jak blisko zestawili krzesła i jak splatali dłonie po stolem, bardzo zakochana. Człowiekowi zasłaniała jej widok. Wrony i gołobie krążyły wokół stolików, machając skrzydłami - polowały na okruszki, które spadały na kamienny bruk.

No, przyjdź, przyjdź, pomyślała, oglądając się przez ramię w nadziei, że nikt jej nie rozpozna. Od chwili, gdy Nevada opowiedział jej o głuchych telefonach, stała się bardzo, bardziej niż kiedykolwiek, nerwowa.

W końcu zobaczyła mężczyznę, którego obraz zdobił recepcyjną kancelarię prawniczej. Orrin Findley był bardzo wysoki, chudy i siwy; opalony na ciemny brąz, miał biały wózek, nosił skrojony na zachodni modłę garnitur, krawat na gumce i buty o srebrnych noskach. Był pochłonięty rozmową z klientem; szli wzdłuż rzeki, a potem, po schodach dotarli do głównej ulicy. Shelby zostawiła na stole szklanki i ki

si nie zwraca na siebie uwagi, ruszyła za nimi po schodach, do położonego w centrum miasta. Findley i jego klient rozstali się przy błyszczącym czarnym jaguarze prawnika; na tablicach rejestracyjnych widniał napis: S A LAW.

Shelby nie marnowała ani chwili.

- Pan Findley?

Odwrócił się i uśmiechnął od ucha do ucha.

- Czy mogę coś dla pani zrobić?

- Mam taką nadzieję. Nazywam się ...

- Shelby Cole - powiedział i rozpoznawszy ją, przestał się uśmiechać. - Wszędzie bym panią rozpoznał. Jest pani taka podobna do Jasmine.

- Pan mnie unika - zaatakowała go, a jemu starczyło godności, żeby się tego nie wypierał. - Muszę z panem porozmawiać o moim dziecku.

- Ja nic nie wiem.

- Oczywiście, że pan wie. Jest pan adwokatem mojego ojca, a pana kancelaria zajmuje się adopcjami.

- Legalnymi adopcjami.

- No, więc co się stało z moim dzieckiem?

- Nie wiem. Nawet nie wiedziałem, że pani miała dziecko.

- Na pewno wiedział pan, panie Findley - upierała się, patrząc na przejeżdżające samochody. - Jestem pewna, że ojciec się panu zwierzał.

- Nawet jeśli to robił, podpadałoby to pod kategorię przywileju relacji adwokat-klient. Nie mógłbym o tym rozmawiać ani z panią, ani z kimkolwiek innym.

- Ale ona była moją córką i powiedziano mi, że zmarła zaraz po urodzeniu! - Shelby stanęła przy drzwiach jaguara i nie ruszała się z miejsca. Teraz niemal już nie zauważała przechodzących obok ludzi i sznura samochodów, które zaczęły jechać po zmianie wiatu. Jej ukryte za ciemnymi szklami oczy wpatrywały się w sprytnego prawnika, którego jadłowity u mieszek kojarzył się z wem. - Ja też miałam swoje prawa. Prawa, o których zapomniano albo które zlekcewaiono.

Szybko zerknął przez ramię na ulicę, po czym, ledwo poruszając wargami, syknął przez zaciśnięte zęby:

- Co pani powiem, panno Cole. Nie dyskutuj o sprawach sądowych na środku ulicy.

- W biurze nie chciał pan ze mną rozmawiać.

- Ponieważ nie miałem nic do powiedzenia - wycedził, unosząc brwi. - Nic. - Chciał, żeby się zamknęła, siedziała cicho, zachowywała się przyzwoicie, ale ona nie dała sobie zamydlić oczu jego reputacją czy staro-wieckim wdziękiem.

- Myślę, że ma pan coś do powiedzenia. Wie pan o dziecku, wie pan o darach mojego ojca dla Szpitala Naszej Matki Boskiej Bolesnej, a prawdopodobnie wie pan nawet, dlaczego sędzią uważyła, że ma cholerne prawo urzędowania miycia według swoich własnych reguł.

- Nie. Wiem tylko, że powinna pani zrezygnować z tych poszukiwań. Jeśli miała pani dziecko, to jest ono teraz już duże, mieszka z rodzicami, którzy je kochają ...

- A skąd pan to wie? - zapytała, opierając się biodrem o błyszczący zderzak i zakładając ręce na piersi.

- Słucham?

- Skoro pan nie wie, gdzie ona jest, to jak pan może zakładać, że mieszka z dwojgiem rodziców, że są szczęśliwi, że ma dobrą opiekę? Jeśli nie jest pan wtajemniczony w poufne informacje na temat mojej córki: gdzie jest, z kim mieszka, wszystko, co pan mówi, jest tylko przypuszczeniem, i sądzę, że mam prawo... nie, jestem cholernie pewna, że mam prawo moralne, prawne i etyczne dowiedzieć się, czy moja córka jest bezpieczna i szczęśliwa!

Zmierzył ją lodowatym spojrzeniem.

- W takim razie, panno Cole, proszę porozmawiać ze swoim ojcem.

- Już próbowałam. Na nic to się nie zdało. Wydaje mi się, że jedyne wyjście dla mnie to zatrudnić własnego adwokata i wkroczyć na drogę sądową. Otrzyma pan wezwanie do stawienia się przed sądem.

Twarz Findleya skamieniała.

- To będzie trudne, panno Cole. Z tego, co mi wiadomo, pani dziecko zmarło zaraz po urodzeniu. Chyba widziałem jego akt zgonu w dokumentach pani ojca. Do widzenia.

Kłamał. Shelby założyłaby się o własną głowę, że kłamał. Ale był również wywiczony w sztuce oszustwa i niezachwiany w swoich przekonaniach. Kiedy patrzyła, jak idzie do swojego jaguara, otwiera wóz i wsiada za kierownicę, poczuła się bezradna i sfrustrowana.

Tak, pomyślała, gdy błyszczący samochód ruszył spod krawężnika, cała ta podróż była stratą czasu.

- Jesteś tego pewna? - pytał Ross, podejrzliwie patrząc na blondwłosą barmankę. Akurat była poobiednia pora i garstka chłopaków, sądząc po wyglądzie, regularnych klientów, weszła do White Horse po całodziennej robocie, aby wypić parę piw. Potem czekał ich powrót do zmęczonych, zmęczonych, zmęczonych dzieciaków i ałosnego życia. Ross przytknął do ust butelkę budweisera. Nie zazdrościł żadnemu z nich. Doszedł do wniosku, że każdy człowiek tkwi we własnym życiu.

Lucy otworzyła kolejną butelkę z długim sztykiem i spojrzała na swoje odbicie w lustrze zawieszonym nad kontuarem. Wytarła tusz z kciuka i pchnęła piwo w stronę Rossa.

- Sama słyszałam, jak Shelby mówiła o tym Nevadzie. Rozmawiali tu parę dni temu, o, w tym miejscu - wskazała stolik zajęty przez kobiety z długimi włosami, jaskrawymi kolczykami, ubrane w obcisłe dżinsy; paliły papierosy i rozglądały się wokół - i ona wyraźnie powiedziała, że mieli kiedyś dziecko. - Lucy oparła się łokciem o bar i przysunęła bliżej. - Powiem ci, że on od razu ją stał zabrał, wyszli tylnymi drzwiami, i tyle ich słyszałam. - Pchnęła w kierunku Rossa koszyczek z popcornem.

- No, tej historii nic nie przebiję.

- Pomyślałam, że będziesz chciał wiedzieć. - Zaczęła wycierać ład białym ręcznikiem.

Ross rzeczywiście chciał o tym wiedzieć. Pragnął wiedzieć o wszystkim, co miało jakiś związek z Nevadą sukinkotem Smithem i Shelby Cole. Lucy była jedyną przyjaciółką w mieście, na którą mógł liczyć. Wszyscy inni traktowali go tak, jakby był zawieszony albo cierpiał na jeszcze gorszy przypadek.

Opróżnił butelkę jednym haustem, zostawił Lucy mamy napiwek i wyszedł z pubu. Energia go rozsadzała - chętnie by komu przyłożył, a jeszcze chętniej zabawiłby się z kobietami. Z jakkolwiek kobietami, chociaż na myślenie o Shelby Cole odczuwał szczególnie satysfakcję. Był z nią tylko raz i, no cóż, prawdę mówiąc, zmusił ją, ale miał wielką ochotę to powtórzyć.

To, że mógł jej dosięgnąć, było fantastycznym przeżyciem. Nawet wtedy, gdy dźgnął Smitha nożem w oko, nie miał takiego poczucia władzy i satysfakcji, jak wtedy, gdy zerwał ją córki s dziego. Nię

macho, jak wtedy, gdy przygwałcił księżniczkę do siedzenia wozu jej ojca. Jasne, miał niezłego stracha, ale warto było zaryzykować, żeby potem przez wiele miesięcy rozkoszował się poczuciem brutalnej siły. Nawet kiedy dopadł go Nevada Smith i zaczął się bić, jeden na jednego, nie doznawał najmniejszych wyrzutów sumienia. Ani trochę. Fakt, wylądował w szpitalu - Nevada nie leżała mu przyłożona - ale sam też nie pozostał dłużny i na zawsze uszkodził Smithowi wzrok.

Wgramolił się do wozu dziadka i słuchał, jak stary silnik dodge'a rżęzi, a potem zapala. Stare biegi skrzypiały, opony były mocno naddarte, a przednia szyba połamana, ale nie miał zbyt dużego wyboru. Przynajmniej ten alosny gruchot był na chodzie.

Sprawdził godzinę na zegarku. Według jednego z miejscowych, Ruby Dee kończyła pracę o ósmej. Skontaktował się z paroma facetami, którzy znali ją od wielu lat. Twierdzili, że pracuje w sklepie sieci Safeway. Ross zadzwonił tam i dzięki trzydziestoletniej inwestycji dowiedział się, kiedy Ruby kończy zmianę.

Teraz miał mnóstwo czasu, żeby dojechać do Coopersville, miasta znajdującego się czterdzieści kilometrów na południe od Bad Luck, a przy tym jakie pięć razy więcej kosztuje.

Przypalał papierosa i sprawdzał wsteczne lustro w obawie, że może go ciga jakiegoś przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości, wyjechał poza granice miasta. Ani na moment nie przekraczał limitu prędkości. Nie mógł się ganić na siebie uwagi, zważywszy że jechał takim gruchotem.

W niespełną godzinę nie zaparkował na asfaltowym parkingu Safeway i czekał. Klienci i chłopcy do pakowania zakupów pchali terkoczące wózki do i ze sklepu, podczas gdy kilku kierowców rozglądało się za miejscem do parkowania. Dookoła latały szukające okruszków wrony, a między samochodami kluczył chuderlawy pies, który w końcu podniósł łapę na oponę jakiegoś sztywnego sportowego cacka.

Niezły wybór.

Wypalwszy trzeciego marlboro, Ross zajrzał przez okna i rozpoznał Ruby, która właśnie szykowała się do wyjścia. Obserwował ją, jak zagadywała innych kasjerów i odwizywała fartuch. Wreszcie im pomachała, pchnęła szklane drzwi i wyszła w wieczorną spiekotę.

Ross uśmiechnął się łagodnie i cisnął niedopałek papierosa na asfalt.

Ruby wciąż była filigranową licznoką i Ross pamiętał ją w łoku. To było wiele lat temu, jeszcze zanim zwróciła się przeciw niemu, ale w tamtych czasach miała porywczy temperament w łoku i poza nim. Zastanawiał się, czy nadal wietnie robi laskę. Na sam myśl o tym poczuł, że ma erekcję.

Przyciła włosy. Były teraz krótsze; loczki w kolorze mahoni uokalały jej szczupłą twarz o wielkich brzożowych oczach. Niektórzy twierdzili, że wygląda jak Audrey Hepburn, tylko jest niższa, ale w rzeczywistości Ruby Dee była zbyt pulchna, żeby można ją porównywać.

Ross nie mógł wytrzymać naporu stwardniałego członka. Tyle lat nie był z kobiet. Tyle lat. Już dawno należał mu się szybki numer. Walczył z erekcją praktycznie od momentu, gdy opuścił więzienie. Każda kobieta wydawała mu się teraz potencjalnie zdobyczą. Był tak napalony, że miał wrażenie, że zaraz zwariuje.

Czekał, aż Ruby wyjmie kluczyki z torebki i zacznie otwierać drzwi swojego fordowego escorta. Wtedy błyskawicznie wyskoczył zza starej furgonetki. Wielkimi krokami minął stojące w nieładzie supermarketowe wózki i okrążył zielonego el camina, na którego oknie znajdowała się kartka z napisem „Na sprzedaż”.

- Ruby - powiedział, a ona aż podskoczyła, odwróciła się i trzymała klucze w taki sposób, jakby dawały jej jakąś ochronę.

Szeptnęła co po cichu. Brzmiało to jak „Bo e, dopomó”. A potem odezwała się głośno:

- Ross. Słyszałam, że wyszedłeś na wolność. - Wyglądała jak sarenka spłoszona blaskiem reflektorów.

- Adnych podziękowań dla ciebie.

- Ja... ja nie wiem, o co ci chodzi. - Ale w jej wielkich oczach czaił się strach.

Oparła się biodrem o drzwi escorta, żeby nie mogła otworzyć samochodu.

- Ale doskonale wiesz, złotko. Przez twoje zeznanie trafiłem do mamra.

- Nie, Ross, to nie było tak. Ja... hm, ja po prostu powiedziałam sędziowi, co widziałam. To wszystko.

- Czy by? - Ross mierzył ją groźnym spojrzeniem. Wyciągnął rękę i owiniął wokół palca jeden z jej zalotnych loczków.

Odskokowała jak oparzona.

- Tak właśnie nie było. Byłem w pikapie Nevady Smitha. Pijany jak bela. Widziałam cię w tym wozie, kiedy wychodziłaś z White Horse. Podjeżdżałaś na parking przed sklepem Estevana. - Nagle przerwała. - Posłuchaj, Ross, ja nie chcę żadnych kłopotów. Nie widzę powodu, żeby jeszcze raz to przechodzić. Przecież wyszedłeś z więzienia, więc dlaczego tak ci na tym zależy?

- Dlaczego mi zależy? - powtórzył. - Dlaczego mi zależy? - Wzbierał w nim gniew. - Straciłem dziesięć lat swojego życia, bo skłamałaś, Ruby. Dziesięć lat. Dwa lata walki w sądzie i osiem lat w więzieniu. Czy ty masz pojęcie, ile to czasu? Masz? - Kiedy nic nie odpowiedziała, zmierzył ją surowym spojrzeniem. - No cóż, właśnie dlatego mi zależy.

- Ja... ja nie kłamałam.

- Może i widziałaś wóz Smitha tamtej nocy, ale to nie ja byłem za kierownicą. Według mnie Smith i Estevan poradzili sobie o co, może o to, że Smith rzucił córkę Estevana dla Shelby Cole. Ramón był cholernie porywczy, wiedział o tym całe miasteczko. Pewno poszedł za Smithem z nożem albo spluwem i sprawy wymknęły się spod kontroli. Smith go rozwalili.

- Jesteś stuknięty - powiedziała Ruby, czując, że sztywnieje. - Nevada nikogo nie zabił.

- Ja też nie, ale to ja musiałem zapłacić, co? - Zmrużył wpatrzone w Ruby oczy, a ona wyraźnie zadygotała. Poczuli się silny. Podobało mu się, że Ruby pobladała na jego widok. Wyciągnął do niej rękę, ale Ruby się odsunęła.

- Nie dotykaj mnie, Ross, bo wezwę policję. To, że Caleb zmienił swoją wersję i zarobił kupkę szmalu, sprzedając jej reporterce, nic nie znaczy. O tamtej nocy powiedziałam prawdę.

Ross zignorował ten pokaz odwagi. Chwycił ją za ramię; była tak drobna, że miał wrażenie, iż jednym ruchem mógłby ją zgnieść.

- Jaka reporterka? O czym ty mówisz?

- Reporterka z magazynu „Lone Star”, Katrina Co tam. Zawarła układ z Calebem.

- Ten załgany sukinsyn ma zamiar zarobić szmal na mojej historii? - Wciął się bardziej. - No, trudno o lepszy dowcip. Najpierw wysłała mnie do pieprzonego więzienia, a potem jeszcze się na tym bogaci. I po co? Przecież on niedługo umrze, nie?

- Ja... nie wiem - wydusiła Ruby, ale on nie dawał za wygraną.

- To mnie naprawdę wkurza. - Potrzebniś mi, a krzyknęła:

- Przysięgam, że zaraz zawołam gliny.

- Naprawdę? - sztywniał, przysuwając się do niej, tak że prawie ocierał się policzkami

jej strachu: był dla niego jak afrodyzjak, powodował gigantyczną erekcję. - A mnie się wydaje, że powinna raczej wezwać adwokata. Skłamała pod przysięgą, Ruby.

- Nie skłamałam. Powiedziałam, że widziałam, jak prowadziła wóz Nevady, i tak rzeczywiście było. - Wyszarpnęła się z jego uścisku z nadspodziewaną odwagą. Potem zamiast zmykać jak spłoszona klacz, wyciągnęła rękę za jego plecy i włożyła klucz do zamka. Próbowała otworzyć drzwi, ale Ross je blokował, a w dodatku znowu chwycił ją za rękę.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Zejdź mi z drogi, Ross - warknęła. - I nigdy więcej mnie nie zaczepiaj.

- A co, właściwie to robi? Zaczepiam ci? - Spodobało mu się to określenie i uśmiechnął się w duchu, kiedy zauważył, jak zbladła. Mimo że Ruby trzymała fason, sprawiała wrażenie, że zaraz zemdleje ze strachu - ku satysfakcji Rossa. Czuł się oszołomiony władzą, jaką nad nią miał. Może powinien zaciągnąć Ruby do przyczepy, spojrzeć i...

Ulicę przejechało policyjne auto i Ross puścił Ruby tak gwałtownie, że niemal się nie przewróciła. Nie, ani na to pora, ani miejsce. Musiał zwolnić, być cierpliwym. Nie chciał kłopotów z policją. Przynajmniej na razie. Ruby mogła poczekać.

Zresztą miał do upieczenia wiązki pieczywa.

Rozdział 11

Znalazłem twojego lekarza. - Głos Bena Levinsona brzmiał tak, jakby dochodził z sąsiedniego pokoju, a nie z odległego ci tysięcy kilometrów, poprzez wiatłowod.

- Gdzie? - zapytał Nevada. Wyjść z ust wykałaczka.

- W ziemi.

A niech to.

- Co się stało?

- Wygląda na to, że zapisał się na śmierć. Mieszkał na Jamajce i miał romans z rumem. Zmarł jakieś dwa lata temu.

Kolejny lepy zaulek.

- Jesteś pewien, że to ten sam facet?

- Dokładnie sprawdziłem rejestry. Jeśli chcesz, to mogę ci je przeskanować i przesłać faksem.

Nevada nie wpuścił w jego zapewnienia; w przeszłości Levinson udowodnił, że można mu ufać. Ale dobrze było mieć te rejestry.

- Przełóż mi je - powiedział. - Z góry dziękuję.

- Przykro mi, że nie mam lepszych wiadomości.

- Mnie też jest przykro.

- Wiesz, próbowałem się skontaktować z Shelby Cole. Nie dodzwoniłem się.

- Nie ma jej w miasteczku - odparł Nevada i poprosił Levinsona, żeby sprawdził jeszcze kilka rzeczy. Żeby sprawdził Rossa McCalluma.

- Twój stary kumpel - zaartował Levinson. - Zobacz, co udało mi się wygrzebać, ale przez ostatnich osiem, dziewięć lat był czysty.

- Prawdopodobnie dziesięć lat - przyznał Nevada - ale dowiedz się, co robił wcześniej.

- Myślałem, że ty to wszystko sprawdziłeś.

- Sprawdziłem. Ale powiedziano mi, że nie jestem obiektywny. A skoro już o tym mowa, jest ktoś jeszcze...

- Niech zgadnę. Sądzi Jerome Cole.

- Nie zaszkodziłoby go sprawdzić.

- Sprawdzanie nigdy nie szkodzi - zgodził się Levinson; jego głos zdradzał satysfakcję. - Załatwione.

Nevada odłożył słuchawkę. Poczł wielki niesmak. Poszedł do sypialni, gdzie na stoliku leżał laptop i stała drukarka. W ciągu dziesięciu minut drukarka wypluła raport i akt zgonu wypisany na Neda Charlesa Pritcharta, doktora medycyny, który, według zeznania miejscowego lekarza, zmarł śmiercią naturalną w wieku siedemdziesięciu jeden lat. Do raportu Levinson dołączył rachunek.

- Wietnie - wymamrotał Nevada, słysząc chrząstki opon na kamiennym podjeździe. Crockett zaczął ujadę na całego.

- Cicho! - rozkazał Nevada.

Szybko wyłożył komputer. Miał nadzieję, że to Shelby przyjechała go odwiedzić. Denerwował się, odkąd pojechała do San Antonio. Zastanawiał się nawet, czy nie powinien ruszyć za nią, i wyrzucał sobie, że nie wie, gdzie się zatrzymała. Martwił się o nią. No tak, nie martwił się o nią wcale przez wszystkie te lata, kiedy nie było jej w Bad Luck, ale sytuacja się zmieniła. Teraz mieli do czynienia z anonimowymi listami i głuchymi telefonami, a w dodatku McCallum wyszedł na wolność. Odkąd Shelby zajęła mu drogę przed tygodniem, nie mógł przestać o niej myśleć - i tak, do diabła, bardzo się o nią niepokoił.

I nie tylko dlatego, że była matką jego dziecka. Wcale nie. Chodziło o głębsze uczucie. Wręcz zbyt głęboke. Nawet nie chciał myśleć o tym, jak bardzo zamieszalała mu w głowie.

W nadziei, że zaraz zobaczy ją w wynajętym przez siebie białym cadillacu, wyszedł na dwór. W pobliżu pompowni zatrzymał się mały, niebieski samochód. Za kierownicę siedziała kobieta. To nie była Shelby.

Crockett głucho warczał, obnażając zębiska. Miał zjeść on sierść na grzbiecie.

- Spokój, chłopie - rzucił ostrzegawczo Nevada.

Stał na ganku i patrzył, jak kobieta, której nie potrafił rozpoznać, wyciąga neseser. Poczł sztywno w okolicach karku. Nie był przyzwyczajony do gołoci, a ostatnio pojawiała się tu ich trochę za dużo. Kobieta, która zmierzała teraz ku niemu z neseserem na szczupłym ramieniu, była drobna, rudowłosa i stanowcza. Jej oczy wydawały się o wiele starsze niż ona sama. Ciemne okulary zsunęła na czubek głowy. Na pierwszym stopniu w ogóle jej zdjęła i włożyła do bocznej kieszeni neseseru.

- Pan Smith? - zagadnęła i wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Był to uśmiech jasny jak ośnieżony szczyt ośnieżony, a przy tym tak samo zimny.

Nevada natychmiast nabrał podejrzeń. Akwizytorzy zapuszczali się na tu bardzo rzadko, ludzie o misjonarskim zacięciu, którzy chcieli mu sprzedać swoją religię, tę, a więc kim, u diabła, była ta kobieta? I wtedy coś mu za witało w głowie.

- Tak.

Wyciągnęła rękę.

- Nazywam się Katrina Nedelesky. Jestem reporterką magazynu „Lone Star”.

Mocny ucisk dłoni. No tak. Jednak w jej spojrzeniu było coś, co sprawiało, że Nevada jej nie ufał. Gestem zdradzającym zarozumiał sięgnęła do kieszeni neseseru i wyjęła wizytówkę, po czym wcisnęła ją Smithowi do ręki.

- To na wszelki wypadek, gdyby miał pan w tpliwo ci.

- Gdzie bym miał. - Mimo to zerknął na wizytówkę, przeczytał ją i uwa nie przyjrzał się swojemu go ciowi. - Co mog dla pani zrobi ? - Oparł się biodrem o framug drzwi, skrzy ował ręce na piersi i przesunął wykałaczk z jednego k cika ust w drugi.

- Chciałabym zada panu kilka pyta w sprawie zabójstwa Ramóna Estevana.

A wi c o to jej chodziło. Nie był zaskoczony.

- Prosz posłucha . Sporz dziłem raport. Zeznawałem pod przysi g . Wszystko mo na znale w oficjalnych dokumentach.

- Wiem, wiem, ale gdybym mogła wej i troch z panem porozmawia ?... Naprawd chciałabym usłysze pa sk wersj tego zdarzenia.

- Moja wersj ?

- No, pana pogl d na spraw . Przecie pan tam był.

Nigdy nie przepadał za reporterami, uwa ał, e wszyscy goni za sław i w cibiaj nos w nie swoje sprawy. Stoj ca przed nim osóbk równie wydawała się pozbawiona skrupułów. Było te w jej intensywnym spojrzeniu co , co go intrygowało. Czy przypadkiem ju gdzie jej nie spotkał? Chyba nie. Miał dobr pami do twarzy, ale tej jako nie potrafił skojarzy .

Wskazał plastikowe krzeselka na frontowym ganku. Kiedy usiadła, Crockett cicho zaszczekał i powlókł się do swojego ulubionego miejsca pod gankiem. Na pobliskich polach hasało i wierzało kilka rebaków o pał kowatych nogach. Ich włosie l niło w promieniach zachodz cego sła ca.

Nevada odchylił się do tyłu, skrzy ował nogi i czekał. Reporterka przysiadła na kraw dzi krzesła, jakby w obawie, e kurz na siedzeniu zabrudzi jej czarn spódnic .

- Mam dyktafon. - Otworzyła neseser.

- adnego dyktafonu.

- Ale...

- Prosz posłucha . Nie s dz , ebym miał pani cokolwiek do powiedzenia. Słyszałem, e przeprowadziła pani wywiad z Calebem, prawd mówi c, piał o tym na całe miasteczko, przechwalał się , ile to pieni dzy zgarnie za jak wyj tkow umow , któr we dwoje sporz dzili cie, ale ja niewiele wi cej mog doda .

- Był pan jednym z głównym uczestników ledztwa - argumentowała. Zapach jej perfum go dra nił. Nie były tanie i odniósł wra enie, e kupowała sobie ubrania w presti owych butikach, a nie w zwykłym supermarkecie; mógłby się zało y o swój ulubion klacz, e jej spódnica, botki, zrobiony na drutach top i marynarka - a nawet perfumy - miały logo jakiego słynnego projektanta. Wprawdzie jej samochód był niedrogi i do wysłu ony, ale Karina Nedelesky nie oszcz dzała na swoim wygl dzie. Taka dwoisto : kobieta reporter. O nie, nie wierzył ani jednemu z jej pomalowanych henn włosów. - Pan i Ross byli cie zaprzysi głymi wrogami - oznajmiła, racz c go u miechem z rodzaju: „kurcz , jeste taki niesamowity”. - I twierdził pan, e tamtej nocy on ukrał panu pikapa.

- Kto to zrobił. W ko cu to Ross wyl dował w moim wozie.

- I omal nie zgin ł. R bn ł w drzewo, zgadza się ?

- To wszystko jest przecie w raporcie - odparł poirytowany. Nie podobała mu się ta kobieta; była zbyt gładka, zbyt skoncentrowana na sobie.

- Ale w szkole redniej byli cie przyjaciółmi.

- Nie byli my przyjaciółmi. Grali my w tej samej drużynie futbolowej, kiedy on był w szkole. - Zaczynała porzucić mu na nerwy. Popatrzył na nią ze złości. Nawet nie drgnęła jej powieka.

- Z tego co wiem, interesowali cię się tylko dziewczyny. - To nie była przypadkowa uwaga. Ona cały czas do tego zmierzała. - Shelby Cole. Słucha Jerome... hm, zdaje się, że w tych okolicach mówi o nim Red. Tak czy owak, obaj spotykali cię się z córką szeryfa Cole'a.

Już i tak nie był wkurzony, Nevada wybuchnęła:

- Przez pewien czas umawiałem się z Shelby.

- A Ross? - zapytała.

- To jego błąd, że pani musiała o to zapytać. - Teraz odpowiedział mu miękko na jej uśmiech. - Ale to chyba nie jest najlepszy pomysł. Ross nie cieszy się dobrą opinią, pani... - zerknął na wizytówkę, którą wciąż trzymał w rękach.

- ...Nedelesky. I ma dość paskudny charakter. Gdybym był na pani miejscu, nie naciskałbym zbyt mocno.

Trochę ją zdenerwował, ale nie zdołał całkowicie wyprowadzić z równowagi.

- Czy jest coś, co powinnam wiedzieć o pańskich stosunkach z Rossem McCallumem?

Prychnął pogardliwie.

- Nie sądziłem, że w ogóle jakieś mam.

- Nienawidzi pan McCalluma. Wszyscy w miasteczku to wiedzą. Stoczyli cię kilka bójek jako nastolatki, a pózniej, nagle kilka tygodni przed śmiercią Ramóna Estevana, pan i McCallum poturbowali cię się na imprezie i obaj wylądowali w szpitalu. Pan nie widzi odtąd na jedno oko, a McCallum miał chyba pękniętą kość i złamany obojczyk. O co poszło?

- Pokłócili my się. Sprawy wymknęły się spod kontroli. Jak już mówiłem, McCallum jest wyjątkowo porywczy.

- A pan?

- A ja się potrafię obronić. Proszę posłuchać, wystarczy już tych pytań. Jak powiedziałem, wszystko, co chce pani wiedzieć, jest w swoich kartotekach. - Nevada wstał, dając do zrozumienia w ten sposób, że uważa rozmowę za skończoną.

Zignorowała jego sugestię.

- A więc gdzie pan był, kiedy zastrzelono Ramóna Estevana?

- To jest w moim raporcie. Patrolowałem miasteczko.

- Sam? - Nawet nie starała się ukryć podejrzliwości.

- W tamtym czasie nie miałem przydzielonego partnera.

Uniosła obie brwi, jakby dla niej ta informacja była z jakichś względów ważna.

- Narzędzie zbrodni nigdy nie zostało znalezione. To prawda?

- Z tego co wiem, nie.

- A pana strzelba myśliwska była w wozie, kiedy znalazł się w nim Ross McCallum.

- Zgadza się. - Przeszedł z jednej nogi na drugą.

- Nigdy nie odnalazł pan swojej broni?

- Pistoletu. Nie, nigdy.

- Ale pana strzelba myśliwska była w wozie, kiedy znalazł się w nim Ross McCallum.

- To nie było narzędzie zbrodni.

Zignorowała jego uwagę.

- Wkrótce po zakończeniu ledztwa poproszono pana, by odszedł z Biura Szeryfa. Dlaczego?

Czuł, jak mi nie u podstawy szyi tworzą sztywny spłot.

- Zrezygnowałem, pani Nedelesky. Z przyczyn osobistych.

- Jakże to były przyczyny?

Na ganku robiło się ciemno, ale Nevada nie chciało się zapalać wiatła. Nie ust powała na krok, więc postanowił postawić kropkę nad „i”.

- Ten wywiad jest skończony.

- Czy to prawda, że wrobił pan Rossa McCalluma w więzienie?

- Został oskarżony i skazany.

- Dzięki wiadkom, którzy nie byli wiarygodni. Wiadkom, których sam pan przedstawił do dyspozycji sędziego.

- Powiedziałem, że ten wywiad jest skończony.

Niech sobie wstała i wzięła do ręki neseser.

- Wie pan, pani Smith, w tej opowieści oprócz łatwo dostępnych faktów jest jeszcze mnóstwo niejasnych szczegółów.

- Naprawdę?

- O, tak. - Skinęła głową, jakby zgadzała się z samą sobą; zarzuciła na ramię pasek neseseru i szukała swoich kluczy. - I ja dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi.

- Proszę to zrobić - odparł.

Błysnęły jeszcze raz lodowatym uśmiechem, Katrina pomaszerowała do samochodu. Kręciła tym swoim małym, sprężystym tyłkiem, jakby był nie wiadomo jak nadzwyczajny, ale Nevada nie odczuwał zainteresowania. Równie dobrze mógłby chcieć przytulić ją.

Kiedy usiadła za kierownicą, słonce już schowało się za zachodnimi wzgórzami i szybko nadciągał mrok. Długie fioletowe cienie wpełzały na pola i kilka pierwszych gwiazd zamrugało na niebie. Gdzieś w oddali zawył kojot.

Nevada stał w szerokim rozkroku, z rękami założonymi na piersi, i obserwował sypiącego się ciego sięgruchota Katriny. Powtarzał sobie, że nie może brać do serca jej insynuacji. Była oportunistką i niczym więcej. Czuł, że ma ona własny plan, że jest osobliwie zainteresowana uwolnieniem Rossa McCalluma.

O co może jej chodzić? Patrzył, jak między drzewami mrugały tylne wiatła escorta. Zmrużył oczy. Zapomnij o niej. Nie wygrzebie niczego kompromitującego ciego, pomyślał. Mimo to nie mógł zlekceważyć faktu, że ona może narozrabiać. Podenerwowany, wszedł do rodka i sięgnął po słuchawkę. Machinalnie wykręcił numer Shelby. Zaczekał. Nikt nie odebrał telefonu w domu siedziącego Cole'a.

Nie zadał sobie trudu, żeby zostawić wiadomość.

Ogarnęło go złe przecucie z powodu wciśniętej reporterki, ale równie dlatego, że martwił się o Shelby i był przygnębiony tym, że Ned Pritchard zmarł i zabrał do grobu wszelkie informacje na temat Elizabeth. Fakt, że doktor Pritchard nie żył, nie był specjalnym zaskoczeniem, ale oznaczał, że mieli o jeden trop mniej, poszukując córki. Jego dziecko. Dziecko Shelby. Dziwne, ale zaakceptował to, że jest ojcem.

Nevada Smith uwiadomił sobie jednak, że nie wie, co robi, kiedy w końcu odnajdzie Elizabeth - a wiedział, że na pewno tego dokona. Po raz pierwszy w życiu nie miał planu. I to go niepokoiło. Nawet bardzo.

Na wielkim czarnym niebie wieciły miriady gwiazd, a nad wzgórzami stałe piły się

Shelby nacisnęła klawisz rozsuwający dach w samochodzie. Otworzył się w momencie, gdy Cadillac wjechał na ostatecznie wzniesienie na trasie do Bad Luck. Okna były pootwierane i gorący, tęski wiatr wdarł się do wnętrza, smagał jej policzki i plątał włosy. Była mokra od potu, zmęczona i sfrustrowana. Widziała przed sobą wiatła miasteczka, zacisnęła palce na kierownicy. Nie słyszała muzyki z radia i nie zauważała niczego poza asfaltową drogą, którą omiatały reflektory jej wozu. Dwa dni w San Antonio - i po co?

Nic.

Zero.

Totalny kłops.

A niech to wszystko diabli! Wiedziała o możliwościowym miejscu pobytu Elizabeth tyle samo, co w dniu, gdy powróciła do Bad Luck wiedzioną matczyną determinacją i słusznym oburzeniem.

Wydawało jej się, że od czasu, gdy otrzymała list i zdjęcie, upłynęła wiecznie, chociaż tak naprawdę minął niespełna tydzień. Dlaczego więc codziennie miała wrażenie, że zmarnowała kolejny dzień, że straciła dwadzieścia cztery godziny, które mogłaby spędzić ze swoim dzieckiem?

- Gdzie jesteś? - pytała córka, której nigdy nie poznała. Nie chciała jednak dopuścić do tego, aby jej dusza ogarnęła rozpacz. Znajdzie Elizabeth. Musi. Nie spocznie, dopóki tego nie dokona.

Wiatła Bad Luck majaczyły coraz bliżej. Zrobiło jej się niedobrze na widok powitalnego neonu z napisem **WELL COME INN** na skraju miasteczka.

Zamierzała pojechać do domu i zanurzyć się w basenie, aby zimna woda ułagodziła ból migreny i dokuczliwy ból głowy, ale zanim dotarła do obrzeży miasteczka, zwolniła i wybrała drogę, która skręcała na zachód, w kierunku rancza Nevady. Może przez tych kilka dni dowiedział się czegoś?

A może po prostu chcesz znowu go zobaczyć?

Na myślenie o tym mocniej nacisnęła kierownicę i zerknęła we wsteczne lustro, co zresztą robiła co kilka dekad, dwadzieścia kilometrów, jak tylko wyjechała z San Antonio. Była rozdrażniona i niespokojna, bała się, że może być ledzona, chociaż ten strach wydawał się nienaturalny. Nie powinna wariować tylko dlatego, że ktoś zadzwonił do jej pokoju w hotelu tuż przed jej wyjazdem i nie powiedział ani słowa. To był zwykły zbieg okoliczności, nic więcej. Nikt za nią nie jechał.

Przejeżdżając obok kolczastych gruszy i żywotników, tłumaczyła sobie, dlaczego musi się zobaczyć z Nevada, i to szybko. Łączyło ich coś bardzo ważnego: byli rodzicami zaginionej dziewczynki.

Ale chodzi o coś więcej, Shelby, i dobrze o tym wiesz.

Nie chciała słuchać dręczącego ją wewnętrznego głosu. Jechała z bardzo dużą prędkością, a znalazła się na drodze prowadzącej na ranczo Nevady. Suche zielsko szorowało o podwozie samochodu. Owady rozbijały się o przedni szyb. Serce Shelby biło mocno ze strachu i przez chwilę łowiała, aż zdecydowała się na ten mały objazd. Była tak zdenerwowana, że jej ręce nagle zrobiły się wilgotne. Spojrzała na swoje odbicie we wstecznym lusterku i upewniła się, że jeszcze ma na ustach szminkę.

- Miechu warte - zganiła siebie, kiedy Cadillac podskoczył na bliźniaczych koleinach, wrytych w twardej powierzchni. Przecież nie jest podlotkiem przywykłym swoim pierwsze miłosne zauroczenie. To coś innego. Patrzyła na przedni szyb. W blasku księżyca zobaczyła sylwetki longhornów pasących się na pobliskich polach, a przed nimi widać było wiatła w oknach i otwartych drzwiach domu Nevady.

Czuła suchość w ustach. Zaparkowała auto i wysiadła z niego tuż przed zapadnięciem

szczeka i kiedy przeskoczyła jedyny schodek prowadzący na ganek, Nevada pojawił się w drzwiach - barczysty i muskularny.

Dlaczego zawsze zauważała, jak bardzo jest mściwy, surowy, twardy i nieokiełznany? Zupełnie jak te suche, wietrzne wzgórza, był prosty, dziki, taki teksaski.

I właśnie nie takiego mężczyzny powinna unikać jak jadowitego węża.

- No, no, Shelby - wycedził i zaczął się uśmiechać od ucha do ucha. - A to niespodzianka. - Jego błyszczące, białe zęby kontrastowały z ciemnym w mroku nocy ciałem. Szare oczy bacznie jej się przyglądały. - Tęsknisz za mną?

- Tak bardzo, że nie mogłam zasnąć - zadrwiła.

- Ja tego nie mogłem. - W jego oczach tliło się rozbawienie i Shelby trochę się rozluźniła. Nevada uniósł brew, a na jego policzku jej twarzy pojawiły się dołki. - Ale nigdy nie myślałem, że się do tego przyznasz.

Wabił ją i chociaż mówiła sobie, że nie może być tak, jak on jej zagra, to jednak nie oparła się pokusie i powiedziała:

- No, już przestań się tak sobą zachwycać, Nevada. Ja przestałam.

- Akurat - mruknął. Kiedy próbowała przejść obok, szybko ją objął. Zanim zdążyła pomyśleć, już przyciskał ją do swojej płaskiej i twardej klatki piersiowej, tak że widziała jego nie raz złamany nos, i patrzył na nią oczami, które wydawały się srebrzyste w księżycowej poświacie. - Pani jest najwspanialszą kłamczuchą, jak w życiu spotkałem, a to do Ciebie powiedziane, bo poznałem ich wiele, i to całkiem sprytnych.

- To na pewno. - Uniosła podbródek, nie mając zamiaru się cofnąć. Nie mogła nie czuć ciepła jego ciała i tego, że jego mocne, stwardniałe palce spoczywały na dolnej części jej pleców. - I co zamierzasz z tym zrobić, Smith? - sztywniała.

Białe zęby znowu błysnęły w szelmowskim uśmiechu.

- Chcesz się przekonać?

Nie!

- Może. - Dobry Boże, dlaczego się z nim bawiła w ten sposób? Ledwo oddychała, będąc tak blisko niego, nie mogła skupić uwagi na niczym oprócz cienkiej linii jego warg.

Nevada uniósł jeden krzaczasty brew.

- Patrz.

Powiodł stwardniałym od ciężkiej pracy palcem po szyi Shelby.

O Boże, kolana się pod nią uginały. Czuła, jak wrze jej krew, zadygotała, a serce zaczęło mocno walić w oszalałym wyczekiwaniu.

Położył rękę na jej ramieniu, tak że palce się gęty pleców, a kciuk ocierał się o włosy w białym biele. Gdyby zechciał, mógłby zmiażdżyć jej krtań i skrócić kark. Ale nie bała się powierzyć mu swojego życia ani, nieroztropnie, swojego serca.

Przycisnął ciepłe usta do jej szyi i wtedy Shelby ją knęła.

Zatrzymaj to, Shelby. On cię uwodzi, a ty na to idziesz. Zatrzymaj to, póki jeszcze możesz.

Podniósł głowę i patrzył na nią. Powoli wodził kciukiem po kościach u podstawy jej szyi, robił zmysłowe kółeczka.

Pragnę cię.

Czy to on powiedział?

A mo e ona?

Rozgorzał ar dawno zakazanego ognia. Wiedziała, e to szale stwo by sam na sam z nim, dotyka go i pozwala , by jego zapach przenikał jej zmysły, a mimo to nie potrafiła powiedzie „nie” ani my le o czym innym oprócz tej chwili.

Nevada oparł j o cian i opu cił głow . Chocia wiedziała, e nie powinna go całowa , to jednak nie potrafiła si oprze pokusie. Kiedy dotkn ł wargami jej ust, zadygotała. Trzymał j mocno w nagich, umi nionych i silnych ramionach i czuła, e uginaj si pod ni kolana. I wła nie w tym momencie szepn ł:

- Jeste najbardziej irytuj c , upart i seksown kobiet , jak w yciu spotkałem.

- A... a ty jeste moim najgorszym koszmarem.

- Wiem.

Och Bo e, prawie nie potrafiła my le , a co dopiero mówi . Co zaiskrzyło. Jej umysł przepełniało po danie. Najch tniej chwyciłaby go i ju nigdy nie wypu ciła z obj .

Pocałował j . Mocno. Całym sob . Jak gdyby nigdy nie chciał przerwa tego pocałunku. Wpił si w jej usta i przywarł do niej całym ciałem. Shelby była zdolna tylko do szalonych, rozwi złych my li. Gdzie w gł binach jej duszy szalało pragnienie, niepodobne do niczego, gor ce jak wschodnioteksa ski wiatr i jeszcze bardziej nieokielznane. Nie mogła złapa tchu. Nie była w stanie si opiera . Westchn ła, gdy Nevada niecierpliwie wepchn ł j zyk mi dzy jej z by. Zatrzepotała powiekami. Pami podsuwała obrazy z młdzie czych lat. Och Bo e, jak ona go wtedy kochała. I jak bardzo po dała nadal.

Nevada dotykał j zykem jej j zyka, przekomarzał si z ni , by za chwil drasn czułe miejsce na szyi, podczas gdy ustami pie cił jej wargi. Był wsz dzie, ciskał j mocno i oddychał tak samo nieregularnie jak ona.

Nie rób tego, Shelby. To bardzo niebezpieczne.

Przypomniała sobie, jak kiedy kochali si w wiosennej burzy, jego zwinne, mokre ciało, nagie biodra konwulsyjnie napieraj ce na jej ciało, jego zapach, dotyk skóry, smak. Teraz było podobnie.

Podniósł głow i Shelby wtuliła si w niego.

- T skniła za mn ? - prowokował j , wplataj c stwardniałe palce w jej włosy i ci gn c je tak, e musiała otworzy oczy i popatrze na niego.

- Ani przez moment.

Za miał si chrapliwie.

- Chocia nie nadajesz si na kłamczuszk , Shelby Cole, to na pewno nie wiesz, kiedy przesta .

- Co? - spytała zdyszana. - I popsu cał zabaw ?

- Prowokujesz mnie, kochanie, a to mo e by gro ne.

- Naprawd ? - Roze miała si . - Nie rozumiem, w jaki sposób.

- No przecie mówiłem, patrz. - Znowu j pocałował i tym razem jego powolny rytm ust pił miejsca zapałowi. Gwałtownie zaatakował jej usta, palce natrafiły na rz d guzików w sukience. Rozpinał je jeden po drugim, a jego oczom ukazał si delikatny stanik, dobrze podtrzymuj cy kr głe piersi Shelby. Teraz to jej sutki przypominały guziczki, wciskały si do czarnej koronki, stwardniałe pod wpływem dotyku Nevady.

Shelby miała wra enie, e si roztopiła, a jej ko ci skurczyły.

Ukrył twarz w zagł bieniu mi dzy jej piersiami. Jego oddech był gor cy i wilgotny, parował wr cz w zetkni ciu ze skór na jej brzuchu. Pomy lała o tym, co mógłby jej zrobi , i ile czasu upłyn ł

kochali. Pragnęła więc.

- Jesteś taka piękna - powiedział, całując jej pierś. Potem jego język ześlizgnął się po koronkowym materiale, żeby dotrzeć do sutka. Shelby wiała się w ramionach Nevada, z rękami w jego włosach, mocno przytulając do siebie jego głowę. A on zażył jej i pieścił, nie dając jej ani chwili wytchnienia i cicho pojął.

Po daniu rozpałała jej mózg, dudniło w jej uszach.

- Nevada! - krzyknęła głosem, którego sama nie rozpoznawała.

- Co, kochanie? - zapytał, pieszcząc jej skórę swoim oddechem.

- Ja... ja...

- Wiem. - Chwył ją za rękę i przeniósł przez otwarte drzwi do małej, ciemnej sypialni. - Ja też.

Razem potoczyli się na miękki materac, który ugiął się pod ich ciężarem. Całowali się namiętnie i Shelby czuła, jak pulsuje w niej po danie. Wiedziała, że powinna zatrzymać to szaleństwo, że kochanie się z tym człowiekiem będzie najgorszym błędem życiowym. Jednak ta buntownicza część jej osobowości, którą wyzwolił w niej przed dziesięć laty, dziś wieczorem uległa odrodzeniu i, z dala od wściekłych oczu ojca oraz zmartwień wywołanych poszukiwaniami dziecka - ich dziecka - Shelby poddała się emocjom.

Nevada cisnął jej sukienkę przez ramiona i cisnął stanik na podłogę. Shelby zaczęła go rozbiierać i widok jego umińcionych barków zagłuszył wszelkie wstydliwość. Tak dawno, cholernie dawno, nie kochała się z nim. Jego usta były wszędzie, sprawiały, że robiło jej się coraz bardziej gorąco, a dłoń przy pieszła puls.

Nevada odpiął kolejne guziki sukienki, tak że została tylko w majtkach. Miał szorstkie palce i czuła jego cudowny, magiczny oddech na swoim brzuchu. Wydała przeciągły jęk, kiedy dotarł językiem do jej pępka i wsunął rękę pod jej pośladki, a potem podcisnął ją w górę, bliżej siebie. Całował ją delikatnie i pieścił językiem, zsuwając się coraz niżej.

W wyobraźni Shelby przewijały się zmysłowe obrazy; wodziła palcami po mięśniach jego ręk. Nevada zrzucił buty i dżinsy.

Nie, nie, nie! Nie rób tego!

Gładził ją po plecach.

- Powiedz mi nie.

Tak, powiedz mi!

- Ja... ja nie mogę.

- Shelby, to niebezpieczne - szepnął, wtulony w jej wzdęte łonowate włosy, roztrzepując włoski, które go porastały.

Dygocząc i wijąc się z podania, nie potrafiła ani nie chciała znaleźć słów, które by ich powstrzymały. Dzisiejszy wieczór należał do nich.

Postanowiła nie pamiętać o przeszłości ani nie zastanawiać się, co przyniesie jutro. Nevada całował wewnątrz trzon jej uda mokrymi, ciepłymi wargami.

Zaparło jej dech w piersiach.

Jego wargi otarły się o miejsce, które ją bolało z podania. Serce Shelby biło bardzo mocno i czuła zawroty głowy. Noc dobiegała końca, roztopiała się w cieniach. Nevada całował Shelby w najbardziej intymnych miejscach, a ona otwierała się przed nim, tak podniecona, że brakowało jej powietrza.

Pragnęła go tak jak zawsze, jak przedtem. Był jedynym mężczyzną, któremu kiedykolwiek powierzyła swoje serce, i jedynym mężczyzną, któremu pozwoliła to serce złamać.

Zatopił palce w jej pośladkach i mocno ją przytrzymał. Shelby kołysała się coraz szybciej, czując, jak rośnie tętno jej krwi w żyłach, a w końcu, gdzie w najgłębszych zakamarkach jej ciała, pojawiła się taka sama. Gwałtownie, dziko. Jej dusza, tak beznadziejnie spragniona nieszczęściem, nareszcie wybrała wolność. Shelby głośno krzyknęła, choć jeszcze przed chwilą jej głos wydawał się taki słaby.

- Nevada...

- Jestem tutaj, kochanie - powiedział i przysunął się trochę, żeby mocniej ją przytulił. Jeszcze z trudem łapał oddech i drapał ją zgarbił brodą w policzek. Pocałował ją w usta, a kolanami rozsunął jej nogi. - O Boże, Shelby, tak skniem za tobą - szepnął i wbił się w nią głębiej.

Shelby zamknęła oczy i zatraciła się w jego ciepło i dotyku. Całkowicie się rozluźniła i szybko przystosowała do jego rytmu, jakby byli kochankami od wielu lat.

- Shelby... piękna Shelby - szepnął zachrypniętym głosem.

Był mokry od potu. Coraz szybciej, jak koń, który wyrwał się z pułki i galopuje ku wielkiej przepaści, napierał na nią i ciskał ją z całej siły, czując dyszenie. Shelby nie była w stanie myśleć; ledwo oddychała. Kocham cię, Nevada. Otworzyła usta, by wypowiedzieć te słowa, ale głos odmówił jej posłuszeństwa. Przed jej oczami wybuchła błyskawica. Jej ciałem wstrząsnęły spazmy.

- Nie mogła przestać... nie mogła... - Nevada zeszywniał, napiął mięśnie pośladków i wygiął plecy, po czym wytrysnął i opadł na nią, z trudem łapiąc oddech. - Dobry Boże - szepnął w zagłębieniu na jej szyi.

Shelby przywarła do niego i zamrugała, próbując zwalczyć nagłe i niechciane łzy.

- Przykro mi. Nie chodziło mi o to, e...

- Pst. Nic się nie stało. - Otoczył ją muskularnymi ramionami i wielkimi dłońmi przytulił jej twarz do swojej piersi, w której mocno i miarowo biło jego serce. Pocięła nosem, starając się nie rozkleić, nie chciała stracić panowania nad sobą choćby na moment. Pocałował ją w czoło i znowu musiała walczyć ze sobą, żeby nie wybuchnąć szlochem.

- Martwiłem się o ciebie - wyznał, kiedy leżeli w ciemnościach. Przez uchylone okno słyszała odgłosy nocy: pomruki krów albo szum samochodów przejeżdżających odległą autostradę.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Ale dzieją się rzeczy, które mnie niepokoją. - Materac zaskrzypiał, gdy Nevada stoczył się z niego i zapalił lampkę.

Wtedy Shelby po raz pierwszy zobaczyła jego sypialnię. Była mała i nad podziw schludna. Przy łóżku stała bardzo stara toaletka z lustrem, a w rogu pokoju stolik z komputerem i drukarką. Ściany były gołe, jedyną zdobytą miedzianą rzeźbą sosem, nad wejściem wisiała podkowa, a obok drzwi szafy wieszak z mosiężnymi haczykami na ubrania. Na drewnianej podłodze leżało kilka dywaników.

- Denerwujesz się, bo Ross McCallum wyszedł z więzienia. Wszyscy się niepokoją.

- Ty nie?

Zawahała się. Nie był to najwłaściwszy moment, żeby opowiedzieć mu o gwałcie i o tym, że był może Ross jest ojcem Elizabeth. Chrząknęła i oblizła wargi, nagle suche.

- Ja chyba najbardziej - przyznała. Zaczęła się pocić. Jak miała to wszystko wytłumaczyć? Co on sobie o niej pomyśli, gdy pozna okropną prawdę? Ból przeszło ci, poczucie, że ją wykorzystano, i wstyd sprawiły, że znowu stanęły jej łzy w oczach. - Ale próbuj się nie bać.

Przysun 1 si , popatrzył jej prosto w oczy i uj 1 w dłonie jej twarz.

- Wiem, co si stało - powiedział cicho.

Och, Nevada, nie. Nie wiesz tego. Nie mógłby . Wzruszenie dławilo jej gardło. Wybuchn ła miechem, w którym nie było ani troch rado ci i który odbijał si pustym echem od cian.

- Nie. Nie s dz , eby to wiedział.

Popatrzyli sobie w oczy i Shelby natychmiast zrozumiała, e on zna jej najwi ksz tajemnic .

- McCallum zgwałcił ci , Shelby. I to dlatego wyjechała .

O Bo e.

Czuła bolesny ucisk w sercu. Bała si , e znowu zacznie płaka .

- Nie rozumiem tylko jednego - szepn 1 łagodnie Nevada, zmuszaj c Shelby, eby na niego spojrziała. - Była w ci y i dopóki s dzia nie stwierdził, e nie powiedziała mi o wszystkim, nie znałem całej prawdy, ale jak mogłem nie wpa na to, e McCallum mo e by ojcem Elizabeth?

- Nie jest. - Shelby uderzyła kołdr pi ci . - Los nie mógłby by a tak okrutny. - W jej oczach pojawiły si łzy.

- Chodzi mi o to... o to, e... no, e to po prostu nie mo e tak by .

- To nie ma znaczenia, Shelby.

- Ale naturalnie, e ma. - Nie chciała i nie mogła uwierzy w to, e jej dziecko, jej najdro sze dziecko zostało pocz te w przera eniu i w ciekło ci, na skutek poni aj cego ataku. Poczwała fal mdło ci, na jej twarzy pojawił si pot i znowu zacz ła gwałtownie dygota .

- Chod tutaj. - Nevada przytulił j i pocałował we włosy. - Nie wiesz, czy ojcem twojej córki jestem ja, czy on, i to ci rozdziera.

- Nie - zaprzeczała.

Uj 1 jej podbródek i zmusił do tego, eby ponownie spojrziała mu w oczy.

- To nie twoja wina.

- Ale...

- Słyszysz, co mówi ? - zapytał kategorycznym tonem, nie pozwalaj c, eby si od niego odwróciła. - To nie twoja wina.

Tym razem nie była w stanie powstrzyma łez. Trysn ły strumieniem z jej oczu, wie e, gor ce i przepełnione wstydem.

- Ja... ja...

- Cicho. - Znów mocno j przytulił i zupełnie si rozkleiła. Wtuliła twarz w jego rami i wyplakiwała gorycz tłumion przez prawie dziesi lat. Swoj tajemnic zdradziła wcze niej tylko ojcu, kiedy po paru tygodniach od tamtej strasznej nocy zmusił j do szczegółowej relacji.

Teraz Nevada obejmował j swoim silnym ramieniem. Przyciskał wargi do jej czoła i gładził j po plecach, a ona płakała i płakała.

- Wszystko b dzie dobrze, Shelby. Wszystko b dzie dobrze.

Gdyby tylko mogła mu uwierzy . Zaufa . Uczepi si tych cudownych słów. Gdzie w najgł bszych zakamarkach duszy odnalazła si . Musiała wzi si w gar - cho by ze wzgl du na Elizabeth. Zaciskaj c z by, starała si walczy z udr k i strachem. Ross McCallum zbrukał jej ciało. Nikt wi cej ju tego nie robi. Pr dzej ona umrze.

Powoli si uspokoiła i kiedy w ko cu przestała szlocha , znalazła w sobie odwag , by zapyta :

- Sk d wiedziała ?

- O McCallumie? - zapytał, prawie nie poruszaj c wargami. - Od Badgera Collinsa.

Patrzyła zażawionymi oczami na jego zaci t twarz, zaci ni te usta, poruszaj ce si nozdrza - wygl dał tak, jakby wyczuł jaki brzydki zapach.

- McCallum nie potrafił trzyma j zyka za z bami. Pochwalił si Collinsowi, a ten powiedział o wszystkim mnie.

Czuła obrzydzenie. Było gorzej, ni my lała. O jej odra aj cej tajemnicy, któr kiedy wyznała tylko ojcu, i to pod presj , szeptało si w zaufkach, barach i ławach ko cielnych Bad Luck - prawdopodobnie a po Coopersville, Austin i San Antonio. S dzia w ko cu zacz ł podejrzewa , e jej depresj wywołuje nie tylko l k przed szkoł i ci . Którego wieczoru była tak zdesperowana, e wyznała mu wszystko, błagaj c, eby nikomu nie wyjawiał jej sekretu, nie chc c, eby ktokolwiek inny dowiedział si o jej wstydzie. Ojciec, który tak dbał o swoj reputacj , stał przy jej łó ku z poszarzał twarz i próbował j pocieszy , lecz nie był w stanie zrobi niczego: pogładził j tylko po głowie i obiecał, e nikomu nie zdradzi jej tajemnicy.

Ale najwyra niej tak si nie stało. Nawet Nevada przez wszystkie te lata wiedział, e padła ofiar przemocy i gwałtu, gdy tymczasem ona cały czas miała nadziej , e ukryje to przed ukochanym.

Tym razem patrzyła mu w oczy, chocia wolałaby unikn jego spojrzenia.

- Nie byłem pewien, czy to prawda, wi c sam spytałem McCalluma - wyja nił Nevada, wci j przytulaj c. - Nie chciał si przyzna , ale sprawiał wra enie tak zadowolonego i pełnego satysfakcji, e ka dy by si zorientował, co zaszło.

- I wtedy si pobili cie.

- Tak.

- To było kilka tygodni przed tym, jak zabito Ramóna Estevana?

- Mniej wi cej. - Nie odrywał od niej wzroku i musiała mu zada dr cz ce j pytanie.

- Ludzie mówili, e sterowałe ledztwem w taki sposób, eby pomin inne tropy, e bardzo chciałe udowodni McCallumowi, e on to zrobił. e go...

- Wrobiłem? Posłałem niewinnego człowieka za kratki? - W głosie Nevady nie było ani odrobiny alu czy wyrzutów sumienia. - Mo e moje dowody nie były do silne, eby go skaza , ale uwierz mi, Ross McCallum zasłu ył sobie na wi zienie. - Zawahał si , jakby chciał powiedzie co jeszcze, ale umilkł. Shelby otarła łzy i odsun ła si od niego. Spr yny łó ka zaskrzyptały.

Powoli wróciła jej przytomno umysłu i u wiadomiła sobie, e le y naga na łó ku Nevady i e zachowuj si tak, jakby byli kochankami od wielu lat, lud mi, którym na sobie zale y, darz cymi si wzajemnym zaufaniem. Ale tak nie było. Po prostu tkwili w tej samej pułapce. Uprawiali miło ze wzgl du na przeszło , a nie przyszło , seksem rozładowywali frustracj i chocia wydawało jej si , e go kocha, to w gruncie rzeczy dzieliło ich prawie wszystko. Owszem, byli kiedy kochankami, a teraz wspólnie prowadzili poszukiwania. I nic ponadto.

Si gn ła po ubranie, ale on poło ył si na niej i przycisn ł j do łó ka.

- Chwileczk .

- Nie, my l , e powinnam ju i . Nie miałam zamiaru tu przychodzi i... no wiesz...

- Wykorzystywa mnie?

Za miała si wbrew sobie pomimo bólu przenikaj cego jej serce.

- Hm, no có , naprawd nie miałam takiego planu.

- I okazało si , e nie mo na mi si oprze .

- Bingo. - Otarła oczy. - Wła nie w tym rzecz, Smith. Kiedy jestem blisko ciebie, po prostu nie potrafi logicznie my le .

- Taki ju mam dar - odparł, a ona zachichotała cicho.

Co w nim było takiego, e miała ochot go spoliczkowa , a zaraz potem uprawiała z nim seks i po chwili oboje za miewali si do rozpuku? To było absurdalne. Ubierała si , a Nevada le ał na łó ku półnagi i tylko na ni pa-trzył.

- Co wie Findley? - zapytał, kiedy wło yła majtki i poczuła, e si rumieni.

- Cokolwiek wie, nie zdradził mi niczego. - Nasun ła rami czka biustonosza; nagle zapagn ła by ubrana. - Orrin Findley zabierze t wiedz ze sob do grobu. A co u ciebie?

- adnych dobrych wie ci. - Wyci gn ł r k do drukarki po jakie dokumenty. Wr czył je Shelby.

- Pritchard nie yje.

- Co? - Wła nie zapinała sukienk i jej palce znieruchomiały.

- Par godzin temu zadzwonił Levinson. Wytropił lekarza o nazwisku Ned Charles Pritchard a na Jamajce, ale ten człowiek zapił si na mier .

Shelby ju ogl dała relacj i załamywała si coraz bardziej.

- Dwa lata temu. - Zgarbiła si . - Wiem, e robimy to dopiero od tygodnia, ale miałam nadziej , e niedługo uda nam si ... - Bała si , e wzruszenie odbierze jej mow , i walczyła z rozpacz . Nie mo e si podda . Musi by silna. Dla Elizabeth.

- Znajdziemy j . - Jego głos brzmiał tak pewnie. Obj ł j swoimi mocnymi ramionami i popychał do tyłu, a znowu poło yła si z nim na łó ku i wtuliła głow w jego rami . - To mo e troch potrwa , ale znajdziemy j - obiecał i pocałował jej włosy. Dlaczego czuła si tak dobrze w tej malutkiej chatce, z m czyzn , którego przysi gła sobie unika przez reszt ycia, a który teraz j przytulał? - Gdzie tu mamy sojusznika... albo przynajmniej osob , która chce, eby my wiedzieli, e Elizabeth yje.

- Ale kto to taki? I dlaczego nie powie mi, nam, wprost, gdzie ona jest?

- Dobre pytanie. - Zmarszczył brwi i intuicja podpowiadała jej, e my li to, co ona: e cały ten scenariusz mo e by podłym artem, e kto , jaki nieznany wróg, mo e przysłał jej ten list po to, by si teraz mia z ich złudnych nadziei i udr ki, a cały czas wie, e nigdy nie znajd swojej córki. Zdj cie Elizabeth mogło by zwykłym fotomonta em - ot, fotografia innej dziewczynki z nało on i komputerowo przetworzon twarz Shelby. Ludzie nieraz robi takie rzeczy.

Ale nie wolno jej rozumowa w ten sposób! W ka dym razie dopóki si nie upewni, e Elizabeth nie istnieje.

Telefon gło no zadzwonił, wytr caj c j z zamy lenia. Nevada przewrócił si na bok i chwycił słuchawk .

- Smith - powiedział i Shelby zauwa yła, e cały zeszywniał i spochmurniał. - Kiedy? - zapytał. - Jak? - Słuchał przez chwil , a potem rzucił: - Czekam. Odłó ył słuchawk na widełki i odwrócił si do Shelby. - To był Shep Marson. Wła nie tu jedzie.

- Dlaczego? - zapytała i poczuła miertelnie zimny dreszcz na plecach.

- Caleb Swaggert zmarł dzisiaj. - Nevada przerzucił nogi przez łó ko i zabrał koszul z pogniecionej po cieli. Shelby si nie poruszała.

- Nagle.

- Tak. I w tym problem. - Wci gn ł koszul przez głow i przecesał włosy sztywnymi palcami. - Zdaje si , e kto nie mógł zaczeka tych kilku tygodni, a kostucha dokona dzieła.

- Nie...

- Wła nie, e tak, Shelby. Policja podejrzewa, e Caleb Swaggert został zamordowany.

Rozdział 12

Zamordowany? Przecie ... no przecie , on le ał w szpitalu i był umieraj cy, i... czy to nie jest wyci ganie pochopnych wniosków? - zapytała Shelby, ale dzwonek telefonu podział na ni jak zimny prysznic. Le ała w łó - ku Nevady, prawie naga. W dodatku kochała si z nim, chocia wcze niej obiecywała sobie, e tego nie zrobi.

- Nie wiem. - Nevada si gn ł po d insy, wło ył je i zapi ł rozporek. - Ale ta sprawa musi by wa na dla Shepa, skoro zamierza tu wpa .

Shelby nie podobał si ten pomysł. Była dalek kuzynk Shepa i zawsze uwa ała go za człowieka bardzo wulgarnego, wr cz prymitywnego.

- Przekonajmy si , co ma do powiedzenia. - Poprawiła sukienk , przejrzała si w lustrze i wygładziła palcami rozwichrzone włosy. Niewiele to pomogło, wi c wzi ła szczotk z komody i rozczesła spl tane pasma.

- Je li chcesz, mo esz wyjecha , zanim tu dotrze.

- Dlaczego? - zapytała, napotyka j jego spojrzenie w lustrze. - Nie widz adnego powodu, eby ucieka .

- Mo e si zrobi nieprzyjemnie. - Miał ponury wyraz twarzy.

Odło yła szczotk .

- Dla kogo? Dla ciebie? - zapytała.

- Dla wszystkich.

- Nie boj si prania brudów. - Odwróciła si i wycelowała szczotk w jego pier . - Czy ty co przede mn ukrywasz, Nevada? - zapytała, a potem wyci gn ła r k w stron łó ka. - Bo je li tak, to wybrałe sobie niezły moment, eby mi o tym powiedzie .

- Po prostu nie chc , eby wdała si w co , na co nie jeste gotowa.

- Co strasznie kr cisz. Przypomn ci, Smith, e wła nie si kochali my, o, w tamtym miejscu. D gn ła szczotk przestrze nad łó kiem. - A poza tym oboje szukamy naszej córki. Uzgodnili my, e to nie przypadek, e Ross McCallum wychodzi na wolno dokładnie w tygodniu, w którym ja dowiaduj si , e moje, nasze, dziecko yje, niespełna dwie doby po moim powrocie do Bad Luck. Dlatego mówi , e chc w tym bra udział. W jaki sposób wolno McCalluma, zamordowanie Ramóna Estevana i przesłanie mi zdj cia Elizabeth s ze sob powi zane. A teraz m czyzna, który zmienił zeznanie i który doprowadził do uwolnienia McCalluma, nie yje... prawdopodobnie został zamordowany. A ty my lisz, e nie chc bra w tym udziału? - Zało yła r ce na piersi i z wra enia uderzyła si szczotk w ebra.

U miechn ł si słabo.

- To chyba uczciwy układ, Shelby. Oczywiście jeste zaangażowana w t spraw .

- Dzi kuj - odparła niby-obj tnie. Poło yła szczotk na komodzie, poprawiła pogniecion sukienk i miała nadziej , e Nevada nie dostrzegał w niej tej słabej strony, któr zawsze usiłowała w sobie t pi i która podpowiadała, eby ucieka gdzie pieprz ro nie. Nigdy nie lubiła Shepa Marsona i nie chc

układy, ale musiała to zrobić, je li miała zamiar odnaleźć Elizabeth, a na tym zależało jej przecie najbardziej.

Po dziesi ciu minutach mi dzy drzewami błysnęły światła reflektorów. Crockett zaczął ujadać, ale Nevada kazał mu się zamknąć i wyszedł z domu razem z Shelby.

Shep wygramolił się z pikapa i Shelby odetchnęła z ulgą - nie przyjechał furgonetką, nie był nawet w mundurze. Ale kiedy znalazł się na oświetlonym pojedynczymarówką ganku, zauważyła, że ma zaciętą minę, i zobaczyła jego zapadnięte oczy, kontrastujące z pełną twarzą. Jego górny warg przysłaniał wargę, a kiedy spojrzał w oczy Shelby, kciuki jego ust wyraźnie stały.

- Dobry wieczór - powiedział powoli, przechylając głowę. Jeden policzek miał wypchany prymk tytoniu. - Shelby, słyszałem, że wróciła do miasteczka. Ile to już czasu? Jaki tydzień? - Patrzył na nią, na jej pogniecionych sukienkach. Nevada nawet nie wsunął koszuli do spodni i chodził boso, ale je li Shep to zauważył, miał do przyzwyczajenia, by tego nie komentować.

- Niecały tydzień - uciął ją, bardzo zdenerwowana. Nigdy nie ufała Shepowi i nie zamierzała zmieniać swojego nastawienia akurat tej nocy, na tym zakurzonym ganku.

- Z tego, co słyszałem, zamieszkała u swojego taty.

- Zgadza się.

- Co to za historia z Calebem? - wtrącił się Nevada. Stał obok Shelby, prawie dotykając jej ręki. Był spięty, jak bokser gotowy uchylić się przed ciosem.

- Salowy go znalazł, już nie żył. Pół godziny wcześniej Caleb popijał sok i przechwalał się jedną z pielgniarek, że opuści ten padół jako bogaty człowiek. A potem nagle ni stąd, ni zowąd umiera. Wygląda na to, że ktoś mu pomógł stanąć przed bramami rajów, którymi ostatnio tak się fascynował.

- Ale on już był umierający - zauważył Nevada. - Kto by się nim przejmował?

- Dobre pytanie. Właśnie nad tym pracuję. Caleb miał znacznie więcej wrogów niż przyjaciół.

- Dlaczego uważasz, że nie umarł miernic naturalnie? - zagadnęła Shelby.

- Gdy to właśnie lekarze dziwili się, że umarł tak nagle. Myśleli, że pocięgnię jeszcze dobrych kilka tygodni. Ale zobaczymy. Może to wszystko na nic się nie zda. Może Caleb naprawdę wyzionął ducha z naturalnych przyczyn, ale dopóki się nie upewnimy, będziemy sprawdzać, co było w kropiółce, zrobimy sekcję zwłok, sprawdzimy szpitalne rejestry, żeby zobaczyć, kto go odwiedzał tego popołudnia. No, cóż, wiecie, jak to jest w Coopersville, ochron w tym szpitalu nikt się specjalnie nie przejmuje. - Podciągnął spodnie, a potem splunął tytoniową linę, która przeleciała nad poręcz ganku i spadła na suchy krzak.

- Jaki jest motyw? - zapytał Nevada.

- A kto to wie? Pewnie komuś się nie spodobało, że stary Caleb za dużo gada. - Shep utkwiał w Nevadzie surowe, natarczywe spojrzenie. - A może ktoś się wkurzył, że Caleb wyśpiewał wszystko tej reporterce.

- Komu? - zapytał Nevada.

- Hm, miałem nadzieję, że właśnie to mi powiesz. McCallum jest już na wolności. Gdyby nie to, że stary Caleb zmienił swoje zeznanie, Ross nadal by siedział, więc jest mało prawdopodobne, żeby to on zamordował naszego gościa. Caleb nie miał żadnej rodziny z wyjątkiem córki, a już sprawdzili my. Celeste od ponad miesiąca nie wyściubiła nosa z El Paso. - Shep pochylał się i podrapał Crocketta za uchem, a potem się wyprostował. - No więc sprawdzali my wszystkich, którzy odwiedzili Caleba w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Pojawiło się również twoje nazwisko. - Popatrzył w Nevadzie prosto w oczy.

- Widziałem si z nim w szpitalu.

- Dlaczego?

- Po prostu zastanawiałem si , dlaczego zmienił swój wersj . - Nevada czuł jak pr y si ka dy muskuł jego ciała. - Okazuje si , e on to wszystko zrobił dla szmalu. eby po jego mierci córka mogła skorzysta z du ego spadku. - Spojrzał nieprzyja nie na Shepa. - Czy przyszedł tutaj oficjalnie?

- Sk d e znowu. Ot, pogaw dka dwóch kumpli, którzy kiedy razem pracowali - skłamał gładko Shep. Shelby nie wierzyła mu nawet przez chwil . - Zastanawiam si tylko, kto mógłby chcie załatwi tego go cia.

- Ja tam wci stawiam na McCalluma.

- No, ale ty zawsze piewasz t sam piosenk , co? - Shep znowu splun ł, a potem zamy lony przygryzł doln warg . - Jak ju mówiłem, według mnie Ross powinien całowa ziemi , po której chodził Caleb. Gdyby nie to, e Caleb nagle poczuł si wi toszkiem, nie oczy cił swojej duszy i nie zmienił zeznania, Ross nadal siedziałby w mamrze.

- No, ale przecie znalazł si tam przede wszystkim za spraw zeznania Caleba.

- A ty bardzo mu w tym pomogła . - Oczy Shepa zał niły, jasne punkciki wygl dały demonicznie na jego tłustej twarzy. - Je li przypomnisz sobie co jeszcze, co mogłoby okaza si przydatne, zadzwo do mnie. - Skin ł głow w kierunku Shelby. - Zawsze przyjemnie jest si z tob spotka . Przeką s dziemu moje najlepsze yczenia. - Mówi c to odmaszerował z ganku, wsiadł do pikapa i wł czył silnik. Odjechał, zostawiaj c za sob smród kurzu i wyziewów z rury wydechowej. Gdzie w pobli u zar ał ko , ale zaraz si uspokoił.

- On my li, e to ty zabił Caleba - powiedziała Shelby, kiedy zapadła cisza.

- Dlaczego miałbym to zrobi ?

- Nie wiem, ale Shep wydaje si przekonany.

- Ton cy brzytwy si chwyta. - Nevada odwrócił si w kierunku domu. - No, chod , postawi ci drinka.

- Lepiej ju sobie pójd - powiedziała, kr c c głow . Ten wieczór ju i tak był pełen emocji, a ona chciała odzyska dystans do Nevady, potrzebowała czasu, eby uporz dkowa my li.

- Mogłaby zosta .

Miała wra enie, e jego słowa zawisły w powietrzu, jakby na niewidzialnych sznurkach.

- No... nie s dz . - Och Bo e, co za pokusa. Le e w jego silnych ramionach, znowu si z nim kocha ; potem obudzi si zaspokojona, a promienie sło ca b d ta czyły na jego twarzy i nagiej skórze. Poczwała, e ma zaschni te gardło.

- Ja nie gryz .

- Jak to nie? - droczyła si z nim, unosz c brew. - Dobrze pami tam.

- Kochanie, jeste niegrzeczna.

- Naprawd ?

Chwycił j w te swoje cudownie silne ramiona i przyci gn ł do siebie, tak e nie zd yła uciec.

- O, zdecydowanie tak. - Złapał j za ramiona i wpił si w jej usta. Był to mocny, gor cy pocałunek, który zapowiadał przyptyw nami tno ci. Shelby zamkn ła oczy i przez chwil miała wra enie, e topnieje w rodku. - Zdecydowanie - powtórzył, podnosz c głow ; jego oczy były czarne jak noc.

- Doko czymy innym razem.

Spojrzał na ni i jego twarz wykrzywił zawadiacki u miech, który pami tała z młod

- Trzymam ci za słowo. - I pu cił j .

Omali nie zatoczyła si do tyłu, ale w ko cu zabrała rzeczy i ruszyła do samochodu. Jechała na pami , widz c jego profil we wstecznym lusterku; z szeroko rozstawionymi nogami, w koszuli, której ko ce powiewały na wie- trze, wydał jej si bardzo m ski.

Dobry Bo e, w co si pakujesz. Traciła z oczu najwa niejszy cel, znowu zakochiwała si w Nevadzie - nie! Nagle cisn ła kierownic tak mocno, e a zabołały j palce. Wcale si w nim nie zakochiwała. Co za niedorzeczne okre lenie. Po prostu dała si ponie chwili, ot i wszystko. Emocje zapanowały nad zdrowym rozs dkiem, no i wyl dowowała w łó ku z Nevad . To, co robili, trudno byłoby nazwa miło ci . Owszem, doprowadził j do orga- zmu. Utulił. Powiedział jej, e wszystko b dzie w porz dku. No i co z tego? Nie pierwszy raz takie rzeczy dziej si na wiecie.

Nie, ale tobie przydarzyło si to pierwszy raz!

Zacisn ła z by i rozkazała sobie: to nie mo e si powtórzy . Nie mogła da si odwie od celu, a ten był prosty - znale Elizabeth.

Cho by si waliło i paliło.

Jad c w kierunku Bad Luck zauwa yła we wstecznym lusterku wiatła samochodu, które utrzymywały t sam bezpieczn odległo od jej wozu bez wzgl du na to, czy dodawała gazu, czy zwalniała.

- Wydaje ci si . - Usiłowała sobie przypomnie , kiedy po raz pierwszy zauwa yła, e jest ledzona. Czy było to wtedy, gdy tylko wyjechała spod domu Nevady, czy te kto czekał na ni na jednym ze skrzy owa na drodze? - Nic si nie dzieje - powiedziała na głos, ale nie odrywała oczu od lusterka.

Zbli aj c si do Bad Luck, zwolniła do wymaganej pr dko ci i spodziewała si , e jad cy za ni samochód j dogoni. Jednak zanim zd yła mu si przyjrze w ulicznym wietle, wóz skr cił, zapewne zgodnie z pierwotnym zamiarem kierowcy.

- Daj ju spokój - mrukn ła do siebie. Zazwyczaj nie była taka przeczulona i niech tnie dawała wiar spiskowym teoriom.

By mo e to przewra liwienie było spowodowane spotkaniami z Nevad , mierci Caleba i bezowocnymi poszukiwaniami Elizabeth. Musiała wybra inn metod działania i zacz szuka nie tam, gdzie szukała. Kiedy wjechała na teren Bad Luck, przygl dała si małej, zakurzonej mie cinie, w której dorastała - miasteczku pełnemu tajemnic i kłamstw, zwartej społeczno ci przyjaciół i wrogów. Przejechała obok apteki i hurtowni pasz, a potem skr ciła w prawo i min ła sklep Estevana. Wci był otwarty, s czyła si z niego hiszpa ska muzyka. Zza drzwi wyłoniła si Vianca. Zapaliła papierosa i podniosła nog , opieraj c si jak bocian o jedno z okien. Zaci gn ła si papierosem, strzepn ła popiół i zapatrzyła si ponuro przed siebie. Shelby jechała dalej.

Prawd mówi c, sklep Estevanów niewiele si zmienił przez tych dziesi lat od mierci Ramóna Estevana. Shelby próbowała sobie wyobrazi , co dokładnie wówczas zaszło.

Z tego, co wiedziała, tamtej nocy Ramón pracował sam i czekał, a zmieni go syn, Roberto. Vianca pracowała wieczorem, a potem pojechała do domu, eby si zobaczy z matk , ale wróciła tu przed spodziewanym przyj cciem Roberta. Porozmawiała z ojcem, a pó niej, zanim pojawił si Roberto, Ramón poszedł na zaplecze, eby wypali papierosa... i widziano go prawie trzy godziny pó niej. Jego ciało znaleziono na wysypisku za warsztatem mechanika Walta Sawyera, w odległej o kilkaset metrów uliczce. Kula kaliber 38 utkwiała gł boko w mózgu. Narz dzia zbrodni nie udało si znale .

Według s dziego, który opowiedział Shelby, co si stało, w sprawie tego morderstwa przesłuchano kilkudziesi ciu podejrzanych i wiadków. Wprawdzie Ramón odniósł du y sukces i wybijał si w latynoskiej społeczno ci, to jednak nie cieszył si powszechnym uznaniem. Pono był chorobliwie sk py i miał bardzo wybuchowy temperament, przez co narobił sobie wielu wrogów. Mało kto odwa yłby si wej Ramónowi w drog . Niektórzy biali w miasteczku uwa ali go za zarozumialca i nie mogli prze y tego, e Estevan wraz z rodzin całymi dniami pracuje i du o zarabia, podczas gdy im, nie tak zaradnym, wiodło si mamie. Sukces Ramóna Estevana niejednego kłuł w oczy.

Ross McCallum gło no manifestował swoj niech do tego „zasmarkanego meksyka skiego brudasa”. Przed laty Badger Collins wybił szyb w jednym z okien sklepu, a Nell Hart, kelnerka z miejscowego baru, musiała ucieka z Bad Luck, bo potajemnie umawiała si z Ramónem na randki. Została wykl ta nie dlatego, e Ramón miał on , ale dlatego, e był z pochodzenia Meksykaninem.

Taki wstyd dla białej dziewczyny!

Uprzedzenia były nieodł czn cz ci ycia w Bad Luck. Nawet ojciec Shelby, s dzia, zobowi zany wymierza sprawiedliwo bez wzgl du na ras , kolor skóry czy wyznanie obywateli, wyraził dezaprobat dla zachowania Nell.

Oczywi cie, wszystko to działo si wiele lat temu, kiedy Shelby była mała dziewczynk , jeszcze zanim umarła jej matka. Od tamtego czasu troch si pod tym wzgl dem poprawiło. Ale nawet teraz, pod fasad dobrych manier i politycznej poprawno ci, w miasteczku wci yły zadawnione urazy i nietolerancja. Fanatyzm nie znika z dnia na dzie .

Shelby zatrzymała samochód, skr ciła w prawo i min ła sklep z artykułami elaznymi i zakład elektryka, a potem zwolniła i dotarła do dziwacznej, dwupoziomowej, równie starej jak samo Bad Luck budowli przy Liberty Street. Mie ciły si tu biura jej ojca. Podjechała na wolne miejsce parkingowe i, zostawiaj c silnik na jałowym biegu, zastanawiała si , jakie sekrety kryje ten stary gmach. Podejrzewała, e nie b dzie jej dane wej do rodka, mimo to wysiadła z wozu i sprawdziła zarówno frontowe, jak i tylne drzwi. Były zamkni te na klucz, a małe nalepki na oknach ostrzegały, e obiekt jest chroniony. No có , b dzie musiała poczeka .

Ale nie da za wygran . Jeszcze nie. Pojechała do sklepu Estevanów, jedyne go czynnego o tej porze, weszła do rodka i zapłaciła za kaw z samoobsługowego automatu. Za kas stała Vianca.

- Co jeszcze? - zapytała niby oboj tnie i zacisn ła czerwone wargi. Gdyby spojrzenie mogło zabi , Shelby ju spoczywałaby w trumnie. Vianca podała jej jednorazowy kubek.

- To wszystko... nie, chwileczk . - Shelby nie jadła od wielu godzin, ale z wra enia zapomniała o głodzie i dopiero teraz zaburczało jej w oł dku i nie mogła si oprze eksponowanym przy kasie słodyczom. Chwyciła torebk orzechowych cukierków M&M. - Prosz jeszcze to doliczy .

- Si. - Vianca wstukała kod, szybko poruszaj c idealnie wypiel gnowanymi paznokciami po klawiaturze. Cały czas unikała wzroku Shelby. - Dolar osiemdziesi t dziewi - oznajmiła.

Shelby wr czyła jej banknot pi ciodolarowy, zaczekała na reszt i podeszła do lady, gdzie stały trzy ró nie oznaczone, chromowane dzbanki z kaw . Włała sobie bezkofeinow i otworzyła torebk ze mietank w proszku. Drzwi znowu si otworzyły, ale Shelby nawet tego nie zauwa yła, zaj ta mieszaniam kawy.

Podniosła kubek do ust, posmakowała gor cej kawy i zacz ła rozmy la nad tym, jak dosta si do gabinetu ojca. Mogłaby spróbowa si włama albo ukra klucze, albo zło y mu wizyt , a potem i

- Pani nazywa się Shelby Cole!

A podskoczyła, słysząc damski głos. Gorąca kawa wylała się z kubka i poparzyła jej palce. Podniosła głowę i spojrzała w oczy filigranowej kobiety, której nie poznawała.

- Katrina Nedelesky - powiedziała nieznajoma, wychyla się.

- Ach, ta reporterka.

- Zgadza się. Magazyn „Lone Star”. - Ujęła dłoń Shelby małymi, mocnymi palcami i uciśnięła ją zdawkowo. - Chciałabym z pani porozmawiać.

Shelby zerknęła na zakrzywione lustro w pobliżu sufitu. Na zniekształconym odbiciu było widać, że stojąc przy kasie Vianca bacznie obserwuje obie panie.

- O czym?

- O wszystkim. Zapewne słyszała pani, że robiłam wywiad na wybiegu z Calebem Swaggertem, ale on zmarł dzień po południu.

Shelby spojrzała w błękitne oczy kobiety. Chociaż nigdy wcześniej jej nie widziała, było w Katrinie coś znajomego, jakiegoś od dawna zagrzebanego wspomnienia, które przebijało się na powierzchnię, ale, tak jak jej własne odbicie w zakrzywionym lustrze, to coś było zniekształcone i dalekie.

- Nie wiem, jak mogłabym pomóc - powiedziała Shelby, czując na plecach wzrok Vianki.

W końcu Katrina chyba zrozumiała, że to nie jest to odpowiednie miejsce na rozmowę o morderstwie Estevana.

- Zadzwoń do pani. Mieszka pani z ojcem, prawda?

- Na razie.

- Jak długo jeszcze?

- Nie wiem. - Wypiła kolejny łyk kawy i poczuła na czole krople potu.

- Wobec tego zadzwoń do pani.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wparował Roberto, brat Vianki. Terkotał po hiszpańsku tak szybko, że Shelby zrozumiała zaledwie kilka słów. Miał czerwoną twarz i rozdygotane ręce, które wsunął głębiej do włosów. Raz po raz padało słowo *madre*. Wprawdzie Shelby niewiele z tego rozumiała, ale trudno było pomylić takie nazwiska jak McCallum czy Swaggert. W pewnym momencie Roberto wspomniał coś o jakimś *cabrón* ale Vianca przerwała mu i spojrzała surowo w stronę Shelby. Roberto nie pojął aluzji i w dalszym ciągu złośliwie po hiszpańsku, a nazwiska takie jak Swaggert, Smith i McCallum opatrywał przekleństwami. Twarz Vianki poszarzała. Dziewczyna zaczęła mówić gwałtownie, przewiesiła przez ramię pasek skórzanej, wysadzanej paciorkami torby i wybiegła frontowymi drzwiami. Rozgniewany Roberto wciśnięty klął po hiszpańsku.

Katrina obserwowała tę scenkę z uniesionymi brwiami.

- Ciekawe, o co im poszło - mruknęła, odprowadzając wzrokiem Viankę.

Przez zabrudzone szybki Shelby zobaczyła, że Vianca wskazuje do swojego *el camino* i szybko wyjeżdża z parkingu.

- Nie odważyłabym się snuć domysłów na ten temat.

- A ja wręcz przeciwnie. Czy jej matka nie jest... no... delikatnie mówiąc, trochę nie tego?

- Czyli stuknięta?

- Właśnie.

- Nigdy jej nie poznałam.

- Hm, rozmawiałam tu w Bad Luck z wieloma ludźmi. Podobno Aloise, tak brzmi jej nazwisko, prawda? Nazwisko pani skie?

- Chyba tak.

- Podobno Aloise jest na granicy obłędu.

- Ju mówiłam, że nie znam Estevanów - odparła Shelby i Katrina znowu zwróciła na nią swoje zimne, niebieskie oczy.

- To co, może jutro? - zagadnęła. - Mogłabym się z pani spotkać wczesnym popołudniem.

- Naprawdę nie sądzę, żebyśmy miały o czym ze sobą rozmawiać.

Katrina się uśmiechnęła.

- Nie byłabym tego taka pewna - rzuciła z błyskiem w oku, jakby sugerowała, że w przeciwnym razie do niej wie o czymś bardzo ważnym. - Zatem do zobaczenia.

- Proszę najpierw zadzwonić.

- Dobrze, zadzwonię. - Katrina odwróciła się i podeszła do lady, a Shelby usiłowała stłumić w sobie przecucie, że z tym reporterem pojawią się wielkie kłopoty.

W domu Estevanów panowało wielkie zamieszanie. Wiatła zaparkowanej białej jak karetki pulsowały w nocy. W pobliżu stał wóz policyjny na wolnych obrotach - jeden funkcjonariusz nadawał przez radio, drugi zapewne znajdował się wewnątrz budynku.

Kiedy Shep podjechał pod dom i wygramolił się z wozu, usłyszał płacz dziecka i podniesione głosy. Skończył słuchać parę godzin wcześniej, a potem siedział w White Horse i spijał piankę z piwa, słuchając, jak Lucy flirtuje z niektórymi ze stałych klientów. Z głośników syczała muzyka country, a Shep cięgle znajdował nowe wymówki, żeby nie wracać do domu, do ciarnej i marudnej sony. Peggy Sue ostatnio naprawdę dawała mu się we znaki: naciskała na niego, żeby zrobił sobie wazektomię i żeby się wystarał o posadź szeryfa. Na dodatek zawsze wynajdywała sto powodów, żeby nie mógł się z nią kochać - nie pozwalała mu nawet się pomacać. Odpychała go, mówiąc przez zaciśnięte zęby: „Nie, dopóki nie zrobisz sobie zabiegu, a skoro już mowa o zabiegu, weź ze sobą Sporta. Doprowadza mnie do szału. Cięgle szczeka i próbuje uciec, bo spanielka Fentonów znowu ma cieczkę”.

Wszystkie namowy z jego strony nie skutkowały. Była w ciąży, z jego winy, wykrzykiwała, że wszystkich mężczyzn osobników, włącznie z psami, należało kastrować. Ale on, Shepherd Belmont Marson nie dał z siebie zrobić sopranisty. Przynajmniej na razie.

Kiedy zaczął iść po schodach, przepychając się przez tłumek siedzących, którzy zebrali się na trawniku, z domu wybiegła zapłakana Vianca. Przyciskała do biodra małego Ramóna i próbowała uspokoić krzyczące dziecko, chociaż sama wyglądała tak, jakby miała zaraz zemdleć.

- Co się tu dzieje? - zapytał Shep. W drodze do domu usłyszał, że ktoś wezwał karetkę na ten adres, adres, który on sam znał na pamięć. Szybko zawrócił i nawet nie pomyślał o własnej rodzinie.

- *Madre*, och, biedna, biedna *madre*. Ona jest... - Vianca zupełnie się załamała, kiedy z domu wybiegło dwóch sanitariuszy. Na noszach leżała przywieszona Aloise Estevan. Jej twarz była blada, kości palce kurczowo ciskały różaniec, usta wypowiadały ciche modlitwy. Vianca biegła za sanitariuszami i Shepowi serce się krajało na widok biednej dziewczyny. Wcisnął mocno przytulając do siebie swojego bratanka, próbowała złapać matkę za rękę, podczas gdy sanitariusze wsuwali nosze do karetki, a gapie szeptały między sobą:

- *Madre... och, Dios, Madre...*

Sanitariusze zatrzasnęli drzwi karetki i wsiadli do wozu. Zawyła syrena i błysnęły kolorowe światła. Czerwono-biały pojazd ruszył z piskiem opon.

- Podwioz ci. - Shep zaproponował Vianca, obejmując ją opieką czym ramieniem. Dobry Boże, ale przyjemnie było jej dotknąć, miała taką gładką skórę. - Czy ktoś może się zaopiekować tym chłopczykiem?

- Nie...

- Ja go popilnuję - zaofiarowała się starsza kobieta w szlafroku i kapciach. - Mieszkam trzy domy dalej i...

- Nie! - Vianca splunęła. Jej twarz stała się niczym beton. - Ramón zostanie ze mną.

- Ale to może długo potrwać - zauważył Shep.

- Roberto przyjedzie po swojego syna. - Mówiła z naciskiem. - Zamknie sklep i przyjedzie do szpitala.

- Ale...

- Jesteś moją rodziną. Może ty tego nie rozumiesz.

Mały Ramón wciąż kurczowo trzymał się ciotki. Wtulił głowę w zagłębienie jej szyi i oplatał ją pulchnymi rękami.

- W porządku - powiedział Shep. Widział, że jej nie przekona. Zwrócił się do tłumu i podniósł ręce, żeby przyciągnąć jego uwagę. - Możecie teraz pójść do domów. Wszystko jest w porządku.

Nie chciał czekać, a tłum się rozjeżdżał, tylko zaprowadził Vianca do swojego wozu i pomógł jej wsiąść. Przypiął sobie pasem, a potem usadowionego po środku malca i wtedy Shepa dopadły wyrzuty sumienia. Powinien pojechać do domu, do swojej rodziny. Peggy Sue na pewno była zmęczona po całym dniu ugania się za Donnym i Candice. Kiedy była w ciąży, zawsze narzekała i czuła się zmęczona, a teraz, nosząc w brzuchu pięcioletnie dziecko, musiała się bardziej opiekować starszymi, Timmym i Robbym, którzy stawali się dla niej coraz większym utrapieniem. Timmy już wpadł w tarapaty; Shep przyłapał go parę razy na paleniu marihuany z przyjaciółmi. Inna sprawa, że nie powiedział o tym Peggy Sue. A Robby? - Robby kolegował się z tymi cholernymi dzieciakami Dauberów. Shep uważał, że z Robbym zawsze coś było nie w porządku, włącznie już od dnia narodzin. To tak jakby w sześcioro paczku brakowało dwóch piw. A może trzech. Oczywiście Shep nikomu się nie przyznał, co myśli. Candice była słodka, ale Shep zdążył już się zorientować, że strasznie rzadzi swoim młodszym braciszkiem Donnym, okropnym, zasmarkanym, rozlazłym marudą. A teraz następuje dziecko w drodze. Cholera. Na razie jednak Shep nie był w stanie myśleć o swoich latoroślach. Wręcz tego nie chciał.

Wnętrze wozu wypełnił zapach perfum Vianki. Spojrzał na nią ukradkiem, zobaczył łzę ciekącą po jej policzku i bardzo się wstydził, że nie może jej zlizać.

- Co się stało? - zapytał, wrzucając kolejny bieg. Mijali kilku siadawców, którzy powoli wracali do swoich domów.

- *Madre*. Ona... połknęła za dużo pastylek.

- Pastylek?

- *Si*. Nasennych.

- Celowo? - zapytał, skręcając w jedną z dróg wyjazdowych.

- Nie. - cięgnęła swoje pięć ust. - Ona... bywa oszołomiona. Czasami jej li mnie nie ma, zapomina, że już jej wzięła, i wtedy... bierze następną. Tym razem... - Głos jej się załamał i szybko się przełamała.

Shep próbował nie patrzeć na jej piersi. Po prostu to byłoby nie w porządku. Podobnie jak erekcja, którą właśnie nie miał. Nie, spróbuje skierować swoje myśli gdzie indziej. Ale w drodze do Coopersvi

by nie zastanawia się, co Vianca nosi pod czarnym T-shirtem i dżinsami.

Czerwony stanik?

A może czarny.

Do diabła, jego penis mocno się teraz naprężył. Shep wlepił wzrok w upstrzone owadami przednie szyby, przez które było widać wiatła nadjeżdżących samochodów. Przekroczył prawie o trzydzieści kilometrów i przypominał sobie, że jest onaty.

Czy mu się to podoba, czy nie, Peggy Sue, nigdy najlepsza tamburmajorka w całym okręgu Blanco, jest jego on.

Rozdział 13

Chyba powinniśmy porozmawiać - powiedziała Shelby, zbiegając po frontowych schodach. Ojciec stał przy drzwiach i włącznie wkładał ręce do rękawów marynarki, a ona była jeszcze w piśmie i miała potargane włosy po lewej przespanej nocy.

Sdzia zachichotał, chociaż jego twarz wcale nie była pogodna.

- Odkąd to masz mi coś do powiedzenia?

Poczuła, jak sztywniej się jej karku.

- Odkąd nie mam wyboru.

- Czy to może poczeka? - Zerknął na zegarek i się nachmurzył. - Muszę iść do biura, potem na ranczo, a potem spotykam się z inwestorami na niedzielnym w Coopersville.

- Sdzia, czy wiesz, gdzie jest Elizabeth.

Poprawił marynarkę i sięgnął po swoją kurtkę, do stojaka na parasole w pobliżu frontowych drzwi.

- Już o tym rozmawialiśmy.

- Wiem, ale myślisz, że kłamiesz. Ona żyje i ty wiesz, gdzie jest.

- Skończ już z tym, Shelby.

- Nie mogę! - Złapała go za rękaw, wbiła palce w delikatny materiał. - Czy ty nie rozumiesz, tato? To jest ważna sprawa. Najważniejsza sprawa w moim życiu. Muszę odzyskać Elizabeth i zrobić wszystko, absolutnie wszystko, żeby ją znaleźć. Właśnie dlatego błagam cię, żeby mi pomógł. - Była zdesperowana, na skraju wytrzymałości nerwowej. Ojciec był dla niej jedynym ogniwem łączącym ją z jej dzieckiem. - Proszę... - Dławiła się ze wzruszenia. - Proszę cię, tato.

Westchnął.

- Ja nie potrafię ci pomóc, Shelby. - Nagle zgarbił się, sprawiając wrażenie zmęczonego, bardzo starego. - Daj już temu spokój. Jesteś młoda. Wyjdiesz za jakiego miłego, młodego człowieka i jeszcze urodzisz dzieci. Mówiłem ci, że chciałbym cię poznać z kilkoma mężczyznami. Jest taki prawnik w San Antonio. Trzydzieści dwa lata. Nigdy nie był onaty. Przystojny i diabelnie inteligentny. On wejdzie do świata polityki i...

- Nie! - Puściła rękaw jego marynarki i zrobiła krok do tyłu, tak że dotknęła pośladkami słupka przy schodach. - Ty nic nie rozumiesz, prawda? - Patrzyła na niego tak, jakby był kim zupełnie obcym. - Nie masz pojęcia, co człowiek czuje, gdy wie, że gdzieś na świecie żyje jego dziecko, lecz nie może go znaleźć.

- Wiem, co człowiek czuje, gdy ma dziecko, które kocha tak bardzo, że chce dla niego tylko tego, co najlepsze.

- Nawet jeśli to dziecko się nie zgadza?

- Nawet jeśli mnie za to pogardza. - Sdzia podniósł neseser i otworzył drzwi. - Ki

e nie zd na kolacj . Nie wiem, o której zjawi si w domu, ale pewnie do pó no. - Wyszedł i wtedy Shelby zrozumiała, e ojciec nigdy jej nie pomo e. Je li chciała ustali miejsce pobytu swojej córki, mogła liczy tylko na siebie.

Nie jeste całkiem sama. Masz przecie Nevad . On jest po twojej stronie.

Czy aby na pewno? Czy naprawd mo e mu ufa ?

Gdzie w tylnej cz ci jej głowy powoli narastał ból. Zm czenie wywołane niewyspaniem i nadmiar trosk sprawiały, e przez wi kszo nocy nie mogła zmru y oka. Dlaczego flirtowała z Nevad ? Co j napadło, eby go całowa ? I Bo e drogi, dlaczego si z nim kochała? To, co ich kiedy ł czyło, ju nie istniało. Oboje byli tego wiadomi, a mimo to nie umiała si powstrzyma .

Weszła do kuchni i naląa sobie szklank soku pomara czowego. Tak, wydawało si , e on próbuje jej pomóc odszuka ich córk , ale co potem? Co b dzie, je li j odnajd ? Czy on sam nie sugerował, e byłoby lepiej zostawi j z jej przybranymi rodzicami?

Nagle sok wydał jej si kwa ny. W gruncie rzeczy nie wybiegała my lami a tak daleko w przyszło . Najpierw odnajdzie córk , a potem zastanowi si nad tym, co powinna zrobi .

Telefon gło no zadzwonił. Podniosła słuchawk .

- Halo?

- Och, *Ni a*. - Głos Lydii był stłumiony. - My łąam, e złapi twojego ojca.

- Ju pojechał. Jakie wczesne spotkanie. Powiedział, e mo e nie zd y na kolacj .

- Pracuje zbyt ci ko. Za du o od siebie wymaga. Je eli nie b dzie uwa ał... - Jej głos znowu przycichł, Po chwili chrz kn ła. - Dzwoni , bo troch si spó ni . Aloise jest w szpitalu.

- Aloise Estevan? - zapytała zdumiona Shelby. Była przekonana, e sam Bóg musiałby interweniowa , eby oderwa Lydi od jej domowych obowi zków. Zreszt , nawet w takim przypadku Wszchemog cy musiałby za- pewne stoczy walk .

- *Si. Si.*

- Czy ona dobrze si czuje?

- Nie wiem. Wzi ła tabletki. Za du o tabletek.

- Co to za tabletki?

- Te nie wiem, ale kiedy zadzwoniła Vianca, zaproponowałam, e zaopiekuj si małym Ramónem przez kilka godzin, eby Vianca i Roberto mogli by z matk i dzi rano pogada z lekarzami...

- Oczywiście. - Shelby wypięa kolejny łyk soku.

- Ale je eli potrzebujesz mnie w domu, to przyprowadz ze sob tego chłopca...

- Och, nie, wszystko jest w idealnym porz dku - odparła Shelby i przeło yła kabel telefonu, eby móc wyrze na basen. Powierzchnia wody przypominała szkło, odbijała bł kit wczesnego porannego nieba. - Nie piesz si . - Odło yła słuchawk , wypięa reszt soku, a potem, wiedz c, e w domu nie ma nikogo oprócz niej, wybiegła na dziedziniec, zrzuciła pi am i zanurkowała w basenie.

Woda przywitała j lodowat fal .

Poruszaj c szybko nogami, popłyn ła do góry, dotarła na powierzchni , wzi ła oddech i zacz ła spokojnie płyn na drugi koniec basenu, koncentrowała przy tym uwag nie na pływaniu, lecz na swoim yciu i zmianach, jakie w nim zaszły. Gdzie na tym wiecie mieszka jej córka. Ale gdzie? W pobl u czy dalek

jest tylko artem? Och Bo e, kto mógłby by taki okrutny i dlaczego?

Dotkn ła ciany basenu, zrobiła fikołka pod wod i zawróciła. Prula wod coraz szybciej. Jej umysł nagle zrobił si bardzo przejrzysty. Przypomniała sobie zdj cie Elizabeth, jedyn fotografi córki, jak widziała. Kiedy dopły- n ła do drugiej ciany basenu, ten obraz ust pił miejsca wizerunkowi Nevady. Shelby przypomniała sobie, jak łatwo było si z nim kocha ostatniej nocy. Wydawało jej si , e to jest takie naturalne, takie wła ciwe... och, nie mo e my le o ich seksie. Ma na głowie wa niejsze sprawy.

Pomy l, Shelby, pomy l. Jeste inteligentn kobiet . Jak zamierzasz odszuka swoje dziecko? Jest jaki sposób. Musisz tylko na niego wpa .

Kolejny raz przepłyn ła długo basenu. Przewróciła si na plecy i zacz ła swobodnie si unosi , wpatrzona w niebo. „Mo na si zało y , e s dzia wie, gdzie przebywa twoja córka”.

Stary s dzia Cole

Okropn star dusz miał

Wredny był z niego wał.

Stryczkiem albo spluw groził...

Zadzwoił telefon i to wybiło Shelby z rytmu.

Mo e kto ma jakie wie ci o Elizabeth?

Skr ciła do boku basenu, wyszła z wody naga i, ociekaj c, pognała do kuchni. Chwyciła słuchawk i powiedziała:

- Halo?

Usłyszała głó ne szcz kni cie po drugiej stronie.

- Halo? - powtórzyła, ale zdała sobie spraw , e osoba, która do niej dzwoniła, odło yła słuchawk . - Halo? - Na moment ogarn ł j niepokój, za wiele było tych głuchych telefonów, ale potem uznała, e kto po prostu le wykr cił numer, chocia ten kto mógł przynajmniej zachowa si przyzwoicie i przeprosi . - Kretyn - mrukn ła pod nosem, a potem pobiegła tylnymi schodami do swojego pokoju.

W ci gu pi tnastu minut wzi ła prysznic, wło yła koszulk i szorty, uszminkowała si lekko i pomalowała rz sy, i znowu zbiegła na dół. Wytarła kuchni r cznikiem i, u wiadomiwszy sobie, e mo e si jej ju nie trafi druga okazja, eby by w domu sama przez dłu szy czas, wstawiła kaw i od razu poszła do gabinetu ojca. Dzisiaj przetrz nie wszystkie teczki. Je eli b dzie w nich jakakolwiek informacja o miejscu pobytu córki, Shelby jej nie przeoczy.

Idiota! - Nevada wymy lał sobie w duchu. Co on sobie my lał? Seks z Shelby Cole. Głupiec. Masz to, na co zasłu ył . Wrzucił troch siana do łobu i patrzył, jak klacze zanurzaj pyski w pasz . Co było takiego w Shelby, czemu nie potrafił si oprze ? Przed laty wmówił sobie, e fascynowała go, bo była jedyn córka s dziego Cole'a, zakazanym owocem, wielkim tabu.

Ale teraz?

- A niech to wszyscy diabli! - burkn ł.

Gwizdn ł na Crocketta i powoli wyszedł przed dom, w popołudniow , teksa sk spiekot . Bo e, jaki upał. W oddali falowało rozgrzane powietrze, a tu nad głów Nevady bzycały gzy. Wsz dzie unosił si kurz, a mimo to Nevada uwielbiał to miejsce. Nieraz słyszał, e kto urodzi si Teksa czykiem, ju

jego przypadku to powiedzenie chyba się sprawdzało, chociaż nie miał pojęcia dlaczego. Cały ranek drczyły go myśli o Shelby i o tym, jak ją całował, dotykał, o tym, jak jej skóra błyszczała od potu, gdy Shelby z całej siły wtulała się w jego ciało. Zeszłej nocy nie potrafił odeprzeć pokusy kochania się z nią, prawdę mówiąc, wątpił w to, czy kiedykolwiek mogłby tego nie chcieć.

Ocierając pot z czoła roboczo rękawic, poszedł do szopy z narzędziami, gdzie powietrze stało z upałem. Osybrzyszczały w gniazdach miodu krokwiemi, a zapach nafty mieszał się z wszechobecnym zapachem kurzu. Na zewnątrz któraś z klaczy cicho zarażała. Nevada uklęknął przy przyczepie i spojrzał ponuro na oponę, która w ciągu kilku ostatnich tygodni niemal całkiem się zużyła. Znalazł klucz nasadowy i zaczął się mocować z nakrętkami, podczas gdy jego myśli krążyły wokół Shelby i ich córki. Albo córki Rossa McCalluma.

Zrobiło mu się niedobrze, ół podeszła mu do gardła. Zaciśniętą ręką na kluczu tak mocno, że a mu pobielały kłykcie. McCallum nie powinien był wyjść z wozu. Nigdy.

Nevada odkręcił pierwszą nakrętkę i złapał ją w lewą rękę. Przyłożył klucz do następnej nakrętki. W Bad Luck coś się działo. McCallum był na wolności. Shelby wróciła do miasteczka, żeby odnaleźć swoją córkę, która rzekomo zmarła zaraz po przyjeździe na wiat. Caleb Swaggert zmarł - albo został zamordowany - a teraz Aloise Estevan przebywała w szpitalu po tym, jak przedawkowała tabletki (tak przynajmniej powiedziano mu w sklepie z artykułami elastycznymi). Te wydarzenia musiały być jakoby związane. W miasteczku takim jak Bad Luck, gdzie niewiele się działo, trudno byłoby uwierzyć, że nic tych wydarzeń nie było.

Wcisnął oponę, przywlokł ją do pikapa i cisnął na podkładkę.

Kto przesłał Shelby zdjęcie dziewczynki? Kto? Ta myśl nie dawała mu spokoju, gdy szedł do domu po portfel i kluczyki. Był pewien, że gdyby zdołał namierzyć tę osobę, wszystkie inne elementy gry by się wyjaśniły.

Umył ręce w kuchni, a potem przeszedł do sypialni i na komodzie znalazł portfel i kluczyki. Popatrzył na teraz już posłane łóżko i poczuł, że jego cholerny penis już twardnieje. Przypominał sobie, jak Shelby leży pod nim naga, przypominał sobie jej biały, cudowny skór, oczy błękitne jak teksaskie niebo, burzliwosć włosów na poduszce, noc pełną obietnic. Nagle jego dżinsy zrobiły się niemieliwie ciasne: na samo wspomnienie seksu z Shelby. Zauważył, że w powietrzu wciąż jeszcze czuć zapach jej perfum.

Nie mógł się pozbyć uczucia, że co jej grozi, że zwabiono ją tutaj fotografią córki. Ale w jakim celu? Ciarki przeszły mu po plecach, kiedy wrócił myśl do Rossa McCalluma. Czy to on stał za tym wszystkim? Były skazaniec, który zgwałcił Shelby, człowiek, który nadal powinien siedzieć za kratkami.

Nevada zmienił koszulę i wepchnął portfel do tylnej kieszeni dżinsów. Wyszedł z kluczami i wmawiał sobie, że jedzie do miasteczka tylko po to, żeby dać oponę do naprawy. Ale były też inne powody. Powody wiące się z Shelby Cole, księżniczką sędziego Cole'a - matką dziecka Nevady.

Przyczepa przypominała chlew. Ross zgniótł papierosa w starym opakowaniu po prażonej kukurydzy i uwiadomił sobie, że w popołudniowym upale czuje się jak w piekarniku.

Zamieszkał w tym starym blaszaku, jak tylko wyszedł z wozu. Z początku próbował doprowadzić to miejsce do jakiegoś porządku, gdy jego wredna siostra, Mary Beth, nie chciała mu już pomagać. Możliwe dlatego, że rozglądała się za kolejnym nicponiem, który mógłby zostać jej mężem.

Ross posprzątał więc przyczepę, ale i tak czuł się w niej niewiele lepiej niż w wozu. Z dawna zaniedbane panele rwały się od cian, dywan był zupełnie wywiechany, a wsz

oknach zebrały się pajczyzny, kurz i martwe owady, parapety były wyblakłe i popkane, prymitywne meble w większości uszkodzone. McCallum zdołał przywrócić elektryczność, ale instalacja wodna doprowadzała go do szału, a za dnia było tu gorzej niż w piekle. Zresztą noc nie przynosiła ulgi i chociaż McCallum cieszył się, że wyszedł na wolność, to potrzebował jakiejś odmiany na lepsze.

I właśnie nie otrzymał szansy.

Caleb Swaggert nie żył i teraz nie było już nikogo, kto mógłby zdradzić reporterce, co naprawdę zdarzyło się tej nocy, kiedy zabito starego Ramóna Estevana. Kto mógłby zaoferować lepszą historię niż on sam, człowiek, który został wrobiony w morderstwo i wtrącony do więzienia?

Tak, McCallum doszedł do wniosku, że będzie musiał skontaktować się z reporterką i wejść z nią w układ. Poza tym miał jeszcze inne stare długi do uregulowania. Musiał wyrównać rachunki z Nevada, i ten dzień zbliżał się szybko i nieuchronnie, jak rozpadający się pociąg.

Nie złożył jeszcze wizyty Shelby, ale to ze względu na nieodpowiedni poranek. Wkrótce jednak ją odwiedzi.

Ross uśmiechnął się do siebie i stanął na dwóch sfatygowanych schodkach od frontu. Czemuś została porzucana ostatniej nocy i Ross pomyślał, że powinien sobie sprawić broń, aby obronić się przed kojotami lub innymi zagrożeniami. Poza tym fajnie byłoby znowu mieć w rękach strzelbę. Może to nie jest prawdziwym mężczyzną bez broni. McCallum patrzył na krajobraz suszy. Kilka skarłatych drzew, wypalona trawa i twarde ziemia. Jak, u diabła, jego dziadek mógł prowadzić tu ranczo i jeszcze utrzymać rodzinę i pić ciocię?

Będzie musiał znaleźć sobie broń, i to szybko. Może sprawi sobie również psa – pitbull albo rottweiler – wietnie by się nadawały. Ross McCallum potrzebował ochrony. Ostatnimi czasy w Bad Luck działo się wiele dziwnych rzeczy. Potarł kark, poczuł ukłucie dła pszczoły i mocno ją uderzył. Z gniewnym bzyknięciem padła na rozklekotany stopień. Ross szybko przydeptał ją czubkiem buta, czując wielką satysfakcję.

Tak, pomyślał, w Bad Luck w stanie Teksas dochodzi do wielu dziwnych zdarzeń i jeżeli dobrze oceniał sytuację, będzie ich jeszcze więcej w najbliższym czasie.

Shelby wsunęła ostatnią teczkę do kredensu i w duchu przeklinała samą siebie. Zapoznała się z zawartością wszystkich teczek; wносиła ich po kilka do swojego pokoju, czytała i nie znajdowała niczego, co byłoby pomocne. Najwyraźniej strzeżone przez sędziego tajemnice pozostawały bezpieczne: dokumenty, które trzymał w swoim gabinecie, nie dawały do nich dostępu.

Lydia przyjechała do domu po dwunastej i oprócz tego, że zaproponowała Shelby lunch i wyjechała, i Aloise nażyła się za dużej ilości tabletek nasennych, w ogóle się nie odzywała. Miała zaczerwienione oczy, nie uśmiechała się, a w pewnym momencie Shelby wydawało się, że słyszy jej cichy szloch.

W sumie ten poranek okazał się bezowocny i dawał powody do niepokoju.

Kiedy Shelby zamknęła kredens i włożyła mały pasek kluczy do naczynia przy pojemniku na cygara, dochodziła już druga trzynasta. Jeden z tych kluczy na pewno pasował do drzwi biura sędziego w centrum i tam mogłaby znaleźć informacje na temat Elizabeth. Postanowiła, że zabierze klucze do Coopersville, znajdzie jakiego łusarza, który jej nie będzie znał, a potem przyniesie oryginalny zestaw kluczy do gabinetu ojca. W ten sposób uzyska dostęp do biura sędziego. W nadziei, że nie widać na jej twarzy poczucia winy, przeszła z gabinetu do kuchni. Klucze cicho brzęczały w jej kieszeni.

Lydia znowu płakała, ocierała oczy rękawem fartucha i mamrotała do siebie po ł

plastikowy kubek ze rodkami czyszcz cymi.

- Lydio, czy stało si co złego? - zapytała Shelby, nalewaj c sobie kawy.

- Co? Och, *ni a*. Nie. - Lydia odchrz kn ła i znikn ła w sklepionym przej ciu. Shelby poszła za ni .

- Płakała . Posłuchaj, nie chc si wtr ca , ale nie jestem lepa ani głucha. Co ci gn bi, Lydio. Co powa nego. Gospoia u miechn ła si słabo i postawiła kubek na podłodze. Kwiatowa kompozycja z zeszłego tygodnia zacz ła usycha na stole, ale rzadko u ywany kryształowy wazon ładnie l nił za szklanymi drzwiczkami bufetu.

- Po prostu smutno mi z powodu Aloise. Ona jest... przyjaciółk i krewn .

To było co nowego.

- Jeste spokrewniona z Estevanami?

- *Si*. No, nie z rodzin Ramóna. - Lydia wykrzywiła usta, jakby zjadła co kwa nego. - Ten to... był *tirano*. - Szybko zrobiła znak krzy a na wydatnym biu cie.

- Tyranem?

- *Si*. Gorzej. On zawsze był szefem. Wszystko musiało by tak, jak on zarz dził. A jak nie, to wtedy on... *reventar*, wybuchał jak wulkan i szalał ze zło ci. - Złapała si za głow , jakby chciała go na ladowa albo modli si do Boga. - Ten Ramón nie był miłym człowiekiem. Ale... - przechyliła głow i promienie sło ca wpadaj ce przez okna jadalni roz wietliły siwe pasma jej włosów - ...Był m em Aloise, a ona jest kuzynk Pabla, mojego szwagra.

- Pabla, tego ogrodnika? - zapytała Shelby, opieraj c si o cian i s cz c kaw . Jak mogła przeoczy tak informacj ? Dlaczego nie zwróciła na to uwagi?

- *Si*. - Lydia zabrała wazon z usychaj cymi kwiatami, które nagle wydały si Shelby obrzydliwe. Doszła do wniosku, e ojciec wynosił na piedestał kobiet , której nie zawsze był wiorny, nie z miło ci, ale z poczucia winy.

- Aloise i ja wychowywały my si razem w tej samej wiosce w Meksyku, niedaleko Mazatlan... słyszała o tym kurorcie? Le y nad oceanem.

- Tak.

- Pó niej wszystkie rodziny si przeprowadziły. Bli ej granicy - tłumaczyła Lydia. - Ale to było bardzo dawno temu, kiedy obie były my jeszcze dziewczynkami.

- I stamt d obie przeniosły cie si do Bad Luck?

Stawiaj c wazon na serwantce, Lydia skin ła głow , ale k ciki jej ust wyra nie zadrgały.

- *Si*. Nasze rodziny przeprowadziły si tutaj. - Odwróciła si do stołu i zacz ła spryskiwa ciemn powierzchni olejkiem cytrynowym; robiła to z tak determinacj , jakby zamierzała rozetrze blat na proch.

- A Pablo jest ojcem Marii. - Dlaczego o tym nie wiedziała, kiedy dorastała?

Lydia znowu skin ła głow , ale tym razem lekko zeszywniała i unikała spojrzenia Shelby.

- Ona jest jego jedyn córka , ale ma te trzech chłopców, Enrique, Juana i Diega.

- Lydia, co si tutaj dzieje? Kiedy była przygn biona, bo Maria miała kłopoty ze swoj córka . Dzisiaj płaczesz, bo Aloise Estevan omal si nie zabiła, a ja nawet nie wiedziałam, e jeste cie spokrewnione. - Shelby nie dała Lydii doj do głosu. - Potem podsłuchałam twój rozmow z s dzi . O tajemnicach, które powinny by mi znane.

Lydia podniosła butelk z detergentem i znowu nie chciała spojrze Shelby w oczy.

- Mówiłam, eby porozmawiała ze swoim ojcem.

- Próbowałam. Wiele razy. - Shelby postawiła swoj fili ank na blacie, blisko v

powie.

- Powie. Z czasem.

- Ja tego czasu nie mam zbyt wiele.

- Jak my wszyscy - przyznała gospoia, szybko mrugaj c oczami.

Shelby poczuła, e w ko cu jako dotarła do kobiety, która wła ciwie j wychowała. Teraz nie mogła ju odpu ci . Delikatnie dotkn ła ramienia Lydii.

- Posłuchaj, Lydio, bez wzgl du na to, co ukrywa tata, powinna mi o tym powiedzie . Sekrety w tym domu szkodz nam wszystkim.

- Och, *ni a* - szepn ła Lydia. W jej ciemnych, pełnych udr ki oczach błysn ły łyzy. - Prosz ci , prosz przez wzgl d na mnie, nie dr tego. Ja nic ci nie mog powiedzie .

- To znaczy, e nie chcesz mi powiedzie .

- Dla mnie to bez ró nicy. - Lydia wzi ła si do polerowania mahoniowego stołu z tak energii , jakby od tego zale ało jej ycie. Na jej czoło wyst piły krople potu, a widoczna spod mankietu krótkiego r kawa skóra lekko si fałdowała.

- S dzia nie chce mi nic powiedzie . - Shelby była tak sfrustrowana, e miała ochot potrz sn gosposi , ale kiedy zobaczyła ból w ciemnych oczach Lydii, a mo e raczej strach, i pogł biaj cy bruzdy na twarzy smutek, szepn ła tylko:

- Je li wiesz cokolwiek o Elizabeth, prosz ci , powiedz mi. Te jeste matk . Wiesz, jakie to wa ne, eby matka była ze swoim dzieckiem...

- Si, ale nie mog .

- Na miło bosk , Lydio, ona jest moj córka ! Moj jedyn córka . Prosz ...

Usłyszały, e kto dzwoni do drzwi. Ciche, łagodne d wi ki wydawały si natarczywe, jakby zwiastowały strzelanin .

- Przepraszam. - Lydia rzuciła szmatk do polerowania, wytarła r ce w fartuch i, szeleszcz c nylonowymi rajstopami, pobiegła do foyer.

- Ta rozmowa nie jest sko czona - upierała si Shelby, id c za Lydia jak pies tropi cy zbiegłego przest pc .

Kiedy gospoia otworzyła drzwi, Shelby si podłamała. Na rodku frontowego ganku stała, zgodnie z obietnic , Katrina Nedelesky. Zd yła ju przygotowa swój firmowy u miech i wła nie zdejmowała okulary przeciwsłoneczne.

Kiedy zwróciła bł kitne oczy na Lydi , gosposi zapało dech w piersiach, a twarz zrobiła si blada jak kreda.

- *Espiritu Santo!* - Lydia si prze gnała.

- Co si stało? - zapytała Shelby, chocia zastanawiała si , czy naprawd chce pozna odpowied . Czwała napi cie w powietrzu i dostrzegła strach w oczach Lydii. - Znaie si ?

- Nie. - Lydia wzi ła gł boki, dr cy oddech i dotkn ła włosów palcami. - Nie.

Katrina zmru yła oczy, przez co jej u miech wydawał si jeszcze bardziej nienaturalny.

- Nazywam si Katrina Nedelesky - przedstawiła si , wyci gaj c r k . - I nie, nie znamy si .

- A ja jestem Lydia Vasquez. My łałam, e przed przyj ciem jeszcze pani zadzwoni.

- No tak. - Katrina skrzywiła si . - Przepraszam. Chyba wyleciało mi to z głowy.

Shelby nie wierzyła jej słowom. Mogłaby si zało y , e Katrina nie nale y do

zapominaj .

Lydia wymamrotała po pieśni:

- Miło mi pani pozna . Podała rękę ciowi, ale zaraz opuściła ją, jakby ten ucisk parzył jej skór .

Katrina uśmiechnęła się sztucznie do Shelby.

- Wiesz, odkąd wylądowałam w tej części Teksasu, prawie wszyscy mówią mi, że kogoś mi przypominam.

- Czy by? - zapytała Shelby. - Kogo?

- Nie - wtręciła się Lydia. - To bez sensu.

Ale Katrina patrzyła tymi swoimi niesamowitymi błękitnymi oczami na Shelby.

- Nie domyślasz się ?

Shelby poczuła chłód, który przenikał jej czaszkę i spływał w stronę karkosłupa. Wiedziała, że nie spodoba jej się to, co Katrina ma do powiedzenia.

- Nie wiesz, naprawdę nie wiesz? - Katrina wywróciła oczami, a potem westchnęła teatralnie. - Hm, nuż mnie ten cały melodramat, widać mięży to już z głowy. Jestem twoją siostrą, Shelby. No, widać ciwie to siostrę przyrodni . Sądzi się, że jest tak i moim ojcem.

Rozdział 14

Chyba lepiej będzie, jak wejdiesz do rodzka i wyjaśnisz całą sprawę - powiedziała Shelby. Nie potrafiła ukryć podejrzliwości. Oszołomiona, wpatrywała się w kobietę stojącą na frontowym ganku, próbując odkryć podobieństwa między Katrینą Nedelesky i sędzią. No dobrze, oboje mają charakterystyczne błękitne oczy, ale przecie mają je miliony ludzi na świecie. Katrina jest ruda tak jak sędzią, ale kto wie, może jej krótkie włosy są farbowane. Jedno Shelby wiedziała na pewno: że jej nie ufa. Ani trochę .

- Jestem podobna do matki - powiedziała Katrina.

- Dogodna wersja.

- Prawdziwa. - Błysnęła tym swoim irytującym, pełnym samozadowolenia uśmiechem, który już działał na Shelby na nerwy.

- Dlaczego o tobie nie słyszałam?

- Ponieważ byłam wielką, mroczną tajemnicą sędzię Cole'a.

Shelby nie zwracała w tym momencie uwagi na Lydię. Gospoś wciśnięta stała przy drzwiach i patrzyła na Nedelesky w taki sposób, jakby reporterka była duchem; jej reakcja była o wiele bardziej wymowna niż słowa pewnej siebie kobiety, która stała na zacienionym ganku.

- To dlaczego tak długo się nie pokazywała ?

- To nie był widać ciwy czas, Shelby.

- I teraz jest widać ciwa pora?

- Bingo.

No cóż, nie zaszkodziłoby wysłuchać historii Katriny. Shelby miała w tym własny interes. Poczuła, że schowany w kieszeni portfel kluczy ojca uwierają w udo. Musiała pojechać do Coopersville, dorobić zapasowe klucze i odłożyć oryginały na miejsce, zanim zostanie zdemaskowana.

- Wejść - powiedziała, szeroko otwierając drzwi.

Była sceptyczna. Wprawdzie zawsze wiedziała, że jej ojciec podoba się kobietom i nie był w celibacie przez ostatnich dwadzieścia par lat, ale był ostrożny i dyskretny - z pewnościami zadbałby o

nych dzieci, cho by dlatego, e zale ało mu na reputacji. Zapewnienia Katriny mogły by oszustwem, sposobem na zdobycie rozgłosu, a poza tym miała wi cej ni dwadzie cia jeden, dwadzie cia dwa lata. Mo e i zaliczała si do wietnych reporterek, ale gołym okiem było wida , e jest karierowiczk . I Shelby niech tnie musiała przyzna , e pod tym wzgl dem bardzo przypomina s dziego Jerome'a Cole'a.

- Mo emy porozmawia w salonie.

- Prowad .

Kiedy Katrina weszła do domu, wci zszokowana i dr ca Lydia zmusiła si do u miechu, mrukn ła, e przyniesie napoje, a potem z ulg wycofała si do innej cz ci domu.

- Miło tu - zauwa yła Katrina, zarzucaj c na rami pasek neseseru. Zachowywała si tak, jakby tu było jej miejsce: przygl dała si l ni cym marmurowym posadzkom, szerokim schodom i dziełom sztuki wisz cym na cianach. Wreszcie jej wzrok spocz ł na palisandrowym stoliku, gdzie stały zdj cia Shelby i jej ojca. - Tak, bardzo miło - dotkn ła srebrnej ramki i jej oczy napotkały spojrzenie Shelby w lustrze. W tych bł kitnych czelu ciach jak w kalejdoskopie pojawiały si na moment rozmaite emocje: zazdro , gniew i rozpacz, ale Katrina szybko je ukrywała.

Ona chciaaby by mn . Ta my l poraziła Shelby niczym cios pi ci w brzuch. Czy to mo liwe? Czy by Katrina mówiła prawd ? Czy by była jej siostr przyrodni ?

- T dy - powiedziała Shelby, prowadz c j do salonu. Otworzyła przeszklone drzwi i weszła do pokoju, którego łukowe okna wychodziły na ró any ogród, a meble w zgaszonych odcieniach brzoskwini, szaro ci i le nej zieleni były przemy lnie porozstawiane wokół marmurowego kominka, kolejnej kapliczki ku czci Jasmine Cole.

Kiedy Katrina weszła do rodka, Shelby zamkn ła za sob drzwi i oparła si o szyby, po czym spojrzała jej prosto w oczy.

- Od razu ustalmy sobie pewn rzecz - powiedziała. - Wszystko, o czym rozmawiamy, jest nieoficjalne. Je li odwaysz si wydrukowa cho słowo bez mojej autoryzacji na pi mie, pozw ciebie i tego szmatławca, dla którego piszesz.

Katrin niełatwo było zastraszy .

- Posłuchaj, Shelby, redakcja magazynu jest zainteresowana tylko mierci Ramóna Estevana, zeznaniem Caleba Swagerta, powodami, dla których je zmienił, i tym, kto mógł go zabi , mam na my li Ramóna. Je eli oka e si , e Caleb został zamordowany, redakcja b dzie chciała informacji równie na ten temat.

- W tej sprawie nie mog ci pomóc. Nie wiem nic o morderstwie Estevana.

Katrina wypatrzyła białe pianino we wn ce pokoju.

- Nie po to tu jestem.

- Hm, to prowadzi nas do interesuj cej kwestii. - Shelby podeszła do kanapy z obiciem w kwiaty i usiadła na jednym z opar . - Czego chcesz?

Katrina patrzyła przez szyb na ró ane krzewy i ich obfite p ki.

- Dobrze, rzecz wygl da tak. Nie jestem tylko dziennikarskim wolnym strzelcem - odwróciła si od okna i usiadła na antycznej kanapie. - Przygotowuj ksi k .

Shelby si zaniepokoiła. Powinna była liczy si z tak ewentualno ci .

- O czym?

- Oczywi cie o tajemnicy Estevanów. To główny w tek, ale to jest równie opow

sekretach miasteczka. - Oczywiście Katriny pojawiły się.

- Właśnie z tym... stwierdzeniem, że jesteś córką mojego ojca?

- Tak.

- Może powinna to jakoś wyjaśnić. - Shelby chciała wierzyć, że ta kobieta jest naciągaczką, kimś, kto próbuje zrobić jej ojca, ale fakt, że jej samej odepchnął do gardła, a w głowie kręciło się od nadmiaru wina. Ciężko ci, przekonał ją, że Katrina nie jest tylko królową pozorów. - A zatem dlaczego uważasz, że sędzia jest twoim ojcem?

Kiedy tamtego dnia Shelby dostrzegła przez okienne szyby srebrzysty blask. Mercedes ojca w końcu nie pojawił się na podjeździe, a jego lśniące karoseria odbijała smugi światła przez wietrznicę miasteczka z drzew.

- Poczekaj, chyba będziesz miała szansę powiedzieć to sędziemu osobiście. - Poczuliśmy się niepokoju. - Wygląda na to, że zmienił plany i wrócił do domu. - Miała wrażenie, że skradzione klucze przepalają kiesze i parzą jej w nogi. Odłożyła je na miejsce, zanim ojciec się zorientuje?

Katrina wcisnęła się do samochodu.

- Dobrze. To tylko ułatwi sprawę.

Shelby w tym czasie. Odkąd tylko wyszła w Bad Luck, wcale nie było jej łatwiej. Wręcz przeciwnie, jej życie stawało się coraz bardziej skomplikowane.

- Powiem Lydii, żeby go tu przysłała. - Wstała i wyszła z pokoju. Dokładnie w tym momencie usłyszała kroki gosposi we foyer.

Lydia niosła srebrną tacę, a na niej kryształowe szklanki i takie same dzbanki z lemoniadą i herbatą z lodem. Była już prawie przy przeszklonych drzwiach, kiedy i ona zobaczyła, jak Mercedes sędzię zwalnia i zatrzymuje się przed garażem.

- *Dios* - szepnęła wstrząsnęta.

Srebrna taca zachybotowała.

Shelby w mgnieniu oka podbiegła do Lydii.

Szklanki przesunęły się na tacy.

Shelby zareagowała szybko, chwytając jej brzeg, ale było za późno. Herbata i lemoniada zaczęły się wylewać z dzbanków, a szklanki spadły na podłogę i się rozbiły. Kostki lodu lizgały się po marmurowej posadzce. Plasterki cytryny pospadały, a herbata chlusnęła na twarz i bluzkę Shelby.

Frontowe drzwi się otworzyły. Do foyer wszedł, wsparty na lasce, sędzia Red Cole.

- Do diabła, co wy tu wyrabiacie? - zapytał. Miał czerwoną twarz, a z czoła ciekła mu strużka potu.

- Och, sędzi, przepraszam. - Połykając łzy, Lydia próbowała podnieść szybko topniejącą kostkę lodu. - Strasznie przepraszam. Ja... nie spodziewałyśmy się, że pan wróci do domu tak wcześnie.

- Moje spotkanie w San Antonio zostało przełożone.

- Przyniosła mopa.

- Co się tutaj dzieje? - zapytał surowym tonem.

- Jest tu ktoś, kogo chyba powinniście poznać - powiedziała Shelby, podając tacę roztrzaskanej Lydii. Potem otarła twarz.

- Kto, do jasnej chwały... - Sędzia przeniósł spojrzenie z Shelby na oszklone drzwi. Shelby dostrzegła stojącą po drugiej stronie Katrinę.

- Na miło bosk - wyszeptał. Spos pniał i a si przygarbił.

W tym momencie Shelby zrozumiała, e Katrina mówiła prawd . Reporterka z Dallas rzeczywi cie była jej przyrodni siostr . Zaschło jej w gardle i zawirowało w głowie na my l o prawie dwudziestu pi ciu latach kłamstw.

- Chyba musimy porozmawia , tato - wydusiła. - Tym razem adnych wykr tów.

S dzia gapił si na kobiet w salonie.

- Masz racj , Shelby - przyznał cicho. Nie odrywał wzroku od Katriny. Jego twarz miała w sobie co tragicznego.

- Naprawd musimy porozmawia . I to zaraz.

A wi c Caleb Swaggert został zamordowany, pomy lał Shep, patrz c przez upstrzon owadami przedni szyb swojego pikapa.

Kto chciał, eby stary człowiek zgin ł - kto zbyt niecierpliwy, by zaczeka tych kilka tygodni.

Kto?

Zadr czaj c si tym pytaniem, Shep zajechał przed swój dom i spostrzegł, e talerz satelity na dachu znowu si przekrzywił. Powinien go poprawi , a przy okazji przytwierdzi kilka nowych asfaltowych gontów. Ale có , dach, farba, talerz satelity i wszystkie inne domowe obowi zki, których list Peggy Sue sporz dziła i przytwierdziła magnesem do lodówki, b d musiały zaczeka . Po prostu nie miał teraz czasu na takie rzeczy - musiał si zaj c drugim morderstwem. Prokurator okr gowy b dzie dał odpowiedzi. Szeryf te . I to natychmiast. Shep wreszcie miał okazj si wybi .

Lekarze Caleba Swaggerta byli pewni, e kto przy pieszył w drówk starego człowieka na tamten wiat, zarz dzenie sekcji zwłok było wi c jedynie formalno ci . Siniaki na ylastej szyi Swaggerta wskazywały, e kto najpierw przycisn ł mu poduszk do twarzy, a potem go przytrzymał. Ale komu zale ało na jego mierci? Kto ryzykowałby oskar enie o morderstwo, skoro za tydzie , dwa Caleb i tak miał si przywita ze wi tym Piotrem?

Zatrzymał wóz przed gara em, wysiadł i poczuł gor cy powiew pó nego popołudnia. Był spocony pod pachami i na plecach. Miał wra enie, e w miar jak przybywa mu lat i kilogramów, ka de kolejne lato w Teksasie robi si coraz bardziej gor ce i uci liwe. Minivan Peggy Sue stał w gara u, co oznaczało, e jest z dzie mi w domu. Nie mógł poj , dlaczego wiadomo , e rodzina na niego czeka, wprawia go w przygn bienie, lecz naprawd był w podłym nastroju.

Zarówno pranie zwisaj ce ze sznurków, jak i to, e wi kszo krzaków pomidorów uschła w ogrodzie, nie poprawiły mu humoru. Miejsce, które nazywał domem przez prawie dwadzie cia lat, nie miało w sobie niczego ujmuj cego. Prawd mówi c, ten zakurzony dom - który nale ałoby natychmiast pomalowa - wydawał mu si ostatnimi czasy pułapk , a nie azylem. Powiedzenie, e dom jest dla człowieka jak twierdza, nigdy przedtem nie brzmiało tak fałszywie.

Wyci gaj c z tylnej kieszeni puszk piwa, my lał o Viance Estevan, nie pierwszy i zapewne nie ostatni raz tego dnia. Cholera, ma w sobie kobieco , o jakiej Peggy Sue mogłaby tylko marzy . I mógłby si zało y , e w łó ku jest wcielony diabolic .

Prze uł prymk tytoniu, wło ył j sobie pod doln warg i przystan ł, eby podrapa Skipa, który wrywał si na ła cuchu i chciał skoczy na swojego pana.

- Siad, łobuziaku, dobry pies - powiedział. Poczł wyrzuty sumienia, e pies musi by uwi zany. Takie m czenie go było niesprawiedliwe: przecie zwierzak chciał tylko podkopa si pod ogrodze

Komu to szkodziło? W końcu to naturalna potrzeba.

Już on coś wiedział na ten temat. Godzina, którą spędził z Viancą w szpitalu, sprawiła, że był bardziej napalony niż byczek na polu z jałówkami w rui. Tamtego wieczoru w szpitalu Vianca wyplakiwała mu się w rękaw, a on czuł jej drżące wargi na swojej koszuli, jej drżące piersi wciśnięte w brzuch i wdychał zapach jej perfumowanych włosów. Miał ochotę objąć ją, pocałować i obiecać, że wszystko będzie w porządku. Ale powstrzymał się, jakby i zachował pozory stoickiego spokoju, a przy tym miał nadzieję, że nikt z krewnych, którzy siedzieli w poczekalni, nie zauważy jego gigantycznej erekcji.

Co do starej Aloise, natychmiast zabrano ją na oddział psychiatryczny; tam o wiadczono, że ze względu na wiek będzie musiała zostać przeniesiona do Austin, gdzie jest oddział psychiatryczny dla starszych osób. Vianca odmówiła. Kiedy lekarz zasugerował, że Aloise mogłoby być lepiej w domu opieki, Vianca omal go nie opluła.

- Nie *madre* - powiedziała, kręcąc głowę. Wyjaśniła, że chce jak najszybciej zabrać matkę do domu.

W końcu przyjechał Roberto i Shep miał dobry pretekst, żeby wyjść. Vianca zwróciła ku niemu te swoje wielkie, brzoze oczy i powiedziała słodkim tonem:

- *Gracias*, panie zastępco szeryfa. Jestem pana dłużniczką.

Shep ją poprawił, nalegał, żeby mówiła do niego po imieniu, a potem opuścił szpital jak na skrzydłach.

- Shep!

Koniec snu na jawie. Wyprostował się, słysząc przenikliwy głos Peggy Sue. Poczł, jakby tej chwili mu nie u podstawy czaszki. Skip znowu zaczął się szamotać.

Shep odwrócił się i zobaczył, że jego matka stoi w tylnych drzwiach i patrzy na niego zmrużonymi oczami.

- Zatrzymała się przy sklepie i kupiła hamburgery i cebulę, jak ci kazałam?

Cholera.

- Na mój miarę zapomniałem - przyznał i zobaczył, jak ona cięga usta w charakterystycznym grymasie: tak te myślałam. Wokół ust i między cienko wyskubanymi brwiami miała zmarszczki. - Ale zaraz pojedź do sklepu i przywioz, co chcesz.

- Bądź łaskaw to zrobić, bo trudno, abym jednoczo nie pilnowała dzieciaki, gotowała i jeszcze robiła zakupy. - Wyglądała na zmęczoną i przybitą. Starła zniechęconie. Miała dosyć życia tak samo jak on swojego.

- Migiem obróć - zapewnił.

Był zaskoczony tym, jak bardzo chciał się dopytać. Dawniej marzył tylko o tym, żeby wrócić do domu, włączyć telewizor, przeczytać gazetę i pobawić się z dziećmi, podczas gdy ona krzątała się w kuchni, gotowała rodzinny posiłek i nuciła coś tym swoim słodkim głosikiem. Idąc do samochodu, Shep zastanawiał się, kiedy ostatni raz słyszał jej śpiew. Rok temu? Dwa? Dziesięć?

Do diabła, nie mógł sobie przypomnieć kiedy.

Wsiadł do pikapa i w tym momencie z domu wybiegli, wzniesając tuman kurzu, Donny i Candice. Minął bud psa, który się rozszczękał i zaczął szarpać na łańcuchu.

- Ja też jadę! - wrzasnął Donny.

- Nie, ja! - Candice odepchnęła młodszego brata i Shep nagle poczuł dumę, że ta mała dziewczynka pokazała pazurki, podczas gdy jego synek już czyduśza wybuchnął płaczem i pociągnął nosem. Chryste, ten dzieciak był utrapieniem. Starsi chłopcy nie byli takimi maminsynkami.

Shep wyciągnął rękę i otworzył drzwi od strony pasażera. Oboje wgramolili się do

- Macie by grzeczni - burkn 1, ale oni w ogóle nie zwrócili na niego uwagi i musiał im przypomnie , eby zapi li pasy. Dokuczali sobie nawzajem przez ca 1 drog do sklepu Estevanów. Shep dał Donny'emu chusteczk , eby mógł wytrze wiecznie ciekncy nos, i obiecał dzieciom lody, je eli zostan w kabinie na czas zakupów. Miał nadzieję zobaczy Vianc , ale nigdzie nie było jej wida .

Za kas stał meksyka ski, z wygl du mo e dwudziestoletni chłopak o ospowatej skórze. Spu cił wzrok na widok munduru Shepa. Shep sk d go pami tał. Podejrzewał, e młokos pracuje nielegalnie, ale zupełnie si tym nie przejmował. Chłopak wydawał si zdenerwowany. Bez słowa wydał mu reszt z dwudziestodolarowego banknotu.

- Jest Vianca? - zagadn 1 Shep, bior c papierow torb .

Chłopak potrz sn 1 głow .

- Nie? A wiesz, kiedy wróci?

Znowu nieme potrz ni cie krótkich, czarnych włosów. Tym razem chłopak wzruszył równie ramionami.

- Wci jeszcze jest w szpitalu?

Chłopak zastanowił si i skin 1 głow .

- Si. Szpital - powiedział, odsłaniaj c przerw mi dzy przednimi z bami.

- Jak ci na imi ?

Dzieciak zmarł.

- Enrique.

No, wła nie. Teraz Shep ju sobie przypomniał. Enrique był jednym z dzieciaków Ramirezów, jako tam spokrewnionym z Estevanami.

- Dzi kuj , Enrique. - Shep wiedział, e to głupie, ale czuł rozczarowanie, e nie zobaczył Vianki. Przez kilka ostatnich dni miał obsesję na jej punkcie i starał si korzystać z ka dej sposobno ci, eby na ni popatrzy cho by przez chwil .

Mo e to przez ten upał. Albo jego wiek. Albo zwykły niepokój. Jako nie mógł tego rozgry ; nigdy wcze niej nie pomy lałby, e zechce zdradzi Peggy Sue, ale do diabła, m czy ni maj swoje potrzeby.

Wrócił do nagrzanego wozu i kapry nych dzieci, wr czył im lody i ostrzegł, e nie wolno im nabrudzi w rodku. Powiedział, e musz je zje , zanim dojad do domu.

- Nie mówcie mamie, e jedli cie lody przed obiadem, bo ju nigdy wam nie kupi - postraszył, wyje d aj c z parkingu na ulic . - I lepiej zjedzcie dzisiaj cały obiad, bo b dzie co podejrzewała. Wiedcie, jaka jest mama. Czasami, słowo daj , ta kobieta ma oczy z tyłu głowy.

- Ja zjem cały - uroczy cie obiecał Donny, a Candice spojrzła na niego wymownie: lizus.

Shep wrzucił pierwszy bieg, omin 1 wybój i znalazł si na ulicy.

Przeje d aj c obok pubu White Horse, zauwa ył Rossa McCalluma; akurat z bu czuczni min wyszedł z lokalu i stan 1 w cieniu markizy podtrzymuj cej plastikowego konia naturalnej wielko ci, który stawał d ba. Shep poczuł, e je mu si włoski na r kach.

- Sukinsyn - mrukn 1 pod nosem.

- Mama nie lubi, jak przeklinasz. - Candice oblizwała usta i zgarn ła j zyczkiem kawałek czekolady.

- Nie mów jej. - Shep nie miał czasu zachwyca si błyskotliwymi uwagami swojej córeczki. Nie w tej chwili.

- Ale...

- Powiedziałem: trzymaj j zyk za z bami, Candy, i doko cz cholernego loda.

- No! - przytaknął Donny i Shep miał ochotę zakuć dzieciaka w kajdanki. Jechał powoli i jednym okiem patrzył we wsteczne lustro. Ross zapalił papierosa i powoli podszedł do jakiegoś zdezelowanego pikapa, który pamiętał o wiele lepsze czasy.

- On coś knuje - znowu mruknął Shep - on coś knuje, do cholery.

- Znowu to zrobiłeś! - Candice z wyśzo cię zadarła głową, naładując ci to oburzenie Peggy Sue.

Shep nie zareagował, tylko patrzył, jak Ross włóczył się do ruchu i jedzie na północ, ku obrzeżom miasta. Gdyby Shep nie miał ze sobą dzieci i hamburgerów, które pewno już się zagotowały w rozgrzanej kabinie, na pewno by pojechał za tym łajdakiem.

Minął róg i zwolnił na wiatłach. Po co McCallum wrócił? Dlaczego nie zaczął nowego życia, nie przeniósł się gdzieś, gdzie nic o nim nie wiadomo - tam, gdzie ludzie nie mieliby pojęcia, do jakich zbrodni jest gotów? Co takiego sprowadziło go z powrotem do Bad Luck?

Błędnie nerwowo palcem o kierownicę, ruszył przez skrzyżowanie i nagle zauważył, że obok banku, w kierunku centrum miasteczka, przejeżdża wóz Nevady Smitha. Nevada siedział za kierownicę, a obok jego pies, który wystawiał łeb za okno i wywieszał jęzor. Strzelba Nevady leżała na półce za jego głową. Oczywiście miał zasłonięte odbłaskowymi okularami. Z zaciętym miną wyglądał tak, jakby szykował się do walki.

Tak, Nevada Smith sprawiał wrażenie zdeterminowanego i, chyba instynktownie, skręcił w ulicę przed pubem. Jechał na pomocny zachód, tak jak Ross.

Shep zwracał wciąż uwagę na lustro wsteczne niż na samochody jadące z przeciwka. Powiedział sobie, że to tylko zbieg okoliczności - że w miasteczku wielkością Bad Luck obecnie kilku nienawidzących się osób w jednym miejscu nie jest niczym nadzwyczajnym.

Ale tego nie zapomniał o tym, co zobaczył.

McCallum i Smith razem zawsze byli niebezpieczni.

Widok Smitha jadącego za McCallumem dawał Shepowi do myślenia przez całą drogę powrotną. Prawie nie zwracał uwagi na to, że jego dzieci się biją. Wyjął chusteczkę, żeby wytrzeć im buzie, ale one były na bakier z higieną, więc wyskoczyły z wozu i puściły się pędem przez podwórze. Shep wysiadł z dodge'a, wpełchnął chusteczkę do tylnej kieszeni, zignorował zawzięcie ujadającego Skipa i wszedł do domu.

W domu panował wielki zaduch. Wiatraczki tylko rozgarniały gorące powietrze.

- No, najwyższa pora - stwierdziła Peggy Sue, kiedy wszedł do kuchni. Garnek już stał na ogniu, na desce leżały pokrojone pomidory i sałata, a kukurydziane, ociekające oliwą tortille czekały na to, żeby je nadziewać. - I następnym razem nie dawaj dzieciom lodów - dodała spokojnie. - Wiesz, że potem marudz przy obiedzie.

Nawet nie chciało mu się zgadywać, skąd wiedziała, że kupił dzieciakom łakocie. Jeśli chodziło o tego rodzaju rzeczy, Peggy Sue miała szósty zmysł.

- Błędnie pamiętał - odparł sucho, a ona rzuciła mu spojrzenie mówiące, że nie znosi jego sarkazmu.

Wręczył jej mały torb z zakupami. Pokroiła mięso na drobniejsze kawałki, podgrzała fajerkę. Kiedy hamburgery zaczęły skwierczeć, poszatkowała cebulę i wrzuciła ją do garnka.

Shep wyjął z lodówki piwo i zastanawiał się, dlaczego przed laty Peggy Sue tak bardzo go podniecała. Wtedy, przed urodzeniem dzieci, była inna, mniej od niego wymagała. Otworzył puszkę i pomaszzerował do salonu, gdzie Timmy i Robby grali w grę wideo. Byli dorośli tylko metrykalnie. W ich czasie kłócili się o grę albo oglądali „Playboya” czy „Penthouse'a”, których egzemplarze przechowywali na górnej półce

z kartami. Ostatnio chyba nawet nie wiedzieli, czy mają po osiem, czy po osiemna lat.

- Teraz oglądamy wiadomo ci - zaraz dzwonił Shep i zmarszczył brwi, widząc, że Timmy leży na jego sfatygowanej kanapie.

- Jeszcze zabij tego gościa...

- Wyłuchał to cholera! Natychmiast!

Rozległ się głośny dzwonek telefonu i Peggy Sue krzyknęła:

- Odbierz, dobrze?! Kto dzwoni całe popołudnie i odkłada słuchawkę.

Chłopcy zignorowali ją i Shep chwycił słuchawkę.

- Marson - powiedział.

Ktoś po drugiej stronie się zawahał. Tymczasem Robby wydał triumfalny okrzyk. Kolejny czarny charakter w grze wideo został unieszkodliwiony.

- Kto tam? - zapytał Shep.

Czyj stłumiony głos odpowiedział:

- Gość, który zabił Ramóna Estevana, jest w kamieniołomie w gospodarstwie starego Adamsa. W jaskini.

Krew zastygła Shepowi w żyłach.

- Co? - zapytał. Tętno mu podskoczyło. - Kto mówi?

Szczękniecie.

- Halo?

Ktoś odłożył słuchawkę.

- Halo? Niech to cholera! - Przez chwilę gapił się na słuchawkę, potem ją odłożył. Ręce miał spocone, a serce waliło jak tam-tam. Przeszedł przez korytarz i wyjął ze spiżarni swój ulubiony, duży latarkę. - Wychodzę - powiedział akurat w momencie, gdy Peggy zdjęła garnek z ognia i zaczęła odszczać tłuszcz.

- Ale obiad już prawie gotowy. - Zmrużyła oczy i odstawiła garnek, podczas gdy on sprawdzał, czy latarka działa i czy nie trzeba do niej włożyć nowych baterii. - Kto dzwonił i po co ci ta latarka?

- Kto zgłosił anonimowy donos.

- O czym? - nagle Peggy bardzo się zainteresowała.

- Jeszcze nie jestem pewien - odparł, nie chcąc dopuścić do tajemnicy nikogo, nawet swojej żony. Najpierw sam to sprawdzi. - Może nic takiego.

- Ale ty tak nie uważasz.

- Po prostu nie wiem. Wróć póki nie - zawołał przez ramię i wyszedł na dwór.

Drzwi zatrzasnęły się za nim. Czuł szalejącą w krwi adrenalinę. Miał kilka godzin do zachodu słońca i zamierzał dobrze wykorzystać. Weźmie wykrywacz metalu i sam namierzy przekleśniętego uzbrojonego bandytę. Załatwienie nakazu rewizji nie powinno być problemem, nawet gdyby dostał je po fakcie. Znał dostatecznie wielu szeryfów w okręgu Blanco, którzy mogliby coś dla niego zrobić. Potem zabierze dowody do laboratorium - pod warunkiem, że znajdzie jakieś dowody. Ale to będzie jego ledźstwo. Sam przyskrzyni winnego. Właśnie nie tak, do diabła!

Od dziesięciu lat Shep Marson nie jechał tak szybko. Albo to wyprawa z motyką na słońce, albo udało mu się rozwiązać dziesięcioletnią zagadkę i mieć swoje pięć minut za sławę.

Może jednak będzie się ubiegał o posadzenie szeryfa.

Szeryf Shepherd Belmont Marson.

Brzmi nie le, naprawdę nie le.

- Zgadza się - powiedział s dzia; stał przed zimnym kominkiem, opierając się na łasce. - Katrina jest moją córką. Shelby miała wrażenie, jakby po kolei osuwały się wszystkie fundamenty, na których opierało się jej życie. Bezwładnie opadła na krzesło z obiciem w kolorze moreli.

- Ale dlaczego nic mi nie powiedziały ?

- Miałem zamiar - odparł, ale nie była w stanie mu uwierzyć. - Tylko że czas szybko mijał. Najpierw była za młoda. Potem nigdy nie było odpowiedniego momentu, a pózniej bałem się, że to, co powiem, zwróci ci przeciwko mnie, zniszczy ci życie... - Podniósł rękę. - Wiem, to wszystko są wymówki.

- A co ze mną ? - zapytała Katrina. Rozsiadła się na kanapie w kwiaty, ale już nie była taka stanowcza i wyniosła; w konfrontacji z s dzia wydawała się filigranowa i bardziej wrażliwa. Odchrząknęła. - Miałam nadal myśleć, że mój ojciec był jakimś włóczęgą, kowbojem, który przyjechał do miasta, zrobił mojej mamie dzieciaka i uciekł?

- Uważałem, że tak będzie najlepiej.

- Dla kogo? - szepnęła Katrina.

- Dla nas wszystkich.

- A więc przez szesnaście lat swojego życia nie znałam prawdy.

- A jaka jest ta prawda? - zagadnęła Shelby. - Kto jest twój matko ?

Katrina uniosła brwi i spojrzała gniewnie na s dziego, jakby zachęcała go do odpowiedzi.

- Słodki Jezu. - Wziął głębi oddech, a potem się wyprostował. - Miałem romans z kelnerką. Nazywała się Nell Hart - wyznał.

Miał teczkę z tym nazwiskiem, Shelby ją przeczytała.

Zobaczyła ruch za oszklonymi drzwiami i domyśliła się, że to wycierająca podłogę Lydia przysuwa się bliżej.

- Myślałam... to znaczy, słyszałam, że miała romans z Kanionem Estevanem i dlatego wyjechała z miasta.

- Nawet nie miałem pojęcia, że o niej wiesz.

- To mała miejscowość, s dzio.

- W każdym razie to się stało, kiedy była jeszcze bardzo młoda. - Jego twarz wyrażała poczucie winy i po raz pierwszy Shelby go rozumiała.

- Kiedy mama jeszcze żyła? - szepnęła, czując, że jej głowę rozsadza głuchy ryk.

- Tak. Ja jeszcze pracowałem w s dzio.

Shelby zamrugnęła i zerknęła z niedowierzaniem na Katrinę, która siedziała na oparciu kanapy Jasmine Cole.

- Chcesz mi powiedzieć ... że... co? Mama dowiedziała się i... - Przełknęła ślinę. Nie dopuszczała do siebie tej myśli.

- Twoja matka była wstrząśnięta - powoli pokiwał głowę i pociągnął nosem, jakby zaraz miał się rozpląkać. - Za dała rozwodu, a ja odmówiłem. Powiedziałem jej, że rozwód zniszczyłby wszystko. No, więc za dała, abym zapłacił Nell, przestał się z nią widywać i odprawił ją z kwitkiem.

- Ale Nell już spodziewała się dziecka - dokończyła z rozgoryczeniem Katrina. - Ja byłam tym dzieckiem. Zmieniłam swoje nazwisko na Nedelesky kilka lat temu, kiedy brałam ślub, i zachowałam je po rozwodzie.

- Twoja matka nie mogła cierpieć myśli, że Nell jest w ciąży - cięgnął s dzia. - To, że byłem niewierny, mogła jeszcze znieść, ale nie to, że zostałem ojcem innego dziecka. Chyba powinienem był

powiniennem być zmusi j do jakiej terapii... do diabła, mogłem jej da ten cholerny rozwód. Tymczasem ona...

- ...popęlniła samobójstwo - doko czyła za niego Shelby. Mdlilo j i skr cało z bólu na my l o wszystkich plotkach, których musiała wysłuchiwa w dzieci stwie. - Powiedziały , e to był wypadek, a doktor Pritchard zgodził si tak to zakwalifikowa . - Wstała i podeszła do ojca. - Dla mnie wersja była taka: mama za du o wypięła podczas przyj cia, poczuła si niedobrze i za yła nie te lekarstwa co było trzeba, tabletki nasenne zamiast przeciwbólowych, i to cał gar ... ale zawsze pozostawało pytanie, czy zrobiła to rozmy lnie, czy przypadkowo.

- Nie zrobiła tego celowo - upierał si s dzia, patrz c Shelby w oczy. - Twoja matka nie popęlniła samobójstwa. Nie zostawiła adnej notatki, adnego listu po egnalnego. Po prostu si pomyliła. - Zesztywniał mu kr gosłup, wi c podniósł si i wyprostował; na oczach Shelby zmienił si ze słabego starca z poczuciem winy w silnego, pełnego determinacji i zdolnego manipulowa lud mi sukinsyna, który kiedy j spółdził.

- To nie ona pierwsza popełniła bł d, prawda? - rzuciła Shelby. Nie mogła si pozbiera , czuła si osierocona. Sama. Pozbawiona matki. - A w ogóle to dlaczego miałabym ci wierzy ? Całe moje ycie bezczelnie mnie okłamywałe . - Pami tała, e w pokoju jest te Katrina, wiedziała, e nie powinna mówi zbyt wiele, nie mogła jednak si powstrzyma . - Ale to si sko czyło, jasne? Do ju tajemnic. Została tylko jedna, której jeszcze nie wyjawile .

- To nie jest dobry moment - ostrzegł s dzia, zerkaj c z ukosa na Katrin , która siedziała jak urzeczona za szklanym blatem stolika.

- Do tych wymówek. Chc odnale Elizabeth, tato. I zrobi to, cho bym miała da ogłoszenie do „Coopersville Gazette” albo nawet - zamaszystym gestem wskazała Katrin - do nast pnego numeru „Lone Star”.

- Kto to jest Elizabeth? - zapytała Katrina.

- Elizabeth Jasmine Cole. Moja córka. My lałam, e nie yje. Powiedziano mi, e umarła zaraz po porodzie, ale teraz okazuje si , e ona yje.

- Jasny gwint! - Katrina otworzyła usta ze zdziwienia.

Shelby przygl dała si tej kobiecie-intruzowi, a zarazem swojej przyrodniej siostrze.

- Posłuchaj mnie teraz. Nie wolno ci wydrukowa ani słowa z tej rozmowy, dopóki nie dam ci zezwolenia. Zawarły my układ, pami tasz?

- Ale...

- Nie, dopóki na to nie pozwol , bo inaczej łeb ci urw w s dzie. - Ponownie zwróciła si do ojca. - Przemy l to, tato. Albo mi powiesz, gdzie jest - Elizabeth, albo rozgłosz wszystko w prasie i ta rodzina nie b dzie ju miała adnych tajemnic!

Ruszyła do drzwi i kiedy wyszła, omal nie wpadła na Lydi i jej wiadro z mopem.

- Och, przepraszam - powiedziała machinalnie.

- Nie, nie, to nie twoja wina. - Zakłopotana Lydia wyniosła z foyer wiadro z brudn wod i mopa.

Shelby obserwowała j i nagle u wiadomiła sobie, e gosposia cały czas podsłuchiwała. Ale dlaczego? Ze zwykłej ciekawo ci? A mo e ona równie była uwikłana w rodzinne tajemnice?

Stała z r k na klamce i zorientowała si , e ojciec patrzy na ni ze swojego miejsca w salonie. Jakim był człowiekiem? Prawnik. S dzia, na miło bosk , a przy tym człowiek, który szedł przez ycie jak buldo er, nie licz c si z uczuciami innych, który porzucił dziecko i oczekiwał tego samego od niej.

Nic z tego!

- Musz si st d wynie .

- Dok d si wybierasz? - zapytała Lydia.

- Niewa ne dok d. Byleby nie by tutaj. - Shelby gwałtownie otworzyła drzwi i szła energicznym krokiem po trawniku, pełnego koników polnych. Pomimo surowych słów i determinacji była przytłoczona wiadomością, że została oszukana, miała wrazenie, że to, co się jej przytrafia, to jaka zła. Wiedziała, że ojciec ją okłamywał, nagiął prawo do swoich potrzeb, grał według własnych, błędnych reguł, ale nigdy nie spodziewała się czego takiego: że ukrywał własne dziecko, że wyparł się własnej krwi i jeszcze przyczynił się do śmierci własnej żony, a wszystko po to, żeby ratować ją i tak mocno podejrzaną reputację.

No cóż, to się skończyło.

Shelby walczyła z bólem głowy, brzucha i napiętych mięśni. Musiała się stąd wyrwać, na spokojnie przemyśleć to, czego się dowiedziała.

- Powoli - mówiła sobie, wsiadając do wynajętego samochodu. Uruchomiła silnik i rozsunęła dach kabrioletu. Mogła pójść do Nevady, rzucić mu się w ramiona, obnażyć przed nim swój dusz, a on by ją objął i zapewnił, że wszystko będzie dobrze i że znajdzie córkę.

Ale nie zrobiła tego.

To była jej walka. Nie zamierzała odgrywać roli bezbronnej ofiary, która polega na męczy nie.

Skierowała cadillaca na północ, w stronę rancza i cmentarza rodziny Cole'ów. To ranczo było kiedyś jej azylem, ale potem unikała go przez dziesięć długich lat. Wszystko z powodu Rossa McCalluma, który zbrukał jej ciało.

Doszła jednak do wniosku, że to się musi zmienić. Włożyła ciemne okulary i mocno zacisnęła palce na rozgrzanej kierownicy. Słońce przysłoniło na zamglonym niebie.

Shelby Cole powiedziała sobie, że już nigdy nie pozwoli, aby jakiś mężczyzna - czy to będzie jej ojciec, czy ten padalec McCallum - ją skrzywdził albo nie manipulował. Woląaby umrzeć, niż znowu do tego dopuścić się.

Rozdział 15

Jak burzowe chmury zbierające się nad wzgórzami na wschodzie w umyśle Nevady narastało przekonanie, że coś jest nie w porządku. Ta wiadomość budziła w nim niepokój, usztywniała jego barki i kręgosłup. Pojechał do domu starego Adama, który od niedawna należał do jego posiadłości. Powtarzał sobie, że nie można być przewrażliwionym. Jednak fakt, że zaledwie w odstępach sekundy zobaczył w Bad Luck Rossa McCalluma i Shepa Marsona, leżało w ryzach.

Na rozwidleniu ulicy zerknął w kierunku starej wiośni, która mieściła się na terenie posiadłości. Wydawało mu się, że widzi obłok kurzu, ale powiedział sobie, że zapewne znowu przesadza. Był zgrzany, zmęczony, a w dodatku cały dzień walczył z pokusą zadzwonienia do Shelby.

Zatrzymał wóz przy bardzo starej topoli w pobliżu stajni i wysiadając, zagwizdał na Crocketta. W promieniach mocno przyciętego słonecznego światła wyładowywały worki z owsem. Wnosił je do stajni, podczas gdy Crockett obwąchiwał słupki ogrodzenia i ganek, szukając królików lub wiewiórek, lub jakiegokolwiek zwierzęcia, które mogłoby wystraszyć. W zagajniku żywobólów mozolił się dzielić, a na dach stajni z łopotem skrzydeł wzbijała się wrona.

Nevada otworzyła drzwi, ustawił worki z ziarnem i pracował w pocie czoła, próbując uwolnić się od przecucia, zanim będzie lepiej, będzie gorzej. O wiele gorzej. Kilka koni weszło do stajni. Nevada odmierzał im porcje owsa, gładził ich błyszczące nozdrza i czuł gorące oddechy klaczy, które prychały przy łobach.

Napełnił koryta wodą i zadowolony z obrzydliwym poszedł do starego domu, i otw

wszedł do rodka, powitało go st chłe powietrze. Przy jednej ze cian znajdowały si schody. Salonik, którego tapeta w blade ró e pochodziła prawdopodobnie jeszcze sprzed drugiej wojny wiatowej, zasługiwał najwy ej na miano alkowy. Krótki korytarz prowadził do kuchni. Było to najwi ksze pomieszczenie w domu, z boazeri , piecykiem na drewno i r czn pomp przy zardzewiałym zlewie. Łazienka mie ciła si w dobudówce na ko cu osłoni tego tarasu.

Oscar nie zmodernizował tego domu, ale Nevada pomy lał, e mo e jemu si to uda. Kiedy rozwali i przerobi kuchni , doda kolejne schody do łazienki mi dzy dwiema sypialniami i wprowadzi si tutaj. W ko cu.

Ale na razie musi odnale córk . To najwa niejsze.

I co wtedy? Z ponur min otwierał kolejne okna, eby puste pokoje cho troch si przewietrzyły. Co z Elizabeth? Co zamierzasz zrobi w sprawie swojej córki? I co, u diabła, zamierzasz zrobi z Shelby?

Oczami wyobra ni widział Shelby i ich córk tutaj; mieszkałyby z nim, a do tego jeszcze stary pies... Stop! Co to za wizja, do jasnej cholery?! On i Shelby pochodz z ró nych wiatów, a dystans mi dzy tymi wiatami stale si powi ksza. Ona dorastała w komfortowych warunkach, a kiedy sprawy przybrały zły obrót, wyjechała z miasteczka i urz dziła sobie nowe ycie. On nigdy nie znał swojej matki, wychowywał go ojciec-pijak, a w szkole redniej był jednym z najwi kszych łobuzów. Gdyby nie słu ba w wojsku, mo e ju nigdy nie wróciłby na dobr drog .

Jego i Shelby dzieli przepa . Tak zawsze było i b dzie. Owszem, maj córk , ale ich ewentualny zwi zek byłby bez przyszło ci. Tak to wygl da.

Nevada przeszedł si z psem, zauwa ył, e nadci gaj coraz g stsze burzowe chmury, i znowu wyczuwał, e co złego si wi ci. Pojechał do domu, wytłumaczył sobie, e nie powinien dzwoni do Shelby, i otworzył butelk piwa. Zdj ł ubranie, poszedł do łazienki i wzi ł zimny prysznic, doko czył piwo, a potem zakr cił prysznic, zostawił pust butelk na toaletce i nagi poszedł do sypialni.

Zd ył wci gn d insy, gdy zadzwonił telefon. Zapinaj c rozporek, wpadł do kuchni, chwycił słuchawk , poło ył j sobie mi dzy uchem a ramieniem i wymamrotał:

- Halo?

Cisza.

- Kto dzwoni?

Szcz kni cie.

- A niech to! - Rzucił słuchawk i znowu ogarn ło go złe przecucie. Komu to bardzo odpowiadało. Ale dlaczego? Czy to był tylko kawał? By mo e kto o chorym poczuciu humoru chciał podziała jemu i Shelby na nerwy. A mo e to było co powa niejszego i naprawd gro nego?

Ross McCallum wrócił do miasta.

Kto specjalnie zwabił tu Shelby.

Obserwuj c przez siatkowy parawan nadci gaj ce chmury, Nevada zacisn ł z by tak mocno, e a zaboląa go szcz ka. Co zdecydowanie wisało w powietrzu. Co złego, niegodziwego. On to co wyczuwał: do wiadcział takiego wra enia, kiedy zagl dał w zimne oczy zabójcy.

Wyjrzał na zewn trz i patrzył na zbli aj c si burz .

Wiedział, e mo e by ofiar jakiej wymy lnej pułapki. Podniósł jednak słuchawk i wykr cił numer do s dziego. Po trzecim dzwonku zgłosiła si Lydia Vasquez.

- Rezydencja państwa Cole'ów - powiedziała, wciąż jeszcze z wyraźnym akcentem w głosie.
- Mówi Nevada Smith. - Postanowił sobie, że nie będzie owijał niczego w bawełnę. - Szukam Shelby.
- Och, seńor Smith, przykro mi, ale Shelby... nie ma jej.
- Dokąd pojechała?
- Ja... ja nie wiem. Wyjechała jak godzinę temu, może wczoraj. Powiedziała, że... - Lydia zniżyła głos - ... jest bardzo przygnębiona.

- Czym?

Lydia się zawahała.

- Nie mam pojęcia.

- Na pewno masz, Lydio. - Nie zamierzał łatwo się poddawać.

Lydia chrząknęła i Nevada miał ochotę złapać ją przez telefon i porzucić ją gdzieś.

- Gdzie ona jest?

Lydia po hiszpańsku wymamrotała coś pod nosem.

- Naprawdę nie wiem. Wspominała, że po prostu chce się stąd wyrwać. Ja... Ona mnie martwi.

Mnie też, pomyślał Nevada, odkładając słuchawkę. Martwi się o nią jak diabli.

- Cholera jasna! - Cisnął słuchawkę na widełki tak mocno, że spłoszony Crockett zerwał się ze zjezonym włosom na karku i zaczął głośno ujadania.

- Cicho! - Nevada wyszedł na zewnątrz i stanął na ganku. Niektóre klacze podniosły łby i poruszały nerwowo nozdrzami. One również wyczuwały zagrożenie.

Złe przeczucie, które nie opuszczało Nevady cały dzień, zdecydowanie przybrało na sile. Ciemniało, a słoneczyki ginęły pod grubą warstwą stalowych chmur. Powietrze było przesycone zapachem nadciągającej burzy.

Znaleźnierz dzie zbrodni w tym miejscu byłoby zbyt łatwo, pomyślał Shep, więc ciałarkę na podłogę jaskini. Dlaczego ktoś zadzwonił w tej sprawie akurat teraz, dziesięć lat po tym, jak Ramón Estevan został odesłany do swojego Stwórcy? To wszystko po prostu nie miało sensu. Kto mógłby chcieć dać mu cynk? I dlaczego zadzwonił do niego do domu? Dlaczego nie do Biura Szeryfa? Nie, co tu było nie tak.

Omów nie potknął się o kupkę kamieni, pozostało ci po dawno wygasłym ognisku. Zwęglone kamienie okalały hańdki zimnego popiołu. Klęczał pod nosem i sięgając prawą ręką do broni, Shep omiótł wiatłem latarki podłogę jaskini. Zapadał zmrok i nietoperze, o tej porze dnia zawsze niespokojne, robiły mnóstwo hałasu i przelatywały nisko nad jego głową, tak że cierpła mu skóra. Jaskinia została stworzona przez człowieka, a ci lej, wykopał ją dziadek Oscara Adamsa, którego nie zadowalało sprzedawanie kamieni i wiru i który na terenie swojej posiadłości miał nadzieję znaleźć srebro, złoto i Bóg wie jaki jeszcze inny szlachetny metal. Zawalone odchodami nietoperzy, bielej cymy kołmi po jakiej zwierzynie, zacięgni tej tutaj przez kojoty albo psy, podłogę nie odsłoniło żadnych tajemnic.

A może to wszystko dowcip, oszustwo? - pomyślał. Tylko jeden Bóg wiedział, ilu przyzwoitych obywateli ucyżyło Shepowi, żeby kręcił w kółko, jak głupi pies, który gryzie własny ogon.

Skierował snop latarki na krokwie i wystraszył kolejne nietoperze. A potem zobaczył to co...

Na jednej z belek leżał plastikowy worek. Shep wciągnął powietrze. Uzywając chusteczki, ostro nie zdjął paczki i przez przezroczyste opakowanie dojrzał broń kaliber 38. Powoli na jego twarzy pojawił się

nawet przez moment, że to zaginiony pistolet Nevady, z którego najprawdopodobniej zastrzelono Ramóna Estevana.

Ale kto go tu podło ył? I dlaczego zadzwonił teraz, dziesięć lat po fackie? I w ogóle, o co w tym wszystkim chodzi, do diabła? Trybiki w umyśle Shepa pracowały bardzo intensywnie, karmione wieloma pytaniami, lecz najważniejsze było to, że zaraz rozwię spraw Estevanów.

Czy naprawdę było tak ważne, kto do niego zadzwonił i dał cynk? Shep miał przed sobą dowód rzeczowy.

Shep odłożył pistolet na miejsce, w którym broń została znaleziona, poszedł do swojego wozu i przez telefon komórkowy poprosił o wydanie nakazu przeszukania. Sądziła, wujek Peggy Sue, nie zadawał zbyt wielu pytań, bo akurat jadł kolację. Od razu wydał zgodę. Umiechając się od ucha do ucha, Shep zadzwonił do swojego partnera i polecił, żeby do starej kopalni przyjechała ekipa ledcza. Niech wszystko odbędzie się zgodnie z regulami. No, prawie. Jego partner o nic się nie dopytywał i Shep zakończył rozmowę, czując się lepiej niż w dniu, w którym po raz ostatni widział Vianca.

Jeśli się nie pomylił, analiza balistyczna i odciski palców powinny wkrótce dać odpowiedź na pytanie, kto zabił Ramóna Estevana.

Na ranchu jej ojca praktycznie niewiele się zmieniło. Główny budynek mocno się zestarzał i pokryto go nowym dachem oraz wymieniono okiennice, ale siodlarnia oraz inne zabudowania wyglądały nietknięte upływem czasu.

Kiedy Shelby wysiadła z samochodu, była bardzo spięta. Wczoraj pojechała z domu ojca do Coopersville. Tam zatrzymała się pod warsztatem kolarskim i czekała, aż przyjdzie właściciel z własnoręcznie zawijanym papierosem w ustach dorobi dla niej zapasowy zestaw kluczy. Zapłaciła mu gotówką, stwierdziła, że nie miała pojęcia, kim ona jest, i przyjechała bezpośrednio tutaj. Teraz mrużyła oczy i zasłaniała je rękami. Jednocześnie nie patrzyła na stajnię, stodołę i połączone ze sobą zagrody. Z bólem w sercu i zasnuciem tym gardłem przypominała sobie tamtą noc sprzed wielu lat, kiedy Ross McCallum ją zgwałcił.

Nie było powodu, żeby ten nikczemny akt nazywać inaczej. Robiło jej się niedobrze na wspomnienie gorącego, spoconego ciała napastnika, który przygniatał ją do fotela w samochodzie jej ojca. Teraz jeden pies nie zaszczekał, żeby obwieścić jej przybycie, a w pobliżu zabudowań stało tylko kilka pojazdów. Na asfalcie padały wydłużone cienie; niebo było mgliste, chmury zasnuwały słońce.

Na pobliskich polach pasły się konie i krowy. Shelby od razu poszła do stajni, znalazła uzd i siodło, a potem złapała pierwszego lepszego konia, jaki jej się nawinął. Wczoraj nigdy nie widziała tego gniadego wałacha i nie zadała sobie trudu odszukania kogoś, kogo mogłaby zapytać, czy może go dosiść. Wszystko na tym ranchu należało do jej ojca - połączenie ziemi, rozgrzane słońcem budynki, ciągnące się kilometrami ogrodzenie, cały dobytek, a nawet, do pewnego stopnia, ludzie, którzy tu pracowali. Znowu zrobiło jej się niedobrze.

Nie jeździła konno od lat, ale teraz nie namyślała się długo, tylko założyła wałachowi uzd i siodło, a potem ruszyła przez otwarte bramy w pola. Niesiona przez konia próbowała oczyścić umysł, zwalczyć przytłaczające uczucie, że została zdradzona, uczucie, którego doświadczała od momentu, gdy dowiedziała się, że ma przyrodnie siostry - dziecko, którego jej ojciec się wyparł, skrytanie ukrywany przez niego sekret. Ile jeszcze rodzinnych tajemnic chowa się w mrokach?

Wałach galopował wawo, wzbijając tumany kurzu - płoszył bawenty i koniki polne, mijał pasące się longhorny, którym nawet nie chciało się podnieść łbów na jego widok. Kiedy okazała się Shelby d

którzy prowadzili stadko cieląt bez wypalonego znamienia. Odwrócili się, żeby spojrzeć na galopującego ciego konia, a potem wrócili do swoich zajęć.

Shelby od razu pojechała na rodzinną działkę, a ci lej cmentarz, gdzie byli pochowani jej przodkowie. Teren był otoczony ogrodzeniem z kutego rdzewiejącego żelaza. Najwyraźniej nikt nie dbał o to miejsce; niektóre nagrobki były przewracane, inne się kruszyły.

Zsiadła z wałacha, przypięła jego lejce do ogrodzenia i otworzyła skrzypiec bramę. Wysoka, sucha trawa ocierała jej nogi, a do szortów przyczepiały się rzepy.

W nowszej części działki znalazła grób matki, jeden z nielicznych, o które tutaj dbano. Nagrobek nie porastało zielsko; wciąż było widawryte na nim przedwielu laty informacje o Jasmine Cole; jej data urodzenia i śmierci oraz proste słowa nad bukietem kwiatów ze wstęgami: **KOCHAJ SIEBIE I MATKĘ**

- Tak mi przykro - wyszeptła Shelby; dławilo ją w gardle na myśl o bólu, który musiała znosić jej matka. Małe stwo z Jerome'em Cole'em byłoby ciękłym próbkiem dla każdej kobiety; miłość do niego była przekleństwem.

Shelby nie przywiozła żadnych kwiatów, żadnych dowodów pamięci. Poczwała coś w rodzaju wyrzutów sumienia, ale nie wracała na ten grób przez tyle lat, ale prawda była taka, że prawie nie pamiętała swojej matki. Pojawiające się w jej umyśle obrazy kobiety, która ją urodziła, zapewne pochodziły z oglądanych przez nią fotografii, kilku filmów wideo z rodzinnych uroczystości i upiększonych wspomnień ojca i Lydii.

Nasłuchiwała śpiewu ptaka ukrytego w zaroślach mesquite i wbiła suche oczy w ziemię.

- Ażuj, że cię nie poznałam - wyznała. - Och, mam, myślenie, że ty byś mi pomogła.

Jej dziecko nie miało nagrobka. Wtedy rozsypała popiół nad wzgórzami, szedząc, że ono nie żyje. Teraz nie pamiętała, skąd je wzięła. Wtedy myślała, że brak kamiennego pomnika wynika z tego, że jej ojciec bardzo się wstydzi - jego córka w ciąży, i to bez powodu?! Teraz uwiadomiła sobie, że nagrobka nie było, bo dziecko nadal żyło.

- Znajdźcie, Elizabeth - przyrzekła wzruszonym głosem. - Znajdźcie.

Odgarnęła splecione włosy z twarzy i się wyprostowała. Kiedy wychodziła z cmentarza, zauważyła, że na horyzoncie zbierają się burzowe chmury.

Odpięła lejce konia, dosiadła go i ruszyła wzgórzami, jeszcze bardziej zdecydowana odnaleźć swoje dziecko. Jadąc, kierowała się instynktem; chciała odwiedzić jeszcze jedno miejsce.

Jej serce biło szaleńczo, kiedy mijala starą chatkę, dzień w tak opłakanym stanie, że ledwo ją rozpoznała. Wiskość starych belek się zawałiła, dach się rozpadł, oprócz kamiennego komina, była to tylko sterta liczących ponad wiek wspomnień. Shelby nacisnęła kolanami bok konia, który przyspieszył, tratując zielsko i suche trawy. Pachnący deszczem wiatr mocno wiał Shelby w twarz, gdy ona prowadziła gniadego skalnym występem, a potem kazała mu zejść do wozu, w pobliżu rzeczki, gdzie kochała się kiedyś z Nevadem.

Przypominała sobie dotyk jego ręki, wargi całujące jej ciało... i jeszcze chłodną pieśczęt deszczu. Powiedziała mu wtedy, że go kocha i że aden inny mężczyzna nigdy nie budził w niej takich uczuć.

Wierzyła wtedy - wręcz modliła się o to - że dziecko, które poczęła tamtej nocy, należało do niego, że było wiadectwem ich miłości, a nie dzieckiem Rossa McCalluma.

Ale czy to naprawdę miało znaczenie? W miarę upływu czasu to, kto był ojcem Elizabeth, schodziło na dalszy plan. Ciągłymi lejce wałacha, zobaczyła ciemne plamy potu na jego skórze.

- Dobry chłopiec - szepnęła, klepiąc dzielnego konia po karku. Zeskoczyła na ziemię.

Kręciło jej się w głowie od myśli o Nevadzie, a serce biło tak samo miło ci, jak czuła przed dziesięć laty.

- Głupia babo - mruknęła i usiadła na skale, żeby popatrzeć na wyschnięte koryto rzeki. Zobaczyła czmychającego do lasu zajca i wysoko w górze kręcącego jastrzębia.

Sięgnęła do kieszeni i dotknęła zestawu kluczy, który kazała dorobić. Były błyszczące i jeszcze chropowate na krawędziach, połknięte tym spinaczem. Zastanawiała się, co znajdzie w biurze ojca. Kolejne obciążenie go tajemnice? Ze zdenerwowania miała ci nietyko dek.

Czy w końcu uda jej się odszukać córkę?

A może odkryje dowody przekroczenia innych granic etycznych i moralnych? Co z Lydią? Dlaczego gospośnia nie chciała jej się zwierzyć? I dlaczego Ross McCallum wyszedł na wolność akurat teraz, kiedy skontaktowano się z nią w sprawie Elizabeth?

Była w Bad Luck od ponad tygodnia i miała wrażenie, że cały ten czas miota się bez rezultatu i ugania za upiorami z przeszłości, i wcale nie jest bliżej odnalezienia dziecka niż w dniu, w którym wróciła do miasteczka po raz pierwszy po wielu latach. Wepchnęła klucze do kieszeni i już miała odejść, kiedy nie tyle zobaczyła, ile wyczuła, że ktoś się do niej zbliża, nie od strony rancza, ale z przeciwnego kierunku, gdzie tereny rzadowe graniczyły z północnym skrawkiem posiadłości - przed laty czesto chodził tu Nevada.

Wstała, widząc, że idzie do niej szybko i energicznie, smukły, wędzinskich. Jej nieumierające serce bardzo się ucieszyło i po raz kolejny powiedziała sobie, że należy do najgorszego gatunku idiotek - inteligentnych kobiet, które wiadomie zakochują się w nieodpowiednich dla siebie mężczyznach.

- Szukałem cię - powiedział, stając przy niej. Bruzdy wokół jego ust wydawały się głębsze niż zwykle, a dolną część twarzy pokrywał ciemny zarost. Widziała, jak pulsuje mu się w okolicach jego skroni. Nevada wyglądał, jakby chętnie gołymi rękami zadusił niedźwiedzia grizzly.

- Na piechotę?

- Zostawiłem wóz kawałek drogi stąd - odparł, pokazując podbródkiem na pomoc; przed laty zaparkował swoje auto w tej samej okolicy.

- Pomyślała, że będzie tutaj?

- Nie. Sądziłem, że będzie w domu siedzieć albo że jedzie dzisiaj po miasteczku i sprawdzasz tropy prowadzące do twojej córki, albo że wypuściła się na wycieczkę za miasto, ale w końcu pogubiłem się w domysłach, więc zaryzykowałem i przyjechałem tutaj.

- Boczna droga.

- Nie chciałem ryzykować, bo się działo mógłby na ranczu i potraktowałby mnie niemile. - Chwytny ją za ramiona silnymi, gniewnymi dłońmi i mocno do siebie przycisnął. - Kiedy zadzwoniłem do domu, Lydia powiedziała, że wyjechała bardzo przynaglona, że musiała się stamtąd wyrwać, i wtedy przypomniałem sobie, że dawniej ilekroć miała problem do rozwiązania, szła popływać albo urządziła sobie konna przejażdżkę. Ponieważ nie było cię w domu, doszedłem do wniosku, że pojechała na ranczo, żeby trochę pojeździć. - Przyglądał się jej badawczo. - A jeśli jechała wzgórzami, to istniała możliwość, że znajdziesz się tutaj. Po prostu miałem szczęście.

- Oparł się czołem o jej czoło i stopniowo opadało z niego napięcie. - Do diabła, Shelby, miałem nadzieję, że ci tutaj znajdę.

- Czy by? - Jej nastrój równie się poprawiał, gdy patrzyła w jego szare oczy, w

trochę wiksza od drugiej na skutek rany zadanej nożem przez Rossa McCalluma. - Jaki specjalny powód? - Z jakiej nieporęcznej dla siebie przyczyny nie mogła przestać się z nim droczyć.

- Nie prowokuj mnie.

- Gdzie bym miała.

- Akurat. - Jego palce znowu zacisnęły się mocniej na ramionach Shelby; z suchej ziemi biło tęskzące ciepło. - Nie przegapisz żadnej sposobności.

- Jezus, Nevada, nie mów mi o to wieczne demonstrowanie swojego „ja”?

- Znowu zaczynasz - ostrzegł ją.

- Przepraszam. - Uniosła brew i usiłowała nie reagować na ciepło jego ciała, na podanie w jego oczach. - Po prostu nie mogli się powstrzymać.

- Ja też nie - przyznał i wpiął się w jej wargi tak szybko, że nie zdążyła złapać oddechu. Jego zarost drażnił jej skórę, a język napierał na jej zęby. Obejmował ją, a ona otwierała się przed nim, jak zawsze. Nevada był w jej krwi. Teraz i zawsze. Przeklinała, a jednocześnie błogosławiła ten fakt.

Zamykając oczy, całowała go z taką samą dziką energią, jak w czasach, gdy była nastolatką. Głodna jego ciała, czuła, że pod jego ciężarem opada na dywan z dzikich kwiatów i suchej trawy. Przesuwała palce po jego rękach do góry, dotykała wyraźnie zarysowanych, twardych mięśni. Skóra Nevada napinała się na muskularnym ciele. Kiedy Shelby cięknął z niego koszulkę.

Podniósł głowę, a ona całowała jego piersi, wzdłuż ramion po plecach. Polizała ukryty w gęszczu spryskanych włosków sutek. Znowu cięknął, a potem wplótł palce w jej włosy i odchylił jej głowę do tyłu, żeby mogli sobie patrzeć w oczy.

- Co jest w tobie takiego? - zapytał, kiedy podmuch wiatru potargał mu czuprynę. - Dlaczego nie mogła przestać?

- Dlaczego ja nie mogła?

- Mówi powaźnie, Shelby. To jest chore.

- Absolutnie.

- Emocjonalne samobójstwo.

- Tak.

Puścił jej włosy.

- Ty się nie przejmujesz.

- Bardzo się mylisz - powiedziała z westchnieniem; liście drzew zaszumiały, zagłuszając ciche bicie serca. - Ja się przejmuję, Nevada - wyznała. - Aż nazbyt się przejmuję. Właśnie na tym polega mój problem.

- Ja mam chyba taki sam problem - odparł.

Nie miała odwagi mu uwierzyć, nie chciała znów zanurzyć się w otchłani smutku i bólu, a jednak nie mogła przestać go kochać. Nie odrywał się spojrzenia od jej oczu, mocno ją pocałował. Kiedy cięknął jej koszulkę i szorty, jego szorstkie, stwardniałe dłonie budziły w niej dreszcz rozkoszy.

Dla miliona powodów powinna go odepchnąć, lecz ona zlekceważyła je i napawała się dotykiem wysportowanego, męskiego ciała. Całował i pieścił ją całą, a dostawała go sięj skórki, a jej wnętrza rozgrzewał artem podniecenia. Jako udało mu się zrzucić buty, a Shelby odpiła mu rozporek.

- Prosisz się o kłopoty.

- Tak? A b d je miała?

Nevada zaniósł się miechem, gł bokim i mrocznym jak nadchodząca noc. ci gn ł d insy i obna ył przed ni twarde jak skała ciało, mi nie wyrze bione wielogodzinne prac w pocie czoła.

- O, tak, Shelby. B dziesz je miała, i to du e.

Osun li się na ziemi . Znowu odnalazł jej usta, gor ce, spragnione, niecierpliwe. Lekko czu było od niego alkoholem i mydłem. Ich języki rozpoczę ły swój nami tny taniec. Nevada odpi ł Shelby stanik i jej piersi wypeł niły mu dłonie. Szorstkimi od pracy opuszkami zapami tałe pie cił jej sutki.

wiat zaczą ł wirować , d wi ki zza wzgórza przycichły. Shelby odwzajemniała szalone pocałunki. Pragn ła go. Teraz. Na zawsze. Albo chociaż na t chwil . To nie miało znaczenia. Pocałował j w zagł bienie szyi i co w niej się zmieniło, p kła tama, która dot d hamowała dz .

- Trzymaj się , Shelby - wyszeptał i przesun ł się ni ej. Przesuwał j zyk po ju nabrzmiewaj cych sutkach.

Zadygotała i się wypr yła. Zsun ł jej majtki, rzucił je na bok, a potem dotykał wprawnymi palcami, otwierał, masował to czułe miejsce w rodku, a ona wiała się i krzyczała. W rozkoszy zmieszanej z nut bólu chciała więcej, o wiele więcej.

- Nevada - szepnę ła ochryple. wiat wirował wokół jak szalony i Shelby miała wrażenie, e wszystko, czego chce, to mieć go teraz w sobie.

- Rozlu nij się , kochanie.

- Och Bo e, nie mog ... - Zamkn ła oczy. Przełkn ła lin . Czują narastaj cy w niej spazm. Nevada przewrócił j tak, e siedziała na nim okrakiem. Wystarczyło jedno pchnięcie i wypełnił j swoim nabrzmiałym członkiem. Krzykn ła i oparła się na jego ramionach, podczas gdy on mocno trzymał j za biodra i zmuszał do poruszania się wraz z nim, w zgodnym rytmie, uwalniaj c w niej ekstatyczne rado i poczucie, e topnieje od rodka.

Poruszał się coraz szybciej i gwałtowniej. Oboje ci ko dyszeli. Niebo pociemniało i ciało Shelby pokryła warstewka potu.

- O, tak... - mruzczał, kiedy targał ni spazm i miała wrażenie, e wiatr rozpada się przed jej oczami. - O, tak... wła nie tak. - Ledwie dyszał. Napi ł mi nie bioder, chwycił Shelby mocniej i szarpn ł ciałem do góry.

- O Bo e. - Wyczerpana położyła się na nim, a on otoczył j ramionami i przytulił; oboje próbowali odzyskać oddech i uspokoić rozszalałe serca.

Oparła głowę na jego ramieniu i poczuła, e Nevada muska wargami jej czoło. Dopiero gdy zaczą ł oddychać w normalnym tempie, podparła się na łokciu i rozkoszowała tym, e wiatr owiewa jej plecy. Wpatrzyła się w Nevadę , jej włosy opadły na bok.

- No, dobrze, kowboju, czy ty czego chciała - zagadnę ła, staraj c się nie u miecha - czy może po prostu rozglądała się za jak zdesperowaną kobietą , która nie umiałaby ci się oprzeć ?

- Dokładnie o to chodziło - powiedział i na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Tego wła nie się domyślałam.

Ucisnął j , westchn ła przeci gnie, a potem pocałował w skro .

- Zastanawiałem się ...

- O, o, teraz mamy kłopot.

Jego chichot odbił się echem po całym wozie.

- Chcesz powiedzieć , kolejne kłopoty.

- Tak. Właśnie nie to mam na myśli. - Dotknęła palcem czubka jego nosa, lecz on błyskawicznie, jak atakujący grzechotnik, chwycił ją za nadgarstek.

- Mówi powaźnie. Chcę, żebyś do mnie przeprowadziła.

- Co? - Przypatrywała się uważnie jego twarzy, szukała w niej choć odrobiny miłości, jej serce rosło, czekało na odpowiedź. - Dlaczego?

- Dla ochrony. Dopóki to wszystko się nie skończy. Dopóki nie znajdziemy Elizabeth i nie uporządkujemy wszystkiego.

Jej uszychały z miłości serce spadło na zimny, twarde bruk rzeczywiście. Dla ochrony?

- Dzisiaj znowu odebrałem głuchy telefon. Poza tym widziałem, jak McCallum jeździ po mieście; chyba powinniśmy być ostrożniejsi.

- Chcesz powiedzieć, że to ja powinnam być ostrożniejsza - uśmiechnęła się gniewnie, sięgnęła po swoje ubranie. - Dlaczego? Bo uważasz, że jestem jak bezbronna kobieta, która nie potrafi o siebie zadbać?

Znowu chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

- To ty zostałam zgwałcona, Shelby - wycedził, patrząc na nią uważnie. - Ja tylko chcę mieć pewność, że ta historia się nie powtórzy.

- Nie powtórzy się - zapewniła. - Ale nie z twojego powodu, Smith. Nie oczekuj od ciebie szlachetnych czynów. Nie jestem adwokatką w opresji i na pewno nie potrzebuję białego... niech będzie, czarnego rycerza, który pospieszy mi na ratunek.

- A czego potrzebujesz, Shelby? - zapytał. Jego oczy już dawno nie były tak poważne.

- Muszę znaleźć moją córkę, a poza tym nie wiem - odparła, przesywając go gniewnym spojrzeniem. - Ale mówmy na temat, Nevada. Czego ty potrzebujesz?

- Chciałbym to wiedzieć.

- Ja też. - Cofnęła rękę gwałtownie i zaczęła się ubierać. Co ona sobie wyobrażała? Znowu kochała się z nim. Jakby była jedną z tych idiotek, które zupełnie tracą rozum, kiedy całuje je Pan Ideał albo, jak w tym przypadku, Pan Nic Dobrego. Włożyła koszulkę, a potem naciągnęła szorty. Była wściekła na siebie.

Dwa paki kluczy wypadły jej z kieszeni, lekko pobrzękały.

Podniosła je i wepchnęła do kieszeni. Nevada obserwował ją podejrzliwie.

- Nie chciałabym ich zgubić i w końcu znaleźć się w tarapatkach - rzuciła z udawaną swobodą.

- Shelby... - Znowu wyciągnął do niej rękę, ale ona się cofnęła.

- Posłuchaj. Mam za sobą cięki dzień. Limit alów już wyczerpałam, okej? - Ruszyła w stronę konia. Im szybciej nabierze dystansu do Nevady Smitha, tym prędzej zacznie znowu logicznie myśleć.

- Co się stało?

Szybko włożyła dżinsy, dogonił Shelby, chwycił ją za nadgarstek i odwrócił do siebie. Jego twarz wyrażała niepokój i gdyby była jedną z tych głupok, którymi tak pogardzała, to mogłaby wręcz uwierzyć, że on ją kocha. Ale przecież jej nie kochał. Z pewnością troszczył się o nią: nie była aż tak głupia, żeby zaprzeczać czemuś tak boleśnie oczywistemu, i co on sam przyznał, ale żeby zaraz miłość? Niemożliwe. To nie w stylu Nevady Smitha. Nigdy nie było w jego stylu,

- Dowiedziałam się, że ta reporterka, która wjechała po całym miasteczku i wszystkich zagadywała...

- Katrina Nedelesky?

- Tak, ona. - Podniosła palec i zamruwała. Zaczęła się na dobre zmierzchać. - No cóż, okazuje się, że to nie tylko niezależna reporterka pisząca dla magazynu „Lone Star”. Nie jest też jej jedynym zamiarem napisanie demaskatorskiej, czyściwo fikcyjnej, czyściwo prawdziwej książki o Bad Luck.

- Co takiego?

- To nie wszystko - ciągnęła z uporem Shelby. - Tak się składa, że jest ona również moją przyrodną siostrą, córką Nell Hart, kelnerki, z którą się kiedyś miał romans i której potem zapłacił, żeby się wyniosła z miasta, zanim przyjdzie na świat owoc ich miłości.

- Chwileczkę ...

- Ale nie to jest najgorsze. O, nie. Ta historia robi się coraz bardziej dramatyczna - Shelby mówiła tak szybko, że nie panowała nad słowami. - Dziecko Nell Hart, Katrina, jest powodem samobójstwa mojej matki. Tak, zgadza się: wcale nie było tak, że któregoś wieczoru wypijała za dużo i niechcący przedawkowała. Nie. Była w takiej depresji, że miała myśli samobójcze, zażyła więc śmiertelną dawkę tabletek nasennych, popiła je alkoholem, a potem... a potem mój ojciec... przekłamywał zatuszował sprawę, żeby broń Boże nie wybuchł skandal; nigdy nie uznał swojej córki, nigdy nie przyjął do wiadomości, że jego żona, a moja matka, doświadczyła tak wielkiego bólu emocjonalnego, że postanowiła odebrać sobie życie.

- Och, kochanie...

- Nie rób tego! - powiedziała, kiedy wyciągnęła do niej rękę. - Tylko mnie nie dotykaj i nie mów mi, że wszystko będzie w porządku i nigdy nie... nigdy, przenigdy nie mów mi, co mam robić.

Mimo że się opierała, wzięła ją w ramiona i mocno przytulił, i nawet nie drgnęła, kiedy zaszlochała pierwszy raz. Łzy płynęły jej z oczu strumieniami, szarpała włosy na jego klatce piersiowej, próbując zapanować nad gwałtownymi emocjami.

- Och, na miłość boską! - pocięła nosem. - Nie miałam zamiaru rozklejać się jak jakieś ałosne, słabe babsko. A niech to, Nevada, dlaczego tak się zawsze dzieje?

- Nie wiem. - Objął ją mocniej i wybuchł śmiechem. - Ale uwierz mi, Shelby, nigdy nie pomyślałbym o tobie jak o ałosnym, słabym babsku.

- Dobrze. - Wytrzeła nos wierzchem dłoni i potrzyła głowę, żeby oprzytomnieć. Zapadł już zmrok, a w oddali zabrzmiało wycie kojota. - Ale jeżeli urządzisz takich przedstawień, będziesz musiał zmienić zdanie.

- W tpi. - Oplótł ją ramionami i odchylił się do tyłu, żeby spojrzeć jej w oczy. - Ale martwi się McCallumem.

- Nie powinieneś.

- Shelby...

- Nic mi się nie stanie - zapewniła. Nie chciała dać się zastraszyć. Pocałowała go w policzek. - Byłby głupcem, gdyby znowu czegoś ze mną próbował.

- No, tak, z tego, co wiem, nie dostał ostatnio żadnych nagród za inteligencję, a poza tym nie mówimy o człowieku zachowującym się racjonalnie.

- Bądź ostrożna. - Wyrwała się z jego objęcia i wzięła do ręki lejce konia.

Przestał się uśmiechać.

- Wiesz, nie musisz być ostra.

- Oczywiście, że wiem, Nevada. - Wskoczyła na siodło i patrzyła na niego przeciwnie. - Oboje to wiemy.

Katrina rozmasowała sobie zdr tniały kark i wpatrywała si w cztery obskurne ciany malutkiego pokoju w zaje dzie Well, Come Inn; spogl dała na po ółkle, niegdy be owe draperie i na łó ko, zapadni te po rodku.

Wcze niej wł czyła stoj cy w rogu telewizor. D wi k był ciszony. Nadawali sitcom, którego nie znała, i co kilka sekund słyszała nagrany miech. Le c z laptopem na okropnie niewygodnym łó ku, usiłowała uporz dko- wa swoje notatki. Na nocnym stoliku stała szklanka z tequil . Na razie wypła tylko jeden łyk - trunek był okropny i palił jej gardło.

Po konfrontacji ze swoim stukni tym ojcem Katrina czuła si zm czona, niespokojna, sfrustrowana. Zastanawiała si nawet, czy nie wróci do dawnego nałogu i nie skombinowa skr ta. Nawet na tym zadupiu musiał by jaki diler, który by j zaopatrzył w marihuan albo kokain .

- Nawet o tym nie my l - mrukn ła w ciekła na siebie. Kiedy rzuciła narkotyki, a przy okazji tak e m a, i nic nie zmusi jej do powrotu na t drog , nawet spotkanie z wszechmocnym s dzi .

Wypła kolejny łyk teraz ju ciepłego alkoholu i pomy lała, e na pewno s lepsze sposoby, eby powoli si zabija . Potem zapisała wiersz, który usłyszała wcze niej tego dnia w pubie White Horse. Brzmiał jak dzieci ca wyliczanka. Wtedy pomy lała, e jest zabawny, ale teraz wydał jej si a nadto prawdziwy.

Jak to szło? Aha:

Stary s dzia Cole

Okropn star dusz miał,

Wredny był z niego wał.

No, wła nie. Znowu zacz ła szybko stuka w klawisze, gdy usłyszała łomot i gniewny krzyk z s siedniego pokoju; jaka kobieta wrzeszczała po hiszpa sku, a m czyzna jej odpowiadał. wietnie, pomy lała Katrina. Zacz ła si zastanawia , czy zaraz padnie ofiar przypadkowej kuli wystrzelonej podczas domowej sprzeczki.

Telewizor zacz ł gra gło niej, bo lokalna stacja nadała reklam jakiej odchudzaj cej mikstury. Cho Katrina z trudem si koncentrowała, nie przestawała pracowa . Obiecywała magazynowi swój materiał od jakiego czasu, ale ci gle mówiła redaktorom, e jeszcze nie sko czyła, a ze wzgl du na mier Caleba Swaggetta musi doda now perspektyw : wzi pod uwag mo liwo , e kto go zamordował, eby zamkn mu usta.

Taka ewentualno zdecydowanie wchodziła w gr .

Caleb Swaggett oczywi cie nie był postaci formatu Karen Silkwood*. W gruncie rzeczy mo e wierutnie kłamał tylko po to, eby napcha kieszenie swojej córce, ale istniało prawdopodobie stwo, e wiedział zbyt du o, e za bardzo rozpu cił j zyk i wkurzył kogo , kto postanowił wzi ycie starego człowieka w swoje r ce i uciszy Caleba raz na zawsze. Je eli rzeczywi cie tak było, Katrina wkrótce równie mogła znale si w niebezpie- cze stwie.

Cudownie.

My l, e kto mógłby chcie j załatwi , nie opuszczała jej od paru dni, i kiedy rozejrzała si po cianach pokoju, przenikn ł j dreszcz. Nie ryzykujesz, nie masz, napomniała siebie. Wszyscy dobrzy reporterzy nara aj si na niebezpiecze stwo. Na przykład zostaj w krajach, gdzie tocz si wojny, eby zrobi dobry materiał, albo podchodz do płon cych samolotów, albo przeprowadzaj wywiady z despotycznymi władcami, a wszystko to dla sławy.

* Karen Silkwood zgin ła w 1973 roku w wypadku samochodowym, jad c na spotkanie z "New York Times" któremu chciała udost pni materiały dotycz ce niebezpiecznych warunków pracy w el

Ale mimo to... Katrina nie była aż tak głupia, żeby narażać życie dla jakiejś historii. Sława była dla niej, pieniądze jeszcze bardziej, lecz nie na tyle, by dla nich umierać. I chociaż marzyło jej się zdemaskowanie sędziego Jerome'a „Reda” Cole'a i pokazanie, jakim jest sukinsynem, to nawet dla takiej satysfakcji nie warto było nadstawiać karku. I dlatego kupiła broń - mały, srebrny pistolet, wietnie dopasowany do jej dłoni.

Miała nadzieję, że nigdy nie będzie musiała go użyć.

Ponownie skoncentrowała uwagę na monitorze laptopa, a walka w sypialnym pokoju ucichła. W telewizji leciał jakiś film, ale Katrina rozmyślała o Shelby Cole. Księżniczka. Jej przyrodnia siostra. Niezadowolona matka. Hm, ta historia była naprawdę interesująca. Sędzia, zgodnie ze swoim odrażającym, samolubnym charakterem, odmówił uznania Katriny za swoją córkę, a potem zrobił to samo własnej wnuczce, czyli córce Shelby.

Kto jest ojcem tego dziecka? Katrina postanowiła, że to ustali. Wydawało się, że Shelby bardzo zależy na tym, żeby ją odnaleźć, ale czynnie byłoby zabawnie, gdyby Katrina ją uprzedziła? Ostatecznie znała sporo ustosunkowanych ludzi.

Umiechnęła się do siebie i niemal nie wyskoczyła ze skóry, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

- Kto tam? - zapytała, odsuwając laptopa. Wstała z łóżka. Pamiętała, że trzyma pistolet w torebce.

- To pani jest reporterka? - zagadnął jakiś męski głos.

- Tak. - Wyciągnęła rękę po torebkę.

- Wietnie. Nazywam się Ross McCallum.

Jej serce przestało bić z wrażenia.

- Słyszysz mnie pani?

- Tttak. - O Boże. To była dla niej życiowa szansa albo najstraszniejszy koszmar. Kiedy otwierała torebkę, serce podchodziło jej do gardła. - Co mogą dla pana zrobić?

- Może pani otworzy drzwi, to pogadamy?

Nie ryzykujesz, nie masz, powtarzała sobie kolejny raz, jakby to była litania. Trzymaj się w jednej ręce torebkę, drugą odsunęła zasuwę, zdjęła słuchawki i otworzyła drzwi na oścież.

Stanął przed nią w błękitnej łunie ulicznych latarni i oparł się o framugę drzwi. Wyglądał dokładnie tak, jak na zdjęciach, które oglądała - jak bandzior.

- Pan McCallum - powiedziała spokojnym tonem, chociaż czuła, że zaraz zsiada się w majtki ze strachu. Z tego człowieka emanowało czyste zło. - Czy to nie zbieg okoliczności? Właśnie miałam zadzwonić i zaproponować spotkanie.

Prychnął z niedowierzaniem i wlepił w nią swoje zimne, surowe oczy, które niemo oskarżały go o kłamstwo.

- No, dobrze, przystępnym do rzeczy - powiedział, obrzucając spojrzeniem malutki, ciasny pokój i stojący na stoliku zakorkowane butelki tequili. - Skoro Caleb Swaggert nie żyje, to pewno będzie pani chciała podpisać umowę ze mną.

A więc o to mu chodziło.

- Możliwe.

- Co? - Szybko odwrócił głowę i przeszył ją zimnym spojrzeniem. - Proszę posłuchać, oczekuję takiej samej umowy, jak dała pani Swaggertowi. W zamian dostaje pani moją wersję zdarzenia.

- Pańskie zeznanie już figuruje w publicznych rejestrach, podczas gdy pan Swaggert zmienił swoje, narażając się

wypadku do dziś nie zostały wyjawione (przyp. tłum.).

na zarzut krzywoprzysięstwa. Nie dam panu ani centa, dopóki nie uzyskam od pana zapewnienia, że ma pan coś do dodania, coś nowego, i nawet gdyby tak było, muszę jeszcze porozmawiać z redakcją magazynu.

- Hej, odsiedziałem swoje. Spędziłem osiem lat w więzieniu za zbrodnię, której nie popełniłem, więc niech mnie pani nie wkurwia.

- To pan niech mnie nie wkurwia. Posłuchajmy, co ma pan do powiedzenia, nieoficjalnie. Jeśli zdecyduje, że warto zapłacić za pańskie relacje i wydrukować je, zadzwoni do magazynu. - Wytrzymała jego spojrzenie i ani na moment nie dała po sobie poznać, że w środku trzęsie się jak galareta.

Zaskoczony uniósł brew. Wykrzywił usta.

- No dobrze, panienko.

- Katrina. Albo pani Nedelesky. Pan wybiera.

- Niech będzie Katrina. Może postawisz mi drinka? - Skinął głową w stronę prawie pełnej butelki.

- Czemu nie. - Wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi na klucz. - Chodźmy do White Horse. - Chociaż bardzo chciała usłyszeć jego historię, nie zamierzała być z nim sama na sam w motelowym pokoju. Pub był naprzeciwko i gdyby McCallum zaczął jej grozić albo zachowywać się brutalnie, miałyby duży oświadczenia.

- Kto może nas usłyszeć.

- Jestem gotowa podjąć ryzyko. - Zrzuciła pasek torebki na ramię. Samą torebkę trzymała mocno w prawej ręce. Przeszli przez parking, a potem na drugą stronę ulicy, klucząc między rozparkowanymi samochodami.

W White Horse Ross McCallum otworzył jej drzwi. Owionął ją papierosowy dym. Z pubu dobiegały dźwięki muzyki country i rozmowy klientów.

Bardzo zdenerwowana, wiadomo, że za chwilę by może przeprowadzi wywiad swojego życia, Katrina weszła do lokalu, zastanawiając się, czy czeka ją drink z mordercem.

Rozpoznała kilkoro stałych bywalców. Manny Dauber i Badger Collins grali w bilard w rogu pomieszczenia. Grupa Latynosów opierała się o kontuar i oglądała mecz baseballowy w telewizorze nad barem. Parę kobiet siedziało przy stolikach, miały się, paliły papierosy i rozglądały dookoła. Była wśród nich Ruby Dee, która na widok przechodzącego obok niej Rossa aż się skurczyła i wpatrzyła w neonowe reklamy piwa w oknie. Za barem stała Lucy Pride, która obserwowała każdą wchodzącą do pubu osobę. Mrugnęła do McCalluma, gdy ten podszedł z Katrina do nowego stolika.

Spojrzenia, które rzucano w ich kierunku, świadczyły o niemałym, wręcz nadmiernym zainteresowaniu. Katrina wyczuła zmianę nastroju w barze, jak gdyby powietrze się naelektryzowało.

- Co dla państwa? - zapytała Lucy; podeszła w momencie, gdy Katrina położyła torebkę na ławie obok siebie.

- Dla mnie to co zwykle - powiedział Ross.

- Tylko coca-cola. - Katrina nie chciała pić alkoholu.

- Już się robi. - Lucy zniknęła.

- Waga lekka, co? - zauważył Ross, odchylając się do tyłu i obrzucając wzrokiem.

- To sprawa słubowa.

- A mogłoby być coś więcej.

- Nieśmiało. - Pochyliła się do przodu. - To teraz może mi powiesz, dlaczego uważasz, że bardzo chciała ci zapłacić za twój wersj.

Uśmiechnął się chytrze.

- Bo wiem, kto zabił Ramóna Estevana.

- A mimo to spędził osiem lat w więzieniu.

- Zostałem wystawiony. Wrobiony. Przecież Caleb Swaggert sam to powiedział, prawda? Czy nie zapłacono mu, żeby wskazał mnie palcem?

Lucy przyniosła zamówione drinki, a Ross powiedział:

- Zapisz to na rachunek tej damy.

- Zgadza się - przytaknęła Katrina. Chciała wysłucha Rossa, chociaż uważała, że on nie do końca wie, o czym mówi.

- Proszę bardzo.

Z ukrytych głosek szafy grającej popłynął stary przebój Patsy Cline. Ross pociągnął łyk piwa, a Lucy szybko wróciła za kontuar, bo zauważyła, że do White Horse wchodzi nowi klienci.

- No, dobra, zaczynamy - powiedziała Katrina. Zamieszała colę i dostrzegła pośród kostek lodu jeden wisienkowy maraschino. - Kto zabił Ramóna Estevana?

Rossowi nawet nie drgnęła powieka.

- Nevada Smith.

- Zaraz, zaraz. Przecież on pracował wtedy w Biurze Szeryfa. Był w jego wozie, a poza tym jaki mógłby mieć motyw?

- Nienawidził Estevana. Stary był strasznie porywczy. Wszyscy w miasteczku o tym wiedzieli.

Katrina się czyła colę. Czekwała.

- Zanim Smith związał się z Shelby Cole, bywał często w domu Estevanów, bo spotykał się z córką Ramóna.

- Vianca.

- Tak.

- No i... - ponagliła go Katrina; Patsy nadal zawodziła, a dym w barze gęstniał coraz bardziej.

- Staremu nie spodobało się, że Nevada rzucił jego córkę dla Shelby Cole. - Ross pociągnął łyk i zmarszczył brwi. - Estevan łatwo wpadał w szał. Jak mi nie wierzysz, zapytaj kogokolwiek w mieście.

O tym akurat wiedziała. Caleb Swaggert określił Ramóna Estevana mianem „krewkiego Meksykanina”, a kilku innych mieszkańców miasteczka, przepytanych przez nią, chyba się zgadzało z tą oceną, chociaż co do tego nie miała pewności.

- A więc Nevada Smith i Shelby Cole chodzili ze sobą mniej więcej w okresie, kiedy Ramón został zabity.

Oczywiście byli jak szparki.

- Tak.

Policzyła pewne rzeczy w pamięci i domyśliła się, że to Nevada Smith jest ojcem dziecka Shelby. Hm, czy to nie interesujące? Oczywiście, którego Ross McCallum próbuje obwiniać o morderstwo, oczywiście, który dopilnował, żeby to Ross odpowiedział za śmierć Estevana, okazuje się ojcem dziecka Shelby!

- Robi się coraz ciekawiej - mruknęła i wypila kolejny łyk coli. - Masz jakiś dowód?

- On nie miał żadnego dowodu, kiedy mnie wystawiał.

- Chwileczkę. Wystawiał? Chcesz powiedzieć, że on cię wrobił?

- Nazywaj to, jak chcesz. - Ross dopił piwo i dał Lucy znak, że chce jeszcze jedno. - A teraz posłuchaj. Mamy umowę czy nie? - Pochylił się do przodu, oparł łokciami o blat stołu, ciskał pustą

Za darmo nie b d si wywn trzał. Mam dosta co najmniej tyle, ile dawała Swaggertowi.

Błyszczały mu oczy i Katrina uznała, e on całkiem nie le si prezentuje. Oczywi cie w wyblakłym T-shircie, znoszonych d insach i startych butach wygl dał jak prostak, ale to jego wybuchowy charakter i wiecznie ponura mina sprawiały, e nie uwa ano go za przystojniaka.

- Zrobi , co si da - obiecała. - Jaki jest twój numer? Zadzwoń do ciebie.

Ross u miechn ł si przeci gle i złowrogo.

- Telefonu nie mam, ale nie martw si , złotko. Odezw si do ciebie. - Mrugn ł do niej, a ona miała wra enie, e co zmroziło jej krew.

- Dobrze. - Pogrzebała w torebce i znalazła dwudziestodolarowy banknot, który poło yła na stole. Jej palce musn ły mały pistolet. Zastanawiała si , czy starczy jej odwagi, eby go u y . - A wi c do nast pnego razu. - Zdobyła si na u miech, ale wychodziła z pubu tak, jakby miała nogi z waty.

Zrozumiała natychmiast i bez najmniejszych w tpliwo ci, e miejsce Rossa McCalluma jest za kratkami.

Rozdział 16

Nie obchodzi mnie, co musisz zrobi , Levinson. Pomó mi tylko odnale mojego dzieciaka - Nevada burkn ł do telefonu. Był zgrzany, zm czony i cholernie sfrustrowany. Dwie klacze nie zjadły paszy, traktor na południowym wybiegu si zepsuł, a w dodatku Nevada miał wra enie, e z s siedniego podjazdu - drogi do domu Adamsów, obecnie jego posiadło ci - wczoraj po południu wyjechał wóz Shepa Marsona. Ale nie miał pewno ci. Sło ce okropnie dawało mu si we znaki. Jego gor ce, o lepij ce promienie odbijały si od zderzaka pikapa. Zanim Nevada zd ył uruchomi swoj star furgonetk i ruszy w po cig za intruzem, tamten wóz był ju tylko malutk plamk w tumanie kurzu.

Nevady nie opuszczało przecucie, e wkrótce wydarzy si co wa nego. Co gorsza, bardzo si martwił o Shelby. Uwa ał, e ona na pewno wpakuje si w jakie kłopoty. Ta my l nie dawała mu spokoju i podzielił si ni z Levinsonem.

- Musi by jaki sposób, eby j znale .

- Robi , co mog . - Głos Levinsona brzmiał oboj tnie. Niezobowi zuj co.

- Ja te .

Nevada pojechał do szpitala, w którym urodziła si Elizabeth, przekupił pracownika administracyjnego i wydobyl informacje na temat tego, kto pracował na oddziale poło niczym tamtego feralnego tygodnia. Rozmawiał ze wszystkimi lekarzami, piel gniarkami i osobami z personelu administracyjnego, których udało mu si odszuka , ale nikt z tych ludzi nie miał dy uru w t noc, kiedy Shelby Cole urodziła dziecko. Albo nikt si do tego nie przyznał.

- B d nadal nad tym pracował.

- Dobrze. I sprawd niektóre z tych osób. - Nevada podał list pracowników szpitala, których nie był w stanie odszuka - ludzie ci by mo e pracowali w noc, podczas której Shelby rodziła.

- Zrobi si .

- I nie zapomnij o Rossie McCallumie.

- Och, nie zapomn - odparł Levinson z u miechem w głosie. - Zamierzam znale na temat tego koleisia wszystko, co si da.

- Dobrze.

Przez chwilę milczeli, a potem prywatny detektyw powiedział:

- Skoro już o tym mowa, pomyślałem, że mógłbym ci pomóc w odnalezieniu matki.

Twarz Nevady skamieniała.

- Nie trud się.

- Ja tylko pomyślałem, że skoro próbujesz odnaleźć córkę, może byłaby to odpowiednia pora...

- Daj sobie spokój. - Nevada był nieprzejednany. Kobieta, która go urodziła, wyszła z domu i nie wróciła, kiedy był jeszcze tak mały, że nawet jej nie zapamiętał. Stwierdził, że po prostu go nie chciała, chociaż nie umiał sobie wyobrazić, z jakiego powodu. Jako chłopiec próbował zrozumieć odrzucenie i gdzie w najmroczniejszych zakamarkach jego duszy zagościła myśl, że nie był do niej dobry, choć racjonalny umysł sugerował inne, bardziej konkretne i oczywiste przyczyny. Była młoda. Jej mąż był pijakiem. Musiała uciec, żeby przetrwać.

Ale zostawiła Nevada.

Z tego, co było mu wiadomo, nigdy nie wróciła. Może nawet już nie żyła. Albo mamie egzystowała w jakimś domu opieki. Albo zaliczała się do wyszłych sfer i miała willę nad Morzem Ródziennym. Zresztą, to było bez znaczenia. Matka nie liczyła się w jego życiu, chociaż stanowiła jeden z osobliwych powodów, dla których postanowił sobie, że odnajdzie własne dziecko i nawiąże z nim kontakt.

O ile pozwoliła na to sama Elizabeth i osoba, która ją zaadoptowała.

O ile w ogóle ją znajdzie. Zaciśniętą pięścią w geście frustracji, a drugą ręką nadal kurczowo trzymał słuchawkę.

- Daj mi znać, jeśli zmienisz zdanie - powiedział Levinson.

- Nie zmienię.

Nevada odwiesił słuchawkę. Był niespokojny, jak wystraszony ogier, który wyczuwa obecność drapieżnika w pobliżu. Zmierzył włosy palcami. Wmawiał sobie, że to tylko wyobrażenia, ale nie mógł uwolnić się od uczucia, że zdarzy się coś złego. I że on sam nie może zrobić absolutnie nic, żeby temu czemuś zapobiec.

- A niech to dunder wi nie - jęknął, a nawet ma przy sobie Marlboro, chociaż rzucił palenie wiele lat temu. Potrzebował czegoś na uspokojenie. Do szafki doprowadzało go to, że przebywał w tym samym okręgu co Shelby i wiedział, jak niewiele kilometrów ich dzieli, a tak wiadomo, że Shelby nie jest bezpieczna i że McCallum coś knuje, a on sam nie jest w stanie odnaleźć swojego dziecka.

Zadzwoił telefon i Nevada się spiął. Prawdopodobnie znowu jakiś anonim. Chwycił słuchawkę i burknął „halo” opryskliwym tonem.

- Smith?

Rozpoznał głos. I poczuł jeszcze większe napięcie w ramionach. Oparł się biodrem o blat i skupił całą uwagę na rozmowie.

- Sdzia Cole.

- Myślę, że powinniśmy się spotkać - oznajmił bez żadnych wstępów ojciec Shelby.

- Po co?

- Przekonasz się, jak dojedziesz na miejsce.

- A gdzie mam dojechać?

Jego rozmówca wahał się przez chwilę. Nevada zastanawiał się, co takiego ma w zanadrzu sdzia Red Cole. Spojrzył przez podarty ekran na tylny ganek, gdzie na macie leżał zawsze czujny Cro

- Moje biuro w centrum - zdecydował się dziać. - Dziś wieczorem o dziesiątej.

Nevada zerknął na swój zegarek. Nie było jeszcze ósmej.

- Dlaczego nie powie mi pan, o co chodzi, przez telefon?

- Nie zadawaj pytań. Przyjedziesz, to się dowiesz.

- Nie rozumiem po co.

- To wiemy się z Shelby. I Rossem McCallumem.

Nevada poczuł, że je mu się włoski na karku, ale zaraz przypomniał sobie, z kim ma do czynienia. Nie zdziwiłby się, gdyby Red Cole okazał się człowiekiem, który ucieka się do melodramatycznych sztuczek, żeby przeforsować swoje stanowisko.

- I nie może mi pan powiedzieć tego przez telefon?

- Nie.

- Niech pan posłucha, sędzio. Cały ten cyrk spod znaku płaszcza i szpady jakoś do mnie nie przemawia. Proszę po prostu powiedzieć to, co ma pan do powiedzenia.

- Zrobi to. O dziesiątej.

Na linii co się zaczęło i połączenie zostało przerwane.

Nevada odwiesił słuchawkę i spojrzał na zegarek. Jeszcze dwie godziny do randki z diabłem.

- Muszę z tobą porozmawiać. - Przez telefon głos Vianki brzmiał stanowczo. Choć Shep był w biurze, poczuł, jak czerwienieją jego uszy, i wyobraził sobie, że wszyscy dookoła go słyszą. Rozejrzał się nerwowo po niegdyż zielonych ścianach pomieszczenia. Kiedy była to otwarta przestrzeń zavalona biurkami, lecz teraz urządzono tu boksy z przenośnymi i teoretycznie dźwiękoszczelnymi ściankami.

- Chodzi o... to ma związek z morderstwem mojego ojca - powiedziała Vianca. Shep wyczuł wahanie w jej głosie.

- Zaraz przyjadę. - Już samo to, że ją usłyszał, poprawiło mu nastrój. Natychmiast zapomniał o wykonywanej przez siebie papierkowej robocie.

- Nie, ja wciąż jestem w szpitalu. Przyjedę później. Do domu.

Jego głupie serce zaczęło walić w oszalałym tempie.

- Muszę pracować w sklepie, potem opiekuję się *madre*. Dzisiaj wraca do domu ze szpitala.

Jego nad tym mocno ucierpiało. A zatem będzie tam i starsza pani. Zero szansy, żeby być z Viancą sam na sam.

Jednak przez resztę dnia pamiętał o probie Vianki, również gdy odwiedził laboratorium i przeglądał akta morderstwa Estevana.

Teraz, kiedy parkował wóz przy krawężniku naprzeciwko bungalowu Estevanów, uśmiechnął się do siebie. Dzisiaj mu się powiedzie - w ten czy inny sposób. Czuł to jak trzask błyskawicy w powietrzu.

Po wiścił trochę czasu na to, żeby się ogolić, a nawet wyszorował zębami i włożył czysty koszul; potem ruszył w miasto, zmagając się z wyrzutami sumienia. Fakt, miał tu do załatwienia spraw. Nawet gdyby Vianca nie zadzwoniła, powinien jeszcze raz przesłuchać wszystkich członków rodziny Ramóna. Ale to nie ze względu na słuchawki miał nadzieję, że wie o oddechu i skropił się wodą kolo-sk Right Guard. O, nie. Zrobił to wszystko po to, żeby Vianca zobaczyła w nim mężczyznę.

Spojrzał na swoje odbicie we wstecznym lusterku i przyglądał się sobie w sów; na

jest w nich więcej siwych niż rudych włosów. Do diabła, zbliżał się do pięćdziesiątki. Miał obwisły brzuch, włosy mu się przerzedzały, i jeszcze nigdy nie zdradził Peggy Sue. Nigdy nie myślał, że by gdzie chciał - przecie jego ona była taka ładna i w ogóle - ale oto był tutaj i czuł się jak młodzieniaszek. A wszystko z powodu Vianki.

Prawdopodobnie mówił, że Peggy Sue się zmieniła. Zrobiła tnięcia. Zawsze była zbyt zmęczona na szybki numerki i przez pięćnaście lat, kiedy byli małżeństwem, zapominała, jak się miała.

Shep westchnął i zastanawiał się, czy za chwilę zniszczy resztę swojego życia. Wiedział, że wszyscy uważają go za wrednego sukinkota w pracy i, szczerze mówiąc, zasłużył sobie na to. Kiedy był dumny ze swojej reputacji. Nigdy nie bał się użyć pałki, żeby zdeptać delikwenta po głowie albo w brzuch, albo w plecy. Posuwał się nawet do tego, że „dopasowywał” dowody, jeżeli trzeba było skazać odpowiednią osobę, albo przymykał oko, kiedy któryś z jego przyjaciół złamał prawo.

Miał swój zestaw zasad i były one nader rozciągliwe. Za odpowiednią cenę. Nie widział nic złego w tym, że brał od przyjaciela parę dolarów za przysługę. Do diabła, gdyby nie uporządkował sprawy Johnsona juniora, który po pijaku strzelał do znaków drogowych „stop” i jakim cudem zdołał zabić rozplodowego byka starego Cowana, dzieciak wylądowałby w więzieniu i pewno nigdy nie skończyłby college’u. Shep strasznie go zbeształ, trochę obić, powiedział, jaki jest z niego gówniarz, a potem przyjął dowód winy od jego ojca.

Wszystko dobrze się skończyło. Byk Cowana był ubezpieczony, a dzieciak Johnsona został księgowym, sporządzał nawet po lubił metodystki i miał z nimi bliźniactwo. A najstarszy syn Shepa, Timmy, dostał aparat na zęby.

Numer z Johnsonem wypalił. Czy to było opłacanie się strówoi sprawiedliwie? Łapówka? A kogo to obchodziło? Zdaniem Shepa sprawiedliwie stało się za darmo, nie kosztowało to podatnika ani centa, a najgorszym efektem całej sprawy było to, że stary Cowan jadał najgrubsze, najtwardsze steki po tej stronie Amarillo.

To nie tak, że Shep był nieuczciwy. Co to, to nie. On był po prostu praktyczny. A praktyczny człowiek musi umieć zadbać o sprawy.

Ale ani razu nie zdradził Peggy Sue. Oczywiście miał mnóstwo okazji. Mnóstwo kobiet interesowało się nim. Mnóstwo. Ale nie chciał ryzykować utraty żony i dzieci.

A do teraz.

Do spotkania z Vianką.

Błądzał palcami po kierownicy i patrzył, jak jakiś bezpański pies biegnie z podwiniętym ogonem po ulicy. Otworzył drzwi i wyszedł na parne powietrze. Uskrzydlał go nie tylko fakt, że Vianka chciała się z nim widzieć. O, nie. Ciężko było do tego doprowadzić całą zastępę ludzi i dziesiątki chłopaków z laboratorium, którzy w ekspresowym tempie zrobili analizę balistyczną i zbadali odciski palców na trzydziestkośmiu znalezionej przez niego w starej kopalni na działce Adamsa, udało się ustalić ponad wszelką wątpliwość, że to właśnie z tej broni zastrzelono Ramóna Estevana. Jak należało się spodziewać, broń była zarejestrowana na Nevada Smitha i znajdowały się na niej tylko jego odciski palców.

Pracownicy laboratorium sprawdzili plastik, w który została owinięta trzydziestkośmiu, i nie znaleźli na nim żadnych odcisków, próbek włosów ani niczego, co mogłoby im jakoś pomóc. Pozostało jeszcze ustalenie, ile czasu broń leżała na krokwi, ale na razie Nevada Smith był w tej sprawie osobą najbardziej zainteresowaną.

To niepokoiło Shepa. Miał na temat Nevady nie najlepsze mniemanie. Podejrzewał nawet, że Smith przekupił Caleba Swaggerta i Ruby Dee, żeby zeznawali na niekorzyść Rossa McCalluma. Sm

mieli ze sobą na piekno. Ale zaraz morderstwo? Wrabianie? Dla Shepa to było jak gorzka pigułka. Na swój sposób lubił Nevada.

Ale wczepił się i teraz Nevada Smith był w niewesołym położeniu.

Wszedł po schodach do domu Vianki. Dr czyła go myślała, kto jeszcze wiedział o pistolecie: anonimowy cynk musiał przecież skąd pochodzi. Czy by Nevada nie umiał trzymać języka za zębami? Może się przechwalał? Albo niechcący, może nawet po pijanemu, wygadał, gdzie jest broń. Co tu nie grało.

Kiedy podszedł do drzwi, ciekawiana kotka zeskoczyła ze swojego legowiska na parapiecie okiennym i zniknęła za terakotową doniczką z kwiatkami bugenwillami.

Shep zapukał w ekran z siatki i zajrzał do zaciemnionego wnętrza. W rogu pokoju stał telewizor, nastawiony na hiszpański zyczny kanał.

- *Momento* - zawołała Vianca gdzieś z rodzimego domu. Puls Shepa poszybował ku stratosferze, gdy tylko usłyszał jej głos.

Pojawiła się niemal natychmiast. Patrzyła na niego spokojnymi, ciemnymi oczami, kiedy otwierała drzwi.

- Dziękuję, że przyjechała.

- Nie ma za co. - cięgnął kapelusz i trzymał jego kres w spoconych palcach.

- Proszę, daj mi go. - Wzięła od niego kapelusz, muskając przy tym jego palec. Przeszył go rozkoszny dreszcz, od rękaw po miejsce, w którym barki łączą się z kręgosłupem. Zapachy korzennych przypraw i papierosowego dymu mieszały się z wonią jej perfum. - Chciałbyś czego napić? Mam colę albo kawę, albo...

- Nie, dziękuję - skłamał. Zupełnie zaschło mu w gardle. Jej włosy były ciemne i błyszczące; delikatne łoki okalały twarz w kształcie serca. Wietliste oczy spoglądały na niego spod prostego, krótkiego nosa. Vianca miała najpełniejsze wargi, jakie kiedykolwiek widział. Była ubrana w białe dżinsy, szeroki, czarny pas ze srebrną sprzączką i intensywnie różowy top, który opinał jej piersi. - Mówiła, że masz informacje o tej sprawie.

- Tak... chwileczkę. Muszę sprawdzić, co u *madre*. Proszę, usiedź. - Pokazała mu kanapę w pokoju, gdzie grał telewizor.

Shep czuł się staro i niezdarnie; zaaranżowany, przemknął obok małego ołtarza, ustawionego między salonem a jadalnią. Malowidło przedstawiające Jezusa z wyraźnie pokazanym sercem było podświetlone od tyłu. Stół pod obrazem był przykryty serwetką; całość dopełniały migoczące świece i kilka fotografii uśmiechniętego Ramóna, oprawionych w ramki.

Shep poczuł się nieswojo. Urodził się w rodzinie metodystów i w tym obrędku był wychowywany, toteż nie do końca ufał katolikom; zresztą luteranom czy mormonom też nie. Nie był pewien nawet baptystów, ale się z tym nie zdradzał, bo rodzice Peggy Sue należeli akurat do tego Kościoła.

Usiadł na przykrytej pledem kanapie, która czasy wietno ci miała zdecydowanie za sobą, i ledził wzrokiem Vianę. Miała na sobie tak obcisłe dżinsy, że widać było szczeliny między jej sprężystymi, małymi pośladkami. Shep zastanawiał się, co by czuł, gdyby udało mu się przebiec palcami albo językiem po tym seksownym miejscu.

Weszła do małej sypialni; dostrzegł krawędź łóżka i małego, przykrytego narzutem. Zobaczył te dwa wzniesienia: stopy pani Aloise. Najwyraźniej starsza pani odpoczywała. Vianca pojawiła się po paru sekundach. Po cichu zamknęła za sobą drzwi i leciutko uśmiechnęła się do swojego gościa.

- Hm - zaczęła, siadając obok niego na kanapie i składając ręce między kolanami. - Jest coś, co musisz ci powiedzieć. - Uśmiech zniknął. Zastąpiła go kamienna powaga i Shep odniósł wzrok.

Vianca troch pobałła.

- Co?

- Chodzi o Nevada .

Shep natychmiast zrobił si czujny. Dawno temu Nevada i Vianca chodzili ze sob . Mówiło si , e nigdy nie przebołała tego, e zostawił j dla Shelby Cole.

Vianca wci gn ła powietrze.

- Przedtem kłamałam na jego temat. Nie chciałam, eby wpadł w tarapaty. Och, *Dios*. - Nerwowo oblizała wargi i Shep pomy lał, e zaraz oszaleje. Jego przekl ty penis był twardy jak skała. - Widziałam go tamtej nocy, kiedy został zabity mój ojciec. W sklepie.

- Tak mówiła . Ale to było wcz e niej. Kiedy był z twoim kuzynem Joem Hawkiem.

- Nie, wrócił pó niej. Sam. - Mówiła tak cicho, e ledwo j słyszał. Przygryzała swoje cudowne usta, a do jej oczu napływały łzy. - Ja... byłam w nim zakochana i nie chciałam, eby co mu si stało. Nie mogłam uwierzyy ... - Głos jej si załamał i zasłoniła usta mał dłoni .

- W porz dku. Po prostu powiedz mi, co widziała .

- Byli my sami w sklepie. Nas troje. *Padre*, ja i Nevada. Wywi zała si kłótnia. Mój ojciec... on nie lubił Nevady. Padły słowa... gniewne słowa, i Nevada wyszedł.

- Wszedł ze sklepu?

- *Si*. - Si gn ła po paczk papierosów na stole, wytrzn ła jednego papierosa i chciała go zapali . Była tak roztr ziona, e nie mogła przytkn płomienia zapalniczki do papierosa. Shep miał ochot jej pomóc, ale oparł si pokusie i czekał, a Vianca zdołała si uspoko i zaci gn dymem.

- Czy prowadził swój wóz?

- Nie zauwa yłam... za bardzo byłam przygn biona. - Potarła ramiona, jakby nagle zrobiło jej si zimno, i znowu walczyła ze łzami.

- Co stało si potem?

Przełkn ła lin i odwróciła wzrok. Jej oczy skupiły si na obrazie Jezusa. Jeszcze raz zaci gn ła si dymem i odło yła papierosa do popielniczki.

- Jaki czas potem mój ojciec wyszedł ze sklepu przez zaplecze i ju nigdy nie wrócił. - Jej głos si załamał i zaczęła płaka . Shep nie mógł si powstrzyma . Obj ł j ramieniem w ge cie pociechy. Zamierzał tylko j tuli , a dziewczyna si uspoko i, ale kiedy lekko uniosła podbródek i zaferowała swoje słodkie, czerwone usta, pocałował j , najpierw delikatnie, eby pokaza , e mu na niej zale y, ale kiedy otworzyła si przed nim i gorliwie wepchn ła j zyk mi dzy jego z by, a jej piersi - o Chryste, te niewiarygodne piersi - wcisn ły si w niego, nie panował ju nad sob . Pachniała i smakowała niebia sko.

Dotkn ł j zykiem jej j zyka i zacząłi pieszczotliwy, rozta czony rytuał.

Vianca cicho j czała, obsypywała Shepa gor czkowym pocałunkami i nie powstrzymywała go, kiedy wyci gn ł jej bluzk z d insów i wodził palcami po jej ebrach i w gór . Westchn ła, gdy dotarł do stanika i przez chwil my lał, e zostanie skarcony. Zamiast tego poło yła mał dło na rozporku jego d insów i cisn ła go.

Do diabła, my lał, e sko czy ju w tym momencie.

- A... a co z twoj matk ? - wyj kał, kiedy odsun ła zamek rozporoka.

- pi.

- Ale może się obudzi. - Cały płonął. Nigdy w życiu nie pragnął kobiety tak jak teraz, ale to było niebezpieczne. Starsza pani mogła w każdej chwili ich zaskoczyć.

- Nie. Nie obudzi się. - Vianca podniosła głowę i wytrzymała jego spojrzenie. Zobaczył w jej oczach poświadczenie i co jeszcze: cień wyrachowania, który zniknął tak szybko, że Shep uznał, i co musiało mu się przywidzieć. - Tabletki na sen - wyjął, rozchylając jego spodnie i sięgając mu do bokserów.

Jedną, gdy poczuł jej palce, przez chwilę zastanawiał się, czy nie zatrzyma tego szaleństwa. Ale wtedy ona pochyliła się i pocałowała go, a potem jej cudowne, mokre wargi zaczęły pieścić jego członka.

Vianca kontynuowała swoje magiczne zabiegi, a zastępca szeryfa Shep Marson przestał się opierać. Zanurzył ręce w jej włosy i starał się, aby ta wspaniała chwila trwała jak najdłużej. Gdzieś w mrocznych zakamarkach jego duszy rodziło się przeświadczenie, że zaraz przekroczy granicę, po raz pierwszy, jak nigdy dotąd. Nie do tego, że zamierzał zdradzić Peggy Sue, to jeszcze chciał to robić tak długo i tak czysto, jak to będzie możliwe.

Shelby otrząsnęła włosy z kropelek wody, wyskoczyła z basenu i otuliła się ręcznikiem. Księżyc wzeszedł już wysoko na nocnym niebie. Lydia wyjechała parę godzin temu, wyjął więc, że dzwonił sędzią i że nie będzie go w domu do późna w nocy, że ma spotkanie w San Antonio i może nie wróci do domu wcześniej niż rano. Ogrodnik też poszedł i Shelby zmusiła się do czekania, a nad Bad Luck zapadnie ciemność; dopiero wtedy będzie mogła się włamać do biura swojego ojca.

Wycierając twarz ręcznikiem, weszła po schodkach do swojego pokoju, zamknęła drzwi i zaczęła cięgamami czeka kostiumu kąpielowego. Szybko zdjęła mokry strój, rzuciła go na górny zasłonki prysznic i znalazła stanik i bieliznę. Przygładziła włosy i związała je w kucyk, nasunęła opaskę, a potem włożyła swoje ulubione czarne dżinsy, dopasowane kolorystycznie koszulkę i buty do biegania. Znalazła zestaw kluczy, które kazała dorobić w Coopersville. Zabrała też zegarek i małą latarkę, zapakowała to wszystko razem z portmonetką do małego plecaka i zbiegła po schodach.

Czuła, że powinna się po spieszyć, że jeśli teraz nie skorzysta z nadarżającej się okazji, to nie otrzyma drugiej szansy. Otworzyła tylne drzwi i ruszyła brukowaną drogą do Cadillaca. Po dwóch minutach już wjeżdżała do miasteczka.

Ostatnie dni były dla niej męką. Bez ustanku zastanawiała się, jak ma użyć duplikatów kluczy, które kazała wykonać, co ma zrobić w sprawie siostry przyrodniej, której nie ufała, i jak powinna zareagować na oczywisty i smutny fakt: że znowu zakochiwała się w Nevadzie.

- Jesteś idiotką - mruknęła do siebie i włączyła radio. Przez głośniki popłynął głos Lyle'a Lovetta:

- To fakt, nie jesteś z Teksasu, to fakt, nie jesteś z Teksasu...

To fakt, Lyle. Już nie jestem. A jednak jakaś część jej osobowości wypierała się tego okropnego faktu. Przecież była z Teksasu i zawsze będzie, i chociaż lubiła północno-zachodni region kraju, było tutaj gdzieś zakorzenione dziedzictwo, którego nie mogła ignorować. Ze złości włączyła radio. Miała zbyt skołataną głowę, by słuchać jakiegokolwiek muzyki, a co dopiero piosenek, których teksty zdawały się szydzić z niej i z okupionej tak ciężko pracą niezależności.

W trakcie ostatnich czterdziestu ośmiu godzin Shelby powoli traciła równowagę. Sfrustrowana, spocona, zmęczona i chora na myśl o tym, że kolejne dni wcale nie przybliżą jej do odnalezienia Elizabeth, była gotowa spełnić groźbę wobec sędziego i Katriny. Jeśli coś się szybko nie zmieni, uda...

telewizyjnych, a nawet kilkunastu prywatnych detektywów: do wszystkich i wszędzie, nieważne gdzie. Po prostu musi odnaleźć Elizabeth. I to szybko.

Naciśnięta klawisz i opuściła boczne okno od strony kierownicy. Do wnętrza kadillaca wtargnęło ciepłe powietrze, gdy tymczasem wiatła centrum miasta odbijały się w przedniej szybie wozu upiornym odcieniem błękitu.

Pomimo niepokoju Shelby nie siedziała beczynnienie. Kilka razy zadzwoniła do Seattle, spędziła trochę czasu, tak jak zwykle dane swojemu agentowi z biura nieruchomości, znowu próbowała skontaktować się z Orrinem Findleyem i czekała niecierpliwie, aż jej ojciec wyjedzie z Bad Luck na kilka dni.

Ale on nie wyjechał. Przynajmniej nie do teraz, wręcz spędzał w biurze więcej czasu niż zazwyczaj. Shelby przejechała kilka razy obok tego miejsca, nawet po nocach, i zawsze widziała jego mercedesa na parkingu i wiatła w oknach, chociaż rolety były spuszczone. Raz, kiedy przejechała, stał od frontu i opierał się na swojej łasce, a przy tym palił cygaro i rozmawiał z tymi samymi dwoma pomagierami, których widziała w pierwszym dniu wizyty w Bad Luck.

Modliła się, żeby jej nie zobaczył, ale on oczywiście ją widział i gdy zapytał ją o to później, wymyśliła wymówkę, a szukała Katony. Nie była pewna, czy w to uwierzył, ale w każdym razie nie kwestionował jej słów.

Teraz, kiedy dojechała do handlowej części miasteczka, czuła coraz większy ucisk w ołdoku. Przejechała obok niej kilka samochodów; nie znała kierowców ani też oni jej nie rozpoznawali. Z pubu White Horse dobiegała muzyka, a w stronę głównego wejścia szedł Ross McCallum we własnej osobie.

Nie.

Zmroziło jej krew.

McCallum zatrzymał się, żeby przypalić papierosa, zasłonił płomieniem swój wielki łap, a Shelby odwróciła głowę i pojechała dalej. Może jej nie zobaczył, nie rozpoznał samochodu? Jednak kiedy zerknęła we wsteczne lustro, zauważyła, że stał przed pubem i patrzył na tył wynajętego przez nią kadillaca z tak chłodną intensywnością, że aż zadygotała. Przypomniła jej się horror, ból i upokorzenie tamtej nocy sprzed wielu lat i poczuła, że między jej łopatkami pojawiają się krople potu. Nie pozwolił mu tego robić, ostrzegała sam siebie. Nie da się pokonać ani powstrzymać. Ross już nic jej nie zrobi. Nic i nigdy. Już ona się o to postara.

Jechała prosto przez miasto na wypadek gdyby przyszedł mu do głowy idiotyczny pomysł śledzenia jej wozu. Kiedy zniknęły za nią wiatła Bad Luck, dłuższy czas po przejechaniu ostatniego mostu, skręciła w boczny drogę, zawróciła i przejechała przez Bad Luck od innej strony.

Cały czas mocno naciskała kierownicę; pokonała kilka bocznych uliczek, a wreszcie dotarła do starego budynku, w którym jej ojciec spędzał większość czasu.

Parking był pusty. Ani śladu Etty Parson i jej markowego samochodu, o ile sekretarka jeszcze go miała. Nie było też widać mercedesa sędziego. W biurze panowały ciemność i cisza.

Dobrze. Shelby przejechała się bocznymi alejkami i uliczkami, i jeszcze raz znalazła się pod biurem. Nadal nie było tam nikogo. No, zrób to, mruknęła do siebie. Przekonana, że nikt tu się nie pokazuje, zaparkowała wóz cztery przecznice dalej, w bocznej uliczce przy samoobsługowej pralni i pralni chemicznej, niedaleko budynku, w którym doktor Pritchard prowadził kiedyś klinikę. Niestety, zawsze istniała możliwość, że ktoś zauważy jej samochód i jutro wspomni o tym w barze czy kafejce, czy nawet w pubie White Horse. Zwłaszcza na to, jak szybko plotki rozchodziły się w tym miasteczku, w ciągu dwóch dni zapewne wszyscy w Bad Luck dowiedzieliby się o jej pobycie w mieście. Ale musiała zaryzykować.

Szybko zamknęła samochód i zaczęła biec. Powietrze tej nocy było parne, lepkie: dosłownie napierało na jej pierś. Nie było porównania z rzeźkim, słonawym powietrzem Seattle. Opuściła Zachodnie Wybrzeże dopiero dwa tygodnie temu, a już miała wrażenie, że upłynęły lata.

Czas szybko leci, kiedy człowiek dobrze się bawi, pomyślała, klucząc po bocznych uliczkach i unikając głównej alei, żeby nie zwracała na siebie uwagi. Nigdy nie złamała wiadomie prawa. Dasz radę, powtarzała sobie. Ostatecznie nie tacy jak ona na co dzień włamywali się do domów i biur.

Na ulicy za biurem ojca Shelby zahała się, stojąc pod ogrodzeniem. Dzięki temu zorientowała się, że nadal panuje tu cisza i nikt nie zaparkował wozu w ciągu dziesięciu minut, które minęły od chwili, gdy przejeżdżała tu ostatni raz. Teraz albo nigdy.

Unikając oświetlonych przez latarnie miejsc, pobiegła wprost do tylnych drzwi budynku. Spoconymi palcami wkładała kolejno klucze do zamka. Dopiero trzeci pasował; obracał się tak łatwo, jakby był naoliwiony.

Klik. Rygiel ustąpił. Shelby manipulowała przy gałce innym kluczem i zamek się otworzył. Wystarczył jeden ruch nadgarstka i drzwi stanęły przed nią otworem.

Nagle włączył się cichy alarm, sygnał, że ma tylko kilka sekund, żeby wyłączyć to cholerstwo, zanim uruchomi znacznie głośniejszy alarm, który zapewne mógłby obudzić umarłego w grobie albo, co gorsza, po cichu zawiadomić miejscową policję, a ona przyjechałaby z wyciem syren i migoczącymi wiatłami.

Och Boże, gdzie to jest? Zrobiła dwa kroki, wpadła na biurko i zaklęła pod nosem.

Biip! Biip! Biip!

Złana potem, zapaliła latarkę i skierowała snop wiatła na ciankę niewielkiej recepcji, a potem na kalendarz i kontakt, a w końcu natrafiła na małą tabliczkę rozdzielczą w pobliżu szafy. Modliła się po cichu, obeszła biurko Etty i stanęła przed urządzeniem alarmowym.

Jaki był kod? Urodziny ojca. Wcisnęła odpowiednią kombinację klawiszy, a potem Enter.

Biip! Biip! Biip!

O cholera! No i co teraz?

Rozgorączkowana, próbowała daty urodzin matki. W końcu sędzia nadal trzymał ulubione kwiaty Jasmine na stole i dbał o jej grób.

Biip! Biip!...

Do diabła. Szybko wyczerpały jej się pomysły. Zdesperowana, wcisnęła liczby oznaczające jej datę urodzenia i alarm nagle ustał. W biurze zapanowała cisza. Tylko serce Shelby waliło jak młotem.

Dzięki Bogu. Serce uspokoiło się, ale po nosie nadal ciekła jej pot, a kolana zaczęły się pod nią uginać. Postanowiła wsiąść w garaż. Podeszła do drzwi biura ojca, wykonanych ze szkła wirowego, i otworzyła je. W środku pachniało lekko cygarami.

Shelby szybko zacięła rolety. W rogu pokoju stał wieszak na kapelusze; na wyrzeźbionym z drewna konarze wisiał jeden z ulubionych czarnych stetsonów sędziego, na innym - zapomniany sweter do golfa. Biurko sędziego było funkcjonalne. Metal i blat z formiki. Na jednym rogu pojemnik z cygarami, popielniczka i telefon, na przeciwległym trzy fotografie: małe zdjęcie lubne sędziego i Jasmine, zdjęcie o młotej Shelby i zdjęcie z uroczystego wręczenia dyplomów.

A zatem jej ojcu chyba trochę na niej zależało - uchyliła przecię daty jej urodzin w kodzie. Nigdy by go o to nie podejrzewała. Przez kilka sekund wpatrywała się w fotografie, ale zaraz powiedziała

da się za lepi bezsensownej nostalgii. Wyparła ze wiadomo ci niepo dane emocje i zabrała się do pracy.

Szuflady biurka były zamknięte na klucz, ale w dorabianym zestawie znalazła mały kluczyczek, który idealnie pasował do zamków. W pierwszej szufladzie znajdowały się ołówki, spinacze, zapalniczki, nożyk do otwierania kopert i tym podobne rzeczy. Nic nadzwyczajnego. Druga zawierała nowsze dokumenty, związane głównie z ranczem. Jeden nie wydawał się interesujący. W trzeciej szufladzie stała niedopita buteleczka Jacka Daniela, był też zapas cygar.

Jak na razie wykorzystwała dziesięć minut i nie znalazła niczego ciekawego. Ocierając pot z czoła, dobrała się do kredensu. Otworzył się bez trudu; przypominał szafkę w domu. Wszystko było schludnie poukładane i Shelby nie była zaskoczona, że powtarzają się tutaj niektóre nazwiska znalezione przez nią w domu.

Bingo.

Znalazła teczkę doktora Neda Pritcharda i otworzyła ją drzwiczkami. Folder był cienki, zawierał tylko kilka notatek. Nic szczególnego, może z wyjątkiem tego, że sędzia zapisał jego ostatni adres i datę śmierci. A zatem wiedział, że Pritchard nie żyje, a mimo to pozwolił, żeby Shelby go szukała, zapędzała się w lepe zaułki i marnowała cenny czas.

- Och, tato, padalcu jeden - powiedziała, rozczerowana, chociaż wiedziała, że trochę to niemiłe z jej strony. Jej ojciec zawsze był i będzie wielkim manipulatem. Z siebie tylko wiadomych powodów nie chciał, żeby Shelby odnalazła Elizabeth, i stawiał na jej drodze wszelkie możliwe przeszkody. Człowiek, który wypierał się własnej córki z nieprawego łona, zrobi to samo swojej wnuczce. - A niech ci, tato - szepnęła Shelby i wróciła do dokumentów.

Następna byłateczka Nevady.

Położyła ją sobie na kolanach i oświetlała latarką kolejne strony. Pełno było na nich wpisów, głównie na temat burzliwej młodości Nevady, ale były również inne strony, strony z uwagami natury osobistej. Sędzia Cole nie silił się na powściągliwość i pisał pogardliwie o „chuliganie Metysie”, który już jako dziecko zachowywał się okropnie, a mimo to sędzia później przyjął go do pracy. Na jednej z kartek widniała notatka, że sędzia podejrzewa, iż jego córka jest w ciąży, a ojcem dziecka jest ten „pozbawiony matki sukiny syn Smith”.

- No i kto tu jest prawdziwym draniem? - zapytała, zamykając teczkę. Drzwiczkami palcami dotknęła teczki z własnym imieniem i nazwiskiem. Zerknęła na zegarek. Dziewięć czterdzieści pięć. Była tu od dwudziestu minut, a każda następna budziła w niej coraz większe zdenerwowanie. Na regale z książkami w rogu tykał budzik. Na zewnątrz czasem przejeżdżał samochód, ale w biurze panowała zupełna, wręcz niesamowita cisza. Ile zawarto tutaj niezbyt uczciwych umów? Ile losów ludzkich na zawsze zmieniono?

Nie zważając na zdenerwowanie, otworzyła grubą teczkę opatrzoną jej imieniem i nazwiskiem. Miała wrażenie, że z tych kartek wylewa się całe jej życie. Kopie wiadomości ze szkoły, dane o zatrudnieniu, dokumentacja medyczna, którą widziała w folderze w domu, chociaż tutaj było jej więcej. Na samym spodzie znajdował się odręcznie pisany pamiętnik: lista znaczących wydarzeń w życiu Shelby i krótkie komentarze matki, który ją spłodził. Czytając każdą notatkę, z trudem przełykała łzy. Zaczynało się od jej narodzin. Potem lata w szkole podstawowej i średniej, śmierć jej matki i nie tylko jej śmierć, ale i gwałt. Informacja o nim została wciśnięta między inne notatki, bo jej ojciec dowiedział się o tym dopiero wtedy, gdy zapytał Shelby, czy jest w ciąży.

Łzy stanęły jej w oczach, ale postanowiła, że nie będzie płakać. Znalazła inne notatki, o jej szkole i kolejnych rodzajach pracy, ale najciekawszy okazał się zapis o Lydii Vasquez, gosposi.

Dlaczego?

Bo Lydia była jedyną matką, którą kiedykolwiek znała? Kobiet, która nauczyła ją szycia, gotowania i układania kwiatów, i przyniosła jej do domu pierwszy paczek pod pasek? Lydia bandaowała jej zdarte kolana, dawała rady, z których Shelby rzadko korzystała, i wypełniała dom miętą oraz zabawnymi historyjkami na temat swojej rodziny.

Tak, były ze sobą związane, ale Shelby wyczuwała, że za po prostu nabazgran przez ojca notatkę kryje się coś więcej. Musiała tylko ustalić co. Może nic nadzwyczajnego, ale z drugiej strony...

Rzuciła folder na biurko, a potem odszukała teczkę Lydie Vasquez, wyciągnęła ją z szuflady i natychmiast rozłożyła na blacie.

Na temat Lydie było mnóstwo zapisków, ponieważ pracowała u sędziego od wielu lat. Znajdowały się tu skopiowane i spisane dokumenty dotyczące jej samej, a także rozmaite wzmianki na temat wszystkich członków jej rodziny, włącznie z Carl i Pablo Ramirezami i ich dziećmi. Każde dziecko również zostało odnotowane. Znalazła się tu nawet wzmianka o rodzinie Estevanów, spokrewnionej z Ramirezami.

Shelby patrzyła na folder w osłupieniu. Dlaczego jej ojciec robił tak skrupulatne notatki o każdym z tych ludzi? Gdzie w głębi jej umysłu zaczęła się tworzyć chłodna interpretacja. W grę musiało wchodzić coś więcej... coś paskudnego.

Przejrzała imiona dzieci, wpisane specyficznym charakterem pisma sędziego - Enrique, Juan, Diego i Maria. Czwórka dzieciaków. Trzech chłopców, jedna dziewczyna. Znała ich wszystkich od dzieciństwa. Maria była najstarsza, chłopcy rodzi się później, w regularnych odstępach. Nie pozwalano jej jednak bawić się z Marią. A to Lydia ją wychowywała, sędziemu nie przeszkadzało. Natomiast co do zawierania przyjaźni z hiszpańskimi zyczniymi dziećmi sędzia Cole wyznaczał granicę, którą Shelby często przekraczała.

Przypomniała sobie Marię, bystrą, pogodną dziewczynkę, która w końcu nie rzuciła szkoły. Shelby nie mogła sobie przypomnieć dlaczego.

Już miała przewrócić stronice, ale imię Marii przykuło jej uwagę. Czy Lydia nie mówiła, że córka Marii sprawia jej mnóstwo kłopotów? Jej dziewięcioletnia córka? Czy Lydia nie płakała, rozmawiając z Marią przez telefon? Shelby miała wrażenie, że jej serce przestało bić. No i co z tego? Nie wyciągała pochopnych wniosków, mówiła sobie. To tylko zbieg okoliczności.

Ale okręciła się na krześle i, trzymając latarkę w zębach, przeszukiwała szufladę, a natrafiła na teczkę Marii. Była grubsza niż tecki jej braci.

Shelby wstrzymała oddech i ją otworzyła. W środku znajdowała się kolorowa fotografia dziecka - Shelby domyślała się, że wykonano ją na potrzeby szkoły.

- Elizabeth - powiedziała. Łzy wezbrały jej w oczach, kiedy wpatrywała się w dziewczynkę o dużych zębach, z niebieskimi włosami w krótkich brzozy włosach. Na opalonej skórze wyraźnie odznaczały się piegry, a turkusowe oczy patrzyły wprost w aparat fotograficzny.

Shelby serce krwawiło z powodu tych wszystkich zmarnowanych lat, ale zdobyła się na dręczący uśmiech przez łzy.

- Dobry Boże - wyszeptała, szlochając z ulgą.

Po dziesięciu latach kłamstw i zwodzenia wreszcie udało jej się odnaleźć córkę.

Rozdział 17

Shelby odsunęła krzesło, wsunęła najwłaściwszy folder pod pachę i w tym momencie usłyszała, że jakiś samochód zwalnia i zatrzymuje się na opustoszałej ulicy przed biurem.

Wszystko, co mogła zrobić, to czekać. Kolejna osoba, która mogłaby ją rozpoznać. Niechby to miało jakieś znaczenie. Chyba niechby to był Ross McCallum.

Omówienie dostała zawału.

Nie panikuj, Shelby. Ross nie ma tu żadnych spraw do załatwienia. Po prostu jesteś przewrażliwiona. Ruszaj dalej. Jedź do Lydii. Zadać jej pytanie, czy powiedziała ci prawdę.

Wepchnęła swój teczek do szafki, zgasiła latarkę, wsunęła szufladę i zamknęła ją na klucz, podobnie jak biurko. Nie chciała, żeby jej ojciec się zorientował, że poznała prawdę. Najpierw musi zobaczyć swoją córkę, porozmawiać z nią, zdecydować o dalszym postępowaniu. Gdyby się dowiedział, że Shelby ustaliła miejsce pobytu Elizabeth, mógłby znowu sabotować jej wysiłki.

- Dobra - mruknęła, odkładając biurko ojca, podczas gdy jej oczy przywykły do ciemności.

Nie mogła narażać się na ryzyko przyłapania. Nie teraz.

Usłyszała trzaskanie drzwi.

- Niech to diabli wezmą! - szepnęła.

Zdenerwowana, wybiegła z biura szybko i skierowała się do tylnych drzwi, przez które weszła. W oknie naprzeciwko parkingu widać było blask reflektorów.

Uświadomiła sobie, że ta droga odwrotu została odcięta, i to ją trochę podłamało. Zerkając przez rolety, rozpoznała mercedesa ojca. Wóz zatrzymał się blisko ogrodzenia. Nie! Co on tutaj robi? Przecież Lydia powiedziała, że całą noc będzie poza miastem.

Mimo zdenerwowania Shelby zrozumiała, że musi zaryzykować i uciekać frontowymi drzwiami, bo inaczej czeka ją konfrontacja z ojcem. I wtedy ktoś przekręcił gałkę w drzwiach naprzeciwko, a potem rozległo się stanowcze pukanie.

A więc się dowiedział, że przyjechał tu tylko po to, żeby coś zabrać albo przeprowadzić północny rozmów telefoniczny czy popracować w ciszy. Nie, on tu się z kim umówił. To nie była dobra pora na grę w otwarte karty.

Niewiele myśląc, Shelby schowała się do dużej szafy i przycisnęła drogocenny teczek do piersi. W szafie było ciasno. Prawie dotykała ramionami półek z papierami i artykułami biurowymi, a temperatura sięgała chyba miliona stopni. Potknął ją po czole, kiedy usłyszała, że ktoś otwiera tylne drzwi.

- Co jest, do pioruna? - zabrzmiał tubalny głos ojca. - Wynalazek przygłupa. - Ktoś minął recepcję, stawiając cię, nierówne kroki, w odpowiedzi na walenie do drzwi. Shelby usłyszała szuranie otwieranych zamków, a potem zobaczyła światło pod drzwiami. - A więc przyjechała.

- Czekałem na pana.

Nevada? O Boże. Nevada umówił się na spotkanie z jej ojcem? Shelby nie mogła i nie chciała w to uwierzyć.

- O czym chciał pan ze mną rozmawiać? - zapytał Nevada.

- Nie wchodził jeszcze do rodzaka?

Chwila ciszy.

- Drzwi były zamknięte na klucz, sędzio. Właśnie nie mnie pan wpuścił.

Przez moment obaj milczeli.

- Nie widziały, żeby ktoś wchodził albo wychodził?

- Dopiero przyjechałem.

Shelby umierała w sensie psychicznym. Jej ojciec jakim sposobem zorientował się, że ona gdzie tu jest.

- Cholerna Etta - burknął s dzia. - Nie ma do rozumu, żeby zamknąć te przekł te tylne drzwi na klucz albo włączyć głupi alarm. Po co mi system ochrony, jeżeli się go nawet nie włączyła?

Serce Shelby łomotało. Spocone dłonie sw działy. W każdej chwili ojciec mógł otworzyć drzwi szafy, włączyć światło i ją zdemaskować.

No i co z tego? Włamanie jest niczym w porównaniu z jego przestępstwami: fałszowaniem kartotek, oszustwem, kidnappingiem i tego typu rzeczami.

- No, więc o czym chciał pan ze mną porozmawiać? - powtórzył pytanie Nevada. - Wspominał pan coś o Shelby i McCallumie.

O Boże. Shelby zacisnęła szczękę tak mocno, że aż poczuła ból.

- Wejść do mojego biura. Tam może na usi.

Nie! Jeżeli się przeniosła, nie będzie ich słyszała. Niestety, oddalając się kroki uprzytomniły jej, że tak się włą nie stało.

To była jej szansa ucieczki. Zaczekała parę sekund, a potem uchyliła drzwi szafy. W pomieszczeniu było bardzo jasno. Biurko Etty Parsons, na którym stał wazon ze stokrotkami i zdjęć jej wnuków, wiecił się jak choinka boonarodzeniowa. Shelby zerknęła przez szczelinę w drzwiach i zobaczyła tył głowy i barki Nevada. Naprzeciwko niego siedział s dzia. Miał doskonały widok na recepcję.

Była zatem ujawniona w pułapce, chyba że postanowi się ujawnić.

- Wiem, że wsadziłem McCalluma do więzienia - oznajmił s dzia zaskakującym głosem.

Serce Shelby na moment przestało bić.

- Dowody wskazywały na jego winę.

- Czy by? A co tam, to przecie nie ma znaczenia, prawda? Obaj wiemy, że dostał to, na co zasłużył.

- On zabił Estevana.

- Na pewno? - Długa cisza. Shelby poczuła się jak mysz. Zauważyła, że były na karku Nevada nabrzmiewające. - Tego nie wiemy, ale wiemy, że zgwałcił Shelby, i za to dostał to, co mu się należało. Albo i więcej.

O co włą ciwie chodzi? Shelby mi tosiła teczkę w palcach.

- Włą nie dlatego wsadziłem McCalluma. Dowiedzieli się o gwałcie i wdała się w bójkę z nim. Obaj wylądowali w szpitalu i kosztowało ci to częściową utratę wzroku. Ale to ci nie wystarczyło. W nocy morderstwa Estevana jako udało ci się wykombinować, że Ross będzie w twoim wozie, a ty stwierdzisz, że wóz został skradziony. Zaginął twój pistolet. Estevana zastrzelono z broni tego samego modelu i kalibru.

- I mylił pan, że ja to zrobiłem.

- Możliwe.

- Po co?

- Dla wygody. Żeby zrobić Rossa. Poza tym Estevan był wrednym, zarozumiałym kutasem, który bił swoją żonę. Ty byłeś w pewnym momencie związany z Viancą.

Shelby poczuła się okropnie. Czy to wszystko było możliwe? Czy by Nevada naginał prawo tak samo jak jej ojciec? I wszystko to z powodu gwałtu?

- Bzdury.

- Domysł.

- Najważniejsze jest to, że Ross McCallum zabił Estevana - odparł Nevada. - Ja tego nie ustawiałem, s dzio. Takie gry są specjalnie dla ciebie, nie dla mojej.

- No cóż, przekonamy się, prawda? W Biurze Szeryfa doszło do przecieku i już słyszałem pogłoski, że narodził się zbrodniarz.

Nevada nawet nie drgnął.

- Ta trzydziestkaósemka?

- Twoja trzydziestkaósemka. Była zarejestrowana na ciebie. Znalaziono ją w skalnym kamieniołomie, na działce Adamsów, która teraz należy do ciebie.

- Chwileczkę... Ta broń była w kamieniołomie? - Nevada wydawał się zaskoczony.

- W jaskini albo szybie górniczym. - S dzio pochylił się do przodu. Serce Shelby biło teraz jak tam-tam. - To twój pistolet, został znaleziony na terenie twojej posiadłości, ma twoje odciski palców i już dowiedziono, że to z niego pochodziły kule, które zabiły Ramóna Estevana.

- Naprawdę?

- Prokurator okręgowy domaga się aresztowania, a ty nie masz alibi.

- Ani motywu. - Nevada wstał. - Jak już powiedziałem, s dzio, nie zabiłem Ramóna Estevana. Domyślił się, że McCallum to zrobił i wyszedł z przyczyn proceduralnych, ponieważ ktoś zapłacił Calebowi Swaggertowi, żeby go zrobił.

Jej ojciec? Jej ojciec przekupił świadka? Shelby kręcił się w głowie od tych rewelacji.

- Kto przyszedł z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów do tego starego człowieka. Myślałem, że to był pan.

Jej ojciec wpatrywał się głęboko w Nevada.

- Mojesz sobie myśleć, choćby do końca świata.

- A s dzio, który posłał McCalluma do mamra, był pańskim starym partnerem od golfa, nieprawda? - Nevada wstał i pochylił się nad biurkiem, tak że dźwignął się na jego łóżko. - Pociągają pan za tyle sznurków w tym mieście, s dzio, że nie wszystkie dają się wyprostować. Pan jest jak przeklęty lalkarz, który spletał sznurki wszystkim swoim marionetkom. - Dotknął jego piersi wyciągniętym palcem. - Ja nie zabiłem Ramóna Estevana i o tym wiemy.

- Kto to zrobił.

- Moje to był pan - oskarżył go Nevada. - Teraz proszę przejść do rzeczy. Dlaczego, do diabła, uważa pan, że nasze spotkanie jest tak ważne?

- Chcę, żeby zostawił moją córkę w spokoju.

Nevada się najęty. Shelby przeszył gniew.

- Dlaczego?

- Ona nie chce, żeby komplikował jej życie.

Nevada ani drgnął. Shelby słyszała tykanie budzika i dudnienie własnego serca.

- Zaraz, zaraz - powiedział wreszcie i opadł na krzesło. - Pan się na mnie uwziął wiele lat temu, s dzio. Zawsze pan twierdził, że to dlatego, że jako dzieciak byłem na bakier z prawem. Ale ja zawsze czułem, że chodzi o coś więcej, o coś, czego pan nigdy nie przyznał.

- Ja tylko chcę tego, co najlepsze dla mojej córki.

- Według pana. - Nevada wyci gn ła si ę na krześle, kład ąc but na kolanie drugiej nogi. - Podejrzewam, że to ma g ła bsze przyczyny.

S dzia odwrócił wzrok.

- O co chodzi, Red? Dlaczego tak bardzo mnie pan nienawidzi? - zapytał Nevada i Shelby poczuła, że nie da si ę oddychać powietrzem w szafie. Jej nerwy były tak napi ęte jak struny gitary, które zaraz p kn ę. - Dlaczego nie daje mi spokoju podejrzenie, że pa ska awersja ma co wspólnego z moją matką ?

Twarz s dziego poszarzała. Shelby z trudem trzymała si ę na nogach.

- Niech mi pan nie mówi, że miał pan romans z moją star ą ?

- Nie! - S dzia wyr n ła pi ęci ę w biurko.

Shelby a podskoczyła.

Nevada nawet nie drgn ła.

- No, wi ęć o co chodzi, do diabła?

S dzia przez długi chwilkę wpatrywał si ę w swój pi ę, a potem powoli przeniósł wzrok na twarz Nevada.

- Je li ci powiem, musisz obieca ę, że zostawisz Shelby w spokoju.

- Tego nie mog ę zrobić .

- Jasne, że mo esz, ty Metysie, nieudaczniku. Bo bez wzgl ędu na to, co o tobie my ęł, wiem, że chcesz tego, co najlepsze dla Shelby, a ty nie jeste ę tym czym . Jeste ę przekl ęnym, narwanym synem india ńskiej dziwki i pijaka, który nie umiał trzyma ę łap z dala od kobiet, nawet tych, którym nie dorastał do pi ęty.

Shelby si ę nie poruszyła. Nie była w stanie.

- To znaczy?

- Od mojej ony, ty łajdaku! - wybuchn ęł s dzia. - Jak my lisz, do diabła, dlaczego odebrała sobie ęycie? Bo miałem romans z Nell Hart? Bo sp ędziłem nie lubne dziecko? Nie, do cholery. Ona odpt ęciła mi pi ęknym za nadobne. Z twoim ojcem.

Shelby czuła dudnienie w uszach, wiat wymykał jej si ę spod kontroli, a nogi nagle zamieniły si ę w galaret ę. Usiłowała zebra ę te informacje w sp ęjną całość . Czy by jej ojciec twierdził, że Nevada jest jej przyrodnim bratem? e - och Bo e - jej ojcem był... Poczuła piek ęcy ból w ęółdku. Jako ę udało jej si ę nie zwymiotowa ę.

- Wła ęnie po tym wszystkim, kiedy Jasmine u ęwiadomiła sobie, co zrobiła, umarła.

- Zabiła si ę - poprawił go Nevada i s dzia nic nie odpowiedział. - Ty przebiegły draniu. - Nevada poderwał si ę i popatrzył na s dziego zapalczywymi, pełnymi nienawi ęci oczami. Si gn ęł do jego gardła, ale zacisn ęł r ęce w powietrzu. - Ł esz.

- Chciałbym kłama ę - odparł s dzia, zwiesiwszy ramiona. Si gn ęł do szuflady biurka i wyj ęł buteleczk ę z alkoholem - Ale nie wezwałem ci ę tutaj, eby o tym wszystkim mówi ę. Chciałem tylko, eby ę wiedział, że musisz si ę jako zabezpieczy ę. Je li si ę nie my ęł, postawi ę ci zarzut zamordowania Estevana.

- A panu na tym zale ęy? - wycedził Nevada.

- Nie, Smith. Naprawd ę mam gdzie ę to, co si ę z tob ę dzieje. Chc ę tylko znale ę sposób na to, eby McCallum wrócił do wi ęzienia, bo tam jest jego miejsce.

- I chce pan, eby panu w tym pom ęógł? - zakpił Nevada.

- Ju ę kiedy zgwałcił Shelby. Co go powstrzyma teraz?

- Ja - odparł Nevada, gdy tymczasem s dzia odkr cił buteleczk z Jackiem danielsem. - Niech tylko na ni spojrzysz, a zabij drania!

- Przez takie gadanie na pewno trafisz do wi zienia.

Nevada pochylił si nad starym wrogiem.

- Niech i tak b dzie. Postanowiłem spotka si z panem tylko dlatego, e chc si czego dowiedzie o moim dziecku.

- Twoim czy McCalluma?

- Niewa ne. Gdzie ona jest, s dzio? Pan wie. Pan przekupił doktora Pritcharta i zadbał o to, eby wyjechał z miasta. Pan jakim sposobem dotarł do wszystkich osób, które pracowały na tamtej zmianie, kiedy Shelby rodziła. Na dodatek przekazał pan Szpitalowi Naszej Matki Boskiej Bolesnej poka n sum , tak na wszelki wypadek, eby nikt nie o miał si pu ci pary z ust. Ale pora si z tego rozliczy , s dzio. Gdzie jest to dziecko?

- Nie wiem.

- Akurat - mrukn ł Nevada, czuj c, jak napinaj si wszystkie mi nie jego ciała.

- Znalazłam j - wydusiła Shelby. Wskoczyła z szafy i stan ła w o wietlonym gabinecie Etty. Trzy kroki wystarczyły, by ponownie znale si w azylu ojca.

- Co ty tutaj robisz, u diabła? - zagrzmiął s dzia.

- Dochodz prawdy.

S dziemu natychmiast zrzęła mina.

- Co ty tutaj robisz, u diabła? - powtórzył Nevada.

- Zbieram informacje. - Zamachała teczk Marii Ramirez, jakby to był miecz, i cisn ła j na biurko obok ojcowskiej whisky, a potem spojrzała Nevadzie prosto w oczy. - Elizabeth wychowuje Maria Ramirez.

S dzia si zgarbił.

- Maria jest spokrewniona z Lydi .

- Pami tam Mari - odparł Nevada.

- Daj temu spokój, Shelby - zaklinał j s dzia.

- Nie mog . - Podniosła słuchawk i podsun ła j ojcu pod nos. - Chcesz zaszczyci j rozmow czy ja mam to zrobi ?

- Popelniasz bł d.

- Nie s dz .

Pełna determinacji wykr ciła znajomy numer do domu Lydii.

- B dziemy teraz załatwiali t spraw . Wła nie dzwoni do Lydii i zamierzam odnale swoje dziecko. Nie zmarnuj ju ani sekundy. Co do tej hecy mi dzy mojk matk a twoim ojcem, zajmujemy si ni pó niej. Oboje ju nie yj , wi c ta sprawa jest sko czona, cho niew tliwie bolesna. A co do Rossa McCalluma... uwierzcie mi, dam sobie z nim rad .

- Włamała si tutaj - oskar ył j jej ojciec.

Tymczasem na drugim ko cu miasta zadzwonił telefon.

- Pewno, e si włamałam, s dzio. I zrobiłabym to jeszcze raz. - Teraz to Shelby nachyliła si nad biurkiem. Pot z jej podbródka kapał do pojemnika na cygara, ale nie przejmowała si tym. Nawet tego nie zauwa yła, patrz c najpierw na ojca, a potem na Nevad . Usłyszała szcz k odbieranego telefonu.

- Cho by nie wiem co, spotkam si z moj córka .

- Ramón, nie! *Dios*, nie ró b tego. Och, Ojcie Przenaj wi tszy...

Shep wyprostował si gwałtownie. Dotkn ł swego boku, gdzie zazwyczaj miał przewieszon bro , i zacz ł si zastanawia , co on tu robi, do cholery. Natychmiast zdał sobie spraw , e jest całkiem nagi.

- Nie, nie, nie ró b tego, Ramón! - Aloise krzyczała wniebogłoso i płakała w s siednim pokoju, a on... o kurcz , był sam, zupełnie goły w łó ku Vianki. Widocznie zasn ł po całonocnych zapasach. Sypialnia wci pachniała dymem, potem i seksem.

Kiedy troch oprzytomniał, zgarn ł swoje ubranie, jednocze nie robi c sobie wyrzuty. Elektroniczny budzik na stoliku pokazywał pierwsz czterdzie ci pi , z radia s czyła si łagodna hiszpa ska muzyka, a w małe skim ło u był tylko on. Co go napadło, e został tu z Vianc ? Peggy Sue na pewno si o niego zamartwia.

Jak jej wy tłumaczy... o cholera. Włó ył ubranie, usłyszał, jak Vianca uspokaja matk swoim jedwabistym głosem, a stara kobieta nic sobie z niej nie robi. Była wytr cona z równowagi; w chaotycznych strz pkach rozmów i modlitw ci gle przewijało si imi jej m a.

Shep znalazł swój koszul - le ała pognieciona na biurku. Co on sobie my lał? Jego wóz stał przed domem, a on oddawał si pieprzeniu, podczas gdy Peggy Sue nawet nie mogła si wyspa i pewno była na nogach ju od witu, walcz c z porannymi mdło ciami i z dzieciakami.

Okazał si głupcem. Co do tego nie miał w tpliwo ci. Marzyło mu si , e zostanie nast pnym szeryfem, szykował si na bohatera ledztwa w sprawie Estevana i był gotów to wszystko zaprzepa ci dla jednego szybkiego numerka.

Dopi ł koszul , gdy j ki ustały i do pokoju weszła Vianca, ubrana tylko w czerwony szlafrok. Stan ła, widz c, co robi Shep.

- Wychodzisz?

- Musz .

- Ale jest jeszcze wcze nie.

- Nie, Vianca, jest pó no.

Wyd ła wargi, ju nie tak błyszcz ce, a ciemne od tuszu oczy milcz co oskar ały go, e j wykorzystał.

- Chc , eby mnie przytulił - powiedziała, wzdychaj c z nad san min .

- Tylko na chwil . - Otworzył ramiona i przyci gn ł j do siebie. Westchn ł, wtulony w jej włosy, i ubolewał nad tym, e jest nie tak, jakby mogło by . Gdyby był młodszy o dwadzie cia lat, gdyby nie miał tylu dzieci i jeszcze jednego w drodze, gdyby nie po lubił dobrej kobiety, która mu ufała, gdyby ju został wybrany na szeryfa... Pocałował Vianc w czoło. - Musz ju i .

- Wrócisz?

Zawahał si i zobaczył, e w jej oczach pojawiaj si łzy.

- Oczywiście, e wróc - powiedział, ale ona si nie u miechn ła, a jej ciemne, podejrzliwe oczy zdawały si przeszywa jego dusz na wylot.

Przeniósł buty na frontowe schody i wyszedł na dwór; powietrze było ciepłe, lepkie i g ste jak miód. W połowie drogi usłyszał, e Vianca zamyka za nim drzwi. Na razie musiał przesta o niej my le . Zeznanie Vianki, e widziała Nevada samego w sklepie tej nocy, kiedy zamordowano Ramóna Estevana,

którym zmarł Caleb Swaggert, wystarczyło Shepowi, żeby przyskrzyni Smitha.

Musiał dopilnować paru szczegółów, napisać raport, osobiście porozmawiać z prokuratorem okręgowym, a potem, jeżeli wszystko poszłoby zgodnie z planem, aresztować Nevada i przedstawić mu zarzuty.

Kiedy przechodził przez ulicę, ogarnęły go wściekłość, a nawet wyrzuty sumienia. To wszystko układało się zbyt łatwo i z daleka zalatywało wrabianiem. Dlaczego wszystkie elementy tej zagadki ułożyły się akurat teraz, po tak długim czasie?

Otworzył drzwi wozu i wsiadł do rodzka. Nie lubił Nevady Smitha, nigdy go nie lubił. Smith był zbyt zarozumiały i arogancki, jak na syna dziwki i pijaka. Ale Shep nie widział w nim kogoś, kto mógłby zamordować z zimną krwią.

Nie takie rzeczy się działy, pomyślał, uruchamiając silnik dodge'a. Miał robotę do wykonania i nie zamierzał się wycofywać. Jeżeli Nevada jest niewinny, to będzie miał szansę to udowodnić.

Shep nie bardzo wierzył w zasadę domniemanej niewinności. To prawo było zbyt wygodne i nadużywane, zbyt często przez litę ciwych liberałów, którzy nie musieli na coś toczyć boju z przestępcami. Niech człowiek udowadnia, że jest niewinny, a nie na odwrót. W każdym razie taka procedura wydawała się Shepowi o wiele prostsza. Znalazł puszkę z piwem Copenhagen, wziął łyżeczek na dziśło i ruszył z krawężnika. Po raz ostatni spojrzął na dom Estevanów i się uśmiechnął. Vianca stała w oknie i patrzyła na niego tak, jakby nie mogła się już doczekać następnego spotkania.

Przez chwilę czuł dumę i nie pamiętał o winie względem Peggy Sue i dzieciaków. Ujeżdżał Viancę jak ogiera. Nic dziwnego, że chciała jeszcze.

Katrina przetarła oczy. Była diabelnie zmęczona. Bolały jej plecy i szyja od leżenia na nierównym materacu i nie miała pojęcia, kiedy w końcu uda jej się porzucić tę wyspę w tym zapchlonym motelu. Nie mówiła już o tym, że ióko, wyposaone w opcję „magiczne palce”, za jedyne dwie dolary miało jej zapewnić masaż. Nie mogła się doczekać wyprowadzki z tego miejsca.

Pomyślała o rezydencji sędziego, domu jej ojca, ze starannie przystrzyżonymi trawnikami, kafelkami na podłogach, łunym basenie, drogich meblach i dziełach sztuki. Ładne. Podczas gdy jej przyrodna siostra dorastała w luksusie, Katrina wychowywała się w dwupokojowym bungalowu w malutkim miasteczku blisko granicy z Oklahomą. Mieli do pieniędzy, by jako przesy, ale ich styl życia bardzo, ale to bardzo różnił się od wspaniałego losu Shelby Cole.

Katrina dobrze się przygotowała do reportażu. Shelby była rozpieszczona. Jej przeklęty kołacz - Appaloosa - na którym Shelby jeździła jako dziecko - był wart więcej niż chevrolet matki Katriny. A jej mały samochód... Porsche. Cholera.

Wstała i się przeciągnęła. Zerknęła przez aluzję na neon motelu Well Come Inn i zmarszczyła brwi na widok pierwszych promieni szarawego światła na wschodnim niebie. Życie nie jest sprawiedliwe, ale to się wkrótce zmieni, i to radykalnie.

Materiał dla „Lone Star” był tylko czubkiem góry lodowej. Zamierzała napisać książkę, swego rodzaju exposé na temat sędziego Cole'a, które wzbudzi ciekawość i liczącej się osoby w Teksasie. W szafie starego człowieka było dostatecznie dużo szkieletów, żeby stworzyć pikantne dzieło.

Odwróciła się od okna.

Jako jedyna załatwiła wywiad z Calebem Swaggertem, a teraz wysłuchiwała wersji Rossa McCalluma, który przysięgał, że został wrobiony, i to przez sędziego.

- Nieładnie, tatko, nieładnie - mruknęła, kręcąc głowę i zastanawiając się, czy nie powinna się zdrzemnąć, a dopiero potem wrócić do pracy.

Poprzedniej nocy spała tylko kilka godzin, serwując sobie dużej ilości kawy. Dowiadywała się coraz więcej o przeszłości, a obywatele Bad Luck, przeważnie straszni prowincjusze, zaczęli się do niej przyzwyczajać. W myśli zasady, że celowi wica rodki, powróciła nawet do tego okropnego, przeciętnego akcentu, którego tak usilnie pozbywała się w college'u. Ale tutaj ten sposób mówienia pasował. Tak samo jak czarne stetsony na łysiej głowie sędziego.

- Dobra - burknęła cicho. Zastanawiała się, kiedy zadzwoni do niej Ross McCallum. A on był jak wąż z ostrymi zębami i zwinnym cielskiem, gotowy w każdej chwili przypuścić atak. Ale go potrzebowała. To on stanowił klucz do zagadki śmierci Estevana. Była tego pewna. Jeżeli Ross wkrótce nie zadzwoni, będzie musiała wepchnąć swój mały pistolet do torebki i rozejrzeć się za nim.

Ta myśl ją zmroziła. Prawda była taka, że Katrina nie lubiła zadawać się z McCallumem. On był uosobieniem zła. Ale postanowiła sobie, że przezwycięży strach i zrobi wszystko, co konieczne.

Wróciła do stojącego na kiczowatym stole laptopa. Właśnie zaczynała przetwarzać treść swoich notatek, żeby mogły się stać kanwą krótkiej historii o egomanii pewnego teksaskiego sędziego, który już wkrótce będzie ałował dnia, w którym odcił się od swojej nie lubnej córki. A Shelby - może nie ponosiła winy za to, że była rozpieszczoną księżniczką, ale spójrzmy prawdzie w oczy: ta dziewczyna to idiotka. Jak ktoś w jej wieku i w tych czasach mógł ją w ciębie i uwierzyć, że dziecko zmarło? Kretynka. Shelby miała wiat na wycięgnięć i nawet o tym nie wiedziała. Z tego, co ustaliła Katrina, Shelby rozpoczęła samodzielne życie gdzieś na północnym zachodzie. Bo, dlaczego? Przecież wszystko, czego mogła chcieć, to wszystko znajdowało się tutaj. Nie dobiegła, że w przyszłości odziedziczy nieograniczone bogactwo, to jeszcze ma kochać tego ojca.

Ze wzruszenia Katrina przełknęła linę i zamrugała. Nie będzie płakać, do diabła. Podniosła szklankę, wyszczyła resztki mountain dew i schrupała kilka topniejących kostek lodu. Jerome Cole był debilem, który ani trochę nie zadbał o swoje drugie dziecko. Ukrył tę własną wnuczkę przed jej matką, zasłużył więc na wszystko, co go spotkało.

Katrina miała tylko nadzieję, że to od niej sędzia otrzyma to, na co zasłużył.

Ross wyrzucił pustą szklankę w kontuar. Tłum w White Horse znacznie się przerzedził. Zostało tu tylko kilku starych pijaków, ale plotka, która zainspirowała większość rozmów, wciąż robiła mu zamęt w głowie. Chodziło o reporterkę, sędziego i Shelby Cole. Snuto domysły, że Katrina jest nie lubnym dzieckiem i że przyjechała tutaj, żeby załatwić własne sprawy.

Wszystko było takie jak zwykle, ale nie wspominała mu o tym, kiedy ucieli krótką pogawiedkę poprzedniego wieczoru. Może nadeszła pora, żeby złożyć jej wizytę. Ale przede wszystkim liczyły się jego cele - mała gra, w którą uwielbiał grać.

Dał znak Lucy, a ona uśmiechnęła się lekko. Ona zawsze go lubiła. Dzisiaj wyglądała nieszczęśliwie. Zlizwała szminkę i miała nieumalowane oczy. Przecierała kontuar. Ross wrzucił jej dwadzieścia dolarów za cztery wypite przez siebie piwa. Szybko wydała mu resztę, a on zostawił jej przywoity napiwek, zgarniając monety do kieszeni.

- Powiedz ode mnie „cześć” swojej siostrze, jak się z nią zobaczysz - powiedziała

to zrobi.

Kłamał. Oboje o tym wiedzieli. Nie lubił Mary Beth, i to z wzajemno ci. Trzymali się razem wyłącznie dlatego, że w dzieciństwie mieli tylko siebie. Połczyła ich praca na roli u dziadka, który zasypywał ich cytatami z Biblii równie często jak uderzeniami paska. Wtedy ze strachu przytulali się do siebie. A pewnego dnia Ross zauważył, że Mary Beth rośnie piersi. Pocałował ją i wsadził rękę do jej majtek, kiedy miała dwanaście lat. Mary Beth krzyczała jak opętana. Dziadek niemal nie zatłukł go na śmierć, a potem zabrał malca do rowu irygacyjnego, gdzie niemal nie utopił Rossa na oczach ich psa.

Wpychał głowę Rossa pod wodę, a piekielny go płuća; gdy udawało mu się zaczerpnąć powietrza, dziadek znowu przytrzymywał go pod wodę.

- Wynijdź, szatanie! - wrzeszczał. - Odstąp od mojego wnuka! - Przełykał ciepłą, zatłoczoną wodę, Ross wycignięty na powierzchnię, kaszlał i spluwał. Dziadek dawał mu spojrzeć na niebo na parę sekund, a potem znów pakował mu głowę do rowu. Trwało to chyba w nieskończoność, a Ross stracił przytomność i obudził się na swoim łóżku, z gorączką, a babka opiekowała się nim w milczeniu, spoglądając na niego ponuro podkrążonymi oczami.

- Zostaw swoją siostrę w spokoju, bo cię rozbiórę i wrzucę do gniazda skorpionów - ostrzegł go północy dziadek, smarując chleb domowego wypieku masłem i polewając go miodem. Generał McCallum nosił szkła bez oprawek, trochę łyściał i brakowało mu kilku zębów. Był jednak dobrze zbudowanym mężczyzną i nikt, ani ona, ani dzieci, ani wnuki, nie ośmieliły się podnieść na niego głosu. Jego słowo było najważniejsze. - Ja nie artuję.

Ross nie miał powodu, żeby mu nie wierzył.

Już nigdy nie tknął Mary Beth.

Odstąpił zachowywał się ostrożnie, a jego seksualne fantazje dotyczące siostry przeniosły się na inne dziewczyny. Pierwszy raz odbył stosunek w wieku piętnastu lat. Nic nadzwyczajnego. Dziewczyna miała siedemnaście lat i była napalona. Żadnego wyzwania, a Ross lubił wyzwania. Im bardziej kobieta się opierała, tym bardziej na nią napierał. Za pomocą obietnic, których nigdy nie zamierzał dotrzymać, i muskularnej sylwetki zazwyczaj dostawał to, czego chciał.

Aż do chwili, kiedy poznał Shelby.

Była jedyną kobietą, wobec której użył przemocy. I myślał północy, że to jej się podobało. W przeciwnym razie powiedziałaaby przecie o wszystkim swojemu ojcu i Ross miałby nie lada kłopoty. Ross podejrzewał, że Shelby lubi ostry seks.

Teraz pchnął ramieniem drzwi i wyszedł na dwór. Powietrze było lepkie i ciękie, a noc równie mroczna jak jego nastrój. Znowu pomyślał o Shelby. Chyba nie oddałby ostatnie pieniądze, żeby ją dorwać sam na sam. Pamiętał gwałt bardzo dobrze, raz po raz odtwarzał jego szczegóły, kiedy leżał na pryczy w swojej celi przez tych osiem długich, samotnych lat, które spędził za kratkami. Wmawiał sobie, że właśnie nie tego chciała, że opierała mu się tylko dlatego, że miała jakieś seksualne zahamowania. Następnym razem będzie go prosił.

Podszedł do swojego gruchota, którego zaparkował tuż za rogiem. Wsiadł i zmarszczył czoło. Kiedy dostanie trochę pieniędzy z magazynu, kupi sobie nową furgonetkę i strzelbę, nawet na czarnym rynku. Nie bardzo wiedział, co prawo mówi o posiadaniu broni przez osoby z wyrokiem. No, ale on nie był prawdziwym skazancem - przecie posłali go do więzienia na podstawie wyssanych z palca zarzutów.

Ale na wszelki wypadek sprawi sobie broń w którejś z tych reklamujących się

samochód. Kupi najbardziej odlotowe koła, na jakie będzie go stać.

I tym czy innym sposobem dorwie Shelby jeszcze raz. To jest mu pisane.

Uruchomił zapłon w swoim wozie i włączył radio. Nic. Cholera. Walnął pięcioma palcami w tablicę rozdzielczą, a kapryśne głośniki ożyły z trzaskiem, a potem ruszył spod krawężnika. John Cougar Mellencamp piewał energicznie:

Urodziłem się w małym miasteczku...

- Wiem, o czym mówisz, kole.

Ross zauważył po drodze aptekę i sklep z paszami. Bad Luck to chyba największa dziura na świecie. Splunął przez okno i pojechał na skraj miasta, do automatu telefonicznego, z którego jeszcze nie korzystał. Budka stała obok opuszczonego budynku, w którym kiedyś mieścił się posterunek dronika. W każdym razie znajdowała się z dala od wściekłych oczu i wydawała się bezpieczna. Włączył radio w chwili, gdy stary John zaczął zawodzić o życiu, strachu przed Jezusem i umieraniu w małej miecinie.

Czy nie to właśnie przytrafiło się Calebowi? Odnalazł Jezusa, a potem umarł. Ale Ross nie sądził, by stary zgreb trafił do nieba. O, nie. Caleb smażył się pewnie w piekle. I dobrze. Wiedział. Zasłużył sobie na taki los, bo jego bezczelne kłamstwo pomogło zapuszkować Rossa.

I tak łatwo było go zabić. Ross wszedł na salę, kiedy Caleb spał i nikt nie zwracał na niego uwagi. Przycisnął poduszkę, twarz i patrzył, jak starzec walił nie wymachuje chudymi rękami i nogami, a w końcu przestaje oddychać.

Ten go powinien mu podziękować. Ross uważał, że zaoszczędził Calebowi mnóstwo bólu i cierpienia. Ani chemoterapia, ani operacja, ani naswietlenia nie mogły go uratować, więc Ross tylko pomógł mu umrzeć. I to było przyjemne. Bardzo przyjemne.

Poczułby się jeszcze lepiej, gdyby mógł zrobić to samo Ruby Dee i Nevadzie Smithowi. Nikczemnicy zasługiwali na śmierć po tym, jak go wrobili.

Cicho pogwizdując refren Smali Town, Ross przejechał przez przekrzywione bramy i zaparkował wóz za pustym, metalowym barakiem, z dala od ulicy. Wysiadł z samochodu. Było tu ciemno. Tylko w budce telefonicznej paliło się światło. Ross podszedł do niej. W kieszeni brzości były mu drobne. Szybko wystukał numer, odwrócił się plecami do ulicy i czekał na połączenie. Nie potrafił się nie uśmiechać, bo nic nie sprawiało mu takiej przyjemności, jak działanie na nerwy Nevadzie Smithowi.

Jeden dzwonek.

Drugi dzwonek.

Trzeci dzwonek.

Cholera, czy ten facet zasnął? A może nie żyje?

Albo posuwa Shelby?

Ross natychmiast przestał się uśmiechać. Stracił rachubę dzwonek, a kiedy włączyła się automatyczna sekretarka, nawet nie odsłuchał wstępu, tylko odwiesił słuchawkę i pluł sobie w brodę, że stracił trzydzieści pięć centów.

Nie mógł spokojnie myśleć o Smisie z Shelby Cole. Co ciskało mu ołdek i postanowił sobie, że już do uników, głuchych telefonów, zabaw z Shelby.

Nie. Pora znowu zobaczyć.

I to on b dzie ustalał warunki.

Rozdział 18

To ty mi przysłała to zdj cie - stwierdziła Shelby, patrz c na gosposi zupełnie innymi oczami. Wraz z Lydi i s dzi siedziała przy stoliku na patio, blisko basenu na terenie posiadło ci Cole'a. Nevada stał oparty o cian ; był sztywny i z ponur min wpatrywał si w nalan twarz Cole'a.

- *Si, ni a.* - Lydia powoli skin ła głow i zaci gn ła si papierosem. Smuga dymu uleciała ku niebu. wit zbli ał si szybko. Ptaki ju wy piewywały poranne piosenki, a na gładkiej tafli basenu ta czyły pierwsze promienie sło ca. - Przesłałam je. *Si.* I skłamałam. - Lydia spu ciła na chwil oczy, ale potem powoli uniosła podbródek w niemal prowokacyjnym ge cie. Zobaczyła cichy wyrzut w oczach swojego chlebodawcy i zwróciła si bezpo rednio do niego. - I zrobiłabym to jeszcze raz. To nie było w porz dku, e Shelby nie wiedziała o Isabelli... Elizabeth. To przecie jej córka.

- Dlaczego nie powiedziała mi wcze niej? - zapytała Shelby wci oszołomiona tym, e miejsce, które niegdy nazywała rodzinnym domem, oplatała, niczym paj czyna, sie intryg i kłamstw.

- Ja j o to poprosiłem - przyznał s dzia, ale widz c gniewne spojrzenie Lydii, sprostował: - Wła ciwie to zagroziłem jej, e je li nie zachowa milczenia...

- Zagroziłe jej? - powtórzyła Shelby i spostrzegła błysk w ciemnych oczach Lydii.

- Deportacj ? - zgadywał Nevada.

Lydia ci gn ła usta. Ostatni raz zaci gn ła si dymem, a potem zgasiła papierosa w popielniczce.

- Ja... ja nie martwiłam si o siebie, ale o Carl , Pabla, dzieciaki i... - Wzruszyła ramionami. - I o Isabell . Oni wszyscy by ucierpieli.

- Dopu ciłby do deportacji swojej wnuczki? - Shelby zrobiło si niedobrze. Tego było ju naprawd za wiele. Wstrz ni ta, odepchn ła krzesło i nawet nie spojrzła na ojca. - Co z ciebie za potwór?

- Chory potwór. - Lydia w ko cu si wyprostowała, wstała i zaniósła popielniczk do kuchni. - Niech pan jej powie - rzuciła przez rami . - Ona ma prawo wiedzie . Jest pana *hija*, pana córka . Zasługuje na to, eby zna prawd . Do ju sekretów. Naprawd do . Ja... nie mam siły, eby sobie z nimi radzi .

- O czym ona mówi? - zapytała Shelby, chocia zaczynała rozumie , o co chodzi. S dzia wydawał si stary. Zm czony. Czy ju wcze niej co nie obiło jej si o uszy na temat jego zdrowia? Czy nie podsłuchiwała rozmowy Lydii i s dziego?

- Do diabła, mam raka, Shelby. Nie takiego samego jak Caleb Swaggert, ale te ko czy si mierci . - Machn ł r k , zanim zd yła zada pytanie. - Prostata. Nie, eby to miało jakie znaczenie. - Oparł si o krzesło; worki pod jego oczami były wyra niejsze ni zazwyczaj. - Lekarze daj mi rok... mo e dwa lata, ale to maksimum.

Shelby miała wra enie, e zapada si fundament jej wiata.

- Nie... nie wierz . Tyle jest dzisiaj metod leczenia. - Spojrzała na Nevad , ale on tylko wzruszył ramionami. mier jej ojca? Brała ju pod uwag tak ewentualno , ale nigdy nie my łała, e utraci człowieka, który trakto wał j brutalnie i manipulował jej yciem, odk d tylko si gała pami ci .

- Pogód si z tym, Shelby - powiedział wolno Jerome. - Ja ju si pogodziłem. Gdyby nie ci gn ła ci tu Lydia, w ko cu bym ci do siebie wezwał. Wiesz, e odziedziczysz wszystko, co mam. Ranczo, szyby naftowe, ten dom i...

- Nie - przerwała mu schrypni tym, pełnym emocji głosem. - Nie chc tego słucha

wreszcie mam się spotkać z córką, o której powiedziały mi, że umarła, z córką, którą przede mną ukrywała. Dobrze? Nie umiem się pogodzić z tym, że kiedy w końcu mam poznać moją córkę, okazuje się, że ty... jesteś umierający. - Serce biło jej mocno, do oczu napłynęły łzy z gniewu.

- Będziesz musiała stawić czoło wielu problemom - powiedział sędzia, powoli wstając; jego szczękę pokrywał srebrzystosiwawy zarost. Oparł się o łaski i obrzucił Nevadę zmierzonym spojrzeniem. - Ty zresztą też. Czy ci się to podoba, czy nie, zostaniesz aresztowany za zamordowanie Estevana. Prokurator okręgowy ma przeciwko tobie całkiem mocne dowody. Tak przynajmniej słyszałem. - Zmrużył swoje stare oczy. - Jesteś na to przygotowany?

- Już panu mówiłem. Nie miałem z tym nic wspólnego.

- Hm, może, może. Ale kto cię tam wie, czy nie kłamiesz. - Sędzia zmarszczył brwi i uśmiechnął się z czubka łaski, żeby zgnieć mrówek, która była niemrawa, bo spacerowała blisko niego na werandzie. - Tak czy owak, lepiej bądź gotowy i załatw sobie dobrego adwokata. Wiesz, w San Antonio jest pewna kobieta; zna Orrina Findleya. Ma swoją firmę. Stahancyk, tak się nazywa. Jest bardzo wysoka, ma jakieś sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu... i nie uwierzyłbyś, jaki ma niewyparzony język. Ona nikomu nie ułatwia życia i niczego się nie boi. Prokurator okręgowy ma przed nią wielkiego stracha. Ona i ten jej partner... och, do diabła, jak on się nazywa... - Pstryknął palcami i pokręcił głową. - Joe albo John Crawford, nie pamiętam. On z kolei jest mały i wiecznie uśmiechnięty. Wygląda niewinnie, ale potrafi zachować się jak twardziel. Powiem ci, że tych dwoje tworzy świetny zespół. Mógłbym ich namówić, żeby cię bronili.

Wyraz twarzy Nevady się nie zmienił.

- Niech pan nie robi sobie kłopotu.

- Stahancyk i Crawford. Oni są ponoć najlepsi.

- Nieważne. Teraz mam poznać moją córkę.

- Ha. - Sędzia zaczął iść w stronę domu. - Chcesz powiedzieć, córko Shelby. - Nie czekał na reakcję, tylko poszedł prosto do kuchni. - Co człowiek musi zrobić, żeby dostać filiżankę dobrej kawy? - zapytał Lydii i serce Shelby pękło na tysiąc kawałeczków. Podając nazwiska adwokatów, sędzia Jerome „Red” Cole w pewnym sensie oferował Nevadzie gałązkę oliwną. Inna sprawa, że Nevada nie potrzebował adwokatów. Shelby ani przez chwilę nie wierzyła, żeby był zdolny do morderstwa.

Drzwi zamknęły się za jej ojcem. Dobry Boże, czy by odzyskiwała córkę, a jednocześnie nie traciła ojca - człowieka, którym pogardzała, choć w głębi duszy wiedziała, że starał się jak najlepiej ją zabezpieczyć? Kobięciarz, kłamca, oszust, wielki krętacz?

Starała się zdusić w sobie litość dla mężczyzny, który ją spłodził. Zbyt wiele lat próbował zniszczyć jej życie.

- Chodźmy stąd - powiedziała do Nevady, który właśnie nie przechodził obok doniczki z bujnie kwitnącymi roślinami. Samolot z Elizabeth miał wylądować na ranczu w ciągu godziny. - Ja poprowadzę.

Nevada nie spierał się z nią. Minął rolę any ogród. Wsiadł do cadillaca, na fotel dla pasażera, i włożył okulary przeciwsłoneczne. Shelby ruszyła z miejsca, wzniesając obłok kurzu; jechała, nie zważając na dozwolone prędkości, pokonywała zakręty szybciej, niż nakazywały przepisy.

- Wciąż masz cięknogę - zauważył, kiedy wjechali na wzniesienie tuż przed zakrętem na północ, na obrzeżach miasta.

- Przestraszony? - zapytała, zerkając na niego.

- Twój jazd? - Uśmiechnął się rozbawiony.

- Cał t histori z Estevanami.

- Nie boj si o siebie. - Przechylił głow i spojrział na ni znad okularów.

- Co? Martwisz si o mnie? - prychn ła. - No, to si nie martw. Jestem du dziewczynk . Daj sobie rad .

Nic na to nie odpowiedział. Odwrócił si i patrzył na okolice przez upstrzon owadami szyb . Rozp dzony samochód mijał ci gn ce si kilometrami ogrodzenie, połącie suchej trawy, sosnowe i d bowe zagajniki, pi knie roz wietlone promieniami porannego sło ca. Na nawadnianych przez kanały i rozpryskiwacze ł kach pasło si bydło i konie.

Shelby czuła si tak, jakby kto zwi zał jej oł dek na supelki. Kiedy skr cili na drog prowadz c do rancza, wybiegła my lami w najbli sz przyszło . Co b dzie, je li Elizabeth znieawidzi j od pierwszego wejrzenia? Albo je li Maria b dzie miała do niej al. A je li... och, do diabła, niewa ne. Jako uda jej si dogada z własnym dzieckiem, ale układ z Nevada to co innego.

On mo e nie by biologicznym ojcem Elizabeth. Spójrz prawdzie w oczy, Shelby, ta dziewi cioletnia dziewczynka mogła zosta spółdzona przez Rossa McCalluma.

Zacisn ła palce na kierownicy. To absolutnie niemo liwe. Bóg nie byłby tak okrutny. Nie teraz, kiedy zaszła tak daleko.

Przejechała przez bram rancza; prawie nie zwolniła, kiedy dotarła do głównego budynku i przybudówek, do miejsca, w którym dziesi łat wcz e niej dopadł j Ross.

- A wi c cały ten czas była w Galveston? - zagadn ł Nevada.

- Tak. - Shelby kiwn ła głow i zmniejszyła pr dko . - Według Lydii.

- A twój ojciec kupił milczenie Lydii - u ci lił Nevada, kiedy podje d ła pod szop z narz dziami. - W zamian za prawo pozostania w tym kraju i pracy dla niego, Lydia i wszyscy inni, którzy wiedzieli o dziecku, musieli udawa , e Elizabeth zmarła.

- Tak to mniej wi cej wygl da.

- Miły go z tego twojego ojca.

- Zawsze taki był - odparła szyderczo Shelby, kiedy zatrzymała wóz i zgasiła silnik. Wysiadła z ju mocno nagrzanego cadillaca i poszła cementow drog do drzwi domu, z którego przed wielu laty wykradła kluczyki do pikapa ojca. Poranna bryza owiewała kaniony, a wokół pasło si bydło i konie. Jeb Wilkins, który dozorował prac na ranczu, przywitał Shelby na frontowym ganku. Nigdy nie lubiła tego człowieka; pami tała go z czasów, gdy był zwykłym robotnikiem i, wraz z Rossem McCallumem, linił si na jej widok, wygadywał wi stwa za jej plecami i na miewał si z „ksi niczki” s dziego. Tamtego wieczoru grał w karty z Rossem McCallumem.

Shelby lekko zacisn ła wargi.

Tego ranka Jeb był ugrzeczniejszy.

- Dzie dobry, Shelby - powiedział, obna aj c w u miechu po ółkłe z by. - Je li chcesz, mog podjecha z tob do l dowiska - zaproponował.

- Nie ma potrzeby - odparła, kiedy wr czał jej kluczyki, a potem wskazała furgonetk z ponadwymiarow szoferk .

- Je eli jeste pewna...

- Całkowicie.

- Ja tylko chc pomóc.

- Pani da sobie rad . - Nevada zmierzył m ęczyzn surowym spojrzeniem.

- W porz dku. W takim razie otworz bram . - Jeb skin ł głow .

Shelby chwyciła le ce na jego wyci gni tej dłoni klucze, podeszła do du ej furgonetki i wsiadła za kierownic . Nevada usiadł obok, na szerokiej ławie, i patrzył przez ciemne okulary na bli niacze bruzdy prowadz ce do l dowiska, podczas gdy Jeb, zgodnie z zapowiedzi , odryglował aluminiow bramk i otworzył j na o cie .

- Nie b d rozczarowana, je li jej si nie spodobasz - powiedział Nevada, kiedy zabudowania rancza pozostały w tyle.

- Nie b d .

- Ale na pewno b dziesz. - Patrzył na otaczaj cy ich krajobraz. Wysoko w górze kr ył jastrz b.

- Wiem, e obie potrzebujemy czasu. - Pikap podskoczył na wyboistej drodze.

- B dzie ci ko.

- Dzi ki za tani psychologi - warkn ła u kresu wytrzymało ci.

- Polecam si na przyszło , kochanie - odparł z tym swoim cholernym, seksownym u mieszkim na twarzy i skupił uwag na pokrytych kurzem ciel tach, oci ale st paj cych obok swoich matek, które pasły si na ł ce albo prze uwały pokarm.

- Wiesz - powiedziała, wracaj c do bolesnego tematu, gdy tylko ich oczom ukazało si l dowisko - jak na człowieka, który mo e zosta oskar ony o morderstwo, nie wydajesz si specjalnie przej ty.

- Jestem dostatecznie przej ty.

- Ale...

- Ale nie zrobiłem tego, okej? - Odwrócił si do niej z zaci ni tymi ustami wyra nie zdenerwowany. - Nie wiem, jak ta bro znalazła si u mnie. McCallum ukradł mój wóz tamtej nocy. Trzydziestkaósemka była zamkni ta w schowku na r kawice. Po wypadku okazało si , e jej tam nie ma, wi c albo kto j wyci gn ł, zanim wóz wpadł w po liz i r bn ł w drzewo, albo pistolet zabrano pó niej. Tak czy owak, ja go nie miałem i nie zabiłem Estevana!

- Ja to wiem - wykrztusiła.

- Dobrze. O to b dziemy si martwi pó niej. Na razie lepiej skupmy si na spotkaniu z twoj córka .

- Twoj te - zauwa yła i zmniejszyła pr dko , bo furgonetka zbli yła si do cementowego l dowiska, którego pas przebiegał wzdłu płaskiej cz ci rancza.

- Mo e. - Patrzył jej w oczy przez kilka długich, pełnych napi cia sekund. - Ale musisz bra pod uwag fakty, Shelby. W yłach tego dziecka mo e płyn krew McCalluma. Lecz i tak pozostaje twoim dzieckiem.

- Wiem - przyznała Shelby. Czują coraz wi kszy chłód w sercu i nie odrywała wzroku od jego stalowoszarych oczu. Wci kurczowo ciskała kierownic . O Bo e, jak e pragn ła, eby to było jego dziecko. - Tylko... po prostu nie mog w to uwierzy .

- Dziecko niczemu nie jest winne. - Chwycił jej r k wielkimi, stwardniałymi palcami. Poczwała sił tego u cisku i u wiadomiła sobie, e nie miał na my li tylko Elizabeth, ale tak e siebie. On, Metys, cierpiał ból odrzucony przez matk , padł ofiar okoliczno ci, których nie był w stanie zmieni . Bolało j , ile musiał znie . - No, dobrze, Shelby. - Zerkn ł na niebo przez przedni szyb . - Zaczynamy. Twoja córka ju tu jest.

Shelby błyskawicznie odwróciła głow . Zobaczyła samolot, a raczej malutk plamk na niebie. Poczwała ucisk w oł dku i nagle ogarn ły j w tpliwo ci. Co b dzie, je li Elizabeth j odrzuci albo je li nie przypadn sobie do gustu, albo...

Nevada złapał ją za ramiona i zanim zdążyła pomyśleć, przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował w usta. Ten pocałunek rozproszył wszelkie złe przeczucia. Wreszcie odrzucił do tyłu głowę.

- Powodzenia - wychrypiął, wypuszczając ją z objęcia. - Dasz radę, Shelby. Wiem to. Będzie najlepszą matką na całej kuli ziemskiej.

- Mam nadzieję - odparła, wciąż jeszcze oszołomiona jego wybuchem miłości. Bała się, że zaraz się rozplacze. - Och Boże, Nevada, mam nadzieję, że chociaż ten jeden raz się nie mylisz.

- A czy ja kiedykolwiek się myliłam?

- Nie. Nigdy. - Za nią miała się nerwowo i wysiadła z wozu, gdy tymczasem letniczy zakłócił warkot silników samolotu. Przysłoniwszy oczy rękami, Shelby i Nevada obserwowali, jak samolot podchodzi do lądowania. W końcu koła uderzyły o nawierzchnię i samolot zaczął hamować.

W środku było jej dziecko. Wreszcie się spotkały.

Serce podchodziło jej do gardła. Przygryzła dolną wargę. Walczyła ze łzami.

- Elizabeth - szepnęła, kiedy samolot zakończył kołowanie i zatrzymał się.

Po kilku minutach wysiadły z niego trzy osoby. Pilot pomógł Marii i chudziutkiej dziewczynce w dżinsowych szortach i kurtce zeskoczyć na ziemię.

Shelby poczuła piekące łzy w oczach. Poranny wiatr, pachnący kurzem i wieńcami traw, drażnił jej nozdrza i rozwiewał splecione, długie do ramion włosy małej.

Shelby nie protestowała, kiedy Nevada ją objął, żeby dodać otuchy. W głębi duszy powtarzała sobie, że się nie rozkleje, nie uroni ani jednej łzy.

Elizabeth przywarła do Marii. Jej twarz pobladła, oczy były duże i wystraszone, a kroki niepewne. Och Boże, nie będzie łatwo.

- Witajcie - wydusiła Shelby, kiedy podeszli bliżej. Maria obejmowała ramieniem dziewczynkę, którą wychowywała. Uśmiechnęła się niepewnie.

- Shelby - powiedziała. - Pamiętam. - Jej wzrok spoczął na Nevadzie. - I ciebie też.

- Wszystko w porządku? - zapytał wysoki chudy pilot, który przyniósł bagaż. Choć miał ciemne okulary, widać było zniecierpliwienie, z jakim sprawdzał godzinę na zegarku. - To już cały bagaż. Jeśli czego jeszcze potrzebujecie, mówcie. Jeśli nie, musimy lecieć w kolejną trasę.

- Poradzimy sobie - powiedział Nevada. - Dzięki. - Ucisnął mu rękę, ale nie mógł oderwać wzroku od chudej dziewczynki, dziewczęciolki, która mogła być jego córką.

- Isabello - powiedziała Maria do Elizabeth. - To jest *señora* Cole, opowiadałam ci o niej.

Elizabeth wyglądała na miertelnie przerażoną. Kurczowo przywarła do Marii i potrzasała głową.

- Nie - wyszeptała i Shelby pękło serce.

- Ale przecie zawsze chciała poznać swoją matkę.

Zrozpaczona dziewczynka wygięła wargi w podkówkę i zaczęła szlochać, szybko mówiąc po hiszpańsku.

- Nie, nie, ona jest twoją matką, ale nie... - Maria pochyliła się i przytuliła Elizabeth jeszcze mocniej, cały czas mówiąc do niej po hiszpańsku. Shelby serce się krajało i gdyby nie wsparcie Nevady, pewnie ugięłaby się pod nią nogi. - No już cicho, cichutko - uspokajała Maria; Shelby w końcu wy dostała się z objęcia Nevady.

- Wiem, że jest ci ciężko - odezwała się do dziewczynki. Uklękała i patrzyła dziecku w oczy. - Bardzo ci ciężko. Wszystkim nam jest ci ciężko. Ale uwierz mi, nie zrobi niczego, co mogłoby ci zaszkodzić.

si le. Kocham ci , Elizabeth, i...

- Isabella - zapłakała dziewczynka.

- Tak, tak, Isabella. - Powoli, eby jej nie przestraszy , Shelby przytuliła j . Dziewczynka była sztywna jak manekin. - Jakie imi zechcesz. Ja... - wzruszenie ciska ło jej gardło, oddychała z trudem. - Chc tylko, eby wiedziała, e za tob t skniłam, e kocham ci i strasznie si ciesz , e jeste teraz tutaj. Gdybym wiedziała, gdzie była , ju wcze niej przyjechałabym po ciebie. Przywiozłabym ci ... tutaj. - Chciała powiedzie , e przywiozłaby j do swojego domu, ale byli w Bad Luck, w stanie Teksas, w miejscu, którego nie uwa ała ju za swój dom, a z pewno ci nie uwa ała go za dom Elizabeth.

- Widzisz - Maria dodawała odwagi dziecku. - Zawsze mówiła , e chcesz pozna swoj mam . - Odgarn ła jej grzywk z oczu. Wyprostowała si i powiedziała do Shelby:

- Isabella wie, e jest... adoptowana.

- A co z moim ojcem? - zapytała Elizabeth, mru c oczy. Potem spojrzała w kierunku Nevady. - Gdzie on jest?

O Bo e, i co teraz?

- Wkrótce go poznasz - odparła Shelby.

- Na razie ja chyba b d musiał ci wystarczy - Nevada wyci gn ł swoj du r k , u ciska ła mał dło Elizabeth i obdarzył j jednym z tych ol niewaj cych u miechów, którym trudno było si oprze . - Z twoim starszkiem spotkamy si pó niej.

- Jasne. Oczywiście. Wszystko b dzie dobrze - dodała szybko Shelby. Kiedy wypu ciła Elizabeth z obj , od razu poczuła pustk . Najch tniej przytulałaby j cały czas i nigdy nie rozstawała z ni , ale pomy łała, e na razie najlepiej b dzie działa powoli, eby Elizabeth miała czas przywykn do nowej sytuacji. - No, chod . Pojedziemy wszyscy na ranczo. Tam zmienimy samochód i wrócimy do miasta. - Zmusiła si do u miechu, podczas gdy Nevada wrzucał torby do furgonetki. - B dziesz mogła pozna swojego dziadka.

- *Abuelo* - uspokajała j Maria. - Dziadek.

Elizabeth nie u miechn ła si , co wcale nie zdziwiło Shelby. Przecie dziewczynka nie wiedziała, e jej dziadek nie chciał mie z ni do czynienia, a nawet twierdził, e umarła, a teraz sam miał umrze . Ogromne napi cie sprawiało, e Shelby oddychała z trudem, ale postanowiła, e si nie da. Takie jest ycie - pełne wyzwania , problemów, z którymi trzeba si upora . Ale teraz przynajmniej ma przy sobie swoje dziecko.

Wreszcie.

Patrzyła, jak Maria pomaga Elizabeth wsi na tylne siedzenie wielkiej furgonetki. Elizabeth była zdenerwowana i starała si nie patrze ani na Shelby, ani na Nevad . Cierpliwie ci, jako dojdzie do siebie, musi, Shelby powtarzała sobie w duchu, sil c si na u miech i udaj c; e jej serce nie zostało do g ł bi zranione.

Wsiadła do furgonetki, uruchomiła silnik, zawróciła samochód i pojechała do głównej cz ci ojcowskiego rancza. Nevada si nie odzywał, tylko patrzył przez okno. Twarz miał jak z kamienia, kurze łapki w k cikach oczu były bardzo widoczne, bo mru ył oczy w sło cu, opieraj c łokie na otwartym oknie.

Nad czym tak przemy liwał podczas jazdy, kiedy sło ce wschodziło coraz wy ej? Mo e nad tym, czyj córk jest Elizabeth, jego czy Rossa McCalluma? Shelby poczuła piek c gorycz w gardle.

Spokojnie, mówiła sobie. Czas jest twoim sprzymierze cem. Wszystko si uło y. Nie komplikuj sytuacji. Czas leczy wszystkie rany. Ale banały, które przewijały si w jej umy le, wydawały si puste i nieprzekonuj ce, brzmiały jak cytaty z kartki z yceniami dla chorej psychicznie osoby, a nie jak u y

i tak straciła bezpowrotnie mnóstwo czasu, a każda minuta, w której Elizabeth ją odtrącała, była kolejnym zmarnowanym minutem.

Zaryzykowała i spojrzała we wsteczne lustro - zobaczyła błękitne, podejrzliwe oczy patrzące na nią tak, jakby była czarownicą. Wiednie. Po prostu wiednie. Bo e, daj mi siłę, Shelby modliła się w duchu, lecz po chwili zauważyła, że siedzący obok niej Nevada sztywnieje na widok zabudowa na ranchu. Utkwił wzrok w jakimś odległym punkcie i cicho zaklął.

Już miała zapytać, co się stało, ale kiedy spojrzała tam, gdzie on patrzył, poczuła się tak, jakby ktoś kopnął ją w brzuch.

W pobliżu stajni stał, lśniący w promieniach porannego słońca, wóz policyjny. Zastępca szeryfa, Shep Marson, w mundurze i okularach przeciwsłonecznych, stał oparty o zderzak i nie spuszczał z nich oczu.

Shelby z trudem przełknęła ślinę. Nagle zaschło jej w gardle.

Przez ułamek sekundy miała ochotę szarpnąć kierownicę, zawrócić wóz i dać gaz do dechy. Na jej czole pojawił się pot, ale czuła się tak, jakby w środku wszystko w niej skamieniało. Nikt nie musiał nic mówić.

Shelby uświadomiła sobie z przerażeniem, że Nevada Smith zostanie zaraz aresztowany za zamordowanie Ramóna Estevana.

Rozdział 19

To jest chore - powiedziała Shelby, patrząc gniewnie na ojca w sali bilardowej ich domu. - Patrzyłam, jak Shep zakłada Nevadzie kajdanki i ci gnę go ze sobą. - Czuła w ciele i ból i chłódnie wałnęłyby Shepa Marsona pięcioma jego wielkimi brzuchami. Miał tak zadowolony min, kiedy skuwał nadgarstki Nevady, a potem przytrzymał mu głowę, popychając go na tylne siedzenie samochodu.

- Z tego Smitha zawsze był nicpo, Shelby - zawyrokował sędzia Cole. - Spójrz prawdzie w oczy.

- Nie możesz czegoś zrobić?

Za nią się sucho.

- Aha, to teraz chcesz, abym pociągnął za sznurki, tak?

- Tak - odparła cicho. Jej córka i Maria odpoczywały na górze, po sztywnym, oficjalnym powitaniu ze strony sędziego.

- Proponowałem, że zadzwoni do firmy Stahanczyk.

- Ale Nevada nie zabił Ramóna Estevana! Wiesz o tym i ja też to wiem.

- Chodzi o dowody. Wszystkie wiadczy przeciw niemu.

- A co z zeznaniem? Nikt nie widział go z Ramónem tamtej nocy.

- Vianca zmieniała swoją wersję wydarzeń.

- W takim razie jest cholerny kłamczuch! A co z Ruby Dee? Ona widziała McCalluma z Ramónem tamtej nocy.

- Shelby podniosła głowę i zobaczyła, że Lydia krzyciła się w kuchni, pewnie równie zmęczona i skołatana jak ona. Jednak gospościa zdążyła już przebrać się w standardowe czarne sukienki i wykrochmalony biały fartuch i starannie pospinała sobie włosy. Teraz nuciła sobie pod nosem, jak to zawsze ona, i zaczęła marynować polędwiczkę wieprzową - przygotowywała się do pierwszego rodzinnego obiadu za kilka godzin.

- Nie, tak nie może być - buntowała się Shelby. Chciała tak bardzo pragnęła odnaleźć swoją córkę, teraz chciała pomóc Nevadzie, i to bez względu na to, czy okaże się biologicznym ojcem Elizabeth, czy nie. Kochała go. Całym swoim głupiutkim sercem. Kochała tego przeklętego faceta. - Nie zamierzam się

podczas gdy Nevada jest wrabiany w zbrodni, której nie popełnił. - Wyszła z pokoju i, przechodząc przez kuchnię, powiedziała do Lydii:

- Proszę cię, dopilnuj, żeby niczego nie zabrakło Marii i Elizabeth. Ja... ja niedługo wrócę.

- Nie martw się - uśmiechnęła się Lydia.

- Niestety nie robi nic innego, tylko się zamartwiam - burknęła. - A ty - wrzasnęła do swojego ojca, biorąc torebkę do ręki - może spróbujesz lepiej poznać swojego wnuczka! - I wyszła.

Przerzucając kanały telewizyjne w swoim ciasnym i obskurnym pokoju motelowym, Katrina zwróciła uwagę na wiadomości. Wiadomości o uwolnieniu McCalluma. Lokalny dziennik podał, że Nevada Smith został aresztowany i postawiono mu zarzut morderstwa Ramóna Estevana.

Katrina jako ta wersja nie przekonała. Owszem, tego rodzaju ciemnotę wcisnął jej Ross McCallum, a ponadto dowiedziała się, że narzędzie zbrodni użyte do zamordowania Estevana zostało znalezione na terenie posiadłości, której właścicielem był Smith - tyle że o tym zdecydował anonimowy telefon, a nie dobra praca śledczych z Biura Szeryfa. W tym zacofanym, prowincjonalnym miasteczku takie praktyki nie dziwiły.

Katrina wciąż wierzyła, że jeżeli coś w stu procentach wygląda na ciemne, to na pewno jest cholernie ciemne. Ale kto za tym stoi?

Kto najbardziej skorzystałby na uwolnieniu Nevady Smitha? Kto mógłby liczyć na pieniądze, satysfakcję albo zemstę? Komu zależało na jego pogrzebie albo finansowych problemach?

Leżąc na nierównym łóżku w swoim komplecie z czarnej bawełny, przeglądała notatki i bębniła palcami w stolik. Brała pod uwagę ludzi, którzy najprawdopodobniej mogli popełnić zbrodni: oczywiście Estevanów, Aloise, Roberta i Vianca, a także on Roberta. Ross McCallum odsiedział już wyrok za przestępstwo, którego, jak twierdził, nie popełnił. Nevada Smith był kiedyś związany z Viancem, ale nie on jeden, a ponadto Roberto nigdy nie miał dobrych stosunków ze swoim ojcem.

Sdzia Cole - Najdroższy Tatuś, jak go teraz nazywała - nie lubił „zarozumiałego Meksykanina” i nie był w tym odosobniony. Wielu białym w mieście nie podobał się sposób, w jaki Ramón zarabiał pieniądze. Ale kto nienawidził go tak mocno lub odniósłby wystarczająco duży korzyść z jego śmierci, by nacisnąć spust? Kto go zabił i po dziesięciu latach, kiedy wypuszczono na wolność człowieka skazanego za tę zbrodnię, dał anonimowy cynek o miejscu ukrycia narzędzia mordu - albo jeszcze lepiej: kto podłożył cholerny broń?

Katrina nie знаła odpowiedzi na te pytania, ale postanowiła, że je znajdzie. Zeskoczyła z łóżka i włożyła T-shirt oraz krótki kombinezon. Przeciagała się, wsunęła klapki, a potem spryskała włosy pianką, zmoczyła palce i wplotła je we włosy, żeby je podnieść i nastroszyć. Jakby ktoś z Bad Luck zauważył różnicę. Bo e, jak tu tak gorąco. Ochlapała zimną wodą szyję i czoło i pozwoliła kroplom wyschnąć, zamiast wytrzeć je ręcznikiem. Idąc do drzwi, zatrzymała się w pół kroku, otworzyła torebkę i zajrzała do środka.

Pistolet. Jest.

Dobrze.

Zamknęła torebkę i wyszła na dwór. Zapadał zmrok. Powietrze było gęste i lepkie jak smoła. Samochody na ulicy poruszały się wolno, jakby i one rozleniwione upałem. Niebo zasnuwały burzowe, nabrzmiałe deszczem chmury, ciemno zapadała więc wcale nie tak szybko. Katrina zamknęła za sobą drzwi i miała nadzieję, że deszcz przyniesie trochę ulgi od tego przeklętego, niekończącego się upału.

Czekało j rozczarowanie.

Na szyb cadillaca spadły pierwsze krople, tworząc brudne smugi. Shelby włączyła wycieraczki, ale tylko bardziej zamazywały zakurzone szyb. Wprawdzie włączyła klimatyzację i opuszczyła okno, ale i tak okropnie się pocila, w ciekła z powodu aresztowania Nevady i rozdarta, gdy z jednej strony chciała być ze swoją córką, ale z drugiej - musiała znaleźć sposób, aby dowiedzieć się niewinności Nevady.

Kilka minut więcej nie zaszkodzi, pomyślała, jadąc przez miasto. Odnosiła wrażenie, że jest ledziona, ale uznała, że ma skłonność do paranoi, typowej dla rodu Cole'ów.

Zmęczona, spięta, niespokojna o Nevadę i Elizabeth, by może uroiła sobie, że widzi za sobą światła innego samochodu. Nikt za nią nie jechał. A jednak... stale zerkała we wsteczne i w boczne lusterka.

Przez ostatnie dwie godziny próbowała znaleźć Nevadę i Shepę - miała nadzieję, że uda jej się zatrzymać powolne tryby maszyny sprawiedliwie, by nie zmiażdżyły niewłaściwej osoby. Była w widzeniu okrągłym i w Biurze Szeryfa, zadzwoniła się do domu Shepę, a nawet wytropiła Ruby Dee, ale nic jej to nie dało.

- Ja tam nie uważam, aby Nevada go zabił - oświadczyła nerwowo Ruby, stojąc w drzwiach swojego mieszkania w Coopersville - ale nic, co powiem albo zrobię, tego nie dowiedzie. - Dotknęła ramienia Shelby. - Tylko uważaj na siebie, dobrze? Ross McCallum jest w mieście i... - Spojrzała Shelby prosto w oczy wystraszona. - Szczerze mówiąc, Shelby, okropnie się go boisz. To nie jest ktoś, kogo można lekceważyć. Trzymaj się od niego z daleka.

- Mam taki zamiar - oznajmiła Shelby; jeśli, aby udowodnić niewinność Nevady, musiałaby znów stanąć twarzą w twarz z McCallumem, to trudno. Na myśl o takiej ewentualności coś w niej drętało; zamieniała się w lód, ale wiedziała, że się nie podda. Nie może się poddać. Zaciśnięła palce na kierownicy tak mocno, jakby od tego zależało jej życie, a pobielaty jej kłykcie.

Shelby kochała Nevadę. Taka była oczywista prawda. Inicjały, które w młodzieńczej naiwności, dziesięć lat temu, wyrzyła na palu do przywilejowania koni przy drogerii, nie straciły nic z aktualności.

Jechała przez miasteczko, minęła sklep Estevanów, gdzie zobaczyła za kasą Enrique, brata Marii. Potem był White Horse - muzyka sięczyła się w lepkie, wieczorne powietrze - a dalej biuro jej ojca; tutaj, niespełna dobowczęcej, dowiedziała się o miejscu pobytu Elizabeth.

- To nie ma sensu - mruknęła, widząc w lusterku reflektory samochodu. Skręciła i tamten wóz pojechał za nią. Zaciśnięła szczęki: nie wiedziała, czy ze strachu, czy dlatego, że była w ciekła na siebie. Wjechała w boczną uliczkę. Tym razem nikt nie pojechał za nią. - Głupia - powiedziała i włączyła radio, w którym akurat puszczano jakąś łagodną balladę country and western. Potem ruszyła w miasto.

Znowu miała kogoś na kole. Próbowała nie zwracać na to uwagi. Prowadziła samochód jedyną, a drugą oparła na opuszczonej szybie i czuła krople deszczu na skórze. Minęła kilka domów i zwolniła przed bungalowiem Estevanów, gdzie paliły się światła. Chociaż nigdy wcześniej nie spotkała się z Viancą, teraz była zdesperowana i wiedziała, że ma coraz mniejsze pole manewru. Może córka Ramóna potrafi rzucić światło na jego mierę.

- Przynajmniej próbuj. - Shelby burknęła do siebie. Zaparkowała wóz i wysiadła. Gdzieś na ulicy zaszczekał pies, a kiedy Shelby weszła na schodki, jak spod ziemi wyłonił się kot i czmychnął przez ganek. Krople deszczu bębniły o dach.

Zapukała do drzwi; otworzyły się niemal natychmiast. Po drugiej stronie siateczki stała Vianca.

- Tak? - zapytała, cięgnąc czerwone usta na dowód irytacji.

- Chciałabym z tobą pogadać. O Nevadzie.

- Został aresztowany. Nie ma o czym mówić.

- Na pewno jest o czym mówić - upierała się Shelby. Nie śpiesz się od niej. Vianca stanęła na palcach i zerknęła jej przez ramię. Zmrużyła oczy, ledwie powoli przejechała obok furgonetki.

- A więc sprowadzasz tu z sobą tego diabła - mruknęła bez cienia życzliwości.

Shelby obejrzała się za siebie i miała wrażenie, że jej krew lodowacieje. Do krawężnika podjechał stary pikap Rossa McCalluma.

- O Boże, nie.

- Wchodź do środka. - Vianca otworzyła szybko drzwi. Shelby nie trzeba było ponaglać. Usłyszała, że McCallum gasi silnik furgonetki.

- *Dios*. - Vianca zamknęła siatkowe osłony i drzwi. Okręciła się na pięcie i spojrzała na czekającego na rodku salonu Shelby. - O co w tym wszystkim chodzi? - zapytała, a potem gniewnie rzuciła kilka zdań po hiszpańsku. Jej matka leżała na kanapie; szczupłe nogi okrywał pled.

- Nie przeklinaj - powiedziała. - Nie wymawiaj imienia Pana Boga swego nadaremno.

- Nie robię tego, *madre*.

Aloise wyglądała jak duch, taka była osłabiona. Traciła tę chyba koncentrację, bo skierowała szkliste oczy na ciszony telewizor, w którym leciał jakiś serial komediowy.

- Czego chcesz? - zapytała Vianca, znowu patrząc w oczy Shelby.

- Twojej pomocy.

- Mojej pomocy? - Vianca podeszła do stolika i sięgnęła po papierosa.

- Nevada nie zabił twojego ojca.

W tym momencie obie usłyszały walenie do drzwi. To był Ross McCallum.

Vianca upuściła papierosa.

- Czego on chce?

- Nie wiem. Nie wiedziałam, że mnie ledzi, dopóki nie znalazłam się tutaj.

- Idź sobie! - Vianca krzyknęła przez drzwi.

- Hej, ja tylko chcę się zobaczyć z Shelby. Jesteśmy starymi przyjaciółmi - wrzasnął Ross.

Shelby podeszła do drzwi.

- Zostaw mnie w spokoju, McCallum. Nie mam ci nic do powiedzenia. - Starła się wyprzeć ze wiadomości strumienia przeładujących obrazów tamtej nocy, kiedy dopadł ją na ranczu, wsiadł do szoferki pikapa jej ojca, przyswoił ją do fotela...

- Wezwij policję! - zagroziła Vianca.

- Zrób to koniecznie, okej? Ale pamiętaj: nie zabiłem twojego starego.

- Ramón? - zapytała Aloise. Odwróciła się, żeby popatrzeć na stolik, na którym stały zdjęcia jej nieżyjącego męża, oświetlone kilkoma świecami, oraz piękny portret Jezusa Chrystusa.

Vianca podniosła i zapaliła Marlboro.

- Musisz wyjść, Shelby. *Madre* jest chora, a ja nie mogę ci pomóc...

- Powiedz mi tylko, co pamiętasz z tej nocy, kiedy zabito twojego ojca.

- Nic. Niczego nie pamiętam. To było dawno temu.

- Ramón? - znów odezwała się Aloise i zwróciła na Shelby swoje ciemne, udręczone oczy. - Ramón? - powtórzyła.

- Jego tu nie ma, *madre*. Pamiętasz? - Vianca nerwowo zacięła się papierosem, a potem wypuściła kłębiący dym.
- Czasami wszystko jej się miesza.

- Shelby, wyjdź! - wołał Ross, głośnie waląc w drzwi. - Hej, czy ty i ja nie możemy być przyjaciółmi?

- On jest pijany - stwierdziła Vianca i rzuciła podniesionym głosem: - Ja nie artuję. Zadzwoń po policję, jak się stąd nie wyniesiesz, i to już!

- Mówię ci, nie ma. - Ross się roześmiał. Vianca zaklęła soczyście po hiszpańsku, a Shelby przyglądała się wnętrzu małego domu, jego schludnemu umeblowaniu i ołtarzykowi ku czci Ramóna. - Hej, co ty masz przeciwko mnie, Vianca? Ja tego nie zrobiłem, wiesz? Jestem wolnym człowiekiem.

- Wolnym człowiekiem, który wkracza na teren prywatnej posiadłości! Och, na miłość Matki Boskiej! - Vianca podeszła do frontowych drzwi i otworzyła je. Przez siatkę Shelby zobaczyła prostactwo, rozwalone meble i moczowniczy, który kiedyś ją zgwałcił.

- Odejdź, Ross. - Zrobiła krok do przodu. - Nie chcę cię widzieć. Ani dzisiaj, ani w ogóle.

- A dlaczego nie? Wiesz, Shelby, czekałem na ciebie dziesięć lat.

Shelby ogarnęła mdłość. Wzięła się jednak w garść i powiedziała spokojnym głosem:

- Odejdź, i to natychmiast. Nigdy więcej nie naprzykrzaj się ani mnie, ani tym ludziom.

- Tym ludziom. Mylisz, że to są twoi przyjaciele? - Zaśmiał się złośliwie. - To nie wiesz, że oni trzymają się razem? A ty, Vianca, masz się z czego tłumaczyć. Widziałem cię tamtej nocy, prawda? Owszem, byłem pijany i ukradłem wóz temu draniowi, ale ty też tam byłaś... - Zmrużył oczy, a Vianca zrobiła się biała jak ściana. - Dopiero teraz sobie przypomniałem. Byłaś w tym wozie. A niech mnie, czy to ty zabiłaś swojego starego? Czy nie tak było? Miałaś dosyć tego, że cię maltretował?

- Zamknij się!

- Nie wezwiesz glin - rzucił już normalnym tonem - bo mogłim powiedzieć co, co cię obchodzi. Teraz to Nevada będzie ponosiła konsekwencje, ale powinni przymknąć cię, meksykański miściu.

- Czy to prawda? - zapytała wstrząśnięta Shelby. Kręciła jej się w głowie, a leżała w salonie Aloise znowu zaczął bełkotać monotonna hiszpańszczyzna, czsto powtarzając imię matki.

- To bzdury. Kłamstwa - zarzekała się Vianca.

Ross uśmiechał się szyderczo za siatkowym ekranem.

- Czy by? Ja tak nie myślę. A ty, Shelby? W co wierzysz? Czy ty też na mnie czekałaś?

- Idź do diabła, McCallum! - W powietrzu czuć było wielkie napięcie.

- Może i pójdę - odparł, a potem uśmiechnął się złowrogo. - Właściwie to ja już tam byłem, no nie? Ale teraz przyszła kolej na kogoś innego, co? Teraz Nevada ma wreszcie swoje piekło.

- A ty go zrobiłaś, prawda? - sapnęła Shelby, nie czując już przed nim strachu. Podeszła bliżej do drzwi; od moczownicy, który ją zgwałcił, dzieliła ją tylko cienka siatka. - Guzik mnie obchodzi, że nie możesz być sędzią drugi raz za ten sam zbrodni. Jeśli zrobiłaś Nevadę, to przysięgam, że ci dorwę i dopilnuję, żeby otrzymał wyrok, na jaki zasługujesz.

- Nie, nie rób tego. - Vianca gwałtownie pokręciła głową.

- Hm, miało, dziewczynko. - Jego oczy błyszczały złośliwym podnieceniem. - P

to jest. Je li dobrze pami tam, była najlepsz dup , jak kiedykolwiek zaliczyłem. A ta twoja córka... czy i ona nie mogłaby by moja?

- Jej w to nie mieszaj. - Shelby jeszcze nigdy nie do wiadczała tak wielkiego strachu jak w tym momencie.

Vianca poszarzała na twarzy i szybko si prze egnęła, jak gdyby w ko cu poj ła, o czym oni mówi .

Tymczasem Aloise znowu poruszyła si na kanapie i zaczę ła wyrzuca gniewne słowa po hiszpa sku.

- No, miało, Shelby. Na co czekasz? Wci trzymasz si Nevady? Hm, pozwól, e co ci u wiadomi , Shelby dziewcz : on nie wróci.

- Odejd ! - nakazała mu Vianca.

Obraz na ekranie telewizji dziwacznie migotał. O dach b bniły krople deszczu. Aloise bełkotliwie wypowiadała imi swojego zmarłego m a.

- Nic z tego, on zapłaci za to, e wpakował kulk w głow starego Ramóna.

- On tego nie zrobił!

- Kto musiał to zrobi , do diabła, bo inaczej Aloise nie byłaby teraz wdow , a ojciec Vianki nadal by j bił i przezywał cip , któr zreszt jest!

- Nie! - wykrzykn ła starsza pani. - Nie! Nie! Ramón, nie rób tego!

- Zamknij si ! - poleciła Vianca, ale nie McCallumowi, tylko swojej matce.

Zaraz, zaraz. Co to wszystko znaczy? Vianca miała dost p do broni, z której zabito Ramóna?

- Pierwszorz dna zabawa, co? - szydził Ross.

- Ty naprawd jeste łajdakiem! - krzykn ła Shelby, widz c k tem oka, e Aloise podnosi si na łó ku. - Zasłu yłe sobie na ka dy dzie w wi zieniu.

- *Madre*, nie!

- Ramón! - wyła Aloise, jakby była wiadkiem jakiego nikczemnego czynu popełnianego przez jej m a. - Och, *Dios*, nie, Ramón, nie! Nie rób tego!

- Cicho! *Madre*, prosz ci - zaklinała j Vianca, podnosz c słuchawk telefonu, jakby zamierzała spełni swoje pogró ki i wezwa policj .

- Dzieci. Nie rób krzywdy dzieciom. - Aloise rozszlochała si na dobre, lamentuj c po hiszpa sku.

Vianca upu ciła słuchawk i podbiegła do matki.

- Nie mów ju nic. Nic a nic.

Przez ułamek sekundy Shelby patrzyła na star kobiet . Ross rzucił si do przodu i przebił r k siatkowy parawan. Łup! Vianca wrzasn ła. Ross przeło ył r k przez dziur i otworzył drzwi.

- Wyno si ! - nakazała mu Shelby.

Za pó no. Ju był w rodku.

- Wyno si st d, do diabła, McCallum - powtórzyła.

- Zmu mnie, Shelby dziewcz . No, zmu mnie. - Rzucił si na ni . Zalatywało od niego alkoholem. Shelby uskoczyła, zd ył jednak złapa pot n łap jej nadgarstek i szarpn ł ni .

- Puszczaj.

- Mowy nie ma, złotko. Za długo czekałem na t chwil , a ty... - Przygwo dził Vianc zimnym wzrokiem. - Ty nie rób niczego głupiego, bo inaczej razem z matk sko czycie w wi zieniu za zabójstwo waszego tatu ka.

- Przesta . - Shelby daremnie usiłowała si wyrwa . Jego palce były jak kajdanki.

r k . Wci gn ł powietrze i złapał j za nadgarstek i teraz trzymał oba w jednej r ce.

- To akurat był bł d.

- Nie rób tego! - krzyczała Vianca. - Zostaw nas w spokoju, *por favor*.

- Zaczekaj no tylko, suko - burkn ł Ross. - Przyjdzie i na ciebie pora. Wszyscy, którzy mnie wrobili, zapłac za to.

Shelby mocowała si z nim, ale był silniejszy. Przyci gn ł j do siebie. Wymierzyła mu kopniaka kolanem. Z całej siły, w czułe miejsce. Zgi ł si wpół, ale nie pu cił jej.

- Ty przekl ta dziwko.

Gdzie za oknem rozległo si wycie syreny, ale było ju za pó no. Ross obj ł Shelby ramionami. Kopala go, mocowała si z nim, drapała po twarzy, ale wci jej nie puszczał.

Aloise zemdlala. Vianca kl czała przy niej, zanosz c si histerycznym szlochem.

- *Madre*, och, *madre*.

- Nie mo esz tego zrobi , McCallum - sykn ła Shelby. - Wrócisz do wi zienia. Mam wiadków.

- Warto b dzie wróci . Poza tym nie posłałaby ojca swojego dziecka do wi zienia.

- Ty nie jeste ojcem Elizabeth. - Siłuj c si z nim, bole nie wyr n ła plecami o cian . Płomienie wiec zadr ały.

Potem wiece przewróciły si , a od ognia zaj ła si serweta.

Shelby osun ła si po cianie.

Ross uderzył jej głow o podłog .

Poczuła straszliwy ból. Starala si zachowa przytomno .

Przez ciemn kurtyn , która majaczyła przed jej oczami, usłyszała, e starsza pani zaczyna si modli , a potem krzyczy, czołgaj c si w stron przewróconego ołtarzyka; zalana łzami Vianca próbowała wyprowadzi matk z domu.

- *Tia V?* - zabrzmiał czyj przera ony głosik i Shelby, która próbowała zrzuci z siebie Rossa, zobaczyła pyzat buzi chłopca w korytarzu.

- Mały Ramónie, uciekaj... och, słodki Jezu! - Vianca histeryzowała. D wign ła si na nogi i złapała dziecko, gdy tymczasem płomienie zacz ły trawi zasłony i z arłocznym trzaskiem przesuwaly si w stron sufitu.

- No, idziemy, Shelby. - Ross podniósł Shelby z podłogi. Zataczaj c si , zamachn ła si na niego i chybiła. Dym wypełnił jej nozdrza i płuca. Zacz ła kasła . Wci walczyła, ale Ross przerzucił j sobie przez rami . - Oboje musimy si st d wydosta i znale bardziej ustronne miejsce.

- Nie - krzykn ła i w tym momencie poczuła, e co twardego uderzaj w głow . Na szcz cie straciła przytomno .

- Jasna cholera! - Shep wysłuchał meldunku, wł czył koguta i wiatła, zawrócił samochód i wcisn ł pedał gazu.

Nevada, który siedział w zakratowanej cz ci wozu, rzucało o ciany.

- Trzymaj si ! - krzykn ł Shep, widz c przed sob wiatła Bad Luck. - Mała zmiana planów.

Ani słowa wi cej, ale Nevada i tak czuł ulg . Wcze niej został zarejestrowany i przesłuchany, i wła nie jechał do okr gowego wi zienia, kiedy Shep dostał zgłoszenie o po arze i zmienił tras .

Inne syreny rozdarły nocn cisz . Wozy stra ackie, karetka, samochód policyjny - wszystkie pojazdy szybko zmierzały do jednej cz ci miasteczka.

Shep jechał na skrót i ostro wchodził w zakręty; Nevada robiło się niedobrze. Powietrze wypełnił dym. Płomienie unosiły się nad domem we wschodniej części Bad Luck.

Stale padający deszcz wcale ciwie nie gasił piekła, które się tu rozszalało. Nevada poczuł ucisk w ołdoku. Natychmiast domyślił się, dokąd jadł i gdzie wybuch pojawił się.

- Co się stało? - zapytał.

- Nie wiem - przyznał Shep. - Ale widziano tu twojego przyjaciela McCalluma - dodał, pokonując ostatni zakręt i zatrzymując wóz.

Nevada ze ściągającym sercem patrzył na przerażające sceny. Vianca stała na trawniku, przytulając małe dziecko. Aloise, jej matka, sanitariusze odprowadzali do karetki, ale sprawiała wrażenie, że nie dociera do niej nic, że nie rozumie, co się dookoła dzieje.

Strasacy wykrzykiwali rozkazy i walczyli z płomieniami, próbując powstrzymać rozprzestrzenianie się pożaru, podczas gdy policjanci z psami starali się nie dopuszczać tłumów do ognia. Wyglądało to koszmarnie. Nevada dostrzegł białego cadillaca, którego wynajęła Shelby. Stał zaparkowany blisko gruchota Rossa McCalluma.

- Wypuść mnie - powiedział zdenerwowany, kiedy Shep otworzył drzwi.

- Nie ma mowy.

- Mówi powaźnie, Shep. Shelby gdzie tu jest. McCallum też. - Nevada był w szoku. Chociaż miał na rękach kajdanki, próbował popchnąć drzwi.

Bezskutecznie.

Shep potrzebował głowę.

- No cóż, masz czas to przemyśleć, co?

Nevada obserwował sytuację z przerażeniem. Strasacy rozwinęli węże; z kółek wylotowych wytrysnęły gejzery wody, podobne do pióropuszy na tle ciemnego nieba.

Mimo utrudnionej nocnej poranki po arem widoczno ci Nevada zmrużył oczy i przyglądał się ulicy oraz pobliskim domom. Na miejscu zdarzenia zebrał się tłum, ale policja panowała nad gapiami, a pracownicy szpitala zajmowali się rodziną Estevanów. Gdzie, u diabła, jest Shelby? O Boże, nie może być z McCallumem. Czuł, jak napinają się żyły na jego szyi, był pewien, że zaraz wybuchnie.

- Wypuść mnie, Marson!

- Nie ma mowy, synu. - Shep zaczął zamykać drzwi.

- Będziesz miał to zeznanie.

Zastępca szeryfa przystanął.

- Co?

- Wypuść mnie. Rozkuj mi kajdanki, a ja dam ci to, czego chcesz. - Nevada był zdesperowany, nie przejmował się konsekwencjami.

Shep zawahał się i spojrzął na Viancę, która przytulała bratanek, niespokojna i udręczona. Mężczyźni krzyczeli. Kobiety pisały.

- Zrób to, Marson.

- Dobrze. Wypuść cię. Ale kajdanki zostaj. A jeśli mi zwiejesz, Smith, to przysięgam, że najpierw będę strzelał, a dopiero potem zadawał pytania. Stoisz?

- Stoisz. - Nevada się nie targował. Nie zalegało mu na tym. Chciał tylko odnaleźć Sh

Shep otworzył drzwi i Nevada wysiadł z wozu. Gnał przez tłum, potykając się i lizgając na gumowych wózkach, nie dbał o to, że ludzie usuwają mu się z drogi i gapią na niego. Krew mocno pulsowała mu w żyłach, mózg zdawał się krzyczeć wniebogłosy. Pokonał ogrodzenie na tyłach domu, ignorując krzyki powstrzymujących go ludzi. Zobaczył, że coś porusza się przed nim w cieniu.

Pognał tam szybko, strach dodawał mu sił. W zagajniku wywodów wypatrzył sylwetkę Rossa McCalluma. Ross miotał się z jakimiś kobietami, które niósł na plecach.

Shelby.

Och, kochanie, obywała. Nie możesz umrzeć, myślał zdesperowany. Kocham cię, Shelby, i nie mogę, nie chcę cię stracić.

Shelby otworzyła oczy i natychmiast zrobiło jej się niedobrze. Jakiś mężczyzna niósł ją i próbował sforsować ogrodzenie, a z ciemnego nocnego nieba padał drobny deszcz. Kaszła, wyczuła dym, zakręciło jej się w głowie i zaczęła krzyczeć, bo gdy płomień rozświetlił noc, uświadomiła sobie, że jest z Rossem McCallumem.

- Zamknij się! - Ciśko dyszał, a ona kopała go, gdy wspinał się na ogrodzenie, przytrzymując jej nadgarstki jedną ręką. Przerzucił ją sobie przez ramię; wzięła się za pamiątkę, czując, jak adrenalina dodaje jej energii.

- Zabij cię! - krzyknęła, kiedy zaczęła pokonywać ogrodzenie. Wyrzuciła głowę w konar drzewa i wiatr znowu zawirował jej przed oczami. Ale nie chciała dać za wygraną. Nie podda się bez walki. Ma dla kogoś, tak wiele jest do zrobienia. Elizabeth i Nevada... och Boże, musi pomóc Nevadzie. Zaczęła walczyć jeszcze zjadlej.

- Na miłość boską... - Udało mu się wyładować po drugiej stronie ogrodzenia. Oboje leżeli na ziemi, po czym on usiadł na Shelby okrzakiem i próbował stłamsić jej opór. - Teraz posłuchaj mnie... jeśli chcesz żyć i chcesz, żeby twoja córka wyrosła na kobietę, to będziesz robić to, co ci każę.

- Elizabeth w to nie mieszaj.

- Tylko pod warunkiem, że ty się uspokoisz, Shelby. Inaczej skrzywdzę ją - oznajmiła, wiedząc, że on nie artuje. W jego oczach odbijał się piekielny blask ognia. Spocony przyłożył rękę do jej gardła. - A chyba nie chciałabyś, abym ją skrzywdził, co? I nie chciałabyś, abym jej zrobił to, co zrobiłem tobie, nie chciałabyś, aby cierpiała, prawda?

Shelby walczyła z obezwładniającym lękiem. Przez zaciśnięte zęby wycedziła:

- Przysięgam ci, McCallum, że jeśli z twojego powodu choć jeden włos spadnie jej z głowy, to wytropię cię jak kłamiwego psa, którym jesteś, i ukatrupię gołymi rękami.

- Spróbuj, Shelby dziewczyno - odparł. Miał za linione kciuki ust. - Tylko spróbuj, do cholery.

Wpatrywała się w niego i widziała czysto radość w jego oczach, ale za jego plecami na ogrodzeniu pojawił się jakiś mężczyzna.

Kiedy Nevada znalazł się na ziemi, serce jej podskoczyło.

Brzęcząc kajdankami, dopadł McCalluma.

- Co jest, kurwa? - McCallum wiał się bezradnie.

Shelby się odsunęła. Nevada przerzucił ręce nad jej głowę i łać cuchał, czy kajdanki znalazł się na tchawicy Rossa.

- Zła ze mnie! - wrzasnął McCallum.

- Nigdy. - Nevada mocno szarpnęła kajdankami, cięgnąc łać cucha.

McCallum zawył z bólu i przerażenia.

Na twarzy Nevady widać było wielkie napięcie. Znowu poruszył się gwałtownie.

Wytrzeszczone gałki oczne Rossa były białe. Chwycił ją suchą, który wrzynał mu się w gardło i odcinał dopływ powietrza. Zaczęła przyskałać.

Shelby się podniosła, podczas gdy mężczyźni nie tarzali się po mokrej trawie pod drzewami. O Boże, Nevada, bądź ostrożny. Rozglądała się dookoła, szukając broni, słyszała jęki i wrzaski Rossa.

- Gięty, bydlaku! - Usłyszała przeciwny głos z tęsknym akcentem. Przez ogrodzenie przeskoczył Shep z bronią wycelowaną w dwóch bijących się mężczyzn.

- Nie! - krzyknęła Shelby, pewna, że Shep mierzy w Nevada.

Padł strzał.

Obaj mężczyźni osunęli się na ziemię.

Oszołomiona, odrzuciła Shelby znowu krzyknęła i podbiegła do dwóch splecionych ze sobą ciał. Kula przebiła rodek czoła Rossa McCalluma. Jego oczy już nic nie wyrażały. Leżący obok Nevada przesunął się i z brzykiem ją cucha cofnął skutecznie. Shelby przytuliła się do niego i rozplakała jak dziecko. Nie mogła się powstrzymać.

- Cicho, kochanie. - Nevada odciągnęła go od zwłok Rossa McCalluma w stronę kępy drzew. - Skończyło się. Nareszcie.

- Obiecujesz? - zapytała.

Shep odwrócił się do nich plecami, żeby mieli trochę prywatności.

- O, tak, obiecuję.

- Jesteś kłamcą, Nevada Smith - pocięła nosem i przywarła do niego jeszcze mocniej. - Najgorszym z moich liwych. I... i... i, do diabła, kocham cię.

- Naprawdę? - dopytywał się. - A to dopiero - powiedział, dotykając siniaka na jej głowie - bo właśnie pomyślałem sobie, że ja kocham cię. Tylko nie wiem, co mam z tym zrobić.

Nie mogła się powstrzymać, więc uśmiechnęła się szeroko.

- Mam kilka pomysłów, kowboju.

- O, załóż się, że je masz. - Oplótł rękami jej plecy i mocno ją pocałował. - I jak tylko uporządkuję kilka drobnych spraw, zamierzam przeanalizować każdą z tych pomysłów.

- Bądź czekała - oznajmiła.

- Wiem. - Jego oczy spoważniały. - Och, kochanie, wiem.

Epilog

Było późne lato i promienie słońca lśniły na czystej powierzchni basenu. Siedząc na terakotowej krawędzi, Shelby ostrożnie włożyła palce do wody i zerknęła na niebo. Chmurzyło się.

- Boisz się? - drażniła się z nią jej córka, która pływała na drugim końcu basenu.

Shelby uśmiechnęła się od ucha do ucha. Jak mogła myśleć, że ojcem Elizabeth jest Ross McCallum, skoro z każdym dniem coraz bardziej upodobała się do Nevady Smitha? Oczywiście testy potwierdziły ojcostwo Nevady, ale teraz to wszystko wydawało się mało ważne.

- No, chodź, Shelby - zachęcała ją dziewczynka ubrana w pomarańczowy kostium kąpielowy. Jeszcze nie mówiła do niej „mamo”, ale Shelby wiedziała, że z czasem to się zmieni. Musiała tylko być

- No, dobrze. - Shelby zrzuciła okrycie i wskoczyła do wody. Płyn ła pod powierzchnią, muskając dno basenu.

Kto by pomyślał, że wszystko tak dobrze się ułoży? Wzieli lub z Nevada i przeprowadzili się do tego domu, podczas gdy jej ojciec popłynął w rejs dookoła świata - swój ostatni rejs, jak twierdził, choć Shelby miała nadzieję, że starczy jeszcze czasu, by pogrzebać zadawnione spory i stworzyć prawdziwą rodzinę, zanim się dzieła postanowi opuścić ziemski padół.

Nevada został oczyszczony z wszelkich zarzutów, gdy tylko Vianca zaczęła składać zeznania. Nie wyżył się swoich dwóch posiadłości i chciał wznieść skromniejszy dom na jednej z nich, żeby tam wychowywać dzieci i żyć prostym życiem.

Shelby nie była pewna, czy to jest możliwe. Wprawdzie wyprowadziła się z Seattle na dobre, ale życie nadal przypominało wir, którego tempo wcale nie było wolniejsze. Elizabeth i Maria mieszkały razem z nimi. Dziewczynka zgodziła się, żeby mówić do niej Liz, i powoli przyzwyczajała się do nowego domu. Dzięki Bogu, Maria była cierpliwa i chociaż zamierzała po sobie zobaczyć, którego poznała w Galveston, zgodziła się poczekać, a Elizabeth w pełni zaaklimatyzuje się w nowej rodzinie.

Maria, podobnie jak Lydia i Pablo, i Carla, na zawsze miała pozostać przyjaciółką Elizabeth. Może nie była to idylla, ale ten nowy układ sprawnie funkcjonował, i tylko to się liczyło.

Shelby chwyciła pod wodą palce u nóg Liz, a dziewczynka pisnęła z uciechy i zaczęła szybko płynąć do płytszej części basenu. Shelby puściła się za nią i dogoniła ją dopiero, gdy Liz dopłynęła do stopni. Miały się i dyszały, gdy tymczasem z kuchni wyszedł Nevada, ubrany w levisy i koszulę z długimi rękawami. Mimo upływu lat Shelby wciąż przeżywała wzruszenie na jego widok.

- No cóż, to już oficjalna zapowiedź - poinformował. - Shep ubiega się o stanowisko szeryfa, a ponieważ rozwiął zagadkę morderstwa Ramóna Estevana, może się okazać zdecydowanym zwycięzcą.

- Podejrzewam, że jest tak samo dobry jak inni kandydaci. - Shelby patrzyła na swojego męża i czuła wdzięczność na temat zeznań Vianki.

Vianca przyznała się, że „pożyła” pistolet Nevady w noc, w którą ukradł go Ross, i powiedziała sędziemu, że kiedy jej ojciec zaczął ją bić po twarzy za to, że się pomyliła przy wydawaniu reszty, poszła za nim na zaplecze sklepu i zagroziła mu bronią, chociaż nie zamierzała jej użyć.

Szturchając ojca łufą, wyprowadziła go pod miętnik. Chciała go tylko nastraszyć, ale jej matka była wiadkiem, który nie przyglądał mu się bezczynnie. Ramón usiłował uderzyć Viankę i wtedy Aloise pociągnęła za spust. Z powodu szoku straciła resztki przytomności i umysłu. Vianca ukryła pistolet w opuszczonym magazynie, a potem podrzuciła go do jaskini i anonimowo zadzwoniła do Shepa, mając nadzieję, że Nevada zostanie oskarżony o morderstwo. Bała się, że szczegółowe śledztwo doprowadzi do skazania jej matki, chociaż w ocenie Lydie Aloise po prostu chroniła swoją córkę.

Vianca nie dbała o to, kto będzie odpowiedzialny za śmierć jej ojca - Ross czy Nevada. Ważne dla niej było tylko to, żeby Aloise nie trafiła do więzienia.

- Nie wiem. Shep ma skłonność do naginania prawa - powiedział Nevada. Kucnął i zmierzwił mokre włosy córki. Elizabeth zachichotała. Uwielbiała swojego ojca. - No i ma własne problemy. Peggy Sue ostatnio nie chce wpuszczać go do domu.

- Tak, ale słyszałam, że znowu się „umawiają”.

Nevada prychnął pogardliwie.

- Hm, cóż, zobaczymy, czy potrafi mu wybaczyć i zapomnieć.

- Przynajmniej już nie widuje się z Vianca.

Vianca wyprowadziła się dwa miesiące temu, podobnie jak Katrina Nedelesky, która pisała książki i ponoć ją reklamowała. Gdyby to zależało od Shelby, niesnaski między jej ojcem a siostrami mogłyby się zakończyć, ale jak na razie ani Katrina, ani sędzia nie wychynęli do siebie nawzajem ręki na zgodę. Byłoby tak już miało być.

- Wchodzi - Liz zachęcała ojca na drugim końcu basenu. - Popływaj z nami, Vada.

- Tak - droczyła się Shelby. - Dołącz do nas. - Nie mogła się powstrzymać i ochlapała go wodą. Na nogawce dżinsów miał teraz mokry szlaczek.

- Kochanie, prosisz się o kłopoty - zauważył, uśmiechając się półgębkiem.

- Naturalnie, nie się proszę. Zastanawiam się tylko, czy jesteś na tyle mądry, żeby mi je sprawić - prowokowała.

Nevada szczerzył zębami w szelmowskim uśmiechu.

- Wiesz, co ci powiem... Przekonajmy się.

- O, tak - zgodziła się.

Szybko, jak atakujący kot, skoczył do wody, wychynął rękę i chwycił nogi Shelby. Pisnęła, a wtedy Nevada wciągnął ją pod wodę. Roze miana wypłynęła na powierzchnię. Obserwując ich z drugiego końca basenu Liz zachichotała i popłynęła w ich kierunku, przyciskając wodę.

- Jeszcze ci dorwę - ostrzegła Shelby.

Nevada wybuchnął gardłowym śmiechem.

- No, ja myślałem - odparł i, wciągnięty w mokrym ubraniu, przyciągnął ją do siebie i pocałował. - Mam nadzieję, że się postarasz, kochanie.

- Bo jak nie?

- To będzie musiał dać ci lekcję.

- Kolejną?

- Tak, jak będzie trzeba - powiedział i w tym momencie Liz dopłynęła do nich i objęła ojca w pasie.

- No, nie wiem. - Przechyliła głowę na bok. - To może trochę potrwać.

- Cóż - odparł. - Przykro mi. Mam jeszcze tylko resztę swojego życia. Jeśli to nie jest dość długo, będziesz musiała znaleźć kogoś innego.

- Nigdy. Po tym wszystkim, co z tobą przeszłam, już nigdy nie spojrzę na innego faceta. - Mówiła poważnie. I bardzo, bardzo szczerze. Nevada znowu ją pocałował i Shelby wiedziała, że to życie i ta miłość są na zawsze.

Podziękowania

Chciałabym podziękować i wyrazić wdzięczność wszystkim osobom, które pomagały mi w wyszukiwaniu informacji i nadawaniu kształtu tej powieści. Bez ich pomocy i wsparcia ta książka nigdy by nie powstała. Dziękuję moim przyjaciołom i rodzinie, a zwłaszcza: Ann Baumann, Nancy i Kenowi Bushom, Matthew Crose'owi, Michaelowi Crose'owi, Alexis Harrington, Mary Clare Kersten, Kenowi Melumowi, Betty i Jackowi Pedersonom, Sally Peters, Tess O'Shaughnessy, Robinowi Ruenowi, Johnowi Scognamigliowi, Lindzie i Larry'emu Sparksom oraz Markowi i Celi Stinsonom. Muchas gracias!